



PAULA
McLAIN

PARYSKA ŻONA

Magiczne lata dwudzieste
w klimacie *O północy w Paryżu*
Woody'ego Allena.

PARYSKA ŻONA

Paula McLain

tłumaczenie
Anna Rojkowska

między
słowami
KRAKÓW 2016

Ważne jest nie to, co dała ci Francja, tylko to, czego ci nie zabrała.

Gertruda Stein

*Nie jest tak, że jedna rzecz jest prawdziwa.
Wszystko jest prawdziwe.*

Ernest Hemingway

Prolog

Choć nieraz szukałam leku, w końcu musiałam się pogodzić z faktem, że Paryż to choroba, na którą nie ma lekarstwa. Częściowo z powodu wojny. Świat już raz się skończył i w każdym momencie mógł się skończyć ponownie. Nadeszła wojna i zmieniła nas przez sam fakt, że wybuchła wbrew wszelkim przepowiedniom. Nikt nie wie, ilu zginęło, ale kiedy słyszało się o liczbie zabitych – dziewięć milionów, czternaście milionów – nie dawało się temu wiary. Paryż zaludniały duchy i ranni. Wielu wróciło do Rouen czy Oak Park w Illinois, niosąc w sobie odłamki tego, co widzieli, pod przestrzelonymi kolanami, wypełnieni pustką, która na zawsze w nich pozostanie. Przekraczając ciała umarłych, dźwigali na noszach innych umarłych, sami na nich leżeli we wlokących się pociągach pełnych much i głosu kogoś, kto przesyłał pozdrowienia swojej dziewczynie w ojczyźnie.

Nie było powrotu do domu, nie w tym, co było najistotniejsze, i to również stanowiło część Paryża. Dlaczego nie mogliśmy przestać pić, rozmawiać, całować się z byle kim, nawet jeśli zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że to droga donikąd. Niektórzy patrzyli w twarze zmarłych, a potem próbowali o tym zapomnieć. Ernest był taki. Często powtarzał, że na wojnie umarł, że na moment jego dusza opuściła ciało, wysmyknęła się jak jedwabna chustka z kieszeni i unosiła się nad klatką piersiową. Wróciła sama, nie trzeba jej było przywoływać. Nieraz zastanawiałam się, czy dla niego pisanie nie było sposobem na przekonanie się, czy dusza jest z powrotem na swoim miejscu. Na mówienie sobie, nawet jeśli nie dzielił tego z innymi, o okropnościach, które widział i których doświadczył na własnej skórze, a jednak żyje nadal. O tym, że wprawdzie umarł, ale już nie jest umarły.

Do najlepszych wspomnień z Paryża należał powrót. W 1923 roku wyjechaliśmy na rok do Toronto, bo miał się urodzić nasz syn, Bumby, a kiedy wróciliśmy, wszystko było takie samo, ale w jakiś sposób zwielokrotnione. Miasto było wspaniałe, choć brudne, pełne szczurów i kwitnących kasztanowców, i poezji. Po pojawieniu się dziecka nasze potrzeby się podwoiły, a dochody – skurczyły. Pound pomógł nam znaleźć mieszkanie na pierwszym piętrze ozdobionego stiukami

budynku przy wąskiej, krętej uliczce niedaleko Ogrodu Luksemburskiego. Nie było ciepłej wody, wanny ani elektryczności – ale mieszkaliśmy już w gorszych warunkach. Przez podwórze sąsiadowaliśmy z tartakiem, który hałasował od siódmej rano do piątej po południu, w powietrzu zawsze unosił się zapach ciętego drewna, przez szpary w oknach i drzwiach wciskał się pył drzewny. Mieliliśmy go pełno w ubraniu i w gardle i cały czas kaszleliśmy. Z pokoju na górze dobiegał nieustanny stukot maszyny do pisania Ernesta. Pracował nad opowiadaniem i nad nową powieścią na temat fiesty w Pampelunie, którą zaczął pisać latem.

Nie czytałam wtedy tego, co napisał, ale ufałam temu, co czuł na ten temat, i ufałam rytmowi każdego dnia. Co dzień wstawał wcześnie, ubierał się, szedł na górę do swojej pracowni i zaczynał pisać. Jeśli mu nie szło, zabierał notesy i kilka zatemperowanych ołówków i udawał się do „Closerie des Lilas” na *café crème*, którą pił zawsze przy tym samym, ulubionym marmurowym stoliku. Tymczasem ja i Bumby jedliśmy sami śniadanie w domu, po czym ubierałam się i wychodziłam z dzieckiem na spacer albo spotkanie z przyjaciółkami. Późnym popołudniem wracałam do domu, a jeśli dzień dobrze minął, Ernest siedział już przy stole, zadowolony, z kieliszkiem zimnego sauternes albo z brandy z wodą sodową, gotów do rozmowy na każdy temat. Czasami zostawialiśmy Bumby’ego z naszą gospodynią, madame Chautard, i wychodziliśmy razem na ostrygi i konwersację w „Select”, „Dôme” albo „Deux Magots”.

W tamtym czasie wszędzie spotykało się ciekawych ludzi. W kawiarniach na Montparnassie było ich pełno: francuscy malarze, rosyjscy tancerze, amerykańscy pisarze. Codziennie można było zobaczyć Picassa, kiedy szedł z Saint-Germain do swojego mieszkania przy rue des Grands Augustins, zawsze tą samą drogą i zawsze dyskretnie wszystkiemu się przyglądając. Niemal każdy na ulicach Paryża mógł się poczuć jak malarz, ponieważ to poczucie budziły światło i cienie budynków, i mosty, które były tak piękne, że niemal pękało serce, i kobiety z sylwetką pięknie rzeźbioną czarną suknią futerałem od Chanel, które paliły papierosy i śmiały się, odrzucając w tył głowy. Można było wejść do którejkolwiek kawiarni i poczuć cudowny

chaos tego wszystkiego, zamówić pernod albo rum St. James i cudownie zatracić się w szczęściu bycia razem.

– Słuchaj – powiedział Don Stewart któregoś wieczoru w kawiarni „Select”, kiedy wszyscy byliśmy rozbawieni i pijani jak szewcy. – To, co jest między tobą i Hemem, jest doskonałe. Nie, nie – mamrotał z twarzą wykrzywioną uczuciem. – To coś świętego. To właśnie chciałem powiedzieć.

– To miło z twojej strony, Don. Ty też jesteś gość super. – Poklepałam go w ramię, obawiając się, że się rozplacze. Był humorystą, a wiadomo, że autorzy zabawnych książek są prywatnie niezwykle poważni. Jeszcze się nie ożenił, ale na horyzoncie już coś majaczyło i było bardzo ważne, żeby wiedział, że małżeństwo można uprawiać dobrze i z gracją.

Nie wszyscy wierzyli w małżeństwo. Ożenić się – albo wyjść za mąż – równało się oświadczeniu, że wierzy się w przyszłość i w przeszłość – że historia, tradycja i nadzieja mogą trwać zespolone i pomóc w życiu. Ale przyszła wojna i zabrała wszystkich wspaniałych młodych mężczyzn i ich wiarę. Zostało tylko dziś – w które mogliśmy się rzucić, nie myśląc o tym, co jutro, a co dopiero o tym, co „na zawsze”. Żeby nie myśleć – był alkohol, całe morze alkoholu, wszystkie zwykłe grzechy i mnóstwo sznura, żeby się powiesić. Ale niektórzy z nas, właściwie bardzo nieliczni z nas, wbrew wszystkiemu postawili na małżeństwo. I choć niezupełnie czułam się święta, to z pewnością wierzyłam, że to, co mamy, jest rzadkie i prawdziwe, i że jesteśmy bezpieczni w naszym małżeństwie, które każdego dnia budujemy.

To nie jest kryminał – absolutnie nie. Nie chcę mówić: „Uważajcie na dziewczynę, która pojawi się i wszystko zburzy”, ale ona nadchodzi, olśniewająca w futrze z pręgowców i pięknych butach, z prostymi ciemnymi włosami obciętymi tak krótko, że w mojej kuchni wygląda jak wydra. Ma ujmujący uśmiech. Prowadzi błyskotliwą rozmowę – podczas gdy w sypialni leży Ernest, nieogolony i niechlujny, rozwalony na łóżku jak król despota, czyta książkę i w ogóle o nią nie dba. Przynajmniej na początku. Gotuje się woda w czajniku, a ja opowiadam historię o dziewczynie, którą obie znałyśmy sto lat temu w St. Louis, i to nas zbliża, tak że czujemy, jakbyśmy się znały od dawna, a naprzeciw,

w tartaku, ujada pies, ujada i ujada, i wcale nie chce przestać.

Pierwsze, co zrobił, to utkwiał we mnie spojrzenie swoich cudownych ciemnych oczu i powiedział:

– Może jestem zbyt pijany, żeby to ocenić, ale wydaje mi się, że ma pani rację.

Jest październik 1920 roku, króluje jazz. Nie znam jazzu, więc gram Rachmaninowa. Czuję, że na policzki wypływa mi rumieniec wywołany szklaneczką mocnego cydru, który kochana Kate Smith wmusiła we mnie, żebym się przestała denerwować. Z sekundy na sekundę opada ze mnie napięcie. Zaczyna się od palców – uczucie ciepła, które wędruje w górę, wzdłuż nerwów, rozchodzi się po całym ciele. Nie upiłam się od ponad roku – od czasu, kiedy matka poważnie zachorowała – i brakowało mi tego wrażenia, tej mgły dokładnie otulającej umysł. Nie chcę myśleć i nie chcę czuć niczego, chyba że jest to coś tak prostego, jak kolano tego pięknego chłopca znajdujące się tuż obok mojego.

Wystarczyłoby samo kolano, ale do niego dołączony jest cały mężczyzna, wysoki i szczupły, ma gęste ciemne włosy, a w lewym policzku dołeczek, tak głęboki, że można byłoby do niego wpaść. Przyjaciele nazywają go Hemingstein, Oinbones, Bird, Nesto, Wemedge – co im wpadnie do głowy. On na Kate mówi Stut albo Butstein (niezbyt to pochlebne), na jednego z kolegów Gorączka, a na innego Napaleniec. Wydaje się, że wszystkich zna i wszyscy znają te same dowcipy i dykteryjki. Przerzucają się puentami żartów, co sprawia wrażenie, jakby posługiwali się szyfrem. Nie nadażam, ale nie przejmuję się tym. Samo przebywanie w pobliżu tryskających radością osób stanowi potężny zastrzyk optymizmu.

Kiedy Kate pojawia się w drzwiach kuchni, nieznajomy pyta, wskazując mnie głową:

- Jak nazwiemy naszą nową koleżankę?
- Hash – proponuje Kate.
- Lepiej Hashedad. Albo Hasovitch.
- A ty jesteś Bird? – mówię.
- Wem – prostuje Kate.

– Ja jestem facetem, który uważa, że powinno się tańczyć. – Uśmiecha się całym sobą i natychmiast Kenley, brat Kate, zaczyna zwijać dywan w salonie i staje przy victroli. Rzucamy się na parkiet i tańczymy, puszczając po kolei wszystkie płyty. Nie jest urodzonym tancerzem, ale nie usztywnia się w tańcu, dobrze czuje się w swoim ciele. Bez żadnego skrępowania przysuwa się coraz bliżej, tak że po krótkiej chwili nasze złączone dłonie robią się wilgotne, a na policzku czuję bijące od niego ciepło. Dopiero wtedy mówi mi, że ma na imię Ernest.

– Ale chcę się go pozbyć – mówi. – Ernest to takie nudne imię, a Hemingway? Komu podoba się Hemingway?

Pewnie każdej dziewczynie stąd do Michigan Avenue – myślę, spuszczać wzrok, żeby przypadkiem się nie zaczerwienić. Kiedy znowu podnoszę oczy, widzę, że patrzy prosto na mnie.

– No i co? Uważasz, że powinienem wyrzucić je za burtę?

– Może nie tak od razu.

Zaczyna się wolny kawałek. Bez pytania otacza mnie ramieniem i przyciąga do siebie. Z bliska jest jeszcze bardziej atrakcyjny. Solidne klatka piersiowa i ramiona. Delikatnie opieram na nich swoje dłonie. Mijamy w tańcu Kenleya nakręcającego gramofon i Kate obrzucającą nas długim, ciekawskim spojrzeniem. Zamykam oczy i przytulam się do Ernesta pachnącego burbonem i mydłem, tytoniem i wilgotną bawełną – i wszystko w tej chwili jest tak ostro zarysowane i cudowne, że robię coś, co zupełnie do mnie nie pasuje – daję się nieść chwili.

Z tego czasu pochodzi piosenka Nory Bayes zatytułowana *Udawanie*, chyba najbardziej melodyjny i wymowny traktat na temat samooszukiwania się, jaki znam. Nora Bayes była piękna, a piosenkę śpiewała drżącym głosem, który świadczył, że niejedno wie o miłości. Kiedy radziła, żeby odrzucić ból serca i zmartwienie i się uśmiechać – wierzyło się, że sama tak zrobiła. To nie była luźna sugestia, tylko recepta. Piosenka musiała również należeć do ulubionych utworów Kenleya. Tego wieczoru puszczał ją trzy razy. Był to mój pierwszy dzień po przyjeździe do Chicago. Miałam wrażenie, że mówi do mnie: Kiedy jest ci smutno, udawaj, że jesteś zadowolona. Po deszczu wyjdzie słońce.

Miałam już dość deszczu. Choroba i śmierć matki bardzo mnie przygnębiły, ale wcześniejsze lata też były ciężkie. Dopiero skończyłam dwadzieścia osiem lat, a pędziłam żywot starej panny rezydentki w mieszkaniu na piętunku w domu mojej starszej siostry Fannie. Ona z mężem Rolandem i czwórką przychówku mieszkała na parterze. Wcale tego nie planowałam. Myślałam, że wyjdę za mąż albo znajdę sobie jakąś pracę, podobnie jak koleżanki ze szkoły. Były zalatanymi matkami, nauczycielkami, sekretarkami albo obiecującymi dziennikarkami, jak Kate. Niezależnie od tego, jaką drogę wybrały, żyły pełnią życia, popełniały własne błędy. A ja jakoś utknęłam – i to jeszcze na długo przed chorobą mamy – i nie wiedziałam, jak się z tego wyzwolić.

Czasami, zmęczona godzinną walką o to, by dobrze zagrać Chopina, padałam na sofę albo na dywan, czując, jak ucieka ze mnie cała energia. Doświadczałam strasznej pustki, jakby mnie nie było. Dlaczego nie mogłam być szczęśliwa? I co to jest szczęście? Czy można je udawać, jak radziła Nora Bayes? Czy da się je wcisnąć w siebie na siłę, jak cebulki kwiatów w ziemię, wetrzeć je w skórę metodą ocierania się o grupę rozbawionych przyjaciół w Chicago lub zarazić się nim jak grypą?

Ernest Hemingway pozostawał człowiekiem nieznanym, ale rozsiewał wokół siebie radość. Nie wytropiłam w nim śladu strachu, sama radość życia i wigor. Oczy mu błyszczały, kiedy, odchylony w tył, kręcił mną w tańcu. I znowu przyciągnął do piersi. Na szyi i włosach

poczułam ciepło jego oddechu.

– Jak długo znasz Stut? – spytał.

– Razem chodziłyśmy do szkoły w St. Louis, do Instytutu Marii.

A ty?

– Chcesz się dowiedzieć, do jakich szkół chodziłem? Nie było tego wiele.

– Nie – roześmiałam się. – Pytam o Kate.

– Starczyłoby na powieść, tylko nie jestem pewien, czy to akurat ja powinienem ją napisać.

Mówił lekko, zaczepnie, ale przestał się uśmiechać.

– Co masz na myśli?

– Nic – odparł. – W dwóch słowach, nasze rodziny sąsiadują ze sobą na wsi koło Petoskey. To w Michigan, czego taka dziewczyna z Południa, jak ty, może nie wiedzieć. Jeździliśmy tam na wakacje.

– Zabawne, że obydwójce spędziliśmy dzieciństwo z Kate.

– Kiedy miałem dziesięć lat, ona miała osiemnaście. Powiedzmy, że miałem szczęście spędzać dzieciństwo obok niej. Z widokiem na piękny krajobraz.

– Innymi słowy, podkochiwałeś się w niej.

– Nie, wyraziłem się adekwatnie – powiedział, odwracając wzrok.

Musiałam go dotknąć, a nie chciałam zrobić tego drugi raz.

Chciałam, żeby był radosny i swobodny. Prawdę mówiąc, wywarł na mnie silne wrażenie; zrozumiałam, że gotowa jestem wiele zrobić, żeby był szczęśliwy. Szybko zmieniłam temat.

– Jesteś z Chicago?

– Z Oak Park. To kawałek dalej tą ulicą.

– Czego taka dziewczyna z Południa, jak ja, może nie wiedzieć.

– No właśnie.

– Jest pan świetnym tancerzem, panie z Oak Park.

– Pani też, pani z St. Louis.

Piosenka się skończyła i odsunęliśmy się od siebie, żeby nabrać tchu. Poszłam na jeden koniec długiego salonu Kenleya, a w drugim Ernesta wkrótce otoczył krąg wielbicieli – a właściwie wielbicielek. Wszystkie były bardzo młode, pewne siebie, miały krótko podcięte włosy i mocno uróżowione policzki. Ja bardziej przypominałam

wiktoriański przeżytek niż nowoczesną chłopczycę. Miałam długie włosy, zwinięte w węzeł na karku, o ładnym kasztanowatym kolorze, a choć sukienka nie była ostatnim krzykiem mody, to – jak mi się wydawało – nadrabiałam figurą. Prawdę mówiąc, kiedy tańczyliśmy z Ernestem, byłam zadowolona z wyglądu – może sprawiło to jego zachwycone spojrzenie! – ale teraz, kiedy otaczały go te pełne życia dziewczyny, moja pewność siebie szybko się ulatniała.

– Wygląda na to, że twoja znajomość z Nesto szybko postępuje – powiedziała Kate, pojawiając się koło mnie.

– Możliwe. Mogę to skończyć? – spytałam, pokazując drink, który trzymała w ręce.

– Wulkaniczny. – Skrzywiła się i podała mi kieliszek.

– Co to jest? – powąchałam zawartość. Miała zapach zjełczalej benzyny.

– Samogon. Gorączka dał mi to w kuchni. Nie jestem pewna, czy nie przyrządził tego w swoim bucie.

Pod ścianą z rzędem okien Ernest paradował w granatowej wojskowej czapce, którą skądś wytrzasnął. Kiedy się odwrócił, dramatycznym ruchem zerwał ją z głowy.

– Niezły kostium – powiedziałam.

– Jest bohaterem wojennym, nie mówił ci o tym?

Pokręciłam głową.

– Jestem pewna, że w końcu ci powie. – Jej twarz się nie zmieniła, ale w głosie wyczuwało się napięcie.

– Mówił mi, że usychał z tęsknoty za tobą.

– Naprawdę? Najwyraźniej już mu minęło.

Musiało ich coś poróżnić, i to coś, co niełatwo zapomnieć, ale o czym się milczy. Nie drażyłam tematu.

– Chciałabym uchodzić za dziewczynę, która wypije wszystko – powiedziałam – ale z buta to już chyba przesada.

– Masz rację. Poszukajmy czegoś innego. – Uśmiechnęła się do mnie swoimi zielonymi oczyma i znowu była moją Kate; poszłyśmy się upić i rzucić w wir zabawy.

Złapałam się na tym, że przez resztę wieczoru wypatrywałam Ernesta, czekałam, że się pojawi i rozrusza towarzystwo, ale nic takiego nie nastąpiło. W pewnym momencie musiał się wymknąć. Wszyscy po kolei się ulatniali, tak że koło trzeciej nad ranem zostały tylko niedobitki, z Gorączką jako najważniejszym eksponatem. Spity do nieprzytomności, leżał na kanapie. Ktoś położył mu na twarzy wełniane skarpetki, a na skrzyżowanych stopach – kapelusz.

– Do łóżka, do łóżka – powiedziała Kate, ziewając.

– Czy to Szekspir?

– Nie wiem. Naprawdę Szekspir? – czknęła i roześmiała się. –

Wracam do swojej nory. Będzie ci tu wygodnie?

– Jasne. Kenley przygotował dla mnie pokój. – Odprowadziłam ją do drzwi. Zakładając płaszcz, umówiła się ze mną na lunch na następnym dzień.

– Musisz mi powiedzieć, co słyhać w domu. Nie miałyśmy ani chwili, żeby porozmawiać o twojej mamie. Na pewno ciężko to przeżyłaś, biedactwo.

– Nie chcę o tym rozmawiać, znowu będzie mi smutno. Ale tu jest wspaniale. Dziękuję, że zmusiłaś mnie do przyjazdu.

– Bałam się, że nie będziesz mogła przyjechać.

– Ja też. Fannie mówiła, że to za szybko.

– No cóż, czego innego można się po niej spodziewać. Twoja siostra głupia nie jest, ale jeśli chodzi o ciebie, Hash – to niestety tak.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością i pożegnałyśmy się.

Mieszkanie Kenleya przypominało labirynt i było pełne współlokatorów, ale znalazł dla mnie duży i bardzo czysty pokój z komodą i łóżkiem z baldachimem. Przebrałam się w koszulę nocną, rozpuściłam i wyszczotkowałam włosy, przypominając sobie najważniejsze wydarzenia wieczoru. Mimo że świetnie bawiłam się w towarzystwie Kate i cieszyłam się, widząc ją po latach, musiałam przyznać, że pierwsze miejsce zajmował taniec z Ernestem Hemingwayem. Ciągłe czułam spojrzenie jego orzechowych oczu i elektryzującą energię – ale co oznaczały jego atencje? Czy zajmował się mną, ponieważ byłam starą przyjaciółką Kate? Czy nadal się w niej durzył? Czy ona się w nim kochała? Czy jeszcze go zobaczę?

Nagle przytłoczyła mnie taka lawina pytań bez odpowiedzi, że uśmiechnęłam się pod nosem. Czy właśnie tego pragnęłam, wyjeżdżając do Chicago, czegoś nowego, o czym można rozmyślać? Odwróciłam się w stronę lustra wiszącego nad komodą. Hadley Richardson się nie zmieniła, stała z falującymi kasztanowatymi włosami, wąskimi wargami i jasnymi okrągłymi oczyma – ale pojawiło się też coś nowego, pierwsze drgnięcie nadziei. Niewykluczone, że słońce nadal będzie wschodzić. A tymczasem będę nucić piosenkę Nory Bayes i robić, co się da, żeby w nią uwierzyć.

Kiedy następnego dnia rano weszłam do kuchni, Ernest już tam był. Opierając się o lodówkę, czytał gazetę i pożerał pół bochenka chleba.

– Spędziłeś tutaj noc? – spytałam, niezdolna ukryć zdziwienia na jego widok.

– Mieszkam tu. Chwilowo, dopóki sprawy się nie ułożą.

– A co masz zamiar robić?

– Zmienić bieg historii literatury, jak sądzę.

– Ho, ho – skomentowałam pod wrażeniem jego wiary w siebie. To coś, czego nie da się udawać. – A nad czym teraz pracujesz?

Skrzywił się.

– Teraz piszę teksty reklamowe dla fabryki opon Firestone Tires, ale mam w planach opowiadania lub powieść. Albo zbiór wierszy.

– Myślałam, że poeci są cisi, nieśmiali i uciekają przed słońcem – powiedziałam, siadając.

– Nie ten. – Dostawił do stołu krzesło odwrócone oparciem do przodu i usiadł na nim okrakiem. – Kto jest twoim ulubionym pisarzem?

– Chyba Henry James, cały czas czytam go na nowo.

– Jesteś uroczo staroświecka.

– Naprawdę? A kogo ty preferujesz?

– Ernesta Hemingwaya. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. –

W Chicago jest mnóstwo znanych pisarzy. Kenley zna Sherwooda Andersona. Słyszałaś o nim?

– Pewnie. Napisał *Miasteczko Winesburg*.

– O niego właśnie chodzi.

– Z takim tupetem pewnie uda ci się wszystko, do czego się zabierzesz.

Spojrzał na mnie poważnie, jakby próbując ocenić, czy się z nim drażnię, czy próbuję go ugłaskać. Bynajmniej nie próbowałam ani jednego, ani drugiego.

– Jaką lubisz kawę, Hasovitch? – spytał w końcu.

– Gorącą – odparłam, a on odpowiedział uśmiechem, który zaczynał się w oczach i rozchodził po całym ciele. Niesamowity.

Kiedy Kate, wyświeżona i elegancka w czerwonym wełnianym płaszczu i kapeluszu, pojawiła się, żeby zabrać mnie na lunch, Ernest i ja byliśmy jeszcze w kuchni, pogrążeni w rozmowie. Nie zdążyłam się ubrać i cały czas siedziałam w szlafroku.

– Przepraszam, za sekundkę będę gotowa – sumitowałam się.

– Nie spiesz się, zasługujesz na to, żeby trochę poleniuchować – odparła, ale wydawało mi się, że jest niezadowolona.

Poszłam się ubrać, a kiedy wróciłam, w pokoju była tylko Kate.

– Gdzie się podział Nesto?

– Nie mam zielonego. – Widząc moje rozczarowanie, spytała: – Powinnam go była zaprosić?

– Nie bądź niemądra. To nasz dzień.

Popołudnie spędziłyśmy cudownie. Ze wszystkich dziewczyn w klasie w Instytucie Marii Kate była najbardziej odważna, z każdym potrafiła rozmawiać i ze wszystkiego robić zabawę. Nie zmieniła się wcale. Idąc obok niej Michigan Avenue, poczułam się śmielsza i dużo młodsza. Poszłyśmy na lunch do restauracji naprzeciw Instytutu Sztuki, gdzie nad ruchem ulicznym i nieustannie zmieniającym się morzem kapeluszy oraz płaszczy panowały dwa królewskie lwy. Był chłodny dzień, więc po lunchu, przytulone do siebie, wracałyśmy State Street, wstępując do wszystkich sklepów, które wpadły nam w oko. Kate próbowała skłonić mnie do opowiadania o domu, ale bałam się stracić dobry humor. Zagadnęłam ją więc o wakacje w Michigan, o wyprawy na ryby i nad jezioro. We wszystkich wspomnieniach występowały łódki, ukulele, księżyc w pełni, ogniska i grog. Nie potrafiłam opanować zazdrości.

– Jak ty to robisz, że masz tych wszystkich mężczyzn?

– Nie mam ich, tylko pożyczam. – Uśmiechnęła się. – Pewnie dlatego, że mam braci. Zresztą czasami faceci bywają nieznośni. Przez połowę lata próbowałam jednego zachęcić, a drugiego zniechęcić, ale wszystko się pokiełbało i w końcu nikt już się nawet nie całował. Widzisz? Nie masz czego żałować.

– Czy Carl Edgar nadal stale ci się oświadcza?

– Niestety. Biedny Edgar. Czasami zastanawiam się, co by było, gdybym zgodziła się za niego wyjść. W ramach eksperymentu.

– Pewnie by zemdlał.
– Albo uciekł przerażony. Niektórzy faceci wolą, żeby dziewczyny mówiły „nie”.
– A co z Ernestem?
– Jak to, co z nim? – Nagle w jej oczach pojawiła się ostrożność.
– Czy lubi, żeby kobiety przed nim uciekały?
– Skąd mam wiedzieć?
– Ile on właściwie ma lat? Dwadzieścia pięć?
Uśmiechnęła się.
– Dwadzieścia jeden. Chłopczyk. Wiem, że jesteś na to za rozsądna.
– O co ci chodzi?
– Wydaje mi się, że wyczułam zainteresowanie. – Spojrzała na mnie uważnie.
– Jestem znudzona – odparłam. Ale zawsze była ze mnie kiepska kłamczucha.

– A nie wolałabyś nowego kapelusza? – spytała, wskazując potężną konstrukcję z piór, której za nic w świecie bym nie włożyła.

Zanim późnym popołudniem wróciłyśmy do domu, w mieszkaniu znowu było pełno ludzi. Kenley i jego brat Bill, najmłodszy z klanu Smithów, próbowali zmontować czwórkę do gry w karty. Gość imieniem Brummy grał melodię jazzową na fortepianie, a Ernest i jeszcze jeden, Don Wright, rozgrywali pojedynki bokserski na dywanie. Rozebrani do pasa, potrzásali uniesionymi w górę pięściami, a pozostali zachęcali ich do walki. Wszyscy byli rozbawieni i wydawało się to niezłą frajdą, dopóki Ernest nie przyłożył przeciwnikowi prawym sierpowym. Don częściowo zdołał się uchylić i boksowali dalej w przyjaznej atmosferze, ale widziałam twarz Ernesta, kiedy zadawał cios – miał minę zabójcy. Chciał wygrać, było to dla niego ważne.

Kate wydawała się nie zwracać uwagi ani na walkę, ani w ogóle na nic, co się wokół dzieje. Najwyraźniej wieczorami zawsze panowała tu atmosfera szaleństwa. Od niemal roku obowiązywała prohibicja i ten „szlachetny eksperyment” spowodował, że jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać nielegalne bary. W samym Chicago były ich ponoć tysiące, ale po co bary, skoro Kenley, podobnie jak wielu

przedsiębiorczych młodzieńców, zgromadził dosyć gorzały, żeby spić stado słoni? W kuchni było mnóstwo otwartych butelek wina, więc napiłyśmy się z Kate trochę, a potem jeszcze trochę. O zachodzie słońca, które zabarwiło pokój czerwoną poświatą, siedziałam na kanapie, wciśnięta między Ernesta i Horneya, którzy rozmawiali nad moją głową w jakimś osobliwym narzeczu. Nie mogłam opanować chichotu – a kiedy to ja ostatni raz chichotałam? Teraz było to zdumiewająco łatwe.

Kiedy Horney podniósł się, żeby poprosić Kate do tańca, Ernest odwrócił się do mnie i rzekł:

– Cały dzień zastanawiałem się, jak cię o coś zapytać.

– Naprawdę? – Zaskoczyło mnie to, a jednocześnie pochlebilo.

Skinał głową.

– Nie chciałybyś przeczytać mojego tekstu? To jeszcze nie jest opowiadanie, bardziej szkic.

Nerwowo pogładził brodę, a ja niemal roześmiałam się z ulgą. Ernest Hemingway denerwował się, a ja – nagle – poczułam się pewnie.

– Jasne – odparłam. – Ale nie jestem krytykiem. Nie jestem pewna, czy ci pomogę.

– W porządku. Chciałem jedynie, żebyś przeczytała.

– Jeśli tak, to się zgadzam.

– Zaraz wracam – powiedział i zerwał się z kanapy. Dopiero na środku pokoju obejrzał się i dodał: – Tylko nigdzie nie idź.

– A gdzie miałabym pójść?

– Sama byś się zdziwiła – powiedział tajemniczo i poszedł po maszynopis.

Miał rację, właściwie nie było to opowiadanie, tylko zabawny niedokończony szkic zatytułowany *Wilki i pączki*. Akcja rozgrywała się we włoskiej restauracji na Wabash Avenue. Styl był ostry jak brzytwa i dowcipny. Poszliśmy do kuchni, gdzie było trochę ciszej i jaśniej, a kiedy czytałam, Ernest nerwowo krążył wokół, jakby czekał na odpowiedź na pytanie, którego nie ośmielał się zadać: Czy to dobre?

Kiedy dotarłam do ostatniej strony, usiadł w krześle naprzeciw i spojrzał wyczekująco.

– Masz wielki talent – powiedziałam. – Chyba za dużo czytałam Henry’ego Jamesa. Ty jesteś zupełnie inny.

– Jasne.

– Nie jestem pewna, czy dobrze cię rozumiem, ale widzę, że jesteś prawdziwym pisarzem. Cokolwiek czyni pisarza, ty to masz.

– Boże, dobrze to słyszeć. Czasami myślę, że jedyne, czego naprawdę potrzebuję, to usłyszeć od kogoś, że nie jestem głupcem walącym głową w mur. Że czasem trafiam w sedno.

– Trafiasz. Nawet ja to widzę.

Popatrzył na mnie uważnie, niemal przewiercając mi głowę spojrzeniem.

– Lubię cię. Jesteś szczerą.

– Ja ciebie też lubię – zrewanżowałam się i nagle zdumiałam, jak swobodnie się z nim czuję, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Albo przynajmniej setki razy siedzieli razem nad jego tekstami – on, przejęty, podając mi kartki – nie mógł udawać, że nie zależy mu na tym, co robi – a ja, czytając i dziwiąc się, czego potrafi dokonać samym słowem.

– Pozwolisz się zaprosić na obiad? – spytał.

– Teraz?

– A coś nas powstrzymuje?

Kate, pomyślałam, Kate i Kenley, i całe to pijane towarzystwo w salonie.

– Nikt nawet nie zauważy, że wyszliśmy – dodał, jakby odgadując moje wahanie.

– W porządku – powiedziałam, ale po płaszczy i tak wolałam się wymknąć po cichu, jak złodziej. Bardzo chciałam z nim wyjść, pragnęłam tego całym sercem.

Nie miał racji, mówiąc, że nikt nas nie zauważy. Kiedy znikaliśmy za drzwiami, czułam na plecach wzrok Kate i słyszałam jej słowa: Hadley, zachowaj rozsądek!

Dosyć miałam już rozsądnego postępowania. Nie odwróciłam głowy.

Spacer z Ernestem był czystą przyjemnością. Szedł obok mnie, ani na chwilę nie przestając mówić, z rumieńcem na twarzy i błyszczącymi oczyma. Udaliśmy się do greckiej restauracji na Jefferson Street, gdzie zamówiliśmy jagnięcą pieczeń i sałatkę z ogórka z cytryną i oliwkami.

– To chyba wstyd, ale muszę się przyznać, że nigdy nie jadłam

oliwek – powiedziałam, kiedy kelner przyniósł dania.

– To powinno być karalne. Otwórz buzię.

Podał mi do ust oliwkę, oleistą i słonawą. Zaczerwieniłam się z wrażenia. Była doskonała. A także dlatego, że ten gest, jego widelec w moich ustach, sugerował zażyłość, zmysłowość. Od wieków nie czułam nic podobnego.

– I co? – spytał.

– Cudowna. Ale trochę niebezpieczna, prawda?

Uśmiechnął się i spojrzał na mnie z uznaniem.

– Owszem, trochę – przyznał. Po czym zjadł tuzin oliwek, jedną po drugiej.

Po obiedzie poszliśmy pod linią nadziemnej kolejki na molo. Ernest cały czas mówił o swoich planach, o wszystkim, do czego się pali, o wierszach, opowiadaniach, szkicach, które pragnął napisać. Nigdy nie spotkałam nikogo tak pełnego życia. Cały czas był w ruchu. Nieustannie w ruchu – i myślał, i marzył.

Kiedy doszliśmy do mola, skierowaliśmy się ku najbliższemu przystankowi tramwajowemu.

– Wiedziałaś, że w czasie wojny były tutaj koszary i mieścił się Czerwony Krzyż? Pracowałam w Czerwonym Krzyżu we Włoszech jako kierowca karetki.

– Teraz wojna wydaje się bardzo odległa, prawda?

– Czasami. – Na jego czole pokazała się zmarszczka powątpiewania albo zmartwienia. – A co ty robiłaś w tamtych czasach?

– Głównie siedziałam w ukryciu. Sortowałam książki w podziemiach biblioteki publicznej. Podobno wysyłano je żołnierzom na froncie.

– Dziwne, bo to właśnie ja dostarczałam im książki. Również czekoladę. Listy, papierosy, cukierki. Mieliśmy kantinę, ale czasami nocą jechałam rowerem na linię frontu. Wyobrażasz sobie?

– Z łatwością. To był taki rozklekotany czerwony rower, prawda?

– Chłopiec też się trząsł, kiedy wyleciał w powietrze.

Przystanęłam.

– Och, Ernest, przepraszam. Nie wiedziałam.

– Nic takiego. Byłam bohaterem dnia. – Oparł się o balustradę

i patrzył na jezioro, szara sylwetka na szarym tle, z ledwie widoczną smugą bieli. – Wiesz, o czym teraz myślę?

Pokręciłam głową.

– O jedwabnikach. W San Pedro Norello, wiosce przy froncie, spędziłem jedną noc. Tam właśnie spotkałem Horneya – w tym budynku stały nasze prycze, to była hodowla jedwabników. Jedwabniki były pod dachem, nad naszymi głowami. Chrupały liście morwy. To był jedyny dźwięk, jaki słyszeliśmy. Wcale nie ostrzał artyleryjski, nic tylko to. Straszne.

– Nigdy tak nie myślałam o jedwabnikach. Może w ogóle nigdy o nich nie myślałam, ale teraz słyszę je, tak jak ty słyszałeś.

– Czasami, kiedy leżę bezsenne, wydaje mi się, że słyszę, jak gryzą liście. Muszę wstać, zapalić światło i spojrzeć na sufit.

– I są tam? – spytałam, próbując zmienić nastrój.

– Jeszcze ich nie było.

Opuszczając dzielnicę jasno oświetlonych sklepów, skierowaliśmy się ku domowi. Przyszło mi nagle do głowy, jakie to rzadkie, żeby niemal kompletnie obcy człowiek zdradził coś tak bardzo osobistego. Chyba mnie trochę zatkało. Co to jest za facet, ten Ernest Hemingway?

Nagle zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

– Słuchaj, Hash, chyba nie masz zamiaru uciekać przede mną?

– Żaden ze mnie sportowiec.

– Podoba mi się twoja szczerość. Mówiłem ci?

– Owszem.

– Ale podoba mi się bardziej, niż ci mówiłem. – Uśmiechnął się ujmująco, włożył moją rękę pod ramię i ruszyliśmy.

Następnego dnia rano Kate weszła bez pukania do mojego pokoju. Nie byłam jeszcze ubrana.

– Czekałam dłużej niż do północy. Gdzie byłaś?

– Przepraszam. Ernest zaprosił mnie na obiad. Nie potrafiłam powiedzieć „nie”.

– To bardzo łatwe słowo. Pierwsze, jakiego uczą się dzieci.

Owinęłam się ciaśniej szlafrokiem i usiadłam na łóżku.

– W porządku. Nie chciałam odmawiać. To w końcu tylko obiad, Kate. Nic się nie stało.

– Oczywiście – powiedziała, najwyraźniej jeszcze trochę wytracona z równowagi. – Po prostu czuję się odpowiedzialna za ciebie i nie chcę, żebyś wpakowała się w coś niedobrego.

– Dlaczego akurat niedobrego? Nie sprawia wrażenia złego człowieka.

– To nie to, że jest zły. – Urwała, starannie dobierając słowa. – Jest po prostu młody. Lubi kobiety – wszystkie. Widzę, że na niego lecisz, i to mnie martwi.

– Na nikogo nie lecę – zaprotestowałam ze złością. – Zjadłam z nim obiad! Naprawdę, tylko tyle, Kate.

– Masz rację, masz rację. Poniosło mnie. – Usiadła obok mnie na łóżku i ujęła moją dłoń. – Zapomnij, co mówiłam, dobrze? Jesteś przecież rozsądna. Wiesz, co robisz.

– Nic nie robię.

– Wiem. Jestem okropna. – Gładziła mnie po rękę. Nie wyrywałam jej, ale czułam, że kręci mi się w głowie.

– Przed śniadaniem nie powinno się myśleć o takich sprawach – westchnęłam.

– Biedactwo. – Wstała, obciągnęła spódnicę i usunęła z twarzy zmartwienie. Patrzyłam na nią z podziwem. Niezłe. Też bym chciała to umieć.

Cały ranek czułam się jak ogłuszona. Rozmyślałam nad słowami Kate i jej obawą o mnie. Czy Ernesta należało się strzec? Wydawał się taki szczery i otwarty. Do licha, przyznał się w końcu do tego, że pisze poezje, a te jego opowieści o byciu rannym – i jedwabnikach! Czy to też należało do jakiegoś przemyślnego planu zmierzającego do wykorzystania mnie? Jeśli tak, to Kate miała rację, uwierzyłam mu jak prosta, wiejska dziewczyna. Pewnie jedna z wielu. Ta myśl była nieznośna.

– Może powinniśmy stąd prysnąć, zanim reszta się pobudzi? – powiedziała Kate, kiedy skończyłyśmy kawę. – Dziś nie muszę iść do pracy. Możemy robić, co tylko chcesz. Co proponujesz?

– Ty zdecyduj. Mnie jest wszystko jedno. – Nie była to prawda.

Kto inny pewnie podejrzewałby Kate o zazdrość, ale w tamtych czasach byłam prostoduszna i ufna. Gorzej – niedoświadczona. W wieku

dwudziestu ośmiu lat miałam kilku wielbicieli, ale zakochałam się tylko raz. Było to doświadczenie na tyle straszne, że na długo straciłam wiarę w mężczyzn i w siebie.

Nazywał się Harrison Williams i był moim nauczycielem muzyki. Miałam dwadzieścia lat i świeżo wróciłam do domu po roku studiów w college'u w Bryn Mawr. Choć tylko kilka miesięcy starszy, sprawiał wrażenie dużo bardziej dojrzałego i obytego. Podobało mi się to, że studiował za granicą, u sławnych kompozytorów, i wiedział mnóstwo o europejskiej sztuce i kulturze. Mogłam go słuchać godzinami i taki był chyba początek – podziw i zazdrość. Potem zaczęłam zwracać uwagę na jego ręce, oczy i usta. Nie był Casanovą, ale na swój sposób był przystojny, szczupły i wysoki, z ciemnymi, rzadziejącymi włosami. Największe wrażenie robiło na mnie to, że traktował mnie, jakbym była wyjątkowa. Twierdził, że mogłabym zostać pianistką koncertową, i ja też tak myślałam, przynajmniej tak długo, jak długo siedziałam na stołku przy fortepianie i grałam skomplikowane technicznie etiudy.

Starannie czesałam się i ubierałam przed popołudniową wizytą u niego. Kiedy chodził po pokoju, korygując mnie i czasami chwając, wszystkimi siłami próbowałam go rozszyfrować. Czy pukanie się w skroń oznacza, że zauważył moje nowe pończochy, czy nie?

– Pięknie siedzisz przy instrumencie – powiedział któregoś razu i to wystarczyło, żebym zaczęła sobie wyobrażać siebie w białych koronkach, a jego w surducie i wspaniałych białych rękawiczkach. Okropnie grałam tego dnia, tak mnie zdekoncentrował ten obraz.

Kochałam się w nim przez cały rok i nagle, jednego wieczoru, wszystkie marzenia się rozpadły. Byliśmy oboje na przyjęciu u sąsiada. Wmusiłam w siebie dwa kieliszki potwornie słodkiego wina, żeby pokonać nieśmiałość, która mnie ogarniała w jego towarzystwie. Poprzedniego dnia poszliśmy razem na spacer do lasu tuż za miastem. Była jesień, pogoda rześka i bezwietrzna, z chmurami jak doskonałe papierowe wycinanki. Zapalał dla mnie papierosa, a ja czubkiem sznurowanego trzewika rozgarniałam złote liście, kiedy nagle, przerywając miłą ciszę, powiedział:

– Słodka z ciebie osobka Hadley. Jedna z najmilszych, jakie znam. No cóż, trudno to uważać za deklarację miłosną, ale wmówiłam

sobie, że zależy mu na mnie, i wierzyłam w to – w każdym razie przynajmniej na tyle długo, by wypić to wino. Poczekalam, aż pokój przestanie się kiwać, i ostrożnie stawiając kroki, podeszłam do Harrisona. Miałam na sobie czarną koronkową sukienkę. To była moja ulubiona kiecka, ponieważ czułam się w niej trochę jak Carmen. Może to sukienka plus wino sprawiły, że ośmieliłam się położyć rękę na jego ramieniu. Nigdy wcześniej go nie dotykałam, więc pewnie zatrzymał się z samego zaskoczenia. Staliśmy obok siebie jak posągi w ogrodzie – i przez kilkanaście uderzeń serca byłam jego żoną. Zdążyłam urodzić mu dzieci i zapewnić sobie jego lojalność. Mogłam to mieć. To było już moje.

– Hadley – powiedział półgłosem.

Podniosłam wzrok. Jego oczy, jasnobłękitne jak utopione gwiazdy, mówiły „nie”. Po prostu – „nie”.

Co ja na to? Pewnie nic. Nie pamiętam. Melodia się urwała, światło przygasło, moja dłoń opadła. Chwilę wcześniej była to suknia cygańska, teraz stała się żałobną.

– Strasznie boli mnie głowa – powiedziałam mamie, wyjaśniając, dlaczego muszę natychmiast wracać do domu.

– Oczywiście – zgodziła się i ciepło uśmiechnęła. – Musimy zapakować naszą dziewczynkę do łóżka.

W domu pozwoliłam się zaprowadzić na górę i przebrać w muślinową koszulę nocną. Otuliła mnie kołdrą, położyła chłodną dłoń na czoło, przygładziła włosy.

– Teraz odpocznij.

– Dobrze – zgodziłam się, ponieważ nie potrafiłam wytłumaczyć, że odpoczywałam przez dwadzieścia jeden lat, a dziś po raz pierwszy spróbowałam zrobić coś innego.

Moje jedyne doświadczenie związane z miłością. Czy to była miłość? W każdym razie paskudne przeżycie. Przez dwa lata chodziłam nim przygnieciona, za dużo piłam, schudłam i od czasu do czasu nachodziły mnie myśli, by skoczyć z balkonu jak udęczona bohaterka rosyjskiej powieści. Po jakimś czasie, choć wolniej, niżbym pragnęła, zrozumiałam, że Harrison to nie był mój upadły książę, a ja nie byłam jego ofiarą. Wcale mnie nie uwodził, sama się uwiodłam. A jednak pięć

lat później sama myśl o miłości nadal przyprawiała mnie o mdłości. Ciągle byłam łatwowierna i potrzebowałam wsparcia osoby bardziej doświadczonej – na przykład Kate.

Tego dnia biegałyśmy po całym Chicago, szukając najpierw najlepszej na świecie peklowanej wołowiny, a potem rękawiczek. Trajkotanie Kate pomogło mi oderwać się od myśli o Erneście; poczułam się nawet wdzięczna, że mnie przed nim ostrzegła. Mógł mieć jak najczystsze intencje, ale ja byłam jeszcze zbyt wrażliwa. Przyjechałam do Chicago, pragnąc uciec, ale ucieczka w marzenia była niebezpieczna. W domu nie czułam się szczęśliwa, lecz zatopienie się w marzeniach o Erneście Hemingwayu niczego nie rozwiązywało. Moje życie to moje życie; trzeba w końcu zmusić je do posłuszeństwa.

Spędziłam w Chicago pełny tydzień i każdy dzień przynosił nowe, podniecające doświadczenia. Poszliśmy na mecz futbolowy, na poranek z *Madama Butterfly*, dzień i noc błakaliśmy się po mieście. Ile razy spotykałam Ernesta – a zdarzało się to często – usiłowałam zachować rozsądek i cieszyć się jego obecnością bez wyobrażania sobie dramatycznych czy spektakularnych scen. Zachowywałam nieco większą powściągliwość niż poprzednio, ale nie skomentował tego i aż do ostatniego wieczoru nie dążył do bardziej intymnych kontaktów.

Było bardzo zimno – prawdę mówiąc, za zimno, by wychodzić z domu – ale wyszliśmy całą gromadą, wzięliśmy wełniane koce, napełniliśmy piersiówki rumem, wpakowaliśmy się do forda Kenleya i pojechaliśmy nad jezioro Michigan. W blasku księżyca wydmy były strome i blade. Wymyśliliśmy zabawę polegającą na wspinaniu się i staczaniu ze szczytu. Naturalnie wszyscy byliśmy pijani. Kate zaczęła, ponieważ zawsze lubiła wszystko robić pierwsza, po niej potoczył się Kenley, który całą drogę w dół śpiewał. Kiedy nadeszła moja kolej, z trudem wczołgałam się na górę, ponieważ piasek osypywał mi się spod stóp i dłoni. Kiedy stanęłam na szczycie i rozejrzałam się, świat był jak oszroniony.

– No chodź, tchórze – wydzierał się Ernest.

Zamknęłam oczy i padłam, leciałam w dół, kręcąc się jak beczka i podskakując na twardych wybojach. Za dużo wypiałam, by czuć cokolwiek poza emocjonującym wrażeniem wolności. Właściwie euforii.

Strach był jej zasadniczym elementem. Po raz pierwszy od dzieciństwa czułam podniecenie strachem i podobało mi się to. Ledwie się zatrzymałam, Ernest poderwał mnie i mocno pocałował. Przez moment czułam na wargach jego gorący język.

– Och – powiedziałam tylko. Nie wiedziałam, czy ktokolwiek nas widział. Jego twarz była tuż, rozemocjonowana, namiętna.

– Och – powtórzyłam i puścił mnie.

Następnego dnia, pakując się przed powrotem do St. Louis, czułam się nieco zagubiona. Przez dwa tygodnie wiedziałam, że żyję, i trudno mi było sobie wyobrazić powrót do domu. Nie chciałam wracać.

Tego dnia Kate pracowała, więc pożegnałyśmy się wcześniej. Kenley również musiał iść do pracy, ale uprzejmie zaproponował, że w czasie przerwy na lunch zawiezie mnie na dworzec, żebym nie musiała płacić za taksówkę. Kiedy wszystko już było spakowane, włożyłam płaszcz i kapelusz i postanowiłam poczekać na niego w salonie. Ale kiedy w holu pojawił się ktoś, by mnie zabrać na stację, okazało się, że jest to Ernest.

– Kenley nie mógł się wyrwać? – spytałam.

– Nie, ja chciałem cię odwieźć.

Skinęłam głową i schyliłam się po walizkę.

Do Union Station nie było daleko i niemal cała droga upłynęła nam w milczeniu. Ernest miał na sobie wełniane spodnie i szarą wełnianą marynarkę, a na głowie czapkę wciśniętą na oczy. Od chłodu zaróżowiła mu się twarz. Wyglądał przepięknie. „Piękny” to było słowo, które go dobrze opisywało. Nie był zniewieściały, ale doskonały, bez wad, jak grecki heros z poematu o miłości i wojnie.

– Tutaj możesz mnie wysadzić – powiedziałam, kiedy podjechaliśmy do stacji.

– Czy stanie ci się krzywda, jeśli dasz mi szansę? – spytał, szukając miejsca do zaparkowania.

– Nie, chyba nie.

Kilka minut później staliśmy razem na peronie. Ścisnęłam w rękę bilet i torebkę. Ernest przekładał walizkę z ręki do ręki. Ale kiedy tylko pojawił się pociąg, ciągnąc za sobą chmurę dymu i sadzy, postawił ją na ziemi i złapał mnie w ramiona.

Moje serce waliło jak oszalałe. Zastanawiałam się, czy on to czuje.
– Chyba nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ty – powiedziałam w końcu.

Nic nie odpowiedział, tylko mnie pocałował i w tym pocałunku czułam promieniujące ciepło i życie. Było mnóstwo rzeczy, których o nim nie wiedziałam, i jeszcze więcej takich, o które nie ośmieliłabym się zapytać czy ich sobie wyobrazić, a teraz z każdą sekundą się poddawałam. Otaczali nas ludzie, ale byliśmy zupełnie sami. I kiedy po kilku minutach wsiadłam do pociągu, trzęsły się pode mną nogi.

Znalazłam swoje miejsce i wyjrzałam przez okno, wypatrując Ernesta w morzu ciemnych garniturów i płaszczy. I nagle go zobaczyłam. Stał tuż przy pociągu, uśmiechając się do mnie jak szaleniec i machając ręką. Pomachałam mu, a on podniósł dłonie, układając je tak, jakby jedna była kartką papieru, a druga ołówkiem.

Napiszę – odczytałam z jego ust.

Zamknęłam oczy, próbując powstrzymać gorące łzy, i oparłam się o poduszki siedzenia, a pociąg unosił mnie w kierunku domu.

W roku 1904, kiedy skończyłam trzynaście lat, w St. Louis odbywała się Wystawa Światowa. Tereny wystawowe, położone w okolicy parku Leśnego i Uniwersytetu Waszyngtońskiego, rozciągały się na 1200 akrach. Same ścieżki i drogi między pawilonami, szopami i teatrami liczyły 75 mil. Wiele z tych konstrukcji miało drewniany szkielet pokryty płytami gipsowymi. Ich żywot był obliczony na kilka miesięcy, ale wyglądały jak bogate neoklasyczne pałace. Nasz klejnot, Pałac Sztuk Pięknych, mógł się poszczycić ogrodem rzeźb wzorowanym na rzymskich termach Karakalli. Były jeziora, po których można było wiosłować, potężne sztuczne kaskady, zagłębione ogrody, menażerie z egzotycznymi zwierzętami i takie, w których pokazywano ludzi: Pigmejów, przedstawicieli plemion pierwotnych, kobiety z brodami i głupków. A w dzielnicy Pike ciągnęły się stoiska z jedzeniem, grami i innymi rozrywkami. Tam pierwszy raz skosztowałam lodów w wafelku. Bardzo dziwiłam się, jak to możliwe, że wafel nie jest zimny. Lody truskawkowe również miały inny smak. Lepszy. Chyba nic smaczniejszego nie zdarzyło mi się wcześniej jeść.

Byłam wówczas razem z Fannie, ale ona nie chciała lodów. Nie chciała również waty cukrowej ani dmuchanej pszenicy, ani mrożonej herbaty, ani żadnej innej nowości. Jedyne, czego pragnęła, to wracać do domu, gdzie matka przygotowywała cotygodniowe spotkanie sufrażystek.

Nigdy nie rozumiałam, co pociągało Fannie w sufrażystkach. Mnie zawsze wydawały się takie nieszczęśliwe. Kiedy się ich słuchało, można było myśleć, że najgorsze, co może spotkać kobietę, to małżeństwo. Matka była zawsze najbardziej aktywna i wymowna z całej grupy. Energicznie kiwała głową, kiedy Fannie starała się przysłużyć, podając ciasteczka do herbaty i kanapki z rzeżuchą.

– Jeszcze pół godziny – błagałam Fannie. – Nie chcesz zobaczyć Pałacu Elektryczności?

– Zostań, jeśli chcesz. Dziwię się, że cię to bawi – powiedziała i odeszła, zostawiając mnie samą.

Naprawdę mnie to bawiło, przynajmniej dopóki nie

przypomniałam sobie, że powinnam się smucić. Chęć, by zostać, wdychać słony zapach popcornu, słuchać ryków dobiegających z szop była bardzo egoistyczna. Ale był kwiecień i wokół jezior kwitły wiśnie. Kiedy zamknęłam oczy, słyszałam dźwięk wody szmerzącej w fontannie. Kiedy je otworzyłam, mogłam sobie wyobrazić, że jestem w Rzymie albo Wersalu. Fannie oddalała się, ciemna spódnica coraz rzadziej wyłaniała się z morza kolorów. Miałam ochotę pozwolić jej odejść i nie dbać, co sobie o mnie pomyśli i co powie mamie, ale nie potrafiłam tego zrobić. Przygnębiona, ostatni raz spojrzałam na lody, wrzuciłam je do śmieci i pobiegłam za siostrą do domu, w którym zaciągnięte zasłony i przytłumione światło oznajmiały żałobę. Przed dwoma miesiącami umarł mój ojciec.

Byliśmy tak zwaną dobrą rodziną, przodkowie z obu stron wywodzili się z Ojców Pielgrzymów, a wiktoriańskie tradycje i maniere stanowiły gwarancję bezpieczeństwa i solidności. Mój ojciec ufundował bibliotekę publiczną w St. Louis i założył Kompanię Farmaceutyczną Richardsona, która stała się największą tego typu firmą na zachód od Missisipi. Ojciec mojej matki był nauczycielem. To on dał początek Akademii Hillsboro w Illinois, a później prywatnej uczelni w St. Louis zwanej Uniwersytetem Miejskim. Fannie i ja chodziłyśmy do najlepszych szkół i z dumą nosiłyśmy granatowe spódnice plisowane w ostre jak brzytwa fałdy. Do prywatnych lekcji fortepianu zasiadałyśmy przy jednym z dwóch domowych steinwayów, a lato spędzałyśmy w naszym domu na plaży w Ipswich w stanie Massachusetts. Wszystko szło dobrze, dopóki nie okazało się, że wcale nie jest dobrze.

Ojciec, James Richardson, był członkiem zarządu rodzinnej firmy. Rano wychodził do pracy w meloniku i wąskim krawacie, pachnący mydłem do golenia i kawą, spod której dawało się wyczuć leciutką woń whisky. W kieszeni szlafroka trzymał piersiówkę. Wszyscy wiedzieliśmy, że druga butelka leży w szufladzie biurka, którą zamykał na mały srebrny kluczyk. Jeszcze jedna stała schowana za słoikami z kompotem w spiżarni, a nasza kucharka, Martha, musiała udawać, że jej nie widzi. Starał się spędzać jak najwięcej czasu z dala od rodziny,

a w domu był cichy i jakby nieobecny. Był też pełen dobroci. Moja matka, Florence, stanowiła jego przeciwieństwo. Zawsze ubrana w suknie zaprasowane w ostre kanty, ze szpilkami we włosach, zawsze pierwsza do dawania rad i ferowania wyroków. Możliwe, że ojciec był zbyt uległy, wolał wycofać się do swojego gabinetu, aniżeli się jej przeciwstawić, ale trudno mi go za to winić.

Matka bardziej kochała dwadzieścia dwa miesiące starszą ode mnie Fannie. Miałyśmy jeszcze starszego brata, Jamiego, który pojechał na studia, zanim poszłam do przedszkola, i siostrę Dorotheę, starszą ode mnie o jedenaście lat, ale bardzo mi bliską; wcześniej wyszła za mąż i razem z mężem Dudleyem mieszkała w pobliżu. Z powodu zbliżonego wieku w dzieciństwie najwięcej czasu spędzałam z Fannie, ale bardzo się od siebie różniłyśmy. Ona była posłuszna, uległa i dobra w sposób, który matka łatwo rozumiała i chwaliła. Ja byłam impulsywna, gadatliwa i ciekawska – zanadto ciekawska według matki. Uwielbiałam siedzieć na końcu podjazdu, z łokciami opartymi na kolanach, i patrzeć na tramwaje jadące po bulwarze, przyglądać się zgromadzonym w środku mężczyznom i kobietom i zastanawiać, dokąd się udają. Matka wołała mnie do domu i kazała iść do pokoju dziecięcego, ale tam też siadałam w oknie, marząc i rozmyślając.

– Do czego ty się w ogóle nadajesz? – powtarzała nieraz. – Nie możesz żyć z głową w chmurach.

To było ważne pytanie, jak sędzę. Martwiła się o mnie, ponieważ w ogóle mnie nie rozumiała. A potem zdarzyło się coś okropnego. Kiedy miałam sześć lat, tak się rozmarzyłam, że wypadłam z okna.

Była wiosna, a ja z powodu choroby zostałam odesłana ze szkoły do domu. Kiedy znudziłam się samotną zabawą w pokoju, zaczęłam obserwować, jak Mike, taka złota rączka do wszystkiego, pcha taczkę po podwórzu. Uwielbiałam Mike'a i uważałam, że nikt z rodziny się do niego nie umywa. Miał kwadratowe, obgryzione paznokcie. Umiał gwizdać, a w kieszeni nosił jaskrawoniebieską chustkę.

– Co robisz, Mike? – krzyknęłam z okna, wychylając się jak najdalej, żeby go lepiej widzieć.

Podniósł wzrok, kiedy straciłam równowagę i upadłam na brukowaną ścieżkę.

Przez kilka miesięcy leżałam płasko na łóżku, a lekarze zastanawiali się, czy będę jeszcze kiedyś chodzić. Powoli wracałam do zdrowia. Mama kazała przerobić dla mnie dziecięcy wózek i woziła mnie w nim po okolicy, zatrzymując się co chwila, żeby każdemu sąsiadowi opowiedzieć o tym, że cudem przeżyłam.

– Biedna Hadley – mówiła. – Biedne kurczątko.

Powtarzała to tak często, że jej słowa zostały wyryte w moim mózgu, usuwając każdy inny opis.

Nieważne, że wyzdrowiałam całkowicie, że nauczyłam się chodzić bez utykania. W domu nieustannie martwiono się o moje zdrowie. Uważano, że nawet najłżejszy katar może mi zaszkodzić. Nie nauczyłam się pływać i nie wolno mi było biegać ani bawić się w parku z rówieśnikami. Rekompensowałam to sobie czytaniem książek – schowana na siedzisku pod oknem, skąpana w kolorowym świetle witraży i osłonięta czerwonymi zasłonami. Po jakimś czasie pogodziłam się z narzuconym mi bezruchem. Książki mogą być niewiarygodną przygodą. Siedziałam spokojnie pod kocem i nikt nie miał pojęcia, jak galopuje moja wyobraźnia i ile radości sprawiają mi czytane historie. Potrafiłam w jednej chwili oderwać się od rzeczywistości i zgubić w fikcyjnym świecie, gdy tymczasem mama obsztorcowywała służbę albo przyjmowała w salonie swoje niesympatyczne przyjaciółki.

Kiedy żył ojciec, często obserwowałam, jak wygląda jego powrót do domu wówczas, gdy znajome matki nie zdążyły jeszcze zakończyć wizyty. Słyszac glosy, zastygat, a potem ostroznie wymykat sie z powrotem. Ile musiat sie nachodzić i ile whisky wypić, zeby zagluszyć głos matki w głowie? Czy jeszcze pamiętał, jak kochał swój rower? Ja pamiętałam. Był taki czas, że po St. Louis jeździł tylko rowerem, przedkładając go nad każdy inny środek lokomocji. Może z powodu wolności, jaką dawał? Kiedyś przymocował z tyłu wózek, do którego wsadził Fannie i mnie, i jeździł z nami ścieżkami parku Leśnego, wyśpiewując *Walca z Matyldą*. Miał piękny baryton. Kiedy słyszałam dobiegające nas strzępki melodii, szczęście ojca wydawało mi się tak dziwne i tak prawdziwe, że bałam się poruszyć, żeby go nie spłoszyć.

Był zimny lutowy dzień, kiedy w domu rozległ się pojedynczy strzał. Matka usłyszała go pierwsza i od razu zgadła, co się stało. Nie

dopuszczała do umysłu słowa „samobójstwo”, to byłoby zbyt straszne i zbyt pospolite, ale mimo wszystko tego właśnie podświadomie się spodziewała. Znalazła ojca za zamkniętymi drzwiami gabinetu, leżącego na dywanie w kałuży krwi, z przestreloną głową.

Przez całe tygodnie dom rozbrzmiewał echem po śmierci ojca. Dowiedzieliśmy się, że stracił dziesiątki tysięcy dolarów na giełdzie, zaciągnął pożyczkę i te pieniądze też stracił. Wiedzieliśmy o tym, że pije, ale nie o tym, że przez ostatnie tygodnie nie robił właściwie nic innego, dręczony pulsującymi bólami głowy, które nie pozwalały mu spać.

Po jego śmierci matka zamknęła się w pokoju, płacząc i wpatrując się w zaciągnięte zasłony, a rządy w domu przejęła służba. W życiu nie widziałam takiego chaosu. Nie wiedziałam, co na to poradzić. Grałam nokturny Chopina i oplakiwałam ojca, żałując, że tak mało go znałam.

Przez jakiś czas drzwi do gabinetu taty były zamknięte, ale nie na klucz. Dywany nie zostały wyrzucone, tylko wyprane, rewolwer opróżniony, wyczyszczony i odłożony z powrotem do szuflady w biurku – te szczegóły były tak straszne, że nie mogłam przestać o nich myśleć. Nieustannie wyobrażałam sobie ostatnie chwile jego życia. Jaki musiał być samotny. Jaki otępiały i pełen beznadziei – inaczej nie nacisnęłyby spustu.

Moje przygnębienie zaczęło martwić rodzinę – bali się, że coś sobie zrobię. Wszyscy wiedzieli, że dzieci samobójców często wybierają tę samą drogę. Czy byłam taka, jak ojciec? Nie wiem, ale na pewno odziedziczyłam po nim migrenowe bóle głowy. Każda migrena to był dopust boży; leżałam bez ruchu w dusznej sypialni, męczona tępych, ale nieustającym dudnieniem u nasady czaszki. Jeśli trwało to długo, po jakimś czasie przychodziła matka, klepała mnie po ręce, opatulala moje nogi kocem i mówiła:

– Dobrze z ciebie dziecko, Hadley.

Szybko zorientowałam się, że kiedy byłam chora, odnosiła się do mnie serdeczniej, nic więc dziwnego, że często byłam chora lub przynajmniej tak twierdziłam. W młodszych klasach miałam dużo nieobecności, a ostatnią klasę musiałam z tego powodu powtarzać, tak że moje koleżanki poszły na studia wcześniej. Czułam się, jakbym została

na stacji i patrzyła, jak odjeżdża pociąg w jakieś egzotyczne miejsce, a ja nie mam ani biletu, ani pieniędzy. Kiedy zaczęły przychodzić listy z Barnard i Smith, i Mount Holyoke, zaczęłam im ogromnie zazdrościć podniecających doświadczeń i nadziei.

– Chcę złożyć papiery do Bryn Mawr – oznajmiłam matce. Jej siostra Mary mieszkała w Filadelfii i wydawało mi się, że bliska obecność krewnej pozwoli jej spokojnie to przyjąć.

– Och, Hadley. Dlaczego nie liczysz się z własnymi siłami? Bądź realistką.

Do pokoju weszła Fannie i usiadła koło matki.

– A twoje migreny?

– Nic mi nie będzie.

Fannie ze sceptycyzmem zmarszczyła brwi.

– Jeśli coś mi będzie dolegać, zajmie się mną ciotka Mary. Wiesz, jaka ona jest zaradna. – Specjalnie podkreśliłam słowo „zaradna”, ponieważ mama bardzo je lubiła i często było rozstrzygającym argumentem. Teraz jednak tylko westchnęła i przyrzekła, że pomyśli o tym, co znaczyło, że przedyskutuje tę sprawę z sąsiadką, panią Curran, na seansie spirytystycznym.

Mama od dawna interesowała się okultyzmem. W naszym domu czasami odbywały się seanse, ale częściej organizowano je u pani Curran. Według mamy była ekspertem od spraw nadprzyrodzonych i sprawnie posługiwała się tabliczką ouija. Nie zaprosiły mnie na spotkanie, ale kiedy mama wróciła do domu, oświadczyła, że mogę jechać do Bryn Mawr i że wszystko dobrze się potoczy.

Później rozmyślałam nad przepowiednią pani Curran, ponieważ wydawała mi się rażąco fałszywa. W 1911 roku rozpoczęłam studia, od początku skazane na niepowodzenie. W lecie, zanim wyjechałam do college’u, moja najstarsza siostra Dorothea mocno poparzyła się w czasie pożaru. Kiedy dorastałam, miała już wprawdzie własny dom, ale i tak pozostała najbardziej mi życzliwą i pomocną osobą z rodziny. Rozumiała mnie tak, jak nikt inny nie rozumiał ani nawet nie chciał rozumieć. Kiedy w domu atmosfera robiła się napięta, szłam do niej, patrzyłam na jej synów tłukących się ze sobą i czułam, że wraca mi spokój.

Tego lata Dorothea była w zaawansowanej ciąży. Dużo czasu spędzała z dziećmi w domu i pewnego dnia po południu zauważyła, że na pustej działce obok palą się gumowe opony. Chłopców bardzo to interesowało, ale Dorothea bała się, że pożar rozprzestrzeni się na jej podwórko, więc podbiegła i próbowała butami zdusić płomienie. Niestety, zapaliło się jej długie letnie kimono, a potem pończochy i płomienie sięgały pasa, zanim upadła na ziemię, żeby stłumić ogień.

Kiedy Dudley, jej mąż, zadzwonił, żeby przekazać, co się stało, byliśmy w domu letnim koło zatoki Ipswich. Martwiliśmy się ogromnie o Dorotheę, ale Dudley pocieszał nas, że w szpitalu otoczona jest doskonałą opieką. Nie ma gorączki i lekarze wierzą, że wyjdzie z tego bez szwanku. Następnego dnia poroniła – była to dziewczynka. Dorothea i Dudley rozpaczali, ale doktorzy zapewniali, że matka przeżyje. Mówili tak cały czas, póki nie zmarła, osiem dni po pożarze. Mama pojechała pociągiem na pogrzeb, my pozostaliśmy w Ipswich, z raną w sercu i otepiali z bólu.

Wydawało mi się, że nie przeżyję straty Dorothei. Matka wróciła z St. Louis, przywożąc Dudleya z chłopcami. Gdy wysiedli z pociągu, wyglądali żałośnie. Jak mogłam ich pocieszyć? W końcu stracili matkę, powtarzałam sobie w myślach.

Pewnego dnia krótko po pogrzebie w zatoce Ipswich rozszalał się sztorm. Namówiłam jednego z chłopaków z sąsiedztwa, żebyśmy wypłynęli w łódce na morze. Fale biły o dziób i woda pryskała nam w oczy. Nie umiałam pływać, ale chłopak nie zawrócił, mimo że kapitan z latarni morskiej posyłał nam sygnały wzywające do powrotu. Groźne, ciemne chmury płynęły nisko nad morzem, powietrze było nasycone wodą i słońce. Cały czas czułam się, jakbym się topiła. Po przybiciu do brzegu nadal miałam wrażenie, że jestem na morzu i tonę, zapadam się coraz głębiej. Uczucie to utrzymywało się przez całe lato, a nawet dłużej.

We wrześniu wsiadłam do pociągu i zgodnie z planami pojechałam do Bryn Mawr, ale tam okazało się, że koleżanki odbierają na innych falach. Dziewczyny z mojego akademika cały czas przesiadywały w salonie, pijąc herbatę albo czekoladę i rozmawiając o tańcach i możliwych konkietach. Czułam się obco. Wiedziałam, że jestem atrakcyjna: rude włosy, ładne oczy, jasna cera – ale kompletnie nie

zależało mi na tym, czy podobam się chłopcom. Nie interesowałam się ani strojami, ani nauką. Zaczęłam oblewać egzaminy, co mnie nieco dziwiło i martwiło, ponieważ pomimo licznych nieobecności w szkole zawsze byłam dobrą uczennicą. Teraz okazało się, że nie potrafię nawet udawać zainteresowania przedmiotami studiów.

Zanim zaczęłam następny rok, dałam się przekonać mamie i Fannie, żeby zostać w domu. Nie mogę powiedzieć, że było lepiej niż na studiach. W domu nie miałam dokąd uciec przed czarnymi myślami. Nieustannie powracały straszne sny o Dorothei i ojcu ukazujące ostatnie, tragiczne chwile ich życia. Budziłam się przerażona i pewna, że przede mną następane ponure dni i noce. A jeśli powiem, że żyłam w tym stanie przez następne osiem lat, zrozumiecie, dlaczego poczułam, że pragnę wrócić do życia akurat wtedy, kiedy matka zaczęła umierać.

Mama od lat cierpiała na chorobę Brighta, ale w lecie roku 1920 nastąpiło szybkie pogorszenie. Przez najgorętsze tygodnie lipca i sierpnia niemal nie opuszczałam mieszkania, a kiedy wychodziłam, ona strasznie się zamartwiała.

– Elizabeth, to ty? – wołała słabym głosem, słysząc moje kroki na schodach. Nie wiem, czemu nagle po tylu latach zaczęła używać mojego oficjalnego imienia, ale wówczas zaskakiwała mnie wieloma rzeczami. Nie przypominała ciężkiej we współżyciu kobiety ze stalową wolą, która zawsze potrafiła mnie unicestwić jednym słowem. Teraz, krucha i niespokojna, słysząc, że wbiegam po schodach, wołała:

– Elizabeth?

– Jestem, mamó. – Weszłam do salonu, w którym leżała na różowej aksamitnej kanapie. Odstawiłam zakupy i wyjęłam szpilki z kapelusza. – Nie jest ci za gorąco? Mogę otworzyć okno?

– Jest ciepło? – Jej dłonie miętoszyły wełniany koc, którym była przykryta. – Jestem przemarznięta do szpiku kości.

Przystawiłam sobie krzesło i masowałam jej dłonie, żeby pobudzić krążenie, ale każde moje dotknięcie zostawiało ślady, jakby jej skóra była ciastem na makaron. Ledwie puściłam jej ręce, zaczęła narzekać.

– Co chcesz, żebym zrobiła?

– Przeprowadź siostrę. Teraz chcę być z Fannie.

Kiwnęłam głową i wstałam, a wtedy ona spojrzała na mnie

przerażona i poprosiła:

– Nigdzie nie idź, nie zostawiaj mnie.

Usiadłam więc i wszystko zaczęło się od nowa, i tak przez całą noc. Wypiła trochę bulionu i przez kilka godzin spała. Blisko północy przebudziła się, nagle spokojna.

– Bardzo się o ciebie martwię, Elizabeth – powiedziała. – Co z tobą będzie, kiedy odejdę?

– Jestem już dorosłą kobietą, mam. Nic mi nie będzie, naprawdę.

– Nie – pokręciła głową. – Kilka lat temu pani Curran i ja pytałyśmy o ciebie Dorotheę. – Miała ciężki oddech, nie chciałam, żeby się męczyła.

– Ciii... To już nieważne.

– Ważne. Pytałyśmy ją wiele razy, ale ona nie chciała rozmawiać. Nie miała nic do powiedzenia.

Jestem sceptyczką, jeśli chodzi o okultyzm – tabliczka ouija, przytłumione głosy, seanse przy świecach, automatyczne pisanie, lampy przykryte czerwonymi chustami – ale teraz poczułam na plecach zimny dreszcz. Czy to możliwe, żeby mama kontaktowała się z Dorotheą? A jeśli tak, to dlaczego siostra, nieżyjąca już od dziewięciu lat, odwróciła się ode mnie? Czy wiedziała, że czeka mnie trudny los? Przeraziło mnie to, ale nie było sposobu, żeby się co do tego upewnić. Nie mogłam prosić mamy, żeby szczegółowo opowiedziała o seansie. Była wyczerpana i wydawała się bardziej zmartwiona niż poprzednio. Zresztą wcale nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć. A jeśli przyszłość ma być jeszcze gorsza niż chwila obecna? A jeśli w ogóle ma jej nie być?

Całą tę noc przesiedziałam na krześle obok kanapy. Wycierałam twarz i szyję mamy mokrą szmatką i patrzyłam na ciepłą letnią noc za oknem, ciemne niebo i jeszcze ciemniejsze kontury drzew rysujące się na jego tle. Widok wydawał się odległy, jakbym oglądała obiekty w muzeum. Wiedziałam, że ja też mogę umrzeć w tym pokoju. Tak właśnie może skończyć się moje życie.

Po kilku godzinach, blisko świtu, mama zmarła, nie wydawszy najmniejszego westchnienia. Jaka to inna śmierć od śmierci ojca – kiedy po wystrzale z rewolweru drzwi i okna zatrzęsły się na zawiasach – ale wcale nie mniej definitywna. W mieszkaniu na dole wszyscy spali.

Spoglądałam na twarz osoby, której czasami nienawidziłam, a czasami żałowałam. Przeciągnęłam palcem po rękę mamy, przepełniona wielką i niezwykle skomplikowaną miłością. Potem zeszłam na dół zawołać Fannie i Rolanda i zadzwonić po lekarza. Zrobiłam śniadanie, wykąpałam się i zasiadłam z Fannie w jej salonie, żeby porozmawiać o pogrzebie. Zwłoki mamy spoczywały w mieszkaniu na górze, czekając na przybycie koronera. Cały czas czułam jej przygniatającą obecność. Cieszyło ją, że w moim życiu nic się nie dzieje, jakby potwierdzało to jej opinię o mnie – kiepską, zresztą. Wrażenie było silne i doskonale mi znane, wiedziałam, że z przyzwyczajenia mogę się poddać, wybrać dotychczasową pustkę. Albo mogę wszystkie swoje siły skierować w drugą stronę.

Wszystko w porządku, panienko? – spytał taksówkarz.

– Musi być – odparłam, otwierając drzwi.

Wróciłam do St. Louis po całym długim dniu podróży pociągiem, który wydawał się jeszcze dłuższy, ponieważ czułam, że zaniedbałam coś w Chicago. Teraz byłam z powrotem w domu Fannie i Rolanda na Cates Avenue. Jedyne, co mi pozostało, to zapłacić za kurs i wysiąść.

Powietrze było chłodne i rześkie. Taksówkarz wysiadł również i wniósł moje walizki na ganek. Nasze kroki głucho dudniły na bruku. Zostawiłam bagaż przy schodach w holu i weszłam na górę. Mieszkanie wydawało się zimne i puste, jakby nikt w nim nie mieszkał. Mimo że było późno i czułam się wyczerpana, zapaliłam ogień w kominku, żeby się zagrzać. Usiadłam na różowej kanapie, objęłam się ramionami i pomyślałam: czy w pokoju jest jeszcze coś z mojej matki? Owiniętej wełnianym kocem, patrzącej na mnie żałośnie: Biedna Hadley. Biedne kurczątko.

Następnego dnia spałam dłużej niż zazwyczaj, a kiedy zesłam na dół, Fannie czekała na mnie w jadalni.

– No i co? Chcę, żebyś mi o wszystkim opowiedziała. Co robiłaś? Kogo spotkałaś?

Mówiłam o imprezach, zabawach i interesujących postaciach przewijających się przez mieszkanie Kenleya – ale nie wspomniałam o Erneście. Co właściwie miałabym powiedzieć? Nie wiedziałam, na czym stoimy, czy jesteśmy choćby przyjaciółmi.

Rozmawiałyśmy z Fannie, kiedy Roland – pachnący mydłem i tonikiem do włosów – wszedł do pokoju, zapinając spinki do mankietów. Usiadł przy stole, a Fannie odsunęła delikatnie swoje krzesło, żeby nie widzieć, jak je. Czyli tak sprawy się mają na dziś. Ich małżeństwo szybko okazało się klęską. Współczułam obojgu.

– Jak tam? – spytał Ronnie. – Czy Chicago spełniło nadzieje?

Pokiwałam głową, smarując chleb dżemem.

– I podbiłaś serca tuzina mężczyzn?

Fannie prychnęła pod nosem, ale nic nie powiedziała.

– Nie powiedziałabym, że aż tuzina.

– To znaczy, że co najmniej jednego. Akurat przyszedł list do ciebie. – Wyjął z kieszeni wymiętą kopertę. – Ekspres. Poważna sprawa. – Uśmiechnął się i wręczył mi ją.

– Co to? – zainteresowała się Fannie.

– Ekspres – powtórzyłam jak w transie. Na kopercie widniało nazwisko Ernesta, naskrobane pospiesznie, ale czytelnie. Musiał go wysłać od razu po odwiezieniu mnie na pociąg, dopłacił dziesięć centów, żeby list dostarczono z samego rana. Napiszę do ciebie. Obracałam kopertę w palcach, trochę bojąc się ją otworzyć.

– Jak ma na imię ten twój młodzieniec?

– Nie nazwałabym go moim młodzieńcem, ale to Ernest Hemingway.

– Hemingway? – zdziwiła się Fannie. – Cóż to za nazwisko?

– Pojęcia nie mam – odparłam, zabierając list, żeby otworzyć go w spokoju. Był pognieciony i wymiętoszony, jakby długo noszono go w kieszeni. Już to mi się spodobało, niezależnie od możliwej treści. Usiadłam w cichym kącie w salonie, koło mojego fortepianu, i rozerwałam kopertę. Sam list też był pomięty.

Droga Hasovitch – zaczynał się. – Ty w pociągu, a ja tutaj – i po Twoim wyjeździe zapanowała pustka. Powiedz mi, jesteś prawdziwa?

Odłożyłam list, ponieważ nie mogłam znieść myśli, że Ernest siedzi w mojej głowie. *Jesteś prawdziwa?* Zadawałam sobie to samo pytanie w odniesieniu do niego – tyle że miałam większe prawo, szczególnie po ostrzeżeniu Kate. Byłam tak solidna, jak ziemia, po której chodził, pewnie zbyt prawdziwa. A on? Wykazywał zainteresowanie mną przez cały czas mojej wizyty, ale to nie znaczyło, że jest odpowiedzialny, tylko że chwilowo uważa mnie za godną uwagi. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co o nim myśleć, więc gorączkowo czytałam wszystko, co ma do powiedzenia na temat tego, co robił, co chciał zrobić, co myślał. Pisał, że być może znajdzie się dla niego praca w miesięczniku zatytułowanym „Co-Operative Commonwealth”, jeśli zgodziłby się robić wszystko sam: jako reporter, dziennikarz, redaktor naczelny itd. *Warunki nieszczególne, ale chyba to wezmę.* Choć nie wiedziałam, co o nim myśleć, podobał mi się jego żywy styl i to, że słowa na papierze brzmiały tak samo, jak słowa żywego Ernesta, który

zawsze potrafił wymyślić jakiś powód, żeby zajrzeć do mojego pokoju w Chicago. Teraz to samo robił listem – wchodził do salonu, który chwilę wcześniej był ciemny i duszny.

– I co? – spytała Fannie, wkraczając do pokoju. – Co ma do powiedzenia?

– Nic niezwykłego – odparłam, ale oczywiście to nie była prawda. Wszystko, co dotyczyło Ernesta, było niezwykłe.

– Miło jest poznać nowych przyjaciół – powiedziała. – Cieszę się, że się rozerwałaś. – Usiadła i wzięła robótkę.

– Naprawdę?

– Naturalnie. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

To pewnie było prawdą, ale tylko jeśli przez „szczęśliwa” rozumieć zamknięta przez resztę życia w mieszkaniu na górze, jak niezamężna ciotka.

– Dziękuję, Fannie – powiedziałam i wymknęłam się do swojego pokoju.

Od razu zabrałam się do pisania odpowiedzi. Nie chciałam, aby wypadła zbyt entuzjastycznie. Ani żeby za dużo z niej wyczytał – ale okazało się, że piszę do niego z przyjemnością. Odpisywanie przeciągnęłam na cały dzień. Opowiadałam mu wszystko, co się działo, żeby mógł sobie wyobrazić, jak chodzę z pokoju do pokoju, gram na fortepianie, zasiadam z przyjaciółką Elszą Blackman do herbaty z imbirem, patrzę, jak ogrodnik przycina róże i owija je na zimę w grube płótno. *Brakuje mi jeziora* – napisałam. – *I wielu innych rzeczy. Spotkamy się w kuchni na papierosie?*

Mama miała moje zdjęcie w kostiumie kąpielowym. Szczęśliwe, taplamy się razem z Elszą w sięgającej kolan wodzie rzeki Meramec. To prawda, że obecnie Hadley rzadko taka bywała, ale pomyślałam, że Ernestowi spodoba się jej szczerą twarz i uśmiech, który mówił: wszystko jest możliwe. Włożyłam fotografię do koperty razem z listem i szybko, żeby się nie rozmyślić, zakleiłam go i poszłam do skrzynki na rogu. Było już ciemno. Idąc ulicą, zaglądałam w oświetlone okna domów. Wszystko delikatnie się jarzyło – wyobraziłam sobie światło płynące przez zaorane pola i senne stodoły z St. Louis do Chicago. Kiedy stanęłam przed skrzynką, pocałowałam list i wsunęłam go

w szczelinę.

Mam tyle planów pisarskich – tyle chcę zobaczyć, poczuć, zrobić. Pamiętasz, jak grałaś na fortepianie, włosy lśniły, a Ty wstałaś od instrumentu, usiadłaś obok mnie na kanapie i spytałaś: „Przygarniesz mnie, Begonio?”.

Przygarniesz mnie, Hash?

Przyjedziesz i podzielisz się ze mną swoją solidnością?

Listy od niego przychodziły strasznie pomięte, pełne słodyczy, czasami dwa–trzy dziennie. Na początku próbowałam zachować dystans, przyrzekałam sobie pisać tylko raz w tygodniu, ale natychmiast złamałam postanowienie. Nie minęło dużo czasu, a zaczęłam mieć zgryz. Listy fruwały tam i z powrotem, ale co to właściwie znaczyło? Cały czas słyszałam głos Kate: „Lubi kobiety – wszystkie”, i zastanawiałam się, czy powinnam się jej zwierzyć z tego, jak rozwija się nasza znajomość. Na pewno jej się to nie spodoba; rażąco lekceważyłam jej przestrozę. Ale gdybym o wszystkim jej powiedziała, mogłaby służyć mi jakąś inną radą, według której bym może postąpiła.

Czułam się rozdarta, z jednej strony pragnęłam się dowiedzieć, czy mogę ufać Ernestowi, z drugiej – wolałam zamknąć oczy i cieszyć się tym, co jest. Jego słowa znaczyły tak wiele – zbyt wiele. Każdy list był jak balsam, a odpisywanie mu też było balsamem. Wkrótce okazało się, że słyszę zbliżającego się listonosza na rowerze, kiedy jest oddalony o kilka ulic, nawet jeśli nie dzwoni dzwonkiem. Powiedziałam sobie, że Kate też nie wie wszystkiego o Ernestcie. Kto zresztą wie wszystko o drugim człowieku? W jego listach była na przykład delikatność, która mogła nie rzucić się jej w oczy w czasie wakacji w Michigan. Całkiem możliwe, że tak było. Tak musiało być, ponieważ poczucie szczęścia wypływające z faktu, że Ernest się mną interesował, zabarwiało całą moją egzystencję. Nagle okazało się, że jestem bardziej zajęta i zadowolona z życia niż poprzednio. Dwie moje przyjaciółki, Bertha Doan i Ruth Bradfield, zamieszkały ze mną jako współlokatorki i po raz pierwszy od dziesięciu lat nie czułam się samotna we własnym domu.

Zainteresowało się mną również kilku mężczyzn, wprawdzie niespecjalnych, ale stanowiło to miłą odmianę. Pozwalałam się zapraszać na tańce i do teatru, a kilka razy pocałować na dobranoc. Żaden z nich nie miał wielkiej kwadratowej głowy Ernesta ani rąk jak łopaty i żadnego nie miałam ochoty zapytać: „Przygarniesz mnie, Begonio?”.

Przyjmowałam asystę każdego, kto o to poprosił, ponieważ Ernest, choć tak mi drogi, pozostawał w sferze teorii – cudownej hipotezy – i ponadto był oddalony o setki mil. W St. Louis, gdzie przebiegało moje prawdziwe życie, miałam Dicka Pierce’a, brata przyjaciółki. Lubiłam jego towarzystwo i wiedziałam, że wystarczy niewielka zachęta, żeby się we mnie zakochał, a może nawet poprosił mnie o rękę, ale nic lub prawie nic do niego nie czułam. Był również Pere Rowland, sympatyczny chłopiec znający się na książkach i muzyce, ale romantyczne randki nie pociągały mnie zanadto. Wolałam wraz z całą paczką wcisnąć się do auta, pojechać do kina albo na tańce i bawić się wspólnie, bez zobowiązań. Po powrocie siadałyśmy z Ruth i Berthą w szlafrokach, piłyśmy herbatę i rozmawiałyśmy o tym, jak minął wieczór.

Skończyłam właśnie dwadzieścia dziewięć lat, ale czułam się młodsza i bardziej beztroska niż w Bryn Mawr, gdzie nic mnie nie cieszyło i z nikim nie nawiązałam bliższej znajomości. Miałam wrażenie, że przeżywam spóźniony debiut towarzyski i bardzo się tym radowałam.

Listy z Chicago przychodziły codziennie, pięknie wygniecione i pełne wieści. Ernest pisał o artykułach do „Commonwealthu”, o pomysłach na szkice i powieści. Coraz częściej dzielił się wspomnieniami z dzieciństwa – długie lata spędzone w Michigan z ojcem, Edem, który był lekarzem położnikiem i uwielbiał przebywać na świeżym powietrzu. Nauczył Ernesta gotować na ognisku, posługiwać się siekierą, złapać i sprawić rybę, polować na wiewiórki, przepiórki i bażanty.

Ile razy myślę o ojcu, widzę go w lesie, jak płoszy bekasa, idzie po suchej trawie albo po rżysku, albo – z oszronioną brodą – rąbie drewno. Odczytywałam te zdania ze łzami w oczach, ponieważ tak mało miałam ciepłych wspomnień o własnym ojcu. Kiedy o nim myślę, najpierw widzę rewolwer, a potem słyszę huk przetaczający się po domu.

Wspomnienie jego śmierci i mojej na tym punkcie obsesji tak mnie rozstroiło, że musiałam dwa razy przejść się wokół domu w smagającym wietrze, zanim uspokoiłam się na tyle, by wrócić do listu Ernesta.

O ile zazdrościłam mu związku z ojcem, o tyle niepokoił mnie jego stosunek do matki. Niemal za każdym razem, kiedy ją wspominał, mówił o niej „ta suka”. Opisywał ją jako kobietę dominującą, krytykantkę, przekonaną, że doskonale wie, jak kto ma żyć. Zanim Ernest zaczął czytać, musiał nauczyć się na pamięć cytatów z „podstawowej” niemieckiej i łacińskiej literatury. Choć szanował jej artystycznego ducha – pięknie śpiewała, trochę malowała i pisała wiersze – uważał ją za egoistkę do szpiku kości, widzącą tylko swoje potrzeby i niszczącą wszystkich wokół, szczególnie męża. Ernest patrzył, jak przymusza ojca do spełniania wszystkich swoich życzeń, i pogardzał nią za to.

Choć namiętne wyrzeczenie się matki nieco mnie raziło, nie potrafiłam nie dojrzeć podobieństw między jego a moimi rodzicami. Najmocniej uderzyło mnie, że choć nie cierpiałam nieugiętej woli matki i obarczałam ją winą za samobójstwo ojca, to nikomu nie zdradziłam swoich uczuć. Wszystko kotłowało się we mnie, a kiedy czułam, że się przeleje, wykrzykiwałam swoją nienawiść w poduszkę. Dusłam ją w sobie, a Ernest – wyrzucał. Czyja reakcja była straszniejsza?

W rezultacie poczułam dla niego rosnący szacunek za to, że potrafił wyrazić wszystko, co w nim najgorsze, i jego zwierzenia mnie wciągnęły. Czekałam na listy Ernesta z dużą niecierpliwością. Wkrótce się okazało, że wszystko traktuje z równą szczerością. Na początku grudnia, niedługo po moich urodzinach, napisał, że poprzedniego dnia spodobała mu się dziewczyna w przetykanej srebrem zielonej sukni, którą poznał na przyjęciu. Zrobiło mi się niedobrze. Nie miałam migotliwej zielonej sukni, a gdybym nawet miała, on by o niej nie wiedział. Był oddalony o setki mil, zaabsorbowany własnym życiem. Owszem, łączyła nas przyjaźń, dzieliliśmy się zwierzeniami, ale on nic mi nie był winien, nie składał żadnych obietnic, nawet fałszywych. Jeśli chciał, mógł iść za zieloną suknią jak za syreną, nawet na środek jeziora. Nie miałam go w garści.

Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że nikt nie ma nikogo w garści. To był znak czasu. Wszyscy żyliśmy na krawędzi, buchała z nas

młodość, nadzieja i fascynacja jazzem. Przed rokiem Olive Thomas wystąpiła w filmie *The Flapper* i to słowo nagle zaczęło się kojarzyć z jazzem. Dziewczyny zrzucały gorsety i skracaly spódnice, zaczęły malować usta i oczy. W roku 1921 młodość była wszystkim, ale to właśnie ogromnie mnie martwiło. Miałam prawie trzydzieści lat, czułam się antykiem, a Ernest miał dwadzieścia dwa i lubił żyć intensywnie. O czym ja w ogóle myślałam?

– Może nie nadaję się do jego gier – powiedziałam Ruth po otrzymaniu listu, w którym Ernest wspominał o syrenie. Berthy nie było, a my z Ruth gotowałyśmy obiad; mimo że kuchnia była mała, nie wchodziłyśmy sobie w drogę, łuskając groch i gotując wodę na spaghetti, zupełnie jakbyśmy od dziesiątek lat mieszkały razem.

– A kto się nadaje? – skomentowała Ruth, odmierzając łyżeczkę soli i rzucając szczyptę za ramię, na szczęście. Miała wspaniałe silne ręce. Patrzyłam na nie, myśląc, że chciałabym bardziej ją przypominać. Ruth spojrzała na mnie ponad ramieniem i uśmiechnęła się kpiarsko. – Ale co można na to poradzić? Jeśli się poddamy, to będzie koniec.

– Mogłabym się schować pod łóżkiem i wyjść dopiero, kiedy będę stara i sklerotyczna i zapomnę, że kiedykolwiek coś do kogoś czułam.

Skinęła głową.

– Chciałabyś, ale tego nie zrobisz.

– Pewnie, że nie. – Zaczęłam zastawiać stół; położyłam talerze, trochę gorsze sztuce, wygładziłam dwie serwetki. – Bardzo się o to postaram.

Pragnęłam wrócić do Chicago, jeszcze raz ujrzeć wielki stary salon Kenleya: fortepian, gramofon, dywan odsunięty, żeby można było potaćzyć. Chciałam jeszcze raz zajrzeć w szczerze brązowe oczy i wiedzieć, o czym ten piękny chłopiec myśli. Chciałam go pocałować i żeby on mnie pocałował.

W połowie stycznia razem z przyjaciółką Leticją Parker uknułyśmy szatański plan, żebym mogła pojechać do Chicago. Miałam być jej gościem. Zatrzymałybyśmy się w hotelu, razem chodziły na zakupy, a ja mogłabym się widywać z Ernestem. Ale dwa dni przed zaplanowanym wyjazdem Leticja zadzwoniła, żeby anulować wycieczkę. Nie mogła wyjechać na tak długo z powodu choroby matki. Powiedziałam, że

doskonale ją rozumiem, i oczywiście tak było – w końcu moja własna matka całymi miesiącami leżała chora – niemniej wpadłam w rozpacz. Od tygodni tylko tym żyłam. Ernest miał mnie odebrać z pociągu; samo to wydarzenie zdołałam sobie wyobrazić co najmniej sto razy.

– I co teraz? – jęczałam.

– Jedź – radziła Ruth.

– Sama?

– Dlaczego nie? To nie średniowiecze. Czy poprzednio nie pojechałaś sama?

– Ale wtedy nie byłam z nikim związana. Fannie by się to bardzo nie podobało.

– Tym bardziej powinnaś jechać – odparła Ruth z uśmiechem.

Wieczorem, kiedy wyjeżdżałam do Chicago, Roland odwiózł mnie na stację nowym peugeotem, butelkowozielonym coupé, w którym czuł się bardzo męski. Auto napełniało go dumą, a Fannie ze strachu niemal dostawała apopleksji. Lubiłam Rolanda i mu współczułam. Znalazł się w podobnej sytuacji, jak mój ojciec. Bez zezwolenia Fannie nie wolno mu było nawet pisnąć. To było żalosne, ale Roland potrafił również być czarujący, choć nieśmiały, i wyglądał, jakby przeproszał za to, że żyje. W domu uważałam się za jego sojusznika i miałam nadzieję, że on to czuje. Choć mógł mnie wysadzić przy krawężniku, zaparkował auto i odprowadził na peron, gdzie wręczył moje walizki tragarzowi. Kiedy się zegnaliśmy, przechylił głowę i powiedział:

– Ślicznie wyglądasz, Hadley.

– Naprawdę? – Nagle poczułam się skrępowana i zaczęłam wyglądać fałdy szarej podróżnej spódnicy.

– Naprawdę. Przyszło mi do głowy, że może sama tego nie zauważyłaś.

– Dziękuję. – Pocałowałam go w policzek i wsiałam do pociągu, zadowolona ze swojego stroju: miękkiego wełnianego kapelusza, kremowych rękawiczek, beżowych zamszowych butów z paskiem. Siedzenia w pociągu były pluszowe i wygodne. Purytański głos Fannie, uświadamiającej mnie, że nie powinnam się tym cieszyć, zrobił się nagle bardzo odległy. To był nocny ekspres, umościłam się więc na swojej kuszecie i zaciągnęłam ciemnozielone zasłony.

Kiedy następnego dnia rano wjechaliśmy na Union Station, byłam wypoczęta i tylko trochę zdenerwowana. Kiedy jednak ujrzałam Ernesta na peronie, niemal w tym samym miejscu, w którym żegnałam się z nim w listopadzie – wyszło mi w ustach i poczułam słabość w nogach. Świetnie wyglądał w czarnej dwurzędowej kurtce marynarskiej i szaliku. Oczy błyszczały mu od mrozu. Kiedy wysiadłam, przytulił mnie, unosząc w powietrze.

– Miło cię widzieć – powiedziałam, kiedy wróciłam na ziemię, i oboje uśmiechnęliśmy się, nieco skrepowani spotkaniem. Zetknęliśmy się spojrzeniem i opuściliśmy wzrok. Wymieniliśmy ze sobą tysiące słów. Gdzie się one podziały?

– Jesteś głodna? – spytał.

– Jasne.

Potarliśmy zziębnięte nosy i ruszyliśmy, żeby gdzieś zjeść śniadanie. W bok od State Street była restauracja, którą lubił. Za sześćdziesiąt centów można było zjeść stek i jajecznicę. Zamówiliśmy i usiedliśmy w zatoczce, stykając się lekko kolanami pod stołem.

– „Saturday Evening Post” odrzucił następne opowiadanie – powiedział, kiedy czekaliśmy na jedzenie. – To już trzeci raz. Jeśli mi się nie uda, spędzę całe życie, pisząc teksty reklam albo opowiadania, które ktoś inny będzie firmował swoim nazwiskiem. Nie chcę tak.

– Zobaczysz jeszcze swoje książki w druku. Jestem pewna.

Spojrzał na mnie obojętnie i uniósł lekko nogę, dotykając czubkiem buta mojej łydki. Nie cofając jej, spytał:

– Czy myślałaś, że już więcej mnie nie zobaczysz?

– Może. – Poczułam, że mój uśmiech gaśnie. – Mogłam dla ciebie trochę stracić głowę.

– Chciałbym, żebyś mnie kochała chociaż przez krótki czas.

– Dlaczego krótki? Myślisz, że sam nie byłbyś zdolny do dłuższego związku?

Trochę nerwowo wzruszył ramionami.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o Jimie Gamble’u, kumplu z Czerwonego Krzyża? Chce, żebym jechał z nim do Rzymu. Tam życie jest tanie, a gdybym trochę odłożył przed wyjazdem, mógłbym pięć–sześć miesięcy przeznaczyć na pisanie. Taka szansa może się drugi

raz nie trafić.

Rzym. Poczułam, że brakuje mi powietrza. Dopiero co go znalazłam, a on już wybiera się za ocean? Zaczęło mi się kręcić w głowie, ale wiedziałam z absolutną pewnością, że próba zatrzymania go będzie błędem. Przełknęłam ślinę i zaczęłam ostrożnie:

– Jeśli najbardziej zależy ci na pisaniu, powinienesz jechać. – Podniosłam oczy, żeby spotkać jego spojrzenie. – Ale pewna dziewczyna będzie za tobą tęsknić.

Kiwnął głową, nic nie mówiąc.

Wizyta upłynęła na koncertach, sztukach, imprezach, z których każda kończyła się w salonie Kenleya, gdzie przy winie i papierosach toczyły się zażarte dyskusje na temat książek i malarstwa. Było tak jak jesienią, tylko nieustannie brakowało Kate.

Tuż przed wyjazdem z St. Louis wysłałam do niej list. Nie byłam pewna, czy przypadkiem nie wpadniemy na siebie, zanim go dostanie, ale nie mogłam przynajmniej nie przygotować jej delikatnie. *Nesto i ja mocno się do siebie zbliżyliśmy* – pisałam. – *Jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi, ale i Ty jesteś moją przyjaciółką i nie chciałabym, żeby to stało między nami. Proszę, nie gniewaj się na mnie długo. Twoja na zawsze, Hash.*

Kenley twierdził, że siostra ma mnóstwo pracy.

– Znasz Kate, za dużo na siebie bierze, a potem nie może znaleźć chwili wolnego. Jestem pewien, że wkrótce się zobaczycie.

Ale się nie pokazywała, a w miarę upływu dni coraz bardziej żałowałam, że nie mogę o tym porozmawiać z Ernestem. Nie jestem dwulicowa, ale zapędziłam się w kozi róg, nie wspominając nigdy o tym, że Kate mnie przed nim ostrzegła. Nie postąpiłam tak bez powodu. Nie chciałam go zranić, a poza tym wołałam nie wchodzić między nich i nie chciałam być powodem nieporozumień. W miarę jak zbliżał się kres mojej wizyty, a Kate nadal milczała, zaczęłam się zastanawiać, czy którykolwiek bok tego krzywego trójkąta kiedykolwiek się wyprostuje. Było możliwe – a nawet prawdopodobne – że Kate całkiem przestanie mi ufać. Ernest pojedzie do Rzymu pracować nad książką, a ja zostanę na lodzie, bez niej i bez niego.

Było niebezpiecznie tracić serce dla Ernesta, ale czy miałam

wyście? Wiedziałałam, że się w nim zakochuję, lecz nawet jeśli obawiałam się tego, co przyniesie przyszłość, to jednak odkąd go spotkałam, moje życie bezsprzecznie zmieniło się na korzyść. Czułam to w domu, w St. Louis, i u Kenleya. Co wieczór najpierw nieco martwiłam się, że nie jestem atrakcyjna towarzysko, ale wkrótce potrafiłam się odnaleźć. O północy, znakomicie zaaklimatyzowana, gotowa byłam pić jak szewc i gadać aż do rana. Co wieczór rodziłam się na nowo, odnajdywałam się, gubiłam i znowu odnajdywałam.

– Nie tak dawno temu nie miałam energii na to, żeby grać na fortepianie dłużej niż pół godziny – zdradziłam pewnego dnia przy śniadaniu Ernestowi. – Tymczasem teraz siedzieliśmy do trzeciej rano, a ja wstaję wypoczęta i z roziskrzonymi oczami o ósmej rano. Bywałam taka znużona, i trochę smutna. Co się stało?

– Nie wiem, ale potwierdzam roziskrzone oczy.

– Mówię poważnie. Przeżyłam poważną zmianę.

– Wierzysz w możliwość zmiany?

– Owszem. Ale czasem sama się nie poznaję. Zupełnie jak w opowiadaniach, w których elfy zabierają jedno dziecko i zostawiają drugie – odmieńca.

– Cokolwiek to jest, podobasz mi się taka, Hash.

– Dzięki. Sama się taką wolę.

Następny wieczór miał być ostatnim i postanowiłam wykorzystać każdą minutę. Nie byłam pewna, czy i kiedy zobaczę się z Ernestem. Nie wspominał ponownie Jima Gamble'a ani Włoch, ale również nie wspominał o żadnych innych planach na przyszłość. Kiedy spytałam, czy nie przyjechałby kiedyś do St. Louis, powiedział: *Pewnie, dziecinko* – lekko, nic nie obiecując, nie zdradzając prawdziwych intencji. Więcej nie poruszałam tego tematu. Jeśli w ogóle były jakieś sposoby, by zatrzymać Ernesta, to rzucanie się z pazurami i trzymanie za gardło do nich nie należały. Musiałam zdobyć się na cierpliwość.

Wieczór upływał typowo, morze alkoholu, dużo muzyki, powietrze gęste od dymu z papierosów. Ernest poprosił, żebym zagrała Rachmaninowa i chętnie się zgodziłam. Usiadł przy mnie na ławce, jak podczas naszego pierwszego spotkania, a ja, dotykając klawiszy, poczułam przyływ nostalgii. W połowie utworu wstał i zaczął krążyć

po salonie, nerwowy jak koń czystej krwi niecierpliwie szarpiący lejce przywiązane do bramy. Nie doczekał do końca, wyszedł z pokoju. Znalazłam go na werandzie. Palił papierosa.

– Grałam aż tak źle?

– Przepraszam, nie chodzi o ciebie. – Odchrząknął, spojrzał w rozgwieżdżone niebo. – Chciałem ci powiedzieć o dziewczynie.

– Aha. – Usiadłam na zimnym kamiennym stopniu, starając się zapanować nad paraliżującym strachem. Jeśli Kate miała rację co do Ernesta, to bym tego nie zniosła.

– Nie to mam na myśli. Stara historia. Powiedziałem ci, że byłem ranny w Fossalcie?

Skinęłam głową.

– Kiedy wysłali mnie na rekonwalescencję do Mediolanu, zakochałem się w pielęgniarce z nocnej zmiany. Czy to nie bzdurne? Ja i setki innych głupków.

To nie było nic nowego, ale po jego minie poznałam, że dla niego jest to sprawa wyjątkowa.

– Miała na imię Agnes. Mieliśmy się pobrać, kiedy odesłali mnie do Stanów. Gdybym miał pieniądze, zostałbym i się z nią ożenił. Ona wolała czekać. Kobiety są takie cholernie rozsądne. Dlaczego?

Co miałam powiedzieć?

– Miałeś wówczas osiemnaście lat?

– Osiemnaście albo sto. Moje nogi były ciężkie od metalu. Wyjęli ze mnie dwadzieścia osiem odłamków. Setki innych zostały, bo tkwiły zbyt głęboko, ale znacznie gorszy od tego był list, który w końcu napisała Agnes. Zakochała się w dziarskim włoskim poruczniku. – Uśmiechnął się szyderczo. – Powiedziała, że ma nadzieję, iż kiedyś jej wybaczę.

– Ale nie wybaczyłeś.

– Nie, nie wybaczyłem.

Po kilku minutach milczenia odezwałam się:

– Jeszcze długo nie powinieneś się żenić. Tego typu cios jest jak ciężka choroba. Potrzebujesz czasu, żeby całkiem wyzdobrzeć.

– To pani radzi, pani doktor? Odpoczynek? – Podszedł bliżej i wziął moją dłoń. Gładząc wełnianą rękawiczkę najpierw pod włos,

a potem odwrotnie, powoli się uspokajał. – Podoba mi się twoja bezpośredniość – powiedział w końcu. – Słuchasz, co mówię, i mówisz, co myślisz.

– Chyba masz rację – powiedziałam. Byłam kompletnie zdeprymowana. Najwyraźniej nadal kochał się w tej kobiecie. Jak mogłam rywalizować z duchem – i to jeszcze mając tak mało doświadczenia w miłości?

– Czy myślisz, że da się zapomnieć o przeszłości? – spytał.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że tak.

– Czasem myślę, że skoro Agnes zniknęła, to myśl o niej również może zniknąć.

Kiwnęłam głową. Tak samo kiedyś czułam.

– Może nie zniknęła? Może nigdy mnie nie kochała. – Zapalił następnego papierosa, zaciągnął się. – Czy miłość to nie piękny łgarz?

W jego głosie czuło się gorzkość. Bałam się spojrzeć mu w oczy. Ernest przyjrzał mi się uważnie i rzekł:

– Teraz cię wystraszyłem.

– Tylko trochę. – Spróbowałam się uśmiechnąć.

– Chyba powinniśmy wrócić na górę i tańczyć aż do rana.

– Och, Nesto, jestem taka zmęczona. Może po prostu położymy się spać.

– Proszę cię. Myślę, że to mi pomoże.

– Więc zgoda. – Podałam mu rękę.

Tłum na górze już się przerzedził. Ernest zrolował dywan i nastawił gramofon. Rozległ się drżący głos Nory Bayes: *Kiedy jest ci smutno, udawaj, że jesteś zadowolona.*

– To moja ulubiona piosenka – powiedziałam. – Jesteś jasnowidzem?

– Nie, spryciarzem, który wie, jak skłonić dziewczynę, żeby się przytuliła.

Nie wiem, jak długo tańczyliśmy, zakreślając raz po raz powolną elipsę po salonie. Za każdym razem, kiedy płyta się kończyła, Ernest puszczał ją od początku. Biorąc mnie w ramiona, chował twarz, wtulając ją w moją szyję. Trzy minuty magii. Może szczęście to klepsydra, z której ucieka piasek. Może stan umysłu – jak twierdziła Nora Bayes –

kraina, którą można ukształtować z powietrza i w niej zatańczyć.

– Nigdy cię nie okłamię – powiedziałam.

Kiwnął głową.

– Zawsze mówmy sobie prawdę. Chyba możemy tak postanowić, prawda?

Piosenka się skończyła, igła zachrobotła, a w końcu płyta się zatrzymała i zapadła cisza. A my tańczyliśmy i tańczyliśmy, wielokrotnie mijając ciemne okno.

Kiedy wróciłam do St. Louis, Fannie zasypała mnie pytaniami i ostrzeżeniami. Co to za jakiś Ernest Hemingway? Jakie ma widoki na przyszłość? Co może mi dać? Ledwie skończyła z pytaniami, zabrała się do wyliczania moich minusów. Czy Hemingway wie o atakach nerwowych i zna historię choroby? Można by pomyśleć, że mówi o kulawym koniu. Nie bardzo się tym przejmowałam. Znałam taktykę Fannie i potrafiłam wyłączyć się tak, że niemal nie słyszałam jej słów. Trudniej było kontrolować własny głos. Kiedy byłam w Chicago z Ernestem, czułam się silna i gotowa jakoś przetrzymać niepewność dotyczącą przyszłości. Ale poza jego ramionami – przychodziło mi to z trudem.

Co gorsza, zaczął pisywać nieregularnie i listy bywały niewesołe. Nienawidził swojej pracy i walczył z Kenleyem, który chciał podnieść opłatę za mieszkanie i wyżywienie. *Kenley dobrze wie, że odkładam każdy cent na Rzym, ale nie popuści! Też mi przyjaciel.* Chciałam mu współczuć, ale egoistycznie cieszyłam się, że wyjazd się odwleka.

Dostałam od niego już dobrze ponad setkę listów, które trzymałam zachomikowane na półce w szafie. W dni, kiedy nie otrzymywałam cudownie pogniecionej przesyłki, co zdarzało się coraz częściej, wyjmowałam z szafy pudło i odczytywałam listy na nowo. Znaczkę kosztowały dziesięć centów, a on oszczędzał nawet te centy. Bolało mnie, że na pierwszym miejscu stawiał Jima Gamble'a, przygodę i pracę. Nie potrafiłam też zapomnieć, że jest dużo ode mnie młodszy. Osiem lat może nie znaczyłoby tak wiele, gdybyśmy doczekali razem wieku średniego, ale Ernest był tak młody, żywiołowy i pełen planów, że w ogóle nie potrafiłam go sobie wyobrazić w średnim wieku. Był lekkostopym chłopcem z greckiej urny łączącej prawdę i piękno. Gdzie mi do niego?

– Czasem myślę, że jestem za stara, żeby się zakochać – powiedziała kiedyś Ruth. Siedziałyśmy na łóżku w moim pokoju i zajadałyśmy biszkopty ze stojącego między nami talerza. Na dworze trwała śnieżna zawierucha.

– Jesteś za stara czy on za młody?

– Jedno i drugie. W pewnym sensie przeżył więcej niż ja, na pewno ma więcej ciekawych doświadczeń. Ale bywa bardzo romantyczny i naiwny. Na przykład ta historia z Agnes. Wierzę, że złamała mu serce, ale on to obnosi, jakby był dzieckiem.

– To nie w porządku, Hadley. A ty nie cierpiałaś po Harrisonie Williamsie?

– Masz rację. Och, Ruth – zakryłam twarz dłońmi – nie wiem, co mi się stało. Chyba po prostu się boję.

– Pewnie, że się boisz – powiedziała delikatnie. – W porządku, jeśli naprawdę uważasz, że jest dla ciebie za młody, to podejmij decyzję i się jej trzymaj.

– Myślisz, że przestanę się zamartwiać, kiedy się dowiem, że naprawdę mnie kocha?

– Tylko posłuchaj siebie.

– Mam dużo do stracenia.

– Zawsze jest dużo do stracenia.

Westchnęłam i sięgnęłam po biszkopta.

– Zawsze jesteś taka mądra, Ruth?

– Tylko jeśli chodzi o cudze życie.

Następnego dnia nie było listu od Ernesta, drugiego dnia też nie i trzeciego również nie. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że albo o mnie zapomina, albo świadomie spycha mnie na bok, wybierając Rzym w nadziei, że uda mu się rozpocząć karierę pisarską. Czułam się zraniona, ale też pożerała mnie zazdrość. Miał coś rzeczywistego, z czym wiązał swoje nadzieje, coś, czemu mógł poświęcić swoje życie. Moje marzenia były prostsze i, prawdę mówiąc, coraz bardziej związane z nim. Chciałam tylko mieć z nim własny dom z podjazdem, którym Ernest by wracał, pogwizdując, z kapeluszem w ręku. Nie zrobił ani nie powiedział nic, co by sugerowało, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Kto zatem był naiwny i romantyczny?

– Jeśli to koniec, muszę być dzielna – powiedziałam Ruth i Bercie wieczorem trzeciego dnia. Czułam, jak na moim gardle zaciska się stalowa obręcz. – Zakaszę rękawy i znajdę sobie kogoś innego.

– Dziecinko, chyba już trochę późno, prawda?

W łóżku przewracałam się, nie mogąc zasnąć. Dopiero po drugiej

zapadłam w lekki sen. Następnego dnia rano, jeszcze niedokładnie obudzona i w ponurym nastroju, sprawdziłam skrzynkę na listy. Było jeszcze za wcześnie na listonosza, ale nie mogłam się powstrzymać. W skrzynce był nie jeden list, ale dwa, grube i obiecujące. Rozum powinien mi podpowiedzieć, że pewnie przegapiłam pocztę dostarczoną poprzedniego wieczoru, ale wolałam wierzyć, że wyczarowałam je tęsknotą. Najważniejsze, że nareszcie Ernest przerwał milczenie. Oparłam się o drzwi, płacząc z ulgi.

W sypialni niecierpliwie rozerwałam koperty. W pierwszym liście znajdowała się zwykła porcja wiadomości na temat pracy i imprez w mieszkaniu Kenleya, które nazywali Siedzibą. Poprzedniego wieczoru rozegrali w salonie mecz bokserski, w którym Ernest, w długich trykotach i opasany szkarłatną jedwabną szarfą, odgrywał rolę Johna L. Sullivana. Śmiałam się, wyobrażając go sobie, i nadal chichotałam, kiedy otworzyłam drugi list. *Myślę ciągle o Rzymie – zaczynał się – ale co byś powiedziała na to, żeby pojechać tam ze mną jako moja żona?*

Żona. Zastopowało mnie momentalnie. Nie poznałam jego matki ani nikogo z rodziny. On też nie był w St. Louis i nie siedział w salonie poddany krytycznym spojrzeniom Fannie. Ale może pisze poważnie? Takie oświadczenia są w jego stylu, impulsywne, wygłoszone zaraz po błazenadzie. Odpisałam mu: *Jeśli Ty jesteś gotów na ten szalony krok, to ja też.*

W Rzymie. Razem. Co za wyjątkowy pomysł. Kiedy fantazjowałam na temat małżeństwa z Ernestem, wyobrażałam nas sobie w St. Louis albo Chicago, w mieszkaniu takim, jak „Siedziba” Kenleya, zawsze pełnym rozrywki i rozmów. Myśl o zamieszkaniu z nim we Włoszech była fascynująca, przerażająca i rewolucyjna. Kiedy miałam siedemnaście lat, z matką i siostrami pojechałam na wycieczkę do Florencji i Rzymu. Wyprawa była wyjątkowo nieudana. Nie pamiętam piękna, głównie upał, omdlenia i komary. Ale z Ernestem w Rzymie na pewno będzie inaczej. Ja będę zupełnie inna. Widziałam nas na spacerze nad Tybrem, jak idziemy ramię w ramię i przechodzimy przez każdy most po kolei. *Jedźmy* – napisałam, zarumieniona z emocji. – *Już się spakowałam.*

Wyszłam na dwór bez płaszcza i szalika. Z szarych niskich chmur

padały grube białe płatki. Uniosłam głowę w górę i otworzywszy usta, łapałam śnieżki.

Dwa tygodnie po oświadczeniach Ernesta pojechałam do Chicago na spotkanie całego kontyngentu Hemingwayów. Byłam tak zdenerwowana, że przed spotkaniem, chodząc niespokojnie po salonie Kenleya, wypłam ponad pół butelki wina. Ernest próbował mnie uspokoić, ale niewiele to dawało. Bynajmniej nie pomogło to, że tego dnia Kate w końcu się pokazała. Ernest był w pracy i zastała mnie samą.

– Chyba nie chcesz naprawdę wyjść za mąż za Wema? To śmieszne. – Wparowała do mieszkania, nie zdejmując kapelusza ani płaszcza, i od razu zaczęła mówić podniesionym, przenikliwym głosem.

– Kate, usiądź i zachowuj się rozsądnie.

– Będziesz tego żałować. Dobrze o tym wiesz. Jest taki młody i impulsywny.

– A ja co? Stara panna prowadząca siedzący tryb życia?

– Nie, tylko naiwna. Zanadto mu wierzysz.

– Doprawdy, Kate, przecież jesteś chyba jego przyjaciółką. Co takiego zrobił, że jesteś wrogo do niego nastawiona?

Nagle przestała perorować i ciężko usiadła na kanapie.

– Nic.

– Więc o co chodzi? – Ściszyłam głos i przysunęłam się do niej. – Proszę, powiedz mi, co się dzieje.

– Nie mogę. – Pokręciła głową. – Ze względu na was nie chcę, żeby było jeszcze gorzej. Będę się cieszyć twoim szczęściem, naprawdę.

Poczułam w głowie szum, który nie ustawał aż do wieczora. Kiedy Ernest wrócił z pracy, czatowałam na niego w drzwiach.

– Czy przypadkiem nie powinieneś powiedzieć mi czegoś o Kate? Chyba się w tobie kocha. – Zdumiałam się, że jestem w stanie wypowiedzieć te słowa na głos, ale na szczęście Ernest przyjął je ze spokojem.

– Może. Ale to nie moja wina. Nie zachęcałem jej.

– Naprawdę? Myślę, że ma do ciebie żal.

– Słuchaj, Kate to Kate. Było, minęło. Naprawdę chcesz o wszystkim wiedzieć?

– Tak. O każdej, którą kiedykolwiek pocałowałaś albo w której

choćby przez chwilę myślałaś, że się w niej kochasz.

– Jesteś szalona. Po co ci to?

– Żebyś mógł mi powiedzieć, że tamte kobiety się nie liczą i że mnie kochasz o wiele mocniej.

– To właśnie ci mówię. Nie słuchasz?

– Jak możemy się pobrać, jeśli mamy przed sobą tajemnice?

– Nie chcesz ślubu?

– A ty?

– Chcę. Hash, robisz z igły widły. Proszę, bądź rozsądna.

– To samo mówiła Kate.

Spojrzał na mnie z taką irytacją, że się rozplakałam.

– No, chodź do mnie, kiciu. Zobaczysz, że wszystko dobrze się skończy.

Kiwnęłam głową i otarłam łzy. I poprosiłam o drinka.

Pożyczyliśmy od Kenleya auto i pojechaliśmy do rodziców Ernesta mieszkających w Oak Park. W miarę zbliżania się do Kenilworth Avenue Ernest robił się coraz bardziej niespokojny.

– Myślisz, że się im spodobam? – spytałam.

– Podbijesz ich serca. Chodzi raczej o to, że nie przepadają za mną.

– Kochają cię. Na pewno.

– Jak stado wilków – powiedział z goryczą. – Jak myślisz, dlaczego mieszkam u Kenleya, skoro mam rodzinę niecałe piętnaście mil stąd?

– Och, kochanie, nigdy mi to nie przyszło do głowy. Nie jest za późno, żeby zawrócić?

– Dużo za późno – powiedział i skręcił w długi podjazd prowadzący łukiem ku domowi.

Matka Ernesta, Grace, dosłownie odepchnęła służącą, żeby powitać nas w drzwiach. Była pulchną, elegancką kobietą ze snopem siwych włosów. Ledwie zdołałam przekroczyć próg, rzuciła się na mnie i utopiła moją rękę w swojej. Uśmiechałam się nieustannie, pragnąc się jej przypodobać, ale doskonale rozumiałam, dlaczego Ernest tak jej unikał. Podobnie jak moja matka, dominowała nad otoczeniem, tylko ją było widać i słyszeć. To ona stanowiła punkt ciężkości, o wszystkim decydowała.

W salonie czekały na nas kanapki na eleganckich tacach i różowy

szampan. Starsza siostra Ernesta, Marcelline, siedziała koło mnie na szezlongu, i choć wydawała się sympatyczna, niezwykle podobieństwo do brata trochę wytrącało mnie z równowagi. Ursula również była do niego podobna, identycznie się uśmiechała i robiły jej się takie same dołki w policzkach. Sunny miała dopiero szesnaście lat i prześlicznie wyglądała w jasnożółtej szyfonowej sukience. Najmłodsza Leicester, zaledwie sześćoletnia, chodziła za Ernestem krok w krok, póki nie zgodził się jej zabawić, boksując się z cieniem. Grace przygwoździła mnie w salonie, roztrząsając wyższość europejskich koronek, a doktor Hemingway chodził z tacą z serem i buraczkami z własnego ogrodu nad Jeziorem Niedźwiedzim, które sam zamarynował.

Po obiedzie Grace poprosiła mnie, żebym akompaniowała jej do arii operowej. Ernest czuł się potwornie zażenowany. Jeszcze gorsze tortury przeżywał, kiedy matka wyjęła album z fotografiami Marcelline i Ernesta ubranych w identyczne różowe sukieneczki i ustrojone kwiatami kapelusze z szerokim rondem.

– Hadley wcale to nie interesuje, mamó – protestował z drugiego krańca pokoju.

– Ależ na pewno interesuje. – Grace poklepała mnie po ręce. – Mam rację, moja droga? Czyż nie był śliczny jako dzidzius? – Przyglądała się zdjęciu z dumą właściciela. – Może nie powinnam była ubierać go jak dziewczynki, ale nie mogłam się oprzeć kaprysowi. Nikomu się przez to nie stała krzywda.

Ernest przewrócił oczyma i powiedział:

– Jasne, nikomu nigdy nie dzieje się krzywda.

Zignorowała go.

– Zawsze lubił opowiadać historyjki. Na przykład o koniu na biegunach, który nazywał się Książę, i swojej niańce, Małej Misi. I już jako dziecko był wielkim oryginałem. Jeśli zrobiło się coś, co mu się nie spodobało, to bił z całej siły, a potem całował na przeprosiny.

– Uważaj, Hadley, żeby z tobą tego nie próbował – zażartowała Marcelline.

– Jeszcze by mu się to spodobało – dodała Ursula.

– Ursula! – przywołał ją do porządku ojciec.

– Mamó, zostaw ten album – poprosił Ernest.

– O, a tutaj jest dom w Windemere – powiedziała Grace, odwracając kartkę. – Piękne Jezioro Niedźwiedzie. – I znowu zaczęła się rozplýwać.

Wieczór ciągnął się bez końca. Była kawa i brandy w malutkich kieliszkach, i ciasteczka, i znowu kawa. Kiedy wreszcie mogliśmy zakończyć wizytę, Grace krzyknęła za nami, że zaprasza nas w niedzielę na obiad.

– Jeszcze czego – mruknął Ernest pod nosem.

Kiedy wracaliśmy do Kenleya, powiedziałam:

– Byli dla mnie bardzo mili, ale rozumiem, dlaczego wolisz mieszkać osobno.

– Dla nich jestem ciągle dzieckiem, nawet dla ojca, a kiedy walczę z tym nastawieniem, okazuje się, że jestem samolubny albo głupi, i że nie mogą mi zaufać.

– Dopóki żyła moja matka, było identycznie. Nasze matki są bardzo podobne. Myślisz, że właśnie to nas w sobie pociąga?

– Dobry Boże, mam nadzieję, że nie.

Po zaręczynach zmieniła się nasza sytuacja u Kenleya. Ja mogłam nadal mieszkać w swoim pokoju, ale Ernestowi zasugerowano, że na czas mojego pobytu powinien ponarzucać się jakiemuś innemu przyjacielowi.

– Nie wiem, co się nagle stało Kenleyowi – powiedział Ernest. – Sam nie jest czysty jak śnieg.

– Chodzi mu o moją reputację, a nie swoją – sprostowałam. – Zachowuje się bardzo elegancko.

– Co za bzdura. Chcę cię oglądać z samego rana, kiedy tylko otworzysz oczy. Czy to tak wiele?

– To tylko chwilowe. Po ślubie będziesz mnie mógł oglądać, kiedy tylko zechcesz.

– To miła perspektywa. – Uśmiechnął się.

– Jak najmiłsza.

To żadna tajemnica, że byłam dziewicą. Pomijając kilka namiętnych pocałunków rozmaitych wielbicieli, nie miałam żadnego doświadczenia w miłości. Ernest nieraz dawał do zrozumienia, że znał wiele dziewcząt. Uważałam za pewne, że we Włoszech był kochankiem

Agnes – w końcu planowali ślub – ale tego tematu wolałam nie roztrząsać. Trochę martwiłam się, czy potrafię go zadowolić, lecz tę obawę od siebie też odsuwałam. Wolałam się koncentrować na tym, w jaki sposób miłość fizyczna mogłaby być sposobem na lepsze poznanie go, bez przeszkód i barier. Nieważne, że nie mam doświadczenia. Będzie czuł, że kocham go całego i niczego mu nie bronię.

Wydawało się, że Ernest jest gotów czekać na noc poślubną – w każdym razie nigdy nie naciskał – ale wieczorem po wizycie w Oak Park, po długim pocałunku pod drzwiami mieszkania Kenleya, powiedział mi, że postanowił nie iść spać do Dona Wrighta, jak było ustalone.

– Będę koczował.

– Co takiego?

– Chodź, pokażę ci.

Wyszłam z nim na dach po schodach przeciwpożarowych. Obawiałam się, że będzie potwornie zimno, w końcu był marzec, od prawdziwej wiosny dzieliły nas całe tygodnie – ale w zacisznym kącie Ernest przygotował sobie przytulne legowisko z kołder i koców.

– Wymościłeś sobie gniazdko.

– O to chodziło. Napijesz się wina? – Sięgnął do kąta, wyciągając zakorkowaną butelkę i filiżankę.

– Co tam jeszcze zachomikowałeś?

– Poszukaj sama. – Powiedział to lekko i żartobliwie, ale kiedy położyłam się obok niego na kołdrze i sięgnął po koc, aby przykryć mi ramiona, poczułam, że trzęsą mu się ręce.

– Jesteś spięty.

– Nie rozumiem dlaczego.

– Byłeś z wieloma dziewczynami, prawda?

– Żadna nie przypominała ciebie.

– Miło to słyszeć.

Rozpięliśmy koc jak namiot i długo się całowaliśmy, odgradzeni od całego świata. A potem, zupełnie spontanicznie, zdjęłam żakiet i bluzkę i położyłam się obok Ernesta. Nie przeszkadzało mi, że jego wełniana marynarka mocno drapie ani że odsunął się kawałek, żeby na

mnie popatrzeć.

Nie czułam się tak zawstydzona ani obnażona, jak się spodziewałam. Jego oczy i ręce były delikatne. Gdy dotknął moich piersi, moje ciało przeszył mocny dreszcz. Wtuliłam się w Ernesta i teraz wszystko przebiegło bardzo szybko: moje niecierpliwe ręce szukające jego rąk, jego usta na moich powiekach, szyi, wszędzie. Było to nowe, ale wydawało się całkiem naturalne i dobre, nawet mimo chwilowego bólu.

Kiedy miałam kilkanaście lat, matka opublikowała w „New Republic” artykuł, w którym dowodziła, że żona czerpiąca przyjemność z seksu nie jest lepsza od prostytutki. Naturalnie, uległość jest konieczna ze względu na dzieci, ale ostatecznym celem każdej kobiety powinna być pełna i błogosławiona wstrzemięźliwość. Nie wiedziałam wówczas, co myśleć o seksie, ani czego od niego oczekiwać poza pewną nieprzyjemnością. Kiedy byłam starsza i bardziej zainteresowana tematem, przeczytałam fragmenty *Studiów psychologii seksualnej* Havelocka Ellisa opublikowane w „Literary Digest” Rolanda. Niektórych rzeczy nie potrafiłam jednak sobie nadal wyobrazić, na przykład tego, gdzie następuje spotkanie ciał i co się wtedy właściwie czuje. Nie wiem, czy byłam aż tak niedomyślna, czy też był to efekt wyparcia, ale w moich marzeniach na temat nocy poślubnej Ernest przenosił mnie przez usiany kwiatami próg i moja biała suknia nagle się rozplywała. A potem, po chwili nieokreślonych słodkich zmagania – byłam kobietą.

Na dachu wszystkie zasłony opadły, a kiedy nie pozostał już nawet szczątek wcześniejszych wyobrażeń, najbardziej zdumiała mnie siła pożądania, to, jak bardzo byłam gotowa go mieć. Chciałam go i nic – nawet niezdarne potrącanie się kolanami i łokciami, kiedy staraliśmy się jak najbardziej zbliżyć, ani wstrząsające uczucie, kiedy we mnie wchodził – nie mogło tego zmienić. Gdy leżał na mnie, przez cienkie koce dokładnie czułam każdą nierówność dachu, ale jednocześnie doświadczałam obezwładniającego szczęścia, którego nigdy nie zapomnę. Wydawało mi się, że ściśnięci tak mocno, jakby jego kości weszły między moje, byliśmy przez chwilę jedną osobą.

Potem leżeliśmy na plecach i wpatrywaliśmy się w gwiazdy.

– Czuję się jak twoje zwierzątko – mruknął cicho. – A ty jesteś moim malutkim kociątkiem.

– Czy spodziewałaś się, że może tak być? Że możemy się tak sobie zdarzyć?

– Zrobię wszystko, jeśli tylko będziesz ze mną – powiedział. – Myślę, że mogę napisać książkę. To znaczy chcę, ale przecież mogłaby być głupia albo bez sensu.

– Oczywiście, że napiszesz, i będzie cudowna. Jestem tego pewna. Młoda, świeża i silna, tak jak ty. Będzie tobą.

– Chcę, żeby moi bohaterowie byli jak my, po prostu ludzie próbujący żyć prosto i mówiący to, co naprawdę mają na myśli.

– My zawsze mówimy, co myślimy, ale nie jest to proste, prawda? Być naprawdę szczerym – to może być najtrudniejsze.

– Kenley twierdzi, że zanadto się spieszymy. Nie rozumie, czemu dążę do małżeństwa, skoro życie kawalera tak dobrze mi służy.

– No cóż, ma prawo tak myśleć.

– Ale nie tylko on. Horney martwi się, że zaprzepaszczę karierę. Jim Gamble uważa, że jak tylko się pobierzemy, stracę z oczu podstawowy cel przyjazdu do Włoch. A Kate przestała z nami rozmawiać.

– Proszę, nie mów o niej. Nie teraz.

– W porządku. – Usiadł i spojrzał mi w oczy. – Mam nadzieję, że uda nam się razem zestarzeć. Widuje się czasem na ulicy takie pary, które tak długo są już ze sobą, że trudno odróżnić jedno od drugiego. Co o tym myślisz?

– Chciałabym wyglądać jak ty. Chciałabym być tobą.

To była absolutna prawda. Chętnie zrzuciłabym własną skórę i wskoczyła w jego – i wydawało mi się, że na tym polega miłość. Czyż dopiero co nie zapadliśmy się w siebie, tak że byliśmy jednym ciałem?

To miała być najtrudniejsza lekcja małżeństwa – odkrycie tego błędu w rozumowaniu. Nie potrafiłam osiągnąć każdego zakątka duszy Ernesta, a on wcale tego nie chciał. Potrzebował mnie dla poczucia bezpieczeństwa i poparcia, którego mu udzielałam; podobnie było ze mną. Ale jemu podobało się też to, że w każdej chwili może zapaść się w swoje pisanie, z dala ode mnie. I wrócić, kiedy mu się spodoba.

Ernest odbił się, przez moment wisiał nad wodą, a potem skoczył i przeciął ją jak nożem. Wynurzywszy się na powierzchnię, obrócił się ku nabrzeżu, skąd dobiegały głosy Ducka i Lumana, którzy siedzieli, racząc się bimbrem i rozmawiając.

– Jesteś w świetnej formie, Wem – zawołał Dutch. – Nauczysz mnie tak nurkować?

– Nie! Nikogo niczego nie mogę nauczyć.

– Musisz być takim skąpiradłem? – odkrzyknął Dutch, ale Ernest nie miał ochoty odpowiadać, więc zwinął się w kulę i zapadł w wodę jak kamień. Opadł na porośnięte mchem dno i przez chwilę leżał, czując pod palcami stóp chłód i obcość mchu.

Czy to dopiero rok od czasu, gdy Kate i Edgar siedzieli na nabrzeżu, jedząc kradzione czereśnie i celując w niego niedokładnie obgryzionymi pestkami? Kate. Kochana staruszka Kate, z oczyma zielonymi jak u kota i silnymi, gładkimi nogami aż do klatki piersiowej? Któregoś razu powiedziała: „Jesteś lekarzem, zbadaj mnie”, i zrobił to, policzył, wyczuwając palcami każde żebro i badając je całe, od kręgosłupa aż do końca. Nie wzdrygnęła się ani nie zaśmiała. Kiedy dotarł do piersi, patrząc prosto na niego, zsunęła górę stroju kąpielowego. Zatrzymał rękę i próbował oddychać.

– O czym myślisz, Wemedge?

– O niczym – odparł, starając się nie zdradzić drżenia głosu. Jej pierś była doskonała, chciał położyć na niej dłoń, a potem dotknąć ustami. Chciał zanurzyć się w Kate, tak jak zanurzał się w jezioro, ale usłyszał zbliżające się głosy. Kate poprawiła strój. Ernest szybko wstał, skoczył do wody i poczuł, że pali go całe ciało.

Teraz Kate była nieco ponad milę stąd, w domu swojej ciotki,

razem z Hadley, obie w jednym pokoju, w wąskich łóżkach pachnących wilgocią. Znał dobrze ten pokój i wszystkie inne pokoje w tym domu, ale trudno mu było wyobrazić sobie w nim Hadley. Kiedy był chłopcem, nauczył się chodzić po stromym trawiastym stoku przed Windemere. To był początek. Tam nauczył się wszystkiego, czego warto było się uczyć: łapać, skrobać i patroszyć ryby, trzymać zwierzę, żywe lub martwe, rozpalać ognisko i bezgłośnie poruszać się po lesie. Słuchać. Zapamiętać wszystko, co miało znaczenie, żeby posłużyć się tą wiedzą, kiedy będzie jej potrzebował.

Tu nigdy nie doznał zawodu, ale dziś czuł się jakoś obco. Jutro o czwartej po południu wezmą z Hadley ślub w kościele metodystów na Lake Street. Nagle ogarnęła go panika, jakby był rybą schwytaną w sieć, instynktownie pragnącą się wydostać. To nie wina Hadley. Ślub to był jego pomysł, ale nie zdradził jej, jak bardzo się go obawia. Przymusi się do tego, podobnie jak zmuszał się do wszystkiego, co go przerażało. Bał się małżeństwa, ale bał się też samotności.

Odbijając się od dna jeziora, pomyślał, że jeśli nie rozstanie się z Hadley, nie uniknie rozterki. Kochał ją. Nie bał się jej, jak bał się Kate, nie prowokowała, by ją dotknął, mówiąc: „Czego się boisz, Wemedge?”. Z Hadley prawie cały czas czuł się dobrze. Ona sama była dobra, silna, wierna i mógł na nią liczyć. Małżeństwo mogło im się udać, mieli takie same szanse jak wszyscy, ale co, jeśli małżeństwo niczego nie rozwiązuje i nikogo nie może uratować, nawet częściowo? Co wtedy?

Kiedy wypłynął na powierzchnię, znowu usłyszał głosy Dutcha i Lumana. Rozmawiali o głupotach, nic nie rozumieli. Nagle woda zrobiła się zimna. Spojrzał w czarny wir nieba, nabrał powietrza w płuca i ile sił popłynął do brzegu.

3 września 1921 roku wstał bezchmurny, ciepły i bezwietrzny. Liście zaczęły zmieniać kolor, ale nie czuło się tego nad jeziorem, które było ciepłe jak woda w brodziku. Ernest przyjechał do Horton Bay z samego rana, nachmurzony, po trzech dniach spędzonych na wędkowaniu z przyjaciółmi. Opalił sobie nos na czerwono i miał podkrążone oczy – ze zmęczenia, zmartwienia albo obu tych powodów naraz.

– Gotów? – spytałam, kiedy go zobaczyłam.

– Jak najbardziej – odparł. Blefował, ale czy ja nie blefowałam?

Czy to możliwe, żeby w dniu ślubu nie być przerażonym?

Ostatnie chwile wolności Ernest spędzał w domu przy Main Street w Horton Bay, pijąc whisky z drużbami, a ja po lunchu udałam się z Ruth i Kate, moimi druhnami, popływać w jeziorze.

Nielatwo przyszło mi skłonić Kate choćby do pojawienia się na ślubie. Korespondencja była trudna, na początku Kate nawet nie odpisywała. Wreszcie po wielu tygodniach przyznała: *Widzisz, kiedyś bardzo się w Erneście kochałam. Nie wiem, czemu nie byłam w stanie Ci tego powiedzieć, wiem tylko, że ciężko przeżyłam to, że się w Tobie zakochałam, i ogromnie się obawiałam, że będziecie się ze mnie śmiać.*

Czytając te słowa, poczułam gorące współczucie. Wiem dobrze, co znaczy miłość bez wzajemności. Kate okazała się prawdziwą przyjaciółką. Kochała Ernesta i straciła go przeze mnie, a jednak gotowa była bronić nas przed rodziną i przyjaciółmi.

Przepełniona podziwem, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie podpłynąć do niej i nie powiedzieć:

– Dobra z ciebie dziewczyna, Kate.

– Z ciebie też, Hash – odparła. Oczy miała pełne łez.

Gdybyśmy tylko mogły mieć przeczucie tego, że za osiem lat, w Paryżu, którego nawet nie umiałyśmy sobie wyobrazić, John Dos Passos padnie ofiarą błyskotliwości Kate i będzie ją niezmordowanie ścigał, póki Kate się nie zgodzi za niego wyjść za mąż! Fakt, że Dos był niemal tak przystojny i ważny dla literatury amerykańskiej, jak Ernest – osłodziłby ten przykry moment, ale przecież nigdy nie wiemy, co nas

czeka. Przyszłość skrywała zasłona, więc Kate tylko uśmiechnęła się słabo i schowała wśród trzciny.

Woda była ciepła i cudowna, pływałyśmy więc do trzeciej. O trzeciej nagle wpadłam w panikę, bo zdałam sobie sprawę, że nie zdążę wysuszyć włosów przed nabożeństwem. Popędziłyśmy do domu, związałam włosy kokardą i założyłam koronkową suknię w kolorze kości słoniowej. Leżała na mnie doskonale; pomyślałam, że może to zrekompensuje mokre włosy. Do niej miałam kremowe jedwabne buciki, wianek z kwiatów i spływający na plecy welon. W ręku gipsówka.

O wpół do piątej weszliśmy do kościółka, który Kate i Ruth udekorowały dzikimi liliami, niecierpkami i nawłocią z pobliskiej łąki. Promienie światła przesączały się przez okna, znacząc świetliste smugi na ścianach. Ernest i jego goście już byli. Fantastycznie wyglądali w białych spodniach i granatowych marynarkach. Ktoś kichnął. Pianista zaczął grać *Marsza weselnego* Wagnera, a ja ruszyłam środkiem nawy, wsparta na ramieniu George'a Breakera, starego przyjaciela rodziny. Miałam nadzieję, że mój brat Jamie przyjedzie z Kalifornii, żeby mnie poprowadzić do ołtarza, ale ciężko chorował na gruźlicę. Myślałam też o bracie matki, Arthurze Wymanie, który też niestety nie czuł się dobrze. Było mi przykro, że tak mało osób z rodziny mogło przyjechać, lecz w końcu czyż w ten właśnie dzień nie otrzymywałam nowej rodziny?

Idąc do ołtarza, minęłam Fannie, ubraną bardzo oficjalnie, w malutkim kapelusiku. Stojący obok niej Roland uśmiechnął się do mnie ciepło, a ich córka, Dodie, wyszczerzyła zęby i pokazała palcem Ernesta, któremu trzęsły się kolana. Czy to tylko zwykły napad tchórzostwa, czy też świadczy to o czymś poważniejszym? Szczerze wyznam, że nie miałam pojęcia, ale tak czy inaczej było za późno, żeby to roztrząsać. Zbyt późno, żeby się wycofać, nawet gdybym chciała. A wcale nie chciałam.

Uroczystość była piękna i wszystko poszło gładko. Gdy wyszliśmy z kościoła, świeciło popołudniowe słońce. Potem był obiad – kurczak i lepkie ciasto czekoladowe, a po nim sesja fotograficzna na podwórzu, przeciągająca się, ponieważ wszyscy mrużyli oczy oślepieni słońcem. W końcu Horney zaofiarował się, że zawiezie nas nad Jezioro Niedźwiedzie; miesiąc miodowy planowaliśmy spędzić w Windemere,

gdzie Hemingwayowie mieli letni dom. Rodzice Ernesta w prezencie ślubnym odstąpili nam go na dwa tygodnie. Zapadał zmrok, kiedy, otoczeni bagażem, siedzieliśmy w łodzi. Teraz, gdy już było po wszystkim, czuliśmy się trochę niepewnie we własnym towarzystwie.

– Jesteś szczęśliwa? – spytał cicho.

– Wiesz, że tak. Chyba nie musisz pytać?

– Ale pytam z radością. Chcę usłyszeć odpowiedź, mimo że ją znam.

– Może szczególnie dlatego? A ty jesteś szczęśliwy?

– Musisz pytać?

Roześmialiśmy się. Powietrze było wilgotne i nieruchome, pełne odgłosów nocnego życia, słyszeliśmy latające ptaki i nietoperze. Zanim dopłynęliśmy do płytkiej zatoczki w Windemere, zapadła kompletna ciemność. Ernest pomógł mi wygramolić się na piaszczysty brzeg i przytuleni ruszyliśmy drogą na wzgórze. Zapaliliśmy lampy i rozejrzeliśmy się po domu. Matka Ernesta wywoskowała wszystko na wysoki połysk, ale w pokojach było chłodno. Ernest otworzył butelkę wina, którą Grace zostawiła dla nas w lodówce, zapaliliśmy ogień w salonie i, ściągnąwszy materace z łóżek w sypialniach, ułożyliśmy je przed kominkiem.

– Fannie była dziś w wielkiej formie – zauważył Ernest. – Jak czułg!

– Biedna Fannie. Jej własne małżeństwo to kompletna klapa. Nic dziwnego, że jest tak krytyczna wobec nas.

– Dobrze z ciebie dziecko – powiedział, głaszcząc mnie po włosach, a mnie przypomniła się kąpiel w jeziorze.

– Kate była bardzo dzielna, prawda?

– Owszem, ale cieszę się, że to jest już za nami. – Wstał i poszedł włączyć światło. – Powinienem cię być uprzedzić, że sypiam przy świetle. Czy to ci nie przeszkadza?

– Chyba nie. A co się dzieje, jeśli nie zapalisz?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. – Wsunął się pod kołdrę i przytulił mnie mocno do siebie. – Kiedy leżałem ranny w szpitalu, a moja głowa była jeszcze w fatalnym stanie, bardzo mądry włoski oficer powiedział mi, że jedynym lekarstwem na tę dolegliwość jest małżeństwo.

– Żona miałaby się tobą zaopiekować? Ciekawy pogląd na małżeństwo.

– Zrozumiałem to inaczej, że jeśli będę się opiekował żoną – to znaczy tobą – mniej będę się koncentrował na sobie. Ale może to działa w obie strony.

– Na to liczę – powiedziałam.

Trzy podróżne zegary

Tykają

Na kominku

przecinek

*A młody człowiek głoduje**

E.H., 1921

Przecież nie głodujemy – powiedziałam, kiedy Ernest pokazał mi najnowszy wiersz.

– Może nie, ale nie jesteśmy też przy forsie.

Nasze pierwsze mieszkanie mieściło się w ciasnym i obskurnym dwupiętrowym budynku bez windy przy North Dearborn Street, w podejrzanej dzielnicy na North Side w Chicago. Nienawidziłam go, ale na nic innego nie było nas stać. Nasz roczny dochód wynosił około dwóch tysięcy dolarów – tyle dostawaliśmy z funduszu powierniczego założonego dla mnie przez dziadka. Po mamie dziedziczyłam drugie tyle, a może nieco więcej, ale sprawy spadkowe jeszcze nie były załatwione. Redagując „Co-Operative Commonwealth”, Ernest zarabiał niemal pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, lecz kilka tygodni po powrocie z miesiąca miodowego zrezygnował z tej pracy, ponieważ rozeszły się pogłoski, że gazeta jest zamieszana w rozmaite przekręty finansowe i wkrótce ogłosi upadłość. Ernest nie miał ochoty zbrukać się przy tej okazji. To zrozumiałe, szczególnie biorąc pod uwagę, że chciał zostać znanym pisarzem, ale nasz wyjazd do Włoch stał pod coraz większym znakiem zapytania.

Nędzne warunki mieszkaniowe nie martwiły Ernesta tak bardzo, jak mnie, ponieważ całe dni spędzał na pisaniu w restauracji albo kawiarni. Ja zaś siedziałam w mieszkaniu: dwa pokoje, łazienka w głębi

korytarza – i nie bardzo miałam się czym zająć. W innej sytuacji przyszłoby mi pewnie do głowy poszukać sobie jakiejś pracy, lecz do tej pory pracowałam jedynie jako wolontariuszka, a poza tym bardzo miałam ochotę zająć się domem. Brakowało mi energii, którą promieniowała „Siedziba” Kenleya, ale Kate wyjechała do szkoły dziennikarskiej w Buffalo, a stosunki między Ernestem i Kenleyem ostatnio były napięte. Ernest ciągle wisiał przyjacielowi należność za czynsz jeszcze z okresu sprzed ślubu, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej usztywniał stanowisko, twierdząc, że Kenley chce go okantować. Nie miał zamiaru płacić. Kenley był wściekły i w końcu przysłał list z informacją, żeby Ernest odebrał swoje rzeczy z przechowalni.

Ernest odpowiedział bardzo niegrzecznie, zrywając przyjaźń, jakby nic nie była warta. Wiedziałam, że cierpi z powodu własnych błędów i straty przyjaciela, lecz nie chciał się do tego przyznać. W tym okresie nie opuszczał go ponury nastrój. Kilka pism znowu odrzuciło opowiadania, co dodatkowo uraziło jego dumę. Kiedy pisał dorywczo i nie odnosił sukcesu – to było jedno. Ale ponosić klęski teraz, kiedy cały czas poświęcał rzemiosłu literackiemu – to całkiem inna sprawa. Jak to wróżyło na przyszłość?

W czasie naszych zalotów były naturalnie chwile, kiedy Ernest tracił zapał i nie mógł na siebie patrzeć. Ponury list od niego mógł sprawiać groźne wrażenie, ale po kilku dniach zły nastrój mijał i Ernest robił się pogodny i pozytywnie nastawiony do życia. Doświadczanie tej zmiany nastrojów z bliska było jednak znacznie bardziej męczące. Pierwszy raz wydarzyło się to wkrótce po naszym ślubie i, prawdę mówiąc, poruszyło mnie znacznie silniej, niż byłam skłonna przyznać.

Któregoś dnia wrócił z sesji pisarskiej w kawiarni w strasznym stanie. Twarz szara i wymizerowana, zmęczone oczy w różowych obwódkach. Pomyślałam, że jest chory, ale moje obawy zbył wzruszeniem ramion.

– Za bardzo się przepracowałam. Może się przejdziemy?

Był zimny listopad, jednak mimo to opatuliliśmy się i poszliśmy nad jezioro. Ernest milczał, a ja o nic nie pytałam. Zanim doszliśmy nad brzeg, zrobiło się szaro. Jezioro było wzburzone, a na jego środku

widzieliśmy odważnego – albo głupiego – wioślarza w łódce, która kiwała się niebezpiecznie, nabierając wody.

– Co by Darwin powiedział o tym baranie? – spytał Ernest, uśmiechając się do mnie.

– Ach! Już się martwiłam, że nie zobaczę tych ślicznych zębów.

– Przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje. – Zasłonił twarz dłońmi i westchnął. – Do licha – rzucił gwałtownie przez zaciśnięte zęby i z całej siły uderzył się pięścią w czoło.

– Erneście! – zawołałam, a on zrobił to znowu.

Rozplakał się, a przynajmniej tak mi się wydawało. W każdym razie nie odejmował rąk od twarzy.

– Powiedz, co się stało – szepnęłam. – Mnie możesz powiedzieć wszystko.

– Nawet nie wiem. Jestem kompletnym wrakiem. W nocy w ogóle nie mogłem usnąć.

– Żałujesz tego, że się ze mną ożeniłeś? – spróbowałam spojrzeć mu w oczy. – Jeśli tak jest, jakoś sobie z tym poradzę.

– Nie wiem. Jestem taki zagubiony. – Zaczął mocno trzeć oczy rękawami wełnianej marynarki. – Mam w nocy koszmary, wydają się takie rzeczywiste. Słyszę huk mózdzierzy, czuję krew w butach. Budzę się zlany potem i boję się znowu zasnąć.

Poczułam przyływ macierzyńskiej miłości, chciałam go wziąć w ramiona i tulić, póki zimno w jego sercu nie ustąpi.

– Chodźmy do domu – powiedziałam.

Wracaliśmy w milczeniu. Kiedy weszliśmy do mieszkania, zaprowadziłam Ernesta prosto do sypialni i rozebrałam go, tak jak robiła to mama, kiedy byłam chora. Otuliłam go kocami i wymasowałam ramiona i barki. Po kilku minutach zasnął. Sama zawinęłam się w koc i usiadłam na krześle w rogu, żeby nad nim czuwać. Dopiero wtedy poczułam ciężar troski. Taki zagubiony, powiedział, i rzeczywiście widziałam to w jego oczach, które przypominały oczy mojego ojca. Co to wszystko mogło znaczyć? Czy ten kryzys był związany z przeżyciami wojennymi? Czy od czasu do czasu prześladowały go te wspomnienia, czy też było to coś bardziej osobistego? Czy ten smutek był częścią Ernesta, tak samo jak smutek mojego ojca był jego częścią?

Ernest mruknął coś przez sen i odwrócił się do ściany. Owinęłam się ciaśniej kocem i spojrzałam na burzliwe listopadowe niebo za oknem. Zaczęło mocno padać. Miałam nadzieję, że ten biedny wioślarz zdołał dotrzeć do brzegu. A przecież nie każdy chce się uratować. Wiedziałam o tym dobrze od czasu śmierci Dorothei. Wtedy, w zatoce Ipswich, udało nam się z kolegą wyjść cało, bo po prostu mieliśmy szczęście. Gdyby wzburzone fale sięgnęły, by mnie pochłonąć – nie protestowałabym. Chciałam wtedy umrzeć, naprawdę, i nie tylko wtedy. Nie zdarzało się to często, ale jednak. Patrząc na Ernesta pogrążonego w niespokojnym śnie, zastanawiałam się, czy wszyscy doświadczyliśmy tego pragnienia. A jeśli udaje się nam przeżyć, to czy tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności?

Po kilku godzinach Ernest zbudził się i zawołał mnie w ciemności.

– Jestem tutaj – powiedziałam, podchodząc do łóżka.

– Przepraszam cię – szepnął. – Zdarza mi się to czasami, lecz nie chcę, żebyś myślała, że wychodząc za mnie, zrobiłaś kiepski interes.

– Co to wywołuje?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, po prostu mnie nachodzi.

Położyłam się spokojnie obok i gładząc go delikatnie po włosach, słuchałam opowieści.

– Kiedy zostałem ranny, przez jakiś czas te ataki były bardzo silne. W ciągu dnia, kiedy coś robiłem, łowiłem ryby, pracowałem, cokolwiek – jakoś to znosiłem. Albo w nocy, jeśli miałem zapalone światło i mogłem zająć czymś myśli, póki nie zapadłem w sen. Wymieniałem wszystkie rzeki, nad którymi kiedykolwiek byłem. Albo wyobrażałem sobie miasto, w którym kiedyś mieszkałem, i przywoływałem w myślach wszystkie ulice, dobre knajpy, ludzi, których tam spotkałem, i wspominałem to, co powiedzieli. Ale kiedy było ciemno i cicho, przypominały mi się rzeczy, które chciałem wyrzucić z głowy. Wiesz, jak to jest?

– Trochę wiem – mruknęłam, przytulając go mocno. – I się tego boję. Nigdy nie zgadłam, że tato był tak nieszczęśliwy, a potem go już nie było. To wszystko go przerosło. – Urwałam, zastanawiając się, jak wyrazić to, co chcę przekazać. – Czy będziesz wiedział, kiedy zaczyna

cię przerastać? To znaczy, zanim będzie za późno?

– Chcesz, żebym ci obiecał?

– A możesz?

– Chyba tak. Spróbuję.

Jacy oboje byliśmy naiwni. Szukaliśmy nawzajem w sobie oparcia, składając obietnice, których nie mogliśmy dotrzymać i których nie należało wypowiadać na głos. Miłość czasem taka jest. Kochałam go bardziej niż kogokolwiek w moim życiu. Wiedziałam, że on mnie potrzebuje, i chciałam, żeby się to nigdy nie zmieniło.

Ze względu na Ernesta próbowałam być silna, ale w Chicago nie było mi łatwo. Jego zaabsorbowanie pracą uświadomiło mi jasno, że nie mam własnej pasji. Grałam, bo zawsze to robiłam, ale nie na zgrabnym steinwayu z mojego dzieciństwa, tylko na wypożyczonym pianinie, a przeraźliwe przeciągi w mieszkaniu szybko rozstrajały instrument. Nie miałam już żadnych przyjaciół w Chicago, więc mijały tygodnie, w których mogłam się odezwać tylko do Ernesta i pana Minello, właściciela pobliskiego sklepu warzywniczego. Co dzień po południu chodziłam na targ i siadałam, żeby sobie z nim porozmawiać. Czasami robił mi herbatę – miał mocną mieszankę, pachnącą grzybami i popiołem – i gadaliśmy jak przekupki. Był wdowcem, łagodnym człowiekiem, który potrafił rozpoznać samotną kobietę.

To właśnie pan Minello pomógł mi zaplanować pierwszy proszony obiad, dla Sherwooda Andersona i jego żony, Tennessee. Kenley przedstawił Ernesta Andersonowi na wiosnę, zanim się poróżnili. *Miasteczko Winesburg* było jeszcze na ustach wszystkich i Ernest nie chciał uwierzyć, że Anderson zgodził się z nim spotkać, a tym bardziej – przeczytać jego opowiadania. Anderson uważał, że są obiecujące, i zaproponował, że w miarę swoich możliwości pomoże mu wystartować. Niestety, wkrótce razem z żoną wyjechali na długo do Europy. Wrócili krótko przed tym, kiedy Ernest spotkał ich i zaprosił na obiad. Cieszyłam się na myśl o tym spotkaniu, ale również nieco panikowałam. Nasze mieszkanie wyglądało strasznie, nie wiedziałam, jak temu zaradzić.

– Daj nisko lampy – poradził pan Minello, próbując mnie uspokoić. – Możesz zaoszczędzić na świecach, ale nie na winie. I podaj

coś w sosie śmietanowym.

Nie byłam dobrą kucharką, lecz wieczór minął bez wpadki. Anderson z żoną mieli doskonałe maniery i udawali, że nie widzą obskurności naszego mieszkania. Od razu polubiłam oboje, a szczególnie Andersona, który miał ciekawą twarz. Wydawała się zupełnie bez wyrazu, zwykła twarz ze Środkowego Zachodu, która niekiedy nabierała dramatyzmu nadającego rysom cudownej wyrazistości i ładunku emocjonalnego. Kiedy przy obiedzie zaczął opowiadać o Paryżu, był niemal wspaniały.

– A co pan powie o Rzymie? – spytał Ernest, wspominając o naszych planach przeniesienia się do Włoch.

– Rzym może się podobać – odparł Anderson, wydmuchując dym z papierosa – *la dolce vita* i tak dalej. Co we Włoszech może się nie podobać? Ale jeśli chce pan poważnie popracować, to należy jechać do Paryża. Wszyscy pisarze tam ciągną. Kurs dolara jest korzystny. O każdej porze jest co robić. Wszystko jest ciekawe i każdy coś może wnieść. Paryż, Hem, pomyśl o tym.

Kiedy w nocy wślizgnęliśmy się do zimnego łóżka, przytulając się, żeby ogrzać stopy i ręce, Ernest spytał mnie, co o tym myślę.

– Możemy tak szybko się przestawić? Mieliśmy tyle szczegółowych planów.

– Rzym nie ucieknie, ale Paryż... Chcę iść z prądem. Anderson wie, co mówi, a jeśli twierdzi, że powinniśmy jechać do Paryża, to trzeba przynajmniej poważnie się nad tym zastanowić.

Ciągle tak bardzo brakowało nam pieniędzy, że problem wydawał się czysto teoretyczny, ale wkrótce dowiedziałam się, że zmarł mój wuj Arthur Wyman i zostawił mi w spadku osiem tysięcy dolarów. Od jakiegoś czasu chorował, jednak nie spodziewałam się żadnego spadku. Odziedziczona suma była tak duża – dla nas fortuna – że w jednej chwili mogliśmy się zdecydować na wyjazd za granicę. Jak tylko się o tym dowiedzieliśmy, Ernest poszedł do Sherwooda i powiedział, że myślimy o Paryżu. Czy mógłby nam jakoś pomóc na początek? Czy wie, gdzie powinniśmy się zatrzymać? W jakiej dzielnicy? Jak tam się obracać?

Anderson odpowiedział na wszystkie pytania. Najlepsze miejsce w Paryżu to Montparnasse, dzielnica pisarzy i artystów. Póki nie

znajdziemy mieszkania, powinniśmy się zatrzymać w hotelu „Jacob” położonym w bok od rue Bonaparte. Był czysty i niedrogi i w pobliżu mieszkało wielu amerykańskich intelektualistów. Potem Anderson usiadł przy biurku i napisał listy polecające do kilku słynnych ekspatriantów, z którymi się tam zaprzyjaźnił, w tym do Gertrudy Stein, Jamesa Joyce’a, Ezry Pounda i Sylvii Beach. Wszyscy albo już byli w panteonie pisarzy, albo wkrótce do niego weszli, ale wtedy nie byliśmy tego świadomi. Ernest podziękował za pomoc i wrócił do domu, aby odczytać mi w ciemnej kuchni każdy z listów polecających. We wszystkich Anderson pisał to samo, że Ernest Hemingway jest wprawdzie jeszcze niezbyt doświadczonym, ale za to doskonałym dziennikarzem, którego „niepospolity talent” niewątpliwie zaprowadzi go daleko poza dziennikarstwo.

Już w łóżku, gdy snuliśmy marzenia o Paryżu, szepnęłam Ernestowi do ucha:

– Czy to ty jesteś tym znakomitym młodym pisarzem, o którym tyle słyszałam?

– Mam nadzieję – powiedział i mocno mnie ścisnął.

8 grudnia 1921 roku, kiedy „Leopoldina” odbiła od brzegu i ruszyła do Europy, byliśmy na pokładzie. Nasze wspólne życie dopiero się zaczynało. Trzymając się za ręce, spoglądaliśmy na morze. Było niewiarygodnie wielkie i w takim samym stopniu piękne, jak niebezpieczne – a my pragnęliśmy i jednego, i drugiego.

* Cyt. za: C. Baker, *Ernest Hemingway. Historia życia*, przeł. Bronisław Zieliński, Warszawa 1999.

Nasze pierwsze mieszkanie w Paryżu mieściło się przy rue du Cardinal Lemoine pod numerem 74. Były to dwa pokoje w dziwnym kształcie na czwartym piętrze w budynku obok sali, w której odbywały się potańcówki, *bal musette*, gdzie o każdej porze można było kupić żeton i poprzebierać nogami w takt żwawej melodii wydobywającej się z rzeźącego akordeonu. Anderson radził Montparnasse, ale nie stać nas było na tę dzielnicę ani na żadne inne modne miejsce. Mieszkaliśmy w starej części Paryża, w Piątej Dzielnicy, z dala od turystów, dobrych kawiarni i restauracji, pełnej za to paryskich robotników popychających wyładowane wózki, prowadzących kozy na sznurku, niosących na ramieniu kosze z owocami i wyciągających ręce po datek. Tylu mężów i synów zginęło na wojnie, że zostały głównie kobiety, dzieci i starcy, i to działało bardzo otrzewiająco. Ulica wyłożona kocimi łbami wiła się od mostu Sully na Sekwanie i kończyła się na place de la Contrescarpe, placu śmierdzącym pijakami wylewającymi się z pobliskich bistr i śpiącymi w bramach. Widziało się stertę ubrań, a nagle sterta poruszała się i okazywało się, że to jakiś biedak przesypiał kaca. Wąskimi uliczkami wokół placu przemieszczali się węglarze domokrażcy, którzy z monotonnym śpiewem dźwigali na ramionach brudne worki węgla w brykietach. Ernest od pierwszej chwili zakochał się w tej okolicy, a ja czułam się zawiedziona i tęskniłam za domem.

Mieszkanie wynajęliśmy razem z umeblowaniem, na które składały się brzydki dębowy stół z krzesłami i potężne łóżko malowane na mahoń ze złożonymi ozdóbkami. Materac był wygodny, co nie dziwiło, bo Francuzi w łóżku robią wszystko: jedzą, pracują, śpią i się kochają. Materac zaakceptowaliśmy jako jedną z niewielu rzeczy w pokoju, może jeszcze poza czarnym kominkiem w sypialni.

Natychmiast przystąpiliśmy do przemeblowywania mieszkania. Stół przenieśliśmy do sypialni, a w jadalni postawiliśmy wynajęte pianino. Kiedy tego dokonaliśmy, Ernest usiadł przy stole i zaczął pisać list do rodziny niespokojnie oczekującej na wieści od nas, a ja zabrałam się do rozpakowywania chińskiej porcelany, którą dostaliśmy w prezencie ślubnym, i kilku innych rzeczy, które lubiliśmy i zabraliśmy

ze sobą, na przykład kompletu do herbaty w łososiowe róże w wianuszku liści od Fannie i Rolanda. Trzymając w dłoniach imbryk i zastanawiając się, gdzie go umieścić w małej, staroświeckiej kuchni, poczułam nagle taką tęsknotę za domem, że się rozplakałam. Nie tyle brakowało mi St. Louis, ile domu w szerszym pojęciu: ludzi i rzeczy, które znam i kocham. Pomyślałam o szerokim ganku w naszym rodzinnym domu przy Cabanné Place, gdzie mieszkaliśmy przed samobójstwem ojca, o skrzypiącej huśtawce, na której leżałam z głową na poduszce i oczami utkwionymi w boazerii. W jednej chwili tak się rozkleiłam, że musiałam odłożyć imbryk, żeby nie wyleciał mi z rąk.

– Czy to moja ptaszyna tak kwili? – spytał Ernest z sypialni.

– Tak, to ja – powiedziałam. Podeszłam do niego i objąwszy ramionami, wtuliłam mokrą twarz w jego kołnierzyk.

– Biedny zmokły kociak. Czuję tę wilgoć.

Stół stał pod wąskim oknem, przez które widzieliśmy sąsiednie domy, sklepy i nic więcej. Za pięć dni przypadało Boże Narodzenie.

– Kiedy byłam mała, mama wieszała gałązki ostrokrzewu w salonie w oknach z czerwonymi szybkami. W świetle słonecznym albo przy świecach dekoracje wyglądały, jakby płonęły. To było prawdziwe Boże Narodzenie.

– Nie mówmy o tym – powiedział i objął mnie. Moją głowę położył sobie na piersi w miejscu, o którym wiedział, że czuję się najbezpieczniejsza. Przez ściany słyszeliśmy akordeon z sali tanecznej i zaczęliśmy się poruszać w rytm melodii.

– Przyzwyczajmy się, zobaczysz – mruknął.

Kiwnęłam głową, nie odrywając jej od jego piersi.

– Może powinniśmy teraz wyjść i kupić prezenty do skarpet świątecznych? To pocieszy moją kotkę.

Zgodziłam się z tym i wyszliśmy na zakupy. Na każdym półpiętrze znajdowała się wspólna toaleta, z której korzystało się, stając na specjalnych łapach. Zapach był straszny.

– Barbarzyństwo – powiedziałam. – Na pewno musi być lepszy system.

– Lepsze to niż sikanie przez okno – skomentował Ernest.

Wyszędłszy na ulicę, skręciliśmy w lewo i poszliśmy uliczką

prowadzącą w dół. Zatrzymaliśmy się w drzwiach sali tanecznej i zajrzeliśmy do środka, gdzie dwóch marynarzy sprośnie ocierało się o dwie dziewczyny, obie niewiarygodnie chude i mocno umalowane. W górze ponad nimi rząd wiszących cynowych lampionów rzucał ruchome cienie, od których wirowała cała sala.

– Jak w karnawale – skomentowałam.

– Chyba nie przeszkadza, jak się jest pijanym – powiedział i szybko się zgodziliśmy, że wszystko wyglądałoby lepiej, gdybyśmy sami się upili.

Nie znaleźmy jeszcze dobrze okolicy, ale poszliśmy określną trasą, kierując się mniej więcej w kierunku Sekwany. Minęliśmy Sorbonę i Odéon-Théâtre, i w końcu znaleźliśmy się koło „Pré aux Clercs”, zachęcająco wyglądającej kawiarni przy rue des Saints-Pères. Wszedłszy do środka, usiedliśmy przy stoliku w pobliżu jakichś studentów medycyny, Brytyjczyków, którzy z poważnymi minami rozprawiali na temat wpływu alkoholu na wątrobę. Najwyraźniej niedawno mieli bliskie spotkanie z nieboszczykiem.

– Możesz dostać moją wątrobę, gdy nie będzie mi już potrzebna – zażartował Ernest – ale nie dzisiaj.

Kiedy wyjeżdżaliśmy ze Stanów, prohibicja była w pełni rozkwitu, więc – choć wcale pod jej wpływem nie piliśmy mniej (chyba nikt nie pił mniej) – z ulgą powitaliśmy możliwość legalnego kupowania i picia alkoholu. Zamówiliśmy pernod, który po dodaniu wody i cukru z zielonego robił się upiornie bładny, i próbowaliśmy przy nim zapomnieć o obiedzie – nieapetycznym *coq au vin* z szarymi plastrami marchwi pływającymi w bulionie.

– Na Boże Narodzenie nie powinno się wyjeżdżać z domu. Powinniśmy mieć choinkę i ostrokrzew, i tłustego indyka w piekarniku – powiedziałam.

– Może, ale w zamian mamy Paryż. A tego chcieliśmy.

– Owszem. Ale któregoś dnia wrócimy do domu, prawda?

– Pewnie, że wrócimy – zgodził się Ernest, lecz w jego oczach pojawiło się wspomnienie. Albo troska. – Najpierw jednak musimy nauczyć się żyć tutaj. Myślisz, że nam się uda?

– Na pewno – zablefowałam.

Za oknami kawiarni były mroczno i pusto. Ulicą przeciągnął tylko koń zaprzężony do wozu z nieczystościami.

Ernest dał znak kelnerowi, żeby przyniósł jeszcze dwa kieliszki pernodu, i zabraliśmy się do picia na poważnie. Zanim zamknęli kawiarnię, byliśmy tak ululani, że musieliśmy się wzajemnie podtrzymywać, żeby się nie przewrócić. Droga pod górę była znacznie trudniejsza niż w dół, szczególnie w naszym stanie, ale jakoś powoli się posuwaliśmy, zatrzymując się na krótkie odpoczynki w bramie, a czasami na pijacki pocałunek. W Paryżu nikt na to nie zwracał uwagi.

W domu oboje zwymiotowaliśmy do nocnika. Kiedy kładliśmy się spać, z sali tanecznej nadal dochodziły pijackie ryki, a akordeon rządził gorączkowo. Cali wilgotni, starając się powstrzymać uczucie mdłości, leżeliśmy zetknięci czołami i z szeroko otwartymi oczami, żeby świat przestał szaleńczo wirować. Kiedy zasypialiśmy, powiedziałam:

– Na pewno będziemy to pamiętać. Kiedyś powiemy sobie, że akordeon jest dźwiękiem naszego pierwszego roku w Paryżu.

– Akordeon, dziwki i rzyganie – to nasza muzyka.

Przez większość stycznia padało, a kiedy deszcze minęły, zrobiło się pogodnie, ale dotkliwie zimno. Początkowo Ernestowi wydawało się, że pisać może wszędzie, ale po kilku tygodniach pracy w ciasnym mieszkaniu, w którym nie mógł zapomnieć o mojej obecności, wynajął pokój w pobliżu, przy rue Descartes. Za sześćdziesiąt franków miesięcznie dostał pomieszczenie na poddaszu, niewiele większe niż toaleta, ale dla niego doskonałe. Nie chciał, by cokolwiek rozpraszało jego uwagę, toteż niczego takiego tam nie było. Z okna miał widok na nieładne dachy i kominy. Było zimno, ale chłód pozwalał się skupić, a jeśli chciał, mógł sobie zagrzać ręce nad kozą, w której paliło się wiązkami gałązek.

Wypracowaliśmy sobie porządek dnia. Wstawaliśmy rano i myśliśmy się, nie rozmawiając, ponieważ Ernest już pracował – w myślach. Po śniadaniu wychodził w podniszczonej kurtce i dziurawych tenisówkach. Szedł do swojej dziupli i cały dzień walczył z jednym zdaniem. Kiedy było zbyt zimno, żeby pracować, albo miał zbyt mroczny nastrój, chodziliśmy na długie spacery ulicami lub do Ogrodu Luksemburskiego. Przy boulevard Montparnasse mieściło się

wiele kawiarni – „Dôme”, „Ronde”, „Select” – gdzie artyści emigranci brylowali, gadali bzdury i spijali się do nieprzytomności. Ernest był nimi zniesmaczony.

– Dlaczego co druga osoba, którą się spotyka, przedstawia się jako artysta? Prawdziwy artysta nie musi się tym przechwalać, nie ma na to czasu. Mozoli się nad swoim dziełem w ciszy i nikt nie może mu w tym pomóc.

Rozumiałam, naturalnie, że przesiadywanie całymi dniami w kawiarniach nie jest pracą, ale zastanawiałam się, czy wszyscy traktują swoje rzemiosło z taką powagą i nieugiętością, jak Ernest. Wyobrażałam sobie, że na pewno jest mnóstwo pisarzy, którzy pracują w domu i nie przeszkadza im, na przykład, rozmowa przy śniadaniu. Którzy potrafią spać całą noc bez nerwowego chodzenia po sypialni i pisania w notesie przy chwiejnym płomyku świecy. Cały dzień tęskniłam za Ernestem, ale on nie wyglądał, jakby tęsknił za mną, przynajmniej tak długo, jak długo zajęty był pracą. Kiedy potrzebował kontaktu, szedł w odwiedziny do Cézanne’ów i Monetów w Muzeum Luksemburskim, wierząc, że oni już osiągnęli to, do czego on dopiero dąży – sprowadzenia miejsc, ludzi i przedmiotów do ich zasadniczych cech. Rzeka Cézanne’a była gęsta i brunatna – i tym bardziej rzeczywista. Właśnie do tego zmierzał Ernest – a czasami droga do celu była bardzo powolna. Wiele razy wracał do domu wyczerpany, pokonany, jakby cały dzień nosił worki z węglem, a nie walczył ze słowami.

Kiedy Ernest pracował, zajmowałam się domem, ścieliłam łóżko, zamiatałam i odkurzałam, zmywałam naczynia po śniadaniu. Później szłam po zakupy, szukając okazji. Mimo że Hale, otwarty targ zwany brzuchem Paryża, leżały daleko od nas, po drugiej stronie Sekwany, to lubiłam tam chodzić. Kochałam labirynt stoisk z produktami bardziej egzotycznymi niż cokolwiek, co widziałam w Ameryce. Różne rodzaje dziczyzny: sarnina, mięso z dzika, stopy zajęcy z miękkim futrem. Zwierzyńkę wystawiano w całości, z kopytami, kłami i sierścią, tak że wiadomo było, na co się patrzy. Choć robiło mi się smutno na myśl, że jeszcze niedawno te zwierzęta biegały po polach i podwórkach, w samej różnorodności i obfitości jadalnych rzeczy leżących na stołach było coś niemal pięknego. Czasami nawet nie siliłam się, aby zgadnąć,

jak to się przyrządza – na przykład nieoskubane bażanty czy gęsi albo leżące dziesiątkami w koszach małe bure ptaszki, których nazwy nie znałam. Oglądałam to wszystko, zanim poszłam do stoisk z warzywami i owocami. Zawsze na targu spędzałam dużo czasu, podziwiając stopy porów, dyni, pomarańczy, fig i jabłek.

W uliczkach za targiem zawsze stały skrzynki z gnijącymi owocami i mięsem. Roilo się tam od szczurów i gołębi, które przepędzały się wzajemnie, brutalnie dziobiąc się oraz gubiąc pióra i pchły. Tak to naprawdę wyglądało, a choć życie z Ernestem nauczyło mnie większej tolerancji dla rzeczywistości, to jednak czasem robiło mi się niedobrze. Przypominało to wpatrywanie się w rynsztok na place de la Contrescarpe, do którego z wózków sprzedawców kwiatów spływała woda zabarwiona na różne kolory; krótki, fałszywy moment luksusu, a pod spodem brzydota. Co powiedział Ernest wtedy w Chicago? Miłość to piękny łgarz? Samo piękno też było kłamstwem. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam szczury, chciałam rzucić kosz i uciec, ale za mało mieliśmy pieniędzy na teatralne gesty. Zatem spokojnie odeszłam.

Uliczkami biegnącymi z Hal ruszyłam w kierunku rzeki. Koło Nowego Mostu nabrzeże było surowe i imponujące. Cienki płaszcz przewiewał zimny wiatr, ale zaraz po drugiej stronie mostu była oaza – Wyspa Świętego Ludwika z pięknie zachowanymi domami i eleganckimi ulicami. Szłam brzegiem wyspy tak długo, aż natrafiłam na park z bezlistnymi kasztanowcami, a potem zeszłam po stopniach do rzeki. Wędkarze zakładali przynętę na *goujons**, które smażyli na miejscu. Kupiłam kilka rybek owiniętych w gazetę i usiadłam na murku, przyglądając się barkom płynącym pod mostem Sully. Ryby były chrupkie, pokryte cienką warstwą soli, i pachniały tak zwyczajnie i apetycznie, że pomyślałam: ten zapach może uratować mi życie. Choćby przez chwilę.

* *Goujons* – kielbie.

Jest piękny do bólu – powiedział Ernest któregoś dnia wieczorem, kiedy szliśmy coś zjeść do restauracji, do której ostatnio często zaglądaliśmy, przy rue des Saints-Pères. – Zakochałaś się w nim?

Nie, jeszcze nie – ale podziwiałam go. Chodząc wówczas najpiękniejszymi ulicami Paryża, miało się wrażenie, że otworzyły się drzwi do surrealistycznego cyrku, tak że o każdej porze można było oglądać jego wspaniałości i dziwy. Po wymuszonej surowości czasu wojny, kiedy padł przemysł tekstylny, a wielcy krawcy zamknęli swoje salony, teraz ulice Paryża zalewały kolorowe jedwabie: zielone, błękitne, oranżowe i złote. Zainspirowany orientálną modą rosyjskiego baletu, Paul Poiret ubierał kobiety w spódnico-spodnie, frędzlaste turbany i sznury pereł. Kontrastowa Chanel zaczynała wyrabiać sobie markę i wśród tej orgii kolorów rzucały się w oczy geometryczne plamy czerni. Coraz częściej *chic* oznaczało fryzurę na chłopaka, pomalowane paznokcie i niesłychanie długie cygarniczki. Oraz szczupłą, niemal wychudzoną figurę – ale ja taka nie byłam. Nawet kiedy chodziłam głodna, miałam zaokrągloną buzię i pulchne ręce. Na ubraniu nie zależało mi na tyle, by się zastanawiać, w czym dobrze wyglądam. Kupowałam rzeczy najprostsze i niewymagające specjalnego zachodu, długie wełniane spódnice, obszerne swetry i kapelusze w kształcie hełmu. Ernest nie miał nic przeciwko temu. Jeśli w ogóle zwracał na te sprawy uwagę, to wtedy, gdy śmieszyły go wystrojone kobiety. Może dlatego, że wołał prostotę – dobre, zwykłe jedzenie, wiejskie wino, wieśniaków z nieskomplikowanym systemem wartości i takimż językiem.

– Chcę napisać jedno prawdziwe zdanie – powiedział. – Jeśli co dzień napiszę jedno zdanie, proste i prawdziwe, będę zadowolony.

Odkąd przyjechaliśmy do Paryża, dobrze mu się pracowało, kontynuował opowiadanie *W Michigan*, które zaczął podczas naszego miesiąca miodowego w Windemere. Przedstawiało historię kowala i pokojówki z Horton Bay, którzy się spotykają i odkrywają się erotycznie. Odczytał mi fragmenty z początku, opisy miasta, domów, jeziora i piaszczystej drogi, gdzie próbował osiągnąć czystość i prostotę

taką, jaką pamiętał, a mnie uderzyło to, jakie to było prawdziwe i surowe.

Ambicje zawodowe Ernesta były niezwykle silne i wszechogarniające. Pisanie zastępowało mu religię – a mimo to nie mógł się zdecydować, by wysłać polecające listy od Sherwooda Andersona do znanych amerykańskich emigrantów mieszkających w Paryżu. Zgadywałam, że bał się odrzucenia. Czuł się lepiej wśród paryskich robotników, z którymi łatwo nawiązywał kontakt. Nie znałam dobrze francuskiego, ale Ernest podczas wojny podłapał trochę kolokwialnego języka, którym mógł na ulicy rozmawiać z kucharzami, tragarzami i mechanikami. Wśród nich mógł się czuć swobodnie.

Tego dnia po kolacji mieliśmy się spotkać z pisarzem Lewisem Galantière'em, przyjacielem Sherwooda. Lewis pochodził z Chicago, a teraz pracował w Międzynarodowej Izbie Handlowej. Znany był z wyrafinowanego smaku. Jego mieszkanie przy rue Jean-Goujon było pełne drogich antyków i sztychów, które Ernest dokładnie mi opisał po powrocie do domu z pierwszego spotkania.

– Wszystkie stoły i krzesła mają cienkie, patykowate nogi. Zanadto pedantyczny jak dla mnie, ale widać, że ma styl.

Przed spotkaniem z Galantière'em trochę się niepokoilałam, ponieważ w najmniejszym stopniu nie byłam elegancka i w Paryżu czułam się obco. Jeśli paryżanki były pawiami, to ja – zwykłą kurą. Niedawno uległam modzie i ścięłam włosy – pewnie jako ostatnia Amerykanka – i fatalnie się czułam w nowej fryzurze. Przypominałam pucołowatego chłopca, a choć Ernestowi tak się podobałam, za każdym razem, kiedy widziałam się w lustrze, chciało mi się płakać. Może wcześniej byłam niemodna i zaniedbana, ale włosy były moje własne – to byłam cała ja. A kim byłam teraz?

Lewis zaprosił nas na obiad do „Michauda”, modnej restauracji, do której do tej pory tylko zaglądałam przez okna. Kiedy przyszliśmy, zatrzymałam się w drzwiach i bezskutecznie próbowałam poprawić suknię. Ernest nawet nie zauważył mojego skrępowania. Biorąc mnie pod ramię, popchnął mnie delikatnie ku Lewisowi, mówiąc:

– To ta świetna dziewczyna, o której tyle ci opowiadałem.

– Hadley, jestem zaszczycony – powiedział Lewis, a ja spiekłam

raka. Nadal czułam się zażenowana, ale jednocześnie uradowana tym, że Ernest jest ze mnie dumny.

Lewis miał dwadzieścia sześć lat, był szczupły i niezwykle czarujący. Potrafił zdumiewająco wiernie i śmiesznie naśladować ludzi, ale kiedy sparodiował Jamesa Joyce'a, nie poznaliśmy go. Wprawdzie kilka razy widzieliśmy Joyce'a na ulicy Montparnasse'u, ze starannie przyczesanymi włosami, w okularach bez oprawek i bezkształtnym płaszczu, ale nigdy nie słyszeliśmy, jak mówi.

– On naprawdę mówi – upierał się Lewis – ale tylko pod przymusem. Powiadają, że ma kilkaset dzieci.

– Widziałam dwie dziewczynki – wtrąciłam.

– Dwie czy dwieście, w Paryżu to żadna różnica, prawda? Podobno nie ma z czego ich wyżywić, ale jeśli w jakikolwiek dzień tygodnia wpadniecie do „Michauda” równo o piątej, to zobaczycie, że jest tam z całą swoją trzódką i zażerają się ostrygami.

– Wszyscy twierdzą, że *Ulisses* jest znakomity – powiedział Ernest. – Czytałem tylko kilka odcinków drukowanych w gazecie. To nie jest to, do czego przywykłem, ale widać, że pojawiło się coś istotnego.

– Błyskotliwa książka – przyznał Lewis. – Jeśli wierzyć Poundowi, Joyce zmieni wszystko. Byliście już w pracowni u Pounda?

– Wkrótce planujemy – odparł Ernest, choć jeszcze nie wysłał mu listu polecającego.

– Człowieku, musisz tam iść. Nie wszyscy go trawią, ale koniecznie trzeba go poznać.

– Z czym jest kłopot? – zaciekałam się.

– Z nim samym – roześmiał się Lewis. – Zobaczycie zresztą. Jeśli Joyce to spokojny profesorek w wytartym płaszczu i z laseczką, to Pound jest diabłem, przemądrzałym i trochę szalonym na punkcie książek i sztuki.

– Osobiście spotkałem diabła – powiedział Ernest, dopijając wino – ale sztukę miał w nosie.

Pod koniec wieczoru, już w naszym mieszkaniu, kiedy byliśmy kompletnie pijani, Ernest próbował namówić Lewisa na boks.

– Pół rundki, dla zabawy – kusił, rozbierając się do pasa.

– Nigdy nie lubiłem się bić – protestował Lewis, ale po kilku

koktajlach w końcu się poddał. Powinnam była go uprzedzić, że niezależnie od tego, co mówił, dla Ernesta sport nie jest nigdy sprawą drugorzędną. Pamiętam jego wzrok wtedy w Chicago, kiedy niemal rozłożył Dona Wrighta na łopatki na podłodze salonu. Ten mecz miał identyczny przebieg. Przez kilka minut miła zabawa, mężczyźni w pozycjach wyjściowych, przygarbieni, z ugiętymi kolanami i wysuniętymi pięściami. Wyraźnie widać było, że Lewis nie jest wysportowany, więc myślałam, że Ernest zrezygnuje z walki.

Tymczasem, bez najmniejszej prowokacji, zadał mu silny cios prosty.

Głowa Lewisa odskoczyła, okulary poleciały do kąta i rozbiły się, a twarz była w kilku miejscach zadraśnięta.

Podbiegłam zaniepokojona, ale okazało się, że Lewis się śmieje. Ernest też zaczął się śmiać i wszystko dobrze się skończyło. Nie potrafiłam się jednak opędzić od myśli, że byliśmy o krok od utraty jedyne go przyjaciela, jakiego mieliśmy w Paryżu.

Lewis w końcu zdołał nakłonić Ernesta, żeby wysłał listy polecające, i wkrótce nadeszło zaproszenie od Ezry Pounda. Pound nie był jeszcze bardzo znany w Stanach, chyba że ktoś interesował się poezją i czytał magazyny literackie, takie jak „Dial” i „Little Review”, lecz w Paryżu cieszył się reputacją znakomitego poety i krytyka, który przykłada się do zrewolucjonizowania współczesnej sztuki. Nie wiedziałam prawie nic o tych współczesnych produkcjach – jak Ernest lubił podkreślać, nadal czytałam staroświeckiego Henry’ego Jamesa – ale Lewis opowiadał tyle miłych rzeczy o angielskiej żonie Pounda, Dorothy. Miałam ochotę ich poznać i kiedy Pound zaprosił Ernesta na podwieczorek, z radością zgodziłam się mu towarzyszyć.

Dorothy przywitała nas w drzwiach i poprowadziła do pracowni, wielkiego pokoju, w którym wiecznie panowały przeciągi, pełnego japońskiej grafiki i malarstwa na zwojach, zawalonego książkami. Była piękną kobietą, z wysokim czołem i cerą jak chińska laleczka. Ręce miała blade i szczupłe i mówiła półgłosem. Zaprowadziła nas do Pounda siedzącego w fotelu obitym krwistoczerwonym adamaszkiem pod półkami zastawionymi zakurzonymi woluminami i brudnymi filizankami, ryzami papieru i egzotycznymi figurkami.

– Pani jest ruda – powiedział do mnie Pound, kiedy tylko Dorothy

nas przedstawiła.

– Podobnie jak pan. Czy to dobrze wróży?

– Nikt nie jest tak pamiętliwy, jak rudzielec – mruknął z powagą w głosie, a zwracając się do Ernesta, dodał: – Niech pan o tym nie zapomina, panie Hemingway.

– Nie zapomnę, sir – odparł Ernest grzecznie, jak posłuszny uczeń.

I faktycznie Ernest został uczniem Pounda; stało się to w momencie, kiedy się tylko ujrzeni. Pound potrafił z miejsca rozpoznać osobę spragnioną wiedzy i czarował Ernesta, mówiąc bez przestanku. Dorothy zabrała mnie do drugiego kąta pracowni, oddalonego od zajętych sobą mężczyzn. Usiadłyśmy do herbaty, przy której opowiedziała mi o swojej słynnej rodzinie.

– Na nazwisko mam Shakespear, ale bez końcowego „e”. Mój ojciec był potomkiem wielkiego dramaturga.

– A dlaczego bez „e”?

– Pojęcia nie mam. Ale prawdę mówiąc, bardziej pasuje do cyganerii artystycznej. Choć jeśli o to chodzi, to nie potrzebuję żadnych rekomendacji. Moja matka przez jakiś czas cieszyła się dwuznaczną sławą kochanki Williama Butlera Yeatsa. Dzięki temu właśnie poznałam Ezrę, był asystentem Yeatsa. Z taką historią rodzinną powinnam chyba pisać wiersze, ale zamiast sama parać się literaturą, wyszłam za poetę.

– W szkole trochę czytałam Yeatsa, okraszonego Robertem Browningiem i Oliverem Wendellem Holmesem. Ernest pokazał mi *Drugie przyjście* w czasopiśmie. Oboje byliśmy pod wrażeniem.

– Najlepsze są te niezaangażowane, a najgorsze ociekają namiętnością. – I dodała: – Ciekawa jestem, jak wujek Willy czułby się w Paryżu, w tej atmosferze namiętności.

W mrocznym kącie pracowni Ernest siedział zasluchany u stóp Pounda, który coś wykladał, dla podkreślenia swoich słów czyniąc zamaszyste gesty imbrykiem. Jego rudawe włosy były coraz bardziej rozwichrzone; nareszcie zrozumiałam, dlaczego Lewis Galantière porównał go do diabła – nie tylko z powodu włosów i szatańskiej bródki, ale również z powodu gwałtowności, z jaką rozprawiał. Nie słyszałam pojedynczych słów, wyrzucał je z siebie jak wulkan lawę, nieustannie gestykulował i nie był w stanie usiedzieć w miejscu.

Pomyślałam, że zupełnie do siebie nie pasują, Dorothy, taka elegancka i opanowana, a Pound hałaśliwy, ale ona twierdziła, że Pound jest ważny dla jej twórczości. Była malarką. Pokazała mi dwa swoje płótna. Wydały mi się cudowne, kolory i formy zwiewne i miękkie, podobnie jak głos i ręce Dorothy. Kiedy zaczęłam o nie pytać, powiedziała:

– Nie są na pokaz.

– Och, ale tu je pokazujesz, prawda?

– Tylko czasami – odparła i uśmiechnęła się uroczo. Wyglądała, jakby wyszła z własnego obrazu.

Po wizycie, kiedy już się pożegnaliśmy z gospodarzami i wyszliśmy na ulicę, powiedziałam:

– Powtórz mi wszystko.

– Bardzo hałaśliwy – rzekł Ernest – ale niektóre pomysły ma znakomite. Imponujące. Chce pchnąć w nowym kierunku literaturę, zmienić życie.

– Zatem dobrze, że go poznałeś. Pilnuj się tylko, żeby mu się nie narazić. Przypomnij sobie, co mówił o rudzielcach.

Roześmialiśmy się i poszliśmy do najbliższej kawiarni, gdzie Ernest przy szklaneczce brandy z wodą zaczął dzielić się wrażeniami.

– Ma dziwaczne wyobrażenia o kobiecym umyśle – powiedział.

– Jakie? Że coś takiego nie istnieje?

– Mniej więcej.

– A Dorothy? Jak się ustosunkowuje do jej umysłu?

– Trudno zgadnąć – choć powiedział mi, że mają wzajemne przyzwolenie na kochanków.

– Bardzo postępowi – mruknęłam. – Czy sądzisz, że taki los czeka wszystkie małżeństwa artystów w Paryżu?

– Skąd mam wiedzieć.

– Trudno kogoś do tego przymusić. Ta druga osoba musiałaby się zgodzić, prawda?

– Jest ci jej żal? A jeśli jej się to podoba? A może to był jej pomysł?

– Może, ale bardziej prawdopodobne, że nie jej. – Upiłam łyk brandy i spojrzałam na Ernesta ponad szklaneczką.

– Tak czy inaczej, ma zamiar wysłać kilka moich wierszy do Scofielda Thayera z „Dial”.

– Nie opowiadań?

– Żadne nie jest jeszcze dość dobre, ale Pound powiedział, że powinienem napisać dla nich kilka artykułów na temat pism amerykańskich.

– Miło z jego strony.

– To musi być początek czegoś wielkiego – rzekł Ernest. – Pound nauczy mnie pisać, a ja nauczę go boksować.

– Boże, miej nas w swojej opiece – roześmiałam się.

Następną ważną znajomość zawarliśmy kilka tygodni później, kiedy Gertruda Stein zaprosiła nas na podwieczorek. Najdziwniejsze było to, że spotkanie przebiegło niemal tak samo, jak to z Poundem i Dorothy. Salon podzielony był na dwie części, jedna dla mężczyzn – w tym wypadku Ernesta i Stein – a druga dla kobiet, i nie było między nimi komunikacji.

Kiedy przyszliśmy, w drzwiach powitała nas najprawdziwsza francuska pokojówka, wzięła od nas płaszcze i zaprowadziła do salonu – jak już zdołaliśmy się zorientować, najważniejszego salonu Paryża. Ściany były obwieszane obrazami bohaterów kubizmu i postimpresjonizmu i innych, równie nowoczesnych artystów: Henriego Matisse’a, André Deraina, Paula Gauguina, Juana Grisa i Paula Cézanne’a. Wzrok przyciągał portret Stein pędzla Picassa, który od dawna należał do grona jej znajomych i często pojawiał się w salonie. W portrecie dominowały ciemne brązy i szarości, twarz wydawała się oderwana od ciała, cięższa i bryłowata, z grubymi powiekami.

Stein liczyła jakieś czterdzieści pięć–pięćdziesiąt lat i wyglądała nieco staroświecko w ciemnej sukni z szalem i włosach upiętych wysoko na głowie. Miała głęboki, aksamitny głos i brązowe oczy, przed którymi nic nie dało się ukryć. Później, kiedy miałam czas się jej przyjrzeć, uderzyło mnie, jak bardzo jej oczy przypominają oczy Ernesta – w najciemniejszym odcieniu brązu, krytyczne, kryjące ciekawość i rozbawienie.

Towarzyszka Stein, Alice Toklas, wyglądała przy niej jak napięty drut. Miała ciemną cerę, ostry, zakrzywiony nos i onieśmiałające,

badawcze spojrzenie. Po kilku minutach ogólnej rozmowy wzięła mnie za rękę i poprowadziła do babskiej części. Poczułam ukłucie żalu, że nie jestem pisarką ani malarką, kimś wyjątkowym, kto mógłby dostąpić zaszczytu rozmowy z Gertrudą, siedzieć z nią przed kominkiem, jak Ernest, i rozmawiać o czymś istotnym. Lubiłam towarzystwo ludzi interesujących i twórczych, ale chwilowo zostałam usunięta do kąta i poddana przesłuchaniu na temat bieżących wydarzeń, o których nic nie wiedziałam. Czułam się jak idiotka. Dolewając mi herbaty i częstując maciupkami, artystycznie ułożonymi ciasteczkami, Alice cały czas haftowała, zręcznie i szybko. Ani razu nie opuściła wzroku na robótkę i nie przestawała mówić.

Tymczasem Ernest popijał z Gertrudą jakiś alkohol o delikatnej barwie. Tego dnia niemal się w niej zakochałam, z dystansu, i Ernest też. Wracając do domu, wiele rozprawialiśmy o jej guście, nowatorskim i bezbłędnym. Ernest podziwiał również jej piersi.

– Jak myślisz, ile ważą? – spytał. Wyglądał, jakby naprawdę go to interesowało.

Zaśmiałam się.

– Nawet nie spróbuję zgadnąć.

– A co myślisz o tym, że mieszkają razem? Mam na myśli dwie kobiety?

– Nic nie myślę. Po prostu tak się składa.

– Pomyśl o obrazach. Zupełnie jak w muzeum.

– Lepiej. Są ciasteczka.

– I *eau-de-vie*. Ale i tak to dziwne. Dwie kobiety. Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

– O co ci chodzi? Nie wierzysz, że dają sobie wzajemnie coś istotnego? Że się kochają? Czy też seks ci się nie podoba?

– Nie wiem – najeżył się. – Powiedziała, że bycie razem kobiet to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, że dla nich ani między nimi nie ma nic brzydkiego, ale mężczyznom wydaje się to niesmaczne.

– Tak powiedziała?

– Otwarcie.

– Chyba powinno ci pochlebiać, że rozmawiała tak szczerze.

– Czy następnym razem mam ją zapoznać ze szczegółami naszego

współzycia?

– Nie zrobisz tego.

– Pewnie, że nie. – Uśmiechnął się. – Jeszcze by zechciała popatrzeć.

– Jesteś straszny!

– Ale za to mnie kochasz.

– Naprawdę? – powiedziałam i Ernest poklepał mnie po biodrze.

Dwa tygodnie później Gertruda i Alice przyjęły zaproszenie na podwieczorek w naszym obskurnym mieszkaniu. Wolę nie wyobrażać sobie, co myślały, wchodząc po ciemnej i zdewastowanej klatce schodowej i mijając cuchnące toalety, ale zachowywały się, jakby był to dla nich chleb powszedni. Piły herbatę zaparzoną w porcelanowym imbryku, który dostaliśmy w prezencie ślubnym – przynajmniej on był ładny – i siedziały na łóżku.

Poprzednim razem Gertruda zaproponowała, że przejrzy teksty Ernesta, a teraz o tym przypomniła. Przeczytała szybko wiersze, kilka opowiadań i fragment powieści osadzonej w Michigan. Podobnie jak wtedy w Chicago, kiedy po raz pierwszy czytałam jego opowiadanie, Ernest nerwowo krążył po pokoju i krzywił się, jakby cierpiał bóle.

– Wiersze są bardzo dobre – oznajmiła w końcu Stein. – Proste i jasne. Niczego pan nie udaje.

– A powieść?

Pomyślałam, że samo zadanie pytania, a nawet pokazanie tego fragmentu musiało go dużo kosztować, ponieważ był zakochany w swojej powieści. Tak się z nią cackał, że nawet mi prawie nic nie pokazał.

– Nie interesuje mnie tego typu pisarstwo – powiedziała. – Trzy zdania na temat koloru nieba. Niebo to niebo, i już. Mocne zdania oznajmujące, to panu wychodzi najlepiej. Proszę się tego trzymać.

Na te słowa Ernestowi trochę zrzędała mina, ale szybko się otrząsnął. Gertruda zwróciła uwagę na coś, z czego ostatnio sam zaczął zdawać sobie sprawę – konieczność eliminowania zbędnych słów.

– Kiedy zacznie pan na nowo to pisać, proszę zostawić tylko to, co konieczne.

Skinął głową, lekko zarumieniony, i niemal widziałam, jak

w głowie dodaje jej radę do rad Pounda. „Wyrzuć wszystko, co zbędne. Unikaj abstrakcji. Nie podpowiadaj czytelnikowi, co ma myśleć. Niech akcja mówi sama za siebie”.

– Co myśli pani o teorii Pounda dotyczącej symboliki? – spytał Stein. – Wie pani, że jastrząb powinien być przede wszystkim jastrzębiem?

– To przecież oczywiste – odparła. – Jastrząb zawsze jest jastrzębiem, chyba że – uniosła jedną brew i uśmiechnęła się tajemniczo – chyba że jest kapustą.

– Co takiego? – wykrzyknął Ernest.

– No właśnie – powiedziała.

W następnych tygodniach Ernest, zgodnie z radami Gertrudy, wyrzucił większą część powieści i zaczął od początku. Gdy wracał do domu, pogwizdując radośnie, choć wygłodzony, nie mógł się doczekać, żeby pokazać mi, co zrobił. Nowe stronice tryskały energią. Pisał tylko o przygodzie, polowaniu, łowieniu ryb, rui. Swojego bohatera nazwał Nick Adams; był wcieleniem Ernesta, tyle że odważniejszym i bardziej czystym – takim, jakim byłby Ernest, gdyby poddawał się instynktom. Bardzo podobała mi się ta nowa proza i wiem, że jemu też.

Jakoś w tym czasie Ernest odkrył słynną księgarnię Shakespeare and Company Sylvii Beach na Lewym Brzegu i ze zdumieniem dowiedział się, że może brać książki na kredyt. Wrócił do domu obładowany dziełami Turgieniewa, Owidiusza, Katullusa, Dantego, Flauberta i Stendhala. Pound dał mu długą listę lektur, odesłał do klasyków, ale również wskazał drogę przyszłości, T.S. Eliota i Jamesa Joyce’a. Ernest był pilnym uczniem. Pochłaniał wszystko, naraz czytał osiem–dziesięć książek, kiedy jedną odkładał, sięgał po następną. Wszędzie zostawiał książki odwrócone grzbietem do góry, jak namiot. Pożyczył również *Trzy żywioły* i *Czułe guziczki*, dwie książki Gertrudy Stein opublikowane w bardzo małym nakładzie. Wydawało się, że większość światka literackiego nie miała pojęcia, co to w ogóle jest. Ernest również nie wiedział. Przeczytał mi jeden wiersz z *Czułych guziczków*: „Odmiana w szkle i kuzynka, widowisko i nic dziwnego jeden zraniony kolor, a wzór jest w układzie strzelistym*”.

Odłożył książkę, pokręcił głową i powiedział:

– „Jeden zraniony kolor” brzmi ładnie, ale reszta po prostu przechodzi przeze mnie bez żadnego wrażenia.

– Jest ciekawe.

– Tak. Ale co znaczy?

– Nie wiem. Może nie ma nic znaczyć?

– Może – odparł i sięgnął po Turgieniewa.

Tymczasem nastał kwiecień, zaczęła się nasza pierwsza wiosna w Paryżu i ciepłe deszcze. Odkąd przyjechaliśmy, Ernest uzupełniał nasz skromny budżet, publikując artykuły w „Toronto Star”. Któregoś dnia

otrzymał od redaktora naczelnego, Johna Bone'a, informację, że chcą, aby relacjonował z Genui międzynarodową konferencję gospodarczą. Mieli płacić siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo plus wydatki, ale nie przewidywali dodatku na żonę. Miałam zostać w Paryżu – byłoby to pierwsze rozstanie w ciągu siedmiu miesięcy małżeństwa.

– Nie martw się, kocie – powiedział, pakując swoją ukochaną maszynę do pisania marki Corona. Zanim się zorientujesz, będę z powrotem.

Przez pierwsze dni cieszyłam się samotnością. Ernest był tak duży, mówiąc metaforycznie. Dominował, magnetyzował, przyciągał do siebie wszystkich – mężczyzn, kobiety, dzieci i psy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy budziłam się w ciszy i mogłam słuchać własnych myśli, robić to, na co miałam ochotę. Wkrótce jednak wszystko się zmieniło. Nie wiem, jak to opisać, ale kiedy zbladła atrakcyjność własnego towarzystwa, zaczęłam odczuwać brak Ernesta, zupełnie jakby zamieszkała ze mną jego *nieobecność*. Przy śniadaniu i przy zasypianiu towarzyszył mi jego cień. Widziałam go na firankach w sypialni wzdymanych muzyką akordeonu jak miechem.

Ernest sugerował, żebym chodziła do księgarni Sylvii na herbatę, ale choć raz poszłam, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że rozmawia ze mną tylko z grzeczności. Lubiła pisarzy i artystów, a ja nie należałam do żadnej z tych kategorii. Raz poszłam na obiad do Gertrudy i Alice, i choć wydawało mi się, że były naprawdę serdeczne, to jednak nie mogło mi to zastąpić obecności Ernesta. Najbardziej lubiłam jego towarzystwo. Wstyd byłoby mi się przyznać, jak bardzo się od niego uzależniłam. Próbowałam odganiać smutek, przyjmując zaproszenia i starając się jak najmniej przebywać w mieszkaniu. Chodziłam regularnie do Luwru i do kawiarni. Przez kilka godzin ćwiczyłam nowy utwór Haydna, żeby go zagrać Ernestowi po powrocie. Myślałam, że gra zaprzątnie moje myśli, ale okazało się, że przypomina mi najgorszy czas w St. Louis, kiedy czułam się samotna i odcięta od świata.

Ernesta nie było przez trzy tygodnie i pod koniec sypiałam tak źle, że często w środku nocy wychodziłam z łóżka, siadałam owinięta w koc na fotelu i tam próbowałam zasnąć. Nie cieszyło mnie nic prócz spacerów do parku na Wyspie Świętego Ludwika, który pokochałam.

Drzewa kwitły i w powietrzu unosił się mocny zapach kwiatów kasztanowca. Lubiłam również spoglądać na domy wokół parku, myśleć o ludziach, którzy w nich mieszkają, zastanawiać się, czy są szczęśliwi w małżeństwie, czy tego dnia się kochają, czy kłócą i czy uważają, że szczęście da się zatrzymać. Siedziałam w parku, ile się dało, a potem wracałam do domu w słońcu, którego nie czułam.

Kiedy w maju Ernest wreszcie się pojawił, przytuliłam go mocno, a w oczach miałam łzy ulgi.

– Co się dzieje, kocie? Czyżbyś za mną tęskniła?

– Znadto.

– To dobrze. Lubię, kiedy za mną się tęskni.

Pokiwałam głową, ale w jakimś fragmencie mózgu pojawiła się wątpliwość, czy to rozsądne tak absolutnie się od niego uzależnić. Podziwiał moją siłę i odporność, takiej mnie potrzebował, co więcej, ja sama lubiłam czuć się silna i martwiłam się, że to wszystko się ulotniło, kiedy tylko wyjechał. Czy moje szczęście tak całkowicie było od niego zależne, że czułam się sobą tylko wtedy, kiedy znajdował się obok? Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Jedyne, co mogłam teraz zrobić, to rozbierać go powoli do wtóru melancholijnej melodii, którą wygrywał akordeon.

Ernest wrócił z dwustoma dolarami z „Toronto Star”, które przepalały nam kieszeń. Postanowiliśmy wydać je na wycieczkę do Szwajcarii. W tym okresie Ernest tryskał optymizmem. Wprawdzie Scofield Thayer z „Dial” odrzucił niedawno wiersze, które otrzymał od Pounda, i odesłał je z niemile bezosobowym listem, ale Ernest nawiązał mnóstwo nowych znajomości w Genui, poznał na przykład Maksa Eastmana, amerykańskiego wydawcę, który chciał, żeby Ernest wysłał mu kilka szkiców prozatorskich, i Lincolna Steffensa, słynnego skandalizującego dziennikarza, którego śmiałe poglądy polityczne ogromnie przypadły Ernestowi do gustu. Steffens niedawno wrócił z podróży po Związku Radzieckim i tryskał entuzjazmem dla komunizmu, powtarzając wszystkim, kto tylko zgodził się słuchać: „Byłem w przyszłości i to się sprawdza”. Ernest był zachwycony, że Steffens zwrócił na niego uwagę i, ośmielony poczuciem wspólnoty i ambicją, wysłał piętnaście wierszy do Harriet Monroe z „Poetry”.

– Właściwie dlaczego nie? – pytał. – Może drzwi się nie otworzą, jeśli nie będzie się w nie walić długo i wytrwale.

– Uda ci się, czuję to, już niedługo.

– Może masz rację, ale nic nie mówmy, żeby nie zapeszyć.

Kupiliśmy bilety trzeciej klasy do Montreux, a stamtąd kolejką elektryczną pojechaliśmy pod górę do Chamby położonego nad Jeziorem Genewskim. Nasz dom w stylu alpejskim był duży, a górskie powietrze cudownie czyste. Całymi dniami chodziliśmy po gęstym lesie i wracaliśmy na lunch złożony z pieczonego mięsa, dyni, pasternaku i duszonych owoców z gęstą śmietaną. Nocą czytaliśmy przy ogniu i piliśmy grzane wino z cytryną i korzeniami. Spaliśmy tyle, ile chcieliśmy, kochaliśmy się dwa razy dziennie, czytaliśmy, pisaliśmy listy i graliśmy w karty.

– Jesteś opalona, silna i zdrowa – powiedział Ernest któregoś dnia na wycieczce. – Pobył tu ci służy.

Cieszyłam się z pochwały, ale nie mogłam zapomnieć tych samotnych tygodni w Paryżu. Wystraszyły mnie trochę. Zaczęłam się zastanawiać, co to naprawdę znaczy być silną, nie po prostu zdrową i opaloną, czynną i gotową się dostosować.

Po pierwszym tygodniu przyjechał do nas stary przyjaciel Ernesta z czasu wojny Chink Dorman-Smith. Spotkali się w Schio, na włoskim froncie, zanim Hem został ranny. Chink był Irlandczykiem, wzrostu Ernesta, ale jasnowłosym, z rumianymi policzkami i jasnorudym wąsem. Od razu go polubiłam. Miał wspaniałe maniery, o wiele bardziej pasujące do kogoś, kto bywa na dworze, niż do zawodowego żołnierza. Co rano schodził na śniadanie, nucąc wesoło pod nosem, i nazywał mnie panią Popplethwaite. Ernest kochał Chinka jak brata i miał dla niego ogromny szacunek. Przy tym nie było między nimi zawodowej rywalizacji, co nieuchronnie pojawiłoby się w obecności innego pisarza czy dziennikarza, więc cały czas miał dobry humor. Dolina Renu była w szczycie urody, na każdym skrawku łąki i w każdej szczelinie skalnej kwitły narcyzy. Po raz pierwszy, kiedy zobaczyłam, jak narcyz przebija się przez śnieg, z podziwem pomyślałam, że chciałabym mieć taką determinację.

Co dzień chodziliśmy po górach, odwiedzaliśmy gospody

i obiecujące miejsca na łowienie ryb. Ulubionym łowiskiem Ernesta po tej stronie północnego Michigan był Stockalper, strumień znajdujący się niedaleko ujścia Rodanu do Jeziora Genewskiego. Brodził w nim godzinami, polując na pstrągi, a my z Chinkiem wylegiwaliśmy się w trawie, czytaliśmy albo rozmawialiśmy.

– Cudownie widzieć takich zakochanych, jak wy – powiedział Chink któregoś razu, kiedy siedzieliśmy pod kwitnącą gruszą. – Czasami zastanawiałem się, czy Hem kiedykolwiek zapomni o Mediolanie.

– O Mediolanie czy o tej pięknej pielęgniarce?

– Obydwu, jak sędzę. Cały tamten czas nie sprzyjał ujawnieniu w nim najlepszych cech. A ty owszem. – Chink skrzyżował ramiona pod głową i zamknął oczy. – Dobry stary Hem – dodał i zasnął.

Cieszyłam się, że Chink dostrzega w nas to, co dobre. Wiedział także o Erneście rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Mieli wspólną przeszłość, wypili razem morze piwa, zwierzali się sobie. Czasami w długie chłodne wieczory, siedząc na ganku, rozmawiali o wojnie, a to pozwoliło mi lepiej zrozumieć, co widzieli i czego doświadczyli na własnej skórze.

Chink był żołnierzem z powołania. Kiedy Ernest wrócił do Stanów, Chink został z armią brytyjską. Przez kilka ostatnich lat przebywał w Irlandii razem z brytyjską armią okupacyjną. Była to trudna placówka, na co dzień obcował ze śmiercią, a w naszym towarzystwie próbował z siebie zrzucić ten ciężar.

– To dziwne – powiedziałam któregoś wieczoru – że można uciec od wojny, wsiadając na statek i robiąc sobie wakacje.

Chink roześmiał się sarkastycznie.

– W naszej wojnie – skinął głową w kierunku Ernesta – kiedy front sięgał aż do kanału La Manche, byli tacy, co dostawali przepustkę, żeby pojechać do domu na podwieczorek. Wracali, brali bagnety, zakładali maski przeciwgazowe i ruszali do bitwy, czując w ustach smak biszkoptów.

– Ale umysł tego nie zniesie – powiedział Ernest. – Zbyt duży kontrast. Albo zostaje w jednym miejscu, albo w drugim, albo utyka gdzieś pośrodku. I wtedy fiksujesz.

– Racja – przyznał Chink.

– Ale czasami, jak ma się za sobą doświadczenie jednej wojny, można wrócić. I wtedy jest trochę tak, jak mówiłaś, maleńka – Ernest skinął do mnie głową i spojrzał mi w oczy – jakbyś kupował bilet i jechał na wojnę, a potem coś nagle w tobie zaskakuje albo budzisz się z tego i wracasz do domu.

– A to nie zawsze jest miłe – skomentował Chink, ponieważ wiedział o dręczących Ernesta koszmarach, o tym, że się budził z krzykiem w środku nocy, zlany potem i z przerażeniem w oczach. Przyjaciele skinęli do siebie głowami i podnieśli kieliszki.

Jednego z takich wieczorów, wypełnionych pićm i rozmową, Chink zaproponował, żeby przejść do Włoch przez Przełęcz św. Bernarda.

– Karol Wielki i Napoleon podołali – powiedział, ocierając wąsy z piany po piwie.

– Jak to daleko? – zainteresowałam się.

– Pięćdziesiąt kilometrów?

– Zróbmy tak! – zapalił się Ernest. – Z Aosty możemy pojechać pociągiem do Mediolanu.

– Albo Schio – dodał Chink. – Wrócić na miejsce zbrodni.

– Chciałbym pokazać ci Schio – rzekł Ernest. – To jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi.

– Jest tam stary młyn, z którego zrobiliśmy koszary i nazwaliśmy go Country Club w Schio. Nie zliczę, ile razy w upalne dni pływaliśmy w strumieniu koło klubu. A glicynie!

– A gospoda z ogródkiem, w którym piliśmy piwo podczas pełni księżyca! Jest też uroczy hotelik, „Due Spadi”. Zatrzymamy się w nim na kilka dni, a potem pojedziemy do Fossalty. Mógłbym nawet napisać relację z podróży dla „Stara”. Ranny żołnierz wraca na front.

– Rewelacja – podsumował Chink i sprawa została przesądzona.

Następnego dnia rano wyruszyliśmy z wyładowanymi plecakami. Kiedy się pakowałam, próbując wcisnąć do plecaka krem do twarzy i wodę kolońską, do pokoju wszedł Ernest.

– Czy znajdziesz u siebie miejsce na to? – spytałam, pokazując mu buteleczki.

– Skąd! Chcesz się wypachnić dla pstrągów?

– Nie bądź taki uparty – prosiłam, ale się nie ugiął. W końcu dałam je Chinkowi, który je wziął, choć bez entuzjazmu. Ale zabranie wody toaletowej na przeprawę przez niebezpieczną przełęcz to było nic w porównaniu z butami, które sobie wybrałam: delikatne beżowe sznurowane półbuty. Nie wiem, co mną kierowało, chyba uważałam, że moje nogi lepiej wyglądają w półbutach. I dużo mi z tej elegancji przyszło! Zanim uszliśmy pięć mil, moje stopy były całe w bąblach. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, co nas czeka. Przełęcz daje się przejść dopiero wiosną; my wybraliśmy się trochę za wcześnie i była jeszcze niedostępna. W tym roku nikt nią nie przechodził. W niektórych miejscach leżał głęboki śnieg. Szliśmy jednak mozolnie przez doliny, gęste sosnowe lasy i łąki usiane polnymi kwiatami. Widoki zapierały dech w piersiach, ale Ernest i ja byliśmy w kiepskiej formie. Moje stopy pulsowały bólem i miałam zakwasy w łydkach. Natomiast Ernest nabawił się jakiejś dolegliwości związanej z wysokością – mdłości i bóle głowy – a im wyżej się wspinaliśmy, tym bardziej się nasilała. Dostał zawrotów głowy i co kawałek wychylał się i wymiotował. Można powiedzieć, że najgorzej na tym wyszedł Chink, bo musiał nieść nasze plecaki. Często przenosił dwa naraz, zostawiał je i wracał po trzeci. W końcu zaczęłam marzyć o tym, że znajduje nas jeden z tych słynnych psów św. Bernarda i ciągnie całą trójkę na saniach do schroniska.

W połowie drogi zatrzymaliśmy się w Bourg-St.-Pierre i na oświetlonej słońcem łące zjedliśmy lunch. Stopy miałam tak spuchnięte, że bałam się zdjąć buty w obawie, że ich potem nie założę. Nadawałam się tylko do drzemki, zwinęłam się więc w kłębek na drewnianej ławie, a Ernest i Chink krążyli wokół, popijając piwo.

– Nie widziałaś ślicznego cmentarzyka – powiedział Chink, kiedy przyszli mnie obudzić.

– Całe rzędy nagrobków biedaków, którzy zginęli w górach.

– Tutaj? – zaniepokoiłam się. – Tu jest naprawdę niebezpiecznie?

– Chcecie kipnąć, żeby tu zostać?

– I nie zobaczyć mnichów? – powiedział Chink. – Nigdy byśmy sobie nie darowali.

Schronisko św. Bernarda znajdowało się w najwyższym punkcie przełęczy. Osiedli tu mnisi od ponad tysiąca lat służyli pomocą podróżnikom przepływającym się tą drogą. Każdy, kto zastuka do ich drzwi, dostaje chleb, zupę, kubek wina i siennik, na którym może się przespać do rana. Tak też było z nami, kiedy zjawiliśmy się późnym wieczorem, po trzydziestu kilometrach marszu pod górę, nieco ululani koniakami, który popijaliśmy co kawałek, żeby jakoś znieść drogę z Bourg-St.-Pierre. Noc była jasna. Zza schroniska wyglądał księżyc i oświetlał je zjawiskowo.

– Wygląda trochę jak koszary, co nie? – zauważył Chink, waląc pięścią w wielkie drewniane dzwierza.

– Każdy stary budynek przerobiłbyś na koszary – mruknął Ernest, zanim otworzyły się drzwi i ukazała się za nimi łysina zakonnika.

Mnich o nic nie pytał, tylko poprowadził nas ciemnymi korytarzami do cel. Były surowe, zgodnie z zapowiedzią, tylko z siennikiem do spania, ale na szczęście było światło, przy którym dało się czytać, i ogień w kominku. Gdy Ernest i Chink wypoczywali przed kolacją, udałam się na rekonesans z nadzieją znalezienia kuchni i miednicy, w której mogłabym wymoczyć nogi. Ale wszystkie korytarze wyglądały identycznie. Próbowałam kierować się słuchem i iść tam, gdzie usłyszę ludzkie głosy, lecz nic nie słyszałam. W końcu na chybił trafił skręciłam w jakiś długi, wąski korytarz i trafiłam na klauzurę. Od razu otworzyło się kilkoro drzwi, zza których wychynęły ogolone głowy. Przestraszyłam się i wróciłam do naszego pokoju. Kiedy opowiedziałam chłopakom o tej przygodzie, zaczęli się śmiać, a Ernest wyjaśnił mi, że pewnie byłam pierwszą kobietą w tysiącletniej historii klasztoru, która zabrnęła tak daleko. Od razu opisał to w liście do Gertrudy i Alice: „Pani Hemingway próbuje uwieść mnichów. Proszę o radę”.

Następnego dnia rano wyruszyliśmy do Aosty, czując się na siłach pokonać resztę przełęczy. A przynajmniej tak mi się wydawało, póki moje buty nie pękły w szwie.

– Dobrze ci tak, to cena próżności – warknął Ernest. On sam nie był w lepszej formie niż poprzedniego dnia. Ciągłe czuł mdłości i ostatkiem sił zmuszał się do przejścia końcowego etapu. Tylko Chink

znosił to dobrze. Nożem rozciął mój drugi but i tak, kuśtykając, dotarliśmy do Aosty i od razu z pełni zimy wkroczyliśmy w wiosenne jasnozielone wzgórza pokryte wspaniałymi winnicami. W liście do Ruth żartowałam, że chłopcy musieli mnie wnieść do miasta na rękach, ale tak naprawdę samą mnie zaskoczyła moja wytrzymałość. Gdyby nie te straszne buty, ostatnie sto jardów do Aosty pewnie bym przebiegła.

* Przekład A. Kołyszko, „Literatura na Świecie” 1979, nr 9, s. 94.

W pociągu do Mediolanu spałam jak zabita. Kiedy się zbudziłam, Ernest i Chink rozmawiali o Mussolinim. Nowy przywódca faszystowski był akurat w mieście i Ernest, korzystając z legitymacji prasowej, chciał z nim przeprowadzić wywiad. Uważał, że Mussolini to największy blef w Europie, i niczego bardziej nie pragnął, niż się z nim spotkać. Chink z kolei musiał wracać na placówkę, więc pożegnaliśmy się, przyrzekając wkrótce znowu się spotkać.

Ernesta ogromnie cieszył powrót do Mediolanu. Najpierw kupiliśmy dla mnie buty, a potem poszliśmy na Via Manzoni, gdzie stała imponująca kamienna budowla. W czasie wojny mieścił się w niej szpital Czerwonego Krzyża, w którym leżeli Ernest i Chink. Stanęliśmy w bramie i zadzierając głowy, spojrzeliśmy na balkony, tarasy, pasiaste markizy, wiklinowe meble i wielkie palmy w donicach.

- Wygląda na niezły hotel – zauważyłam.
- Dobrze się tu mieszkało, nie narzekam. Szkoda tylko, że aby się tu dostać, trzeba było najpierw zarobić kulkę.
- Żałuję, że nie jestem w stanie poczuć tego, co wtedy czułeś.
- Cieszę się, że jesteś ze mną, żeby potrzymać mnie za rączkę.
- To zawsze mogę zrobić – uśmiechnęłam się i wyciągnęłam do niego dłoń.

Potem poszliśmy do katedry, a stamtąd do kawiarni „U Biffiego” w Gallerii, gdzie napiliśmy się musującego wina, w którym pływały świeże truskawki. Choć Ernest nieczęsto wspominał życie na froncie, obecność Chinka i rozmowy z nim podziałały stymulująco, a Mediolan dokonał reszty. Wycieczka okazała się podróżą w czasie.

- Dziwne – powiedział – że to, co najlepiej pamiętam z nocy, kiedy zostałem ranny, to komary. Właziły do uszu i do kąsików oczu, nie dawały spać. Choć i tak wiele nie spaliśmy. A potem niebo stanęło w płomieniach, a mnie zważyło z nóg. Nie tylko zresztą mnie. Na początku nic nie czułem, a później nie mogłem oddychać, bo coś cisnęło mnie w klatkę piersiową, i dzwoniło mi w głowie.

– Naprawdę chcesz o tym opowiadać? – spytałam delikatnie. – Nie musisz.

– Chyba chcę – odparł i zamilkł na chwilę. – Ogluchłem, ale wiem, że ktoś wołał o pomoc. Jakoś tam się dostałem i zaniósłem go na stanowisko dowodzenia. Pojęcia nie mam, jak. Bardzo niewiele pamiętam, tylko to, że nagle nogi się pode mną rozleciały. Potem słyszałem karabin maszynowy, ale tak, jakby to nie miało nic wspólnego ze mną. Biegłem dalej, w końcu położyłem tego skurczybyka i sam upadłem. Koniec. Nic więcej nie wiem.

– Potem był szpital polowy. I pociąg do Mediolanu.

– Tak. Za każdym razem, kiedy się zatrzymywał, przez otwarte okna wlatywały muchy i obsiadywały zakrwawione bandaże. W pociągu spędziłem dwa dni.

Skinęłam głową. To już nie były odległe wspomnienia, miał to wszystko przed oczami, chwile, kiedy jechał do Mediolanu jak zepsuta lalka. Nie bohater, ale chłopiec, który być może nigdy nie otrząśnie się z tego, czego doświadczył. Pomyślałam z nagłym smutkiem, że nawet największa miłość może nie być w stanie mu pomóc, że na zawsze może pozostać poharatany wewnątrz.

– Pewnie teraz myślisz o Agnes – powiedziałam po chwili.

– Tylko troszkę. – Położył swoją rękę na mojej. – Cieszę się, że robimy to razem.

– Ja też.

Wiedziałam, że naprawdę tak myśli, ale też byłam świadoma, że gdyby mógł, chciałby mieć koło siebie nas obie, Agnes i mnie – przeszłość i terażniejszość, obie kochające go bez zastrzeżeń – a także truskawki. Wino, słońce i nagrzane kamienne chodniki pod stopami. Chciał wszystkiego, a nawet jeszcze więcej.

Następne popołudnie spędziłam w hotelu, śpiąc i czytając, a Ernest wyszedł przeprowadzić wywiad z Mussolinim, który ostatnio został wybrany do włoskiej Izby Deputowanych. Ernest był zafascynowany. Ten człowiek wydawał się kłębem sprzeczności. Silnie nacjonalistyczny, pragnął przywrócić Włochom dawną świetność przez powrót do rzymskiej przeszłości. Wydawał się szczerze zainteresowany losem robotników i kobiet, co wyłożył w manifeście faszystowskim. A przy tym był pupilkiem arystokracji i burżuazji, ponieważ gwarantował niezmienną ich pozycję. Chciał być wszystkim dla

wszystkich, tradycjonalistów i rewolucjonistów, wojskowych, przemysłowców i liberałów. Narodowa Partia Faszystowska nabierała wiatru w żagle tak szybko, że to wszystko wydawało się nieuniknione.

– Denerwujesz się? – spytałam, kiedy zbierał notesy, przygotowując się do wyjścia.

– Czym? To tylko taki większy łobuz.

– Nie jestem pewna. Niektórzy mówią, że potwór.

– Może, ale potwory często mają cywilizowany wygląd. Czyste paznokcie, umieją posługiwać się nożem i widelcem i mówią perfektnie po angielsku.

Zapięłam mu płaszcz i przyglądałam zmarszczkę na ramieniu.

– Rozpieszczasz mnie, żono. Zdrzemnij się i nie myśl o tym.

Nie było go dwie godziny, a kiedy wrócił do hotelu uporządkować notatki, wydawał się ogromnie zadowolony z tego, że tak dobrze umiał ocenić tego człowieka.

– Pajac wypełniony potąd bufonadą – sięgnął ręką do szyi – i pusty powyżej.

– Miał czarną koszulę? – spytałam z ulgą.

– Tak, podobnie jak reszta. – Usiadł przy biurku i wkręcił czysty papier do maszyny. – Wyższy, niżbyś się spodziewała, ma szeroką ogorzałą twarz i bardzo ładne ręce. Prawdę mówiąc, kobiece.

– Nie pisałabym tego na twoim miejscu.

Roześmiał się i zaczął stukać w klawisze, palce poruszały się szybko, rzadko zatrzymując się nad klawiaturą.

– Powiem ci jeszcze coś – dodał, nie podnosząc wzroku znad maszyny – w pokoju był przepiękny szczeniak wilczarza.

– Czyli faszysta kocha psy.

– Może ma zamiar utuczyć go i zjeść – powiedział z uśmiechem.

– Jesteś okropny.

– Owszem – odparł, z rękami gotowymi do kolejnego ataku na maszynę. – Pies był naprawdę piękny.

Następnego dnia wsiedliśmy do autobusu do Schio, gdzie Ernest chciał pokazać mi młyn i glicynię, i wszystko, co pamiętał z okolicy. Ale wkrótce niebo się zaciągnęło szarymi chmurami i zaczęło padać. Kiedy dojechalismy, Ernest poczuł się zaskoczony wyglądem miasteczka.

– Jest mniejsze, niż myślałem – powiedział.

– Może skurczyło się w deszczu – zażartowałam, pragnąc rozładować napięcie, ale szybko zdałam sobie sprawę, że to niemożliwe. Przez całą wizytę Ernest zmagał się ze wspomnieniami. W ciągu czterech lat, kiedy go nie było, wszystko się zmieniło, podupadło. Zakłady włókiennicze – zamknięte w czasie wojny – wypluwały czarne łajno do strumienia, w którym niegdyś Ernest i Chink kąpali się w gorące popołudnia. Chodziliśmy w deszczu po krętych uliczkach, ale wszędzie było pusto i nudno, na wystawach królowała tania porcelana, obrusy i pocztówki. Gospody świeciły pustkami. W winiarni, do której weszliśmy, siedziała dziewczyna, gręplując wełnę.

– Nie poznaję miasta – zagadnął ją po angielsku Ernest. – Tyle się zmieniło.

Kiwnęła głową, nie przerywając pracy; gdy gręplami rozczesywała białe włókna, robiły się długie i gładkie.

– Myślisz, że rozumie? – spytałam.

– Na pewno.

– Mój mąż był tu w czasie wojny – powiedziałam.

– Wojna się skończyła – odparła, nie podnosząc wzroku.

Rozczarowani, zrezygnowaliśmy ze zwiedzania i poszliśmy do hotelu „Due Spadi”, ale tu też się zmieniło. Łóżko skrzypiało, pościel była stara i sprana, a żarówki pokryte warstwą kurzu.

W połowie nijakiego obiadu Ernest powiedział:

– Może to się wcale nie zdarzyło.

– Zdarzyło się. Szkoda, że nie ma Chinka. Wiedziałyby, jak nas rozbawić.

– Nie, on również nie byłby w stanie tego strawić.

W nocy spaliśmy źle, a rano nadal padał deszcz. Ernest postanowił pokazać mi Fossaltę, gdzie był ranny. Wynajęliśmy więc auto, które zabrało nas do Werony, a tam wsiedliśmy do pociągu do Mestre, gdzie z kolei mieliśmy poszukać kogoś, kto by nas podrzucił dalej. Ernest przestudiował mapy i próbował dopasować to, co widział, do tego, co pamiętał. Ale nic się nie zgadzało. Fossalta okazała się jeszcze gorsza niż Schio, ponieważ nie było żadnych śladów zniszczeń wojennych. Zniknęły okopy i ziemianki. Zbombardowane domostwa zastąpiono

nowymi. Kiedy Ernest odnalazł wzgórze, na którym go raniono, okazało się, że jest nieoszczędzone, zielone i piękne. Wszystko tchnęło fałszem. Zaledwie przed kilku laty poległy tu tysiące ludzi, lała się krew Ernesta poszatkowanego odłamkami szrapnela, a teraz wokół błyszczało czystością, jakby sama ziemia zapomniała o tym, co się zdarzyło.

Zanim wróciliśmy, Ernest rozejrzał się po krzakach i znalazł odłamek granatu, wielkości guzika.

– Ściganie przeszłości to nic fajnego, prawda? – Spojrzał na mnie. – Po co ja tu przyjechałem?

– Dobrze wiesz po co.

Obracał odłamek w dłoni i myślał chyba o tym, o czym rozmawialiśmy z Chinkiem, i o tym, że wojna w jego pamięci stała się zawodna. Czas też jest zwodniczy, wszystko rozplywa się i umiera – nawet, a może szczególnie wtedy, kiedy wygląda prawdziwie. Jak wiosna. Wszędzie wokół rosła trawa. Wśród drzew szalały ptaki. Od tej chwili Ernest nie cierpiał wiosny.

Do Paryża wróciliśmy dopiero pod koniec czerwca. Wkrótce potem zaczęły się obchody dnia zburzenia Bastylji, na ulicach całymi dniami tańczono i śpiewano. Było gorąco, panował hałas, więc nie dało się spać. W ciemności widziałam, jak Ernest, niespokojny, leży z oczami zakrytymi ramieniem.

- Wkrótce będzie nasza rocznica – powiedziałam.
- Może powinniśmy wyjechać?
- Gdzie?
- Do Niemiec albo Hiszpanii.
- Nie musimy. Możemy zostać w domu, upić się i kochać.
- To możemy zrobić od razu – roześmiał się.
- Masz rację.

Klarnecista za oknem zagrał kilka niskich nut z nadzieją na akompaniament i zamilkł. Ernest odwrócił się i dotknął mojego nagiego ramienia. Przebiegł po mnie dreszcz. Ernest przewrócił mnie na brzuch i nic nie mówiąc, położył się na mnie. Był ciężki i ciepły, na szyi czułam jego usta i czoło.

- Nie ruszaj się – powiedział.
- Nie mogę oddychać.
- To dobrze.
- Lubię, jak robisz to powoli.
- Wiem. – Opierał się na rękach, tak że nie przygniatał mnie całym ciałem, ale to mi się podobało.

Potem, leżąc w ciemności, usłyszeliśmy śmiech na ulicy, muzyka zrobiła się głośniejsza i, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej chaotyczna. Ernest znowu leżał cicho i spokojnie. Zastanawiałam się, czy myśli o Schio i o tym, czego tam nie znalazł, oraz o smutku, który zabrał ze sobą do ojczyzny.

- Mam zamknąć okno?
- Jest za gorąco, a poza tym i tak nic to nie da. Spróbujmy zasnąć.
- Coś ci leży na sercu. Nie chcesz mi powiedzieć?
- Rozmowa nic nie da.

Poznałam, że wpadł w dołek, ale naiwnie wierzyłam, że

wydostanie się z niego, jeśli o wszystkim mi opowie. Delikatnie naciskałam i w końcu rzekł:

– Jeśli musisz wiedzieć, to miłość. Jak już jest po wszystkim, zawsze czuję się pusty i trochę samotny.

– To straszne. – Poczułam się dotknięta. Byliśmy przecież mocno ze sobą związani, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Przepraszam. To nie twoja wina.

– Akurat. Nie róbmy tego więcej. Nie musimy. Nie będę żałować.

– Będziemy żałować. Sama się przekonasz. Wiem, że będziesz żałować.

– Nie.

Przyciągnął mnie do siebie.

– Proszę, nie martw się, powiedz mi tylko, że mnie kochasz.

– Kocham cię – szepnęłam i pocałowałam jego rękę i powieki i próbowałam zapomnieć jego słowa. Ale nie mogłam. Nie byłam w stanie zapomnieć niczego, co mi kiedykolwiek powiedział.

– Śpij już.

– Dobrze.

Ernest wstał i się ubrał. Musiała być trzecia, może nawet czwarta rano.

– Chyba nie chcesz teraz pracować?

– Może nie, ale przynajmniej spróbuję.

Wyszedł. Słyszałam jego kroki na schodach, a potem na kilka godzin zasnęłam. Kiedy się zbudziłam, on jeszcze nie wrócił, a w mieszkaniu było gorąco i duszno. Odrzuciłam kołdrę, założyłam szlafrok i poszłam do kuchni zrobić kawę. Nocni grajkowie ciągle nie odkładali instrumentów i czułam się zmęczona samym słuchaniem. Nie mam pojęcia, skąd brali siły. Spali na stojąco w bramie? A może wcale nie spali?

Po śniadaniu umyłam się, ubrałam i na kilka godzin usiadłam do pianina, ale nie szło mi dobrze. Było zbyt gorąco, a ja po nocy czułam się zmęczona. Kiedy położyłam się znowu, słyszałam, jak Marie Cocotte w kuchni myje naczynia. Poleciała ją nasza konsjerżka. Została naszą *femme de ménage* i za dwa franki na godzinę przychodziła codziennie rano zmywać i gotować. Marie była bezdzietna, nie taka już młoda,

drobna, acz silnego charakteru, a w pracy szybka i zręczna. Przewisko *cocotte*, co po francusku znaczy ulicznica, ale także rondel, otrzymała od pysznej potrawy, którą często dla nas robiła, *poulet en cocotte*. Kilka razy w tygodniu przychodziła również po południu ugotować nam obiad, a ponieważ wszystko, co robiła, było bardzo smaczne, poprosiłam ją, żeby nauczyła mnie kuchni francuskiej. Ale teraz, w środku lata, nie miałam ochoty stać przy garach. Póki Ernest nie wracał po pracy, żywiłam się tylko owocami albo nic nie jadłam. Po zmroku, kiedy robiło się chłodniej, szliśmy do kawiarni na aperitif i wracał nam apetyt.

– Dzień dobry pani – powiedziała Marie Cocotte, wchodząc do sypialni, w której nie zdążyłam jeszcze zaciągnąć zasłon.

– Czy ta muzyka kiedyś się skończy? – spytałam niezgrabnie po francusku i pokazałam palcem na okno.

– Nie dzisiaj – odparła i roześmiała się.

– Czternasty lipca będzie trwał wiecznie – powiedziałam i znowu się roześmiała.

– Lubimy to – stwierdziła.

Lato ciągnęło się, wydawało się, że trwa kilka sezonów, że czas stanął w miejscu. Coraz trudniej było wypełnić czymś dni. Zaczęły wracać moje bóle głowy. Choć wiedziałam, że nie powinnam mieć Ernestowi za złe jego pracy ani próbować go od niej odciągnąć, to jednak byłam najszcześliwsza, kiedy po obudzeniu się mówił, że nie zamierza nic pisać i że możemy iść na mecz bokserski albo jechać na wieś obejrzeć wyścigi kolarskie.

Któregoś dnia po południu Gertruda i Alice zaprosiły nas na lunch do swojego wiejskiego domu w Meaux. Pojechaliśmy wszyscy razem fordem T Gertrudy i urządziliśmy piknik. Były jaja na dwa sposoby, ziemniaki i pieczony kurczak. Wypiliśmy kilka butelek schłodzonego wina i trzygwiazdkowego hennessy. Było pięknie: doliny, mosty, cudowny dom i kwitnące drzewa. Po lunchu leżeliśmy na trawie, rozmawialiśmy i czuliśmy się wolni.

Ernest postanowił pokazać Gertrudzie wszystko, co napisał, i sam czytał to, co napisała. Choć na początku odstręczała go trudność przedarcia się przez jej teksty, to po jakimś czasie zaczął doceniać ich odmienność i coraz bardziej go wciągały. Widać było nawet jej wpływ

na jego styl, szczególnie w nieustannym powtarzaniu nazw konkretnych obiektów, miejsc i ludzi, bez próby znalezienia innego sposobu ich określenia. To zdumiewające, jak słowo nabierało szczególnej mocy, kiedy się je powtarzało raz za razem. W niektórych fragmentach nowej książki Ernesta zauważyłam ten sam zabieg, najprostszy język i najprostsze rzeczy – jezioro, pstrąg, kłoda, łódź – i to właśnie nadawało dziełu bardzo wysublimowany i niemal mistyczny nastrój.

Relacje Ernesta z Gertrudą stawały się dla obojga coraz ważniejsze. Cieszyłam się, że wszyscy zaprzyjaźniamy się ze sobą, choć kiedy się spotykaliśmy, nadal obowiązywał podział. Ernest i Gertruda to byli artyści. Kiedy rozmawiali, z głowami pochylonymi ku sobie, wyglądali jak brat i siostra. Alice i ja byłyśmy żonami, i to nie tylko w czterech ścianach salonu. Alice to odpowiadało. A mnie? Ernest zachęcał mnie do muzyki i często mówił o graniu jako o mojej pracy, jakbym też była artystką. Lubiłam grać i muzyka stanowiła ważną część mojego życia, ale nie uważałam się za kogoś wyjątkowego, tak jak Ernest. On żył całkowicie pogrążony w twórczości, a ja nie, i nic chyba nie mogło tego zmienić. Alice łatwiej odnajdywała się w roli żony artysty, utożsamiając swoje ambicje z ambicjami Gertrudy, ale może po prostu miała tylko większą wprawę i łatwiej przychodziło jej ukryć zazdrość.

Spojrzałam w szklaneczkę brandy – i kalejdoskopowy wzór, jaki rzuciła na jasny koc z irlandzkiej wełny. Teraz jesteśmy tu razem, mówiłam sobie. Wszystko dobrze się układa. Powinam się tym zadowolić i być szczęśliwa. Powinam. Spróbuję.

Następnego dnia obudziliśmy się późno. Czułam jeszcze działanie brandy. Ernest z pewnością też, ponieważ, zanim wyszliśmy z łóżka, powiedział:

- Dziś nie ma sensu pracować. Nie będę się nawet starał.
- Powinieneś spróbować, choćby parę godzin – powiedziałam, choć wcale tak nie myślałam.
- Nie, wiem, że nic z tego nie będzie.

Wstaliśmy, zjedliśmy śniadanie i postanowiliśmy jechać do Auteuil na wyścigi koni. Liczyliśmy na to, że za miastem będzie chłodniej. Marie Cocotte zapakuje do kosza kanapki i wino, kupimy program

wyścigów i poczytamy go w pociągu. Jak tylko to ustaliliśmy, ścisk w mojej głowie zaczął ustępować, umykał w pośpiechu, jak duch z domu poddanego egzorcyzmom. Poczułam wyrzuty sumienia z powodu zadowolenia, że nie muszę się z nikim dzielić Ernestem; byłam szczęśliwa i jednocześnie nieco przygnieciona poczuciem winy.

Oboje kochaliśmy Auteuil. Zawsze wspólnie przeglądaliśmy program wyścigów i chodziliśmy na padok obejrzyć zwierzęta. Uwielbiałam hałaśliwy tłum hazardzistów, zapach koni i toru. Ernesta fascynowało wszystko – piękno koni, dżokeje w jedwabnych strojach, trenerzy stojący przy barierce i mający wygląd wtajemniczonych, żargon chłopców stajennych, zapach końskiego moczu. Nigdy nie mieliśmy dużo pieniędzy na grę, ale zawsze trochę wysupłaliśmy, a poza tym miło było być razem na słońcu. Ernest rozkładał marynarkę na trawie i siedząc na niej, jedliśmy lunch, a potem ja drzemałam albo patrzyłam na chmury, czekając na następną gonitwę. Kiedy wygrywaliśmy, a nawet czasami kiedy przegraliśmy, stawialiśmy sobie szampana, bo lubiliśmy być ze sobą i nie zależało nam bardzo na pieniądzach. Nigdy nie mieliśmy ich tyle, żeby przegrana robiła nam jakąś różnicę.

Tego dnia faworytem był piękny czarny koń ze lśniąca sierścią, który wspaniale skakał. Nie postawiliśmy jednak na faworyta, tylko na innego konia o imieniu Złota Koza. Stawki na niego były sto dwadzieścia do jednego. Czasami wspólnie wybieraliśmy konia, na którego chcieliśmy postawić. Szliśmy na padok, przyjrzeć się, jak który koń chodzi, albo po prostu kierowaliśmy się przeczuciem. Czasami Ernest dostał od kogoś cynk. Tego dnia grałam jednak wyłącznie na intuicję i sama znalazłam konia, na którego postawiłam. Liczyłam na swoje szczęście. Już kilka razy mi się powiodło i miałam nadzieję, że sytuacja się powtórzy. Złota Koza nie była ani szybka, ani ciemna, ale ruszała się jak brandy w szklance. Patrząc na jej gładkie nogi, powiedziałam Ernestowi, że to jest zwycięzca.

- Postawmy na nią – przekonywałam. – Czy mamy na tyle?
- Może mamy.
- To kupmy bilet, nawet jeśli nas na to nie stać.

Ernest zaśmiał się i poszedł do kasy. Uwielbiał, kiedy wstępowała we mnie zuchwała śmiałość.

- Jesteś do niego przekonana? – spytał po powrocie.
- Tak.
- To dobrze. Postawiłem na niego półroczne koszty utrzymania.
- Żartujesz!
- Skądże.

Przecisnęliśmy się do samej barierki, podekscytowani ryzykiem. Mój koń od początku prowadził. Przy drugiej przeszkodzie był pierwszy. Przy czwartej prowadził już o cztery długości.

– Uda mu się! – zawołałam z płonącymi policzkami. W żołądku ciągle czułam ucisk.

– Na pewno się uda – potwierdził Ernest, przyglądając się, jak zrywa się reszta stawki. Ale było już za późno, Złota Koza za daleko odskoczyła, co najmniej o dziesięć długości, i dystans ciągle się zwiększał. Faworyt, poganiany batem, zaczął nadrabiać i przegonił pozostałe konie, ale nic to nie dało. W biegu leciał jeden koń.

Wyprzedzał wszystkie inne o dwadzieścia długości. Do mety brakowało kilkanaście metrów, kiedy się to stało. Tak piękny i zgrabny, gdy biegł, a tak brzydki, gdy upadł przy ostatniej przeszkodzie. Przedtem przypominał brandy w kieliszku, teraz zepsutą taczkę, pękającą z trzaskiem zabawkę, z której zostają tylko patyki i sznurek. Widok był straszny. Nie mogłam na to patrzeć. Schowałam twarz na ramieniu Ernesta i nie widziałam końca biegu, koni omijających leżące zwierzę, faworyta zgarniającego nagrodę, na którą nie zasłużył.

Płakałam całą drogę do domu. Pociąg mijał ponure, zaśmiecone okolice z praniem wiszącym na sznurach i dziećmi ubranymi w łachmany, a ja próbowałam zapomnieć, co widziałam.

Naszą pierwszą rocznicę postanowiliśmy spędzić z Chinkiem w Kolonii. Na miejsce popłynęliśmy statkiem po Renie. Pogoda nadal była bardzo ładna, dni cudowne i długie, a spotkanie z Chinkiem ogromnie nas uradowało. Kolonia była piękna, on dobrze działał na nas, a my na niego.

Któregoś dnia po południu leżałam na trawie, przyglądając się, jak Ernest i Chink łowią ryby. Ernest sięgnął do torby marynarskiej leżącej obok niego na brzegu i wyciągnął butelkę schłodzonego białego wina, którą odkorkował zębami. W drugiej ręce trzymał wędkę z naprężoną linką, wokół której woda rozchodziła się, tworząc małe kręgi. Lekki wietrzyk sypał w nas chmurami żółtego pyłku.

– Wyglądacie jak na obrazku – powiedziałam, przyglądając się mężczyznom przez zmrużone powieki.

– Mamy wielbicielek – zauważył Ernest.

Wstałam, podeszłam do niego i kilka minut uważnie go obserwowałam.

– Pokaż mi, jak to się robi – poprosiłam.

– Znudziłaś się już podziwianiem nas?

– Nie, ale chciałabym spróbować.

– W porządku.

Staął za mną na miękkim, trawiastym brzegu i pokazał mi, jak zarzucać wędkę. Zrobiłam zamach, kreśląc doskonały łuk, i linka zaczęła się odwijać z kołowrotka. Haczyk zanurzył się w wodzie.

– Podoba mi się – powiedziałam.

– Po tym poznasz, że zrobiłaś to dobrze – rzekł Chink.

– A co teraz?

– Teraz trzeba czekać – odparł Ernest i podszedł do pokrowca na wędki. Nie zdążył nawet się pochylić, kiedy poczułam szarpnięcie, a za chwilę drugie, mocniejsze. Instynktownie poderwałam wędkę, ale haczyk się nie ruszył. Czułam, że ciągnie za niego ryba.

– Hej – zawołał Chink – to oszustka!

Ernest rzucił się na pomoc i wyciągnęliśmy pstrąga. Po chwili jasnobrązowa ryba w cętki leżała na trawie.

- Żal mi jej – powiedziałam.
- Możesz ją wrzucić z powrotem do wody – zaproponował Chink.
- Nie zrobi tego! – zaśmiał się Ernest.
- Nie, chcę ją zjeść. Chcę wiedzieć, czy smakuje inaczej, jeśli samemu się ją złowi.
- Oczywiście.
- Tak myślałam.
- Ta dziewczyna ma instynkt zabójcy – westchnął Chink i wszyscy się roześmialiśmy.
- Jeśli umiesz już to, możesz się nauczyć i reszty – powiedział Ernest później, kiedy złowiłam trzy pstrągi, jeden po drugim. Pokazał mi, jak się je patroszy, czyści i płucze w strumieniu.
- Nie czuję się zde gustowana – oświadczyłam.
- Wiem. To widać.

Na patykach nad ogniskiem upiekliśmy moje trzy pstrągi i pozostałych sześć, które wspólnie złapali Chink i Ernest.

- Moje smakują mi najbardziej – powiedziałam, oblizując palce.
- Mnie też najbardziej smakują twoje – rzekł Ernest i otworzył następną butelkę wina. Słońce nieco przygasło i nadszedł wieczór.

W samej Kolonii panowały burzliwe nastroje. W brytyjskim garnizonie okupacyjnym, gdzie od niedawna stacjonował Chink, tłum zniszczył konny pomnik Wilhelma II, wyrwał monarsze potężny żelazny miecz i połamał ostrogi. Inni demonstranci zamordowali niemieckiego policjanta, wpędzając go do rzeki i odrąbując palce, kiedy próbował przytrzymać się mostu. Z daleka miasto wyglądało jak z bajki, z czerwonymi dachami i wieśniakami w skórzanych spodniach, ale – podobnie jak w pozostałej części Niemiec pod okupacją aliantów – co rusz wybuchały zamieszki.

Po kilku dniach, 14 września, siedzieliśmy w kawiarni, nadrabiając zaległości w lekturze gazet, kiedy dowiedzieliśmy się, że płonie Smyrna, tureckie miasto portowe. Od trzech lat, czyli od czasu ponownego podziału imperium otomańskiego, trwała wojna grecko-turecka, ale pożar nasilił konflikt. Nie wiadomo było, kto za niego odpowiada. Grecy obwiniali Turków i *vice versa*, a jedyną pewną rzeczą był tragiczny rezultat. Port, podobnie jak wiele greckich i ormiańskich domów

w mieście, podpalono, podlewając obficie ropą. Wielu ludzi znalazło się na bruku. Dziesiątki utonęły w porcie, innych zabito na ulicy. Uchodźcy schronili się na wzgórzach poza miastem. Siedząc w restauracji nad dobrym lunchem, czuliśmy się winni, przynajmniej tego, że tak mało wiemy o tym konflikcie.

– Pewnie wkrótce tam trafię – powiedział Chink z poważną miną.

– Może ja też – rzekł Ernest, a ja poczułam zimny dreszcz.

– Chyba tak nie myślisz – zaprotestowałam.

– Nie wiem. Jest to możliwe.

– Zawsze chciałem zobaczyć Istambuł – westchnął Chink.

– Konstantynopol brzmi lepiej. Albo Bizancjum.

– Masz rację. Tak czy inaczej, teraz nurza się w gównie.

Po powrocie do Paryża nie zdążyliśmy się nawet rozpakować, kiedy Ernest otrzymał telegram ze „Stara”. Tak jak się spodziewał, John Bone wysłał go do Turcji jako korespondenta. Miał wyjechać za trzy dni. Ledwie go przeczytał, zanim jeszcze zdążył odłożyć rozdartą kopertę, poczułam, że zbiera mi się na płacz.

– Co się stało? – spytał Ernest, widząc moją minę. – To krótki wyjazd. Będzie podobnie jak w Genui. A potem wrócę do domu i znowu będziemy razem.

Nigdy nie mówiłam mu, jak źle mi było samej, kiedy wyjechał do Genui, jak każdy dzień bez niego był walką ze sobą.

– Nie chcę, żebyś jechał – powiedziałam tylko.

– Co?

– Powiedz, że nie możesz, że jestem chora.

– To bzdury!

– Ale jestem chora, nie widzisz? Mówię prawdę.

– Zachowujesz się dziecinnie. Przestań się złościć.

Wtedy zaczęłam płakać, co było fatalne. Nienawidził łez.

– Proszę, przestań. Dopiero co cieszyliśmy się z czasu spędzonego w Kolonii. Czy nie możemy po prostu być szczęśliwi?

– Niczego więcej nie pragnę – odparłam, ale nie mogłam się opanować. Otworzyłam walizkę, po czym znowu ją zamknęłam i poszłam nastawić wodę na herbatę. Myślałam, że Ernest jest w sypialni, ale był tuż za mną i nerwowo chodził po kuchni.

– To jest tak daleko – powiedziałam w końcu.
– Ale chyba nie o to chodzi? Po prostu chcesz się trzymać z dala od wojny.

– Nie możemy udawać, że nie dostałeś telegramu?

– Nie możemy. – Twarz mu się zasępiła, ponieważ chciałam, żeby przedłożył mnie nad swoją pracę. – Do diabła z herbatą – burknął, ale i tak nasypałam liści i zalałam je wodą przez porcelanowe sitko. Ernest chodził za moimi plecami po kuchni, czekając, żebym go przeprosiła. Ponieważ nie zrobiłam tego, ani się nawet nie odwróciłam, wybiegł w końcu z mieszkania.

Wiedziałam, że poszedł do kawiarni. Mogłabym go łatwo znaleźć i gdybym to zrobiła, wszystko wróciłoby do normy. Moglibyśmy napić się brandy z wodą i zapomnieć o wszystkim. Albo poprosić kelnera o absynt i pozwolić, by wymazał wspomnienie. Ale zostałam w domu i piłam herbatę, na którą wcale nie miałam ochoty.

Zanim Ernest wrócił do domu, byłam już pijana i udawałam, że śpię. Herbatę szybko zastąpiłam whisky. Nic nie jadłam, tylko piłam alkohol, kilka szklaneczek ciepłej whisky bez wody. Kiedy byłam już porządnie pijana, wzięłam śliczny porcelanowy imbryk, który przyjechał z nami do Europy, i rzuciłam nim o podłogę. Miałam zamiar zostawić skorupy na podłodze, żeby je od razu zobaczył, ale kiedy leżał w kawałkach, robił zbyt małe, zbyt dziecinne wrażenie – ot, zwykły napad złości, tak jak powiedział Ernest. Byłam wściekła, że straciłam nad sobą panowanie, lecz nie potrafiłam się wziąć w garść. Posprzątałam skorupy, włożyłam je do papierowej torby i poszłam spać. Kręciło mi się w głowie, więc zamknęłam oczy i próbowałam powoli oddychać. Dużo później usłyszałam kroki Ernesta, najpierw na schodach, a potem w mieszkaniu.

– Hadley – powiedział, siadając koło mnie na łóżku. Delikatnie dotknął mojej twarzy i szyi, ale się nie poruszyłam. – Nie zachowujmy się tak.

Zacisnęłam powieki, żeby powstrzymać łzy i udawać śpiącą. Na darmo – i tak wiedział, że nie śpię.

– Do licha – zdenerwował się. Uparcie nie otwierałam oczu, więc szturchnął mnie w ramię. – To moja praca. Wiesz dobrze, że muszę

jechać.

– Nie musisz. Chcesz.

– Do diabła z tobą – zaklął i poszedł spać gdzie indziej.

Może wrócił do swojego pokoju przy rue Descartes, a może spał na ławie w sali tańca. Nie wiem. Nie wracał aż do południa, a kiedy wreszcie przyszedł, to tylko po to, żeby się spakować i pozajątwiać sprawy. Chodził po mieszkaniu, wrzucając swoje rzeczy do torby i gromadząc do kupy notesy.

– To jak będzie? – spytał w końcu.

Wzrok utkwiałam w widoku za oknem.

– Obiecywałaś, że nigdy mi tego nie zrobisz.

Miał rację. Niejeden raz zarzekałam się, że nigdy nie będę mu zawadą w pracy zawodowej, szczególnie na samym początku naszego związku, kiedy utożsamiałam jego karierę ze swoją i uważałam, że moją rolę, a nawet moim przeznaczeniem, jest mu pomagać. Ale coraz bardziej rozumiałam, że nie wiem nawet, co te obietnice znaczą. Jakąś częścią swojej duszy chciałam, żeby był tak nieszczęśliwy, jak ja. Może wtedy by się poddał i został w Paryżu.

Ale on się nie poddał. Przez trzy dni nie rozmawialiśmy i unikaliśmy jakiegokolwiek kontaktu fizycznego, a kiedy 25 września wyjechał, byłam tak zła, że nie mogłam na niego patrzeć. Stałam w drzwiach i przyglądałam się, jak z trudem taszczy swoje toboły po schodach. Niemal na samym dole upuścił futerał z maszyną do pisania. Upadła ciężko, z okropnym klekotem odbiła się od czegoś i potoczyła po stopniach. Ernest kopnął ją ze złością, zanim ją podniósł. Kiedy doszedł do drzwi, też je kopnął, a potem już nic nie słyszałam.

Może to chinina nie daje rady malarii, bo wszystko jest dziwnie żółte. Długa droga, rozjeżdżona, w kolorze ochry, a w dali ciemniejszą górę. Rzeka, Marica, jest wzburzona i błotnistożółta, bo od pięciu dni pada.

Od wyjazdu z Paryża nie spał dobrze, więc tym trudniej mu iść w deszczu. Droga nie ma końca ani deszcz nie ma końca. Kolumny uchodźców wylewają się na drogę do Karagaszu. Na wózkach wiozą cały swój dobytek, a ci, którzy nie mają wózków, niosą tłumoki i dzieci w rękach i na plecach. Dzieci też idą obciążone i płaczą ze strachu i zmęczenia. Wszyscy są przestraszeni i przemoknięci, a deszcz nie ustaje.

Jest tu, żeby zaświadczyć, wie o tym i dlatego chce wszystko zobaczyć, nie odwraca wzroku, choć to, co widzi, często wzbudza w nim mdłości. Pierwszy raz od czasu wojny, tej, w której walczył, czuje jej smak; pierwsze dwa dni cały się trząsł, teraz to już minęło. Zagłuszył wspomnienia i może nareszcie robić to, po co przyjechał.

Podążając drogą ku Karagaszowi, rozmawia z tymi, którzy uciekli ze Smyrny, oglądali pożary i znacznie gorsze rzeczy. Ormianin z oparzoną twarzą widział, jak jego siostra, płonąc jak pochodnia, biegnie z krzykiem ku morzu. Inny mężczyzna idzie z ręką aż po ramię owiniętą brudnymi, przemokniętymi bandażami i ciągnie za sobą delikatny zapach palonych migdałów, zapach gangreny. Rozmawiają przez tłumacza. Mężczyzna opowiada, że przez niemal cały dzień i noc krył się pod mołem w Smyrnie. Woda podchodziła mu czasem do piersi. Przyptyw rzucił nim o pale i pokaleczył rękę o muszle skorupiaków, którymi były obrosnięte.*

– W porcie włączono reflektory – mówił – ale nikt by nie chciał patrzeć, co pływa wokół w wodzie.

W końcu wyszedł z wody, odszukał rodzinę i ruszyli w drogę, jak

tylu innych. Choć w wielu miejscach rany miał głębokie, nie krwawiły. Doszedł do wniosku, że nie potrzebuje chirurga, rany wyleczy solą.

– Ale sam widzisz, że źle ze mną – powiedział przez tłumacza.

– Wszyscy to widzą – odparł Ernest.

Następnie podchodzą do wozu ciągniętego przez wielkiego wołu. Na wozie rodzi żona tego mężczyzny. Pościel jest przemoczona na wylot, a nad rodzącą dwoje dzieci trzyma koc rozciągnięty jak namiot. Między jej nogami klęczy starucha; dzieci odwracają wzrok. Ernestowi robi się niedobrze, kiedy patrzy na nią i słucha jej krzyków. Przychodzi mu do głowy, że kobiecie nie można pomóc, póki nie urodzi się dziecko, a możliwe, że później też nie.

Mężczyzna, mimo deszczu, idzie przy wozie i mówi:

– Żona wie, że jestem tchórzem. Ukrywałem się pod mołem. Miałem zamiar ich zostawić.

Ernest przytakuje. Podnosi głowę i widzi, że zbliżają się do drewnianego mostu, delikatnego i zgrabnego, ale – mimo potężnego obciążenia – wyglądającego solidnie. Wozy, woły, wielbłądy, ludzie – wszystko się zaklinowało, nie można ruszyć ani w przód, ani w tył.

Dalej, ponad głowami, widzi piękne białe wieże meczetu, minarety wylaniające się z żółtego błota, nierzeczywiste w zderzeniu z tym, co dzieje się na drodze, z lajnem, wrzaskami, strachem i deszczem. W kieszeni marynarki ma złożony na pół niebieski notes i dwa ołówki. Wie, że papier jest mokry, nie musi sprawdzać, ale i tak nie mógłby o tym napisać. Jeśli hotelu w Karagaszu nie zmyło, wieczorem wyśle stamtąd depeszę. Teraz jedyne, do czego jest zdolny, to nie odwracać wzroku i starać się opanować drżenie całego ciała.

Mija tydzień, a jemu się wydaje, jakby był tu od zawsze. Typowy

objaw wojny. To, co widzisz, wymazuje z pamięci wcześniejsze życie, tak że nie pamiętasz już, dlaczego jacyś ludzie czy wydarzenia z przeszłości mieli kiedyś znaczenie. Nieważne, czy jesteś żołnierzem, czy nie – wojna działa tak na wszystkich.

Śpi w hotelu w Adrianopolu na pryczy, owinięty brudnym kocem i pokąsany przez wszy. Całymi dniami rozmawia z uchodźcami, pisze i wysyła telegramy do „Stara” oraz International News Service, podpisując je „John Hadley”. Niekiedy jest tak zmęczony, że dwa razy wysyła ten sam tekst. Ma to w nosie, niech go zwolnią. Ale najpierw muszą go znaleźć, a on jest nigdzie.

Kiedy zapada noc, idzie do baru, gdzie obsługuje Ormianka o bardzo ciemnej karnacji, z głębokimi cieniami pod oczyma, w kolorowej sukni wiązanej pod biustem. Pod płótnem widzi zarys jej piersi, ma ochotę jej dotknąć – i nagle wszystko robi się proste. Podchodzi jakiś brytyjski żołnierz i obejmuje ją w talii, a ona się uśmiecha. Ernest rzuca się i zadaje żołnierzowi cios. Nie ma zamiaru go powalić, wie tylko, że jeśli chce mieć dziewczynę, to musi coś zrobić. Same nigdy nie przychodzą, zresztą kto by tego chciał? Jego pięść ląduje na szczękę żołnierza i szczęka nagle obwisa. On jeszcze nic nie czuje. Żołnierz opada na kolano, a potem gwałtownie się podnosi i robi wypad, ale zbyt wysoko, zbyt powoli. Ernest uderza go w brzuch tak, że tamten traci dech.

Dziewczyna mówi coś, czego on nie rozumie, brzmi to jak „dosyć”. Bierze ją za rękę i wychodzą. Na ulicy stoi taksówka. Bez słowa jadą do niej. Za drzwiami mieszkania dziewczyna rozwiązuje sznurki sukni i sięga do jego paska. On ją odpycha. Zrobi wszystko sam, choć krwawi mu prawa dłoń. Siada na drewnianym krześle i sadza ją sobie na kolanach. To on nią porusza, jakby była lalką, lecz tak musi być, bo dzięki temu czuje, że nie umrze, przynajmniej nie dzisiaj. Jęczy, kiedy jest po wszystkim, zresztą za pierwszym razem przychodzi to szybko. Zostaje na noc w brudnej pościeli. Rano, odchodząc, zostawia wydartą z notesu kartkę z adresem hotelu i dwa dolary. Nie spodziewa się jej więcej

zobaczyć, choć nie miałby nic przeciwko temu. Ma pieniądze, a może – gdyby znowu się z nią spotkał – nie czułby się tak źle, jak teraz, ale może i tak będzie lepiej, może coś to da.

Wychodzi na ulicę. Jest bardzo wcześnie i chłodno, nie zaczęło jeszcze padać. Zamyślony, wraca do hotelu. No cóż, co się stało, to się nie odstanie, zresztą wcale byś tego nie chciał. Będiesz o tym pamiętał, kiedy wrócisz do żony, i będziesz miał ochotę zabić się za to, że sprawiasz jej taką przykrość. Pamiętaj, że nikt cię do niczego nie zmuszał. Wszystko, co robisz, to twój wybór i z tego choćby powodu nie powinieneś niczego żałować.

Znowu zaczyna się deszcz, właściwie mżawka, która przesiąka przez materiał koszuli i spodni. Czuje, jak budynki z obu stron błotnistej drogi napierają na niego; znów przychodzi mu do głowy, że nie ma innego świata. Jakie znaczenie ma świadomość, że oddanie się innej kobiecie zabije twoją żonę, skoro nie masz żony? Nie masz również Paryża ani niczego innego. Dlaczego nie spotkać się ponownie z tą ciemnoskórą dziewczyną? Co ci szkodzi upaść i tarzać się w gnoju, skoro żaden inny świat nie istnieje?

* Smyrna – obecnie Izmir w zachodniej Turcji.

Kiedy zniknął mi z oczu, natychmiast przyplątały się poczucie winy i smutek. Popatrzyłam na butelkę whisky na półce, nawet wzięłam ją do ręki, ale od razu odłożyłam z powrotem. Nie przed lunchem. To nie jest sposób. Zrobiłam sobie kawę, obrałam pomarańczę i próbowałam nie myśleć o Ernestie w pociągu. Miał przed sobą co najmniej dwa dni podróży, a potem znajdzie się w zupełnie innym, groźnym świecie. Mogłam mieć tylko nadzieję, że będzie bezpieczny i że więź między nami jest na tyle silna, by wytrzymać to, co się stało.

Poza dwiema pospiesznie skrobniętymi pocztówkami, wysłanymi przed przekroczeniem tureckiej granicy, nie otrzymałam więcej wieści od Ernesta. Winą za to obarczałam pocztę, ponieważ nie wyobrażałam sobie innego powodu milczenia. Pierwszą relację z pobytu przeczytałam w gazecie po dwóch tygodniach, lecz dokładne wyobrażenie tego, co tam się działo – nie tylko walk, ale też chorób, epidemii cholery i malarii – tylko pogorszyło moje samopoczucie, więc spałam „Stara” i poszłam na spacer.

Marie Cocotte przychodziła codziennie.

– Musi pani wstać z łóżka – mówiła i przynosiła fartuch, który wiązała mi na szlafrok. Razem robiłyśmy *boeuf Bourguignon*, *blanquette de veau* i *cassoulet* – były to znakomite potrawy, ale nie mogłam nic przełknąć.

Któregoś dnia pojawił się Lewis Galantière, usiadł przy naszym okropnym stole i próbował wyciągnąć mnie do restauracji „U Michauda”.

– Podobno James Joyce w tym tygodniu dorobił się pół tuzina dzieci. Wszystkie tam są, zajadają wielkie porcje baraniny i prychnają mlekiem przez nos. Nie mów, że nie chcesz zobaczyć tego na własne oczy.

Zmusiłam się do uśmiechu, ubrałam się, włożyłam płaszcz i najmniej niemodne buty.

– Dziś chodźmy tylko do knajpy za róg, nie do „Michauda”, dobrze?

– Jak szanowna pani sobie życzy.

Ani Lewisowi, ani nikomu innemu nie zdradziłam, jak źle potoczyły się sprawy między mną i Ernestem. Zbyt mnie to żenowało. Rankami pisałam kłamliwe listy, donosząc teściom, że wszystko idzie dobrze. Informowałam, iż współpraca Ernesta ze „Starem” układa się gładko i jego przyszłość zawodowa wygląda obiecująco. Nie wspominałam, że niedawno postanowił złamać zawartą z nimi umowę na wyłączność i publikować niektóre artykuły, pod pseudonimem, w International News Service. Negocjacje przeprowadził w tajemnicy, co oznaczało kłamstwa i niezręczną sytuację, gdyby któryś z artykułów dla INS został opublikowany przed „wyłącznymi historiami” dla „Stara”, ale twierdził, że zaproponowane pieniądze są tego warte i że to sprawa tylko jego sumienia. Ja jednak mocno się tym zaniepokoiłam, ponieważ świadczyło to o czymś ważniejszym niż jedna umowa. Oznaczało, że zawsze, niezależnie od sytuacji, na pierwszym miejscu stawia siebie.

Takie refleksje donikąd jednak nie prowadziły. To znaczy nie dalej niż do butelki whisky, zostawiłam zatem listy i rozterki w domu i poszłam do Muzeum Luksemburskiego, żeby odwiedzić Moneta. Stałam przed obrazem, wpatrując się w najbardziej jaskrawe plamy koloru na nenufarach i na cudownie odbicia w wodzie, i starałam się nie widzieć nic innego.

Bardzo wczesnym rankiem pod koniec października Ernest wysiadł z pociągu na Dworcu Lyońskim. Wyglądał, jakby uczestniczył w straszliwej bitwie, i to po stronie przegranych. Był wycieńczony, rozpalony od gorączki i chory na malarię. Schudł z dziesięć kilogramów, może więcej, tak że z trudem go poznałam. Gdy się witaliśmy, zasłabł w moich ramionach. Kiedy tylko dotarliśmy do domu, pozwolił mi nad miską umyć sobie niewiarygodnie zawszoną głowę.

– Przepraszam za wszystko, Tatie – powiedziałam, kiedy stał tak z zamkniętymi oczami.

– Nie mówmy o tym. To już nieważne.

Ścięłam mu włosy tuż przy skórze i wyiskałam głowę przy lampie, żeby nic nie przeoczyć. A potem natarłam go całego kremem i pomogłam wejść do czystej pościeli. Spał całą dobę. Kiedy się obudził, przyniosłam mu jajka, grzanki i szynkę z musztardą. Wszystko zjadł i znowu położył się spać.

Przez tydzień nie wychodził z łóżka. Czasami przyglądałam się, jak śpi, i po samym wyglądzie poznawałam, że o niektórych przeżyciach długo nie będzie w stanie mówić. Rozłam, który nastąpił między nami przed wyjazdem, był poważny, ale przyćmiło go to, czego doświadczył w Turcji. Może miał rację, że teraz tamto nie miało już znaczenia. Teraz wrócił do domu, znowu jesteśmy razem, i może wszystko będzie dobrze, jeśli postaramy się o tym nie myśleć.

Po tygodniu Ernest wyszedł z łóżka, wykąpał się, ubrał i był niemal gotów spotkać się z przyjaciółmi. Poszedł pogrzebać w torbie, którą przywiózł ze sobą, odsunął na bok notesy i wyjął prezenty zawinięte w gazety i płótno. Dla mnie miał flakon olejku różanego i ciężki srebrny naszyjnik z wielkimi niegładzonymi bursztynami przeplecionymi czarnym koralem.

– Jest przepiękny – powiedziałam, podnosząc go do góry.

– Własność bardzo ważnego rosyjskiego dyplomaty, który teraz jest kelnerem.

– Mam nadzieję, że dobrze mu za niego zapłaciłeś.

– Owszem, i spiłem go do nieprzytomności.

Liczyłam, że powie coś więcej na ten temat, ale tylko usiadł przy stole, wziął kawę i poprosił o gazety.

Wiem, że znowu mnie kochał, widziałam to. Nieważne, co myśleliśmy o sobie nawzajem w ciągu tych tygodni rozłąki – to już minęło. Otworzyłam flakon olejku różanego, ciemnożółtego w kolorze, pachnącego jak prawdziwa róża. Jakoś wtedy, bez słów, zaczął się następny etap naszej historii.

Uważaj – ostrzegł mnie Ernest – to zaproszenie dla diabła.

– Naprawdę?

– Sama wiesz najlepiej.

– No to niech przyjdzie otoczony zielonymi oparami.

Byliśmy w kawiarni „Select” z Poundem i Dorothy, którą zaczęliśmy nazywać Szekspirką. Pound właśnie podjął pracę jako redaktor naczelny nowego wydawnictwa literackiego zwanego Three Mountains i miał ochotę wydać coś Ernesta. Tego wieczoru wszyscy byliśmy w szampańskich nastrojach. Zamierzałam wypić tylko jedną szklaneczkę absyntu, dla uczczenia okazji.

– Lepiej zwolnić tempo – poradził Pound.

– Koniecznie? – spytałam niechętnie, ale okazało się, że nie mówił do mnie, tylko do kelnera przez kostkę cukru lejącego wodę do alkoholu, który stopniowo zmieniał kolor z mocno zielonego na mlecznobiały.

Absynt był od lat zabroniony, podobnie jak opium, ale jeśli się wiedziało, gdzie szukać, to w Paryżu łatwo można było go znaleźć.

Lubiłam delikatny posmak lukrecji i rytuał przyrządzania napitku, przesączania wody przez kostkę cukru leżącą na specjalnej dziurkowanej łyżeczce. Nasz kelner robił to konkursowo, lecz Pound postanowił go zastąpić i wyrwał mu dzbanek.

– Kochanie, upiłeś się – napomniała go szeptem Szekspirka.

– Próbuję sobie wyobrazić ciebie pijaną – zwrócił się do niej Ernest. – Założę się, że nie uroniłabyś ani kropelki.

– Tylko dlatego, że nie piję absyntu – zaśmiała się.

– Przecież to tylko cukierek z lukrecją i trochę dymu – zaprotestowałam.

– Jutro będziesz żałować, że nie tylko – powiedział Ernest.

– Może, ale chwilowo ułatwia życie, prawda?

– Masz rację – rzekł Ernest, stukając się ze mną kieliszkiem – więc napij się i do diabła z tym, co będzie jutro.

– Proszę, proszę – zawołał Pound, opierając łokcie na stole. Coraz bardziej go lubiłam – ale prawdę mówiąc, teraz lubiłam wszystkich.

Wydawało mi się, że lada chwila zakocham się w kelnerze. Miał bardzo

ładne wąsy, niewypomadowane i świeże jak kwiaty. Miałam ochotę ich dotknąć albo nawet je zjeść.

– Powinieneś zapuścić takie wąsy – powiedziałam do Ernesta, pokazując je niezbyt dyskretnie.

– Tak zrobiłem. Mam identyczne.

Spojrzałam na niego.

– Rzeczywiście. To gdzie się chowałeś?

Wszyscy się zaśmialiśmy.

Potem, kiedy przenieśliśmy się do „Dôme”, Pound zaczął opowiadać o Stanach.

– Nigdy nie wróciłbym na Środkowy Zachód – mówił. – Wyrzekam się go. Indiana jest pełna kołtunów i idiotów.

– Znowu ta stara historia – skomentowała Szekspirka scenicznym szeptem.

Spojrzałam w długie zadymione lustro i dotknęłam twarzy, a potem szkła.

– Nic nie czuję – westchnęłam. – Czy to nie cudowne?

– Wypij jeszcze jedną szklaneczkę – rzekł Ernest. – Jesteś bardzo piękna.

Szekspirka uśmiechnęła się i powiedziała do męża:

– Patrz tylko na naszych urodziwych kochanków.

– Intelktualnie Indiana zawsze była ziemią jałową – zauważył, po czym wypuścił z ust kółko dymu. Przez chwilę unosiło się nad jego głową, po czym rozpląnęło w siwym dymie, który otaczał wszystko i zamazywał kontury. Wszyscy tym oddychaliśmy.

– Jedyne, co mają, to moralizatorski ton. I nic więcej. Jako nauczyciel w Wabash byłem kompletnie bezużyteczny. Czego oczekiwały ode mnie te głąby kapuściane? Na pewno nie Yeatsa. W ogóle na pewno nie poezji.

– Aktorka była łyckiem poezji – zauważyła Szekspirka.

– Najpyszniejsze kolana, jakie kiedykolwiek widziałem u kobiety – przyznał Pound.

– Nie mów więcej – poprosił Ernest. – Robię się głodny.

– Wtedy padało – w Indianie zawsze pada, jeśli chodzi o poziom intelektualny, rozumiecie – a aktorka... jak ona się nazywała?

- Bertha – podpowiedziała Szekspirka.
- Nie Camille? – upewnił się Ernest.
- Nie, nie. Ta nie miała gruźlicy. Tylko nie chciała zmoczyć włosów. Miała piękne włosy. Proponowałem, żeby pójść na obiad, ale wyskoczył problem mokrych włosów.
- Jeden z moich ulubionych – powiedział Ernest.
- Wszyscy się zaśmialiśmy, a Pound rzekł:
 - Kiedy rozeszło się, że zabawiałem ją w swoim pokoju, można by było pomyśleć, że ją zamordowałem, a tymczasem tylko upiekłem kurczaka.
 - Biedny Ezra – westchnęła Szekspirka. – Na następny dzień go zwolnili.
 - Wcale nie biedny. Gdyby nie to, nadal siedziałbym w Indianie i nauczał te głąby.
 - Od czasu do czasu piekąc kurczaka – dodałam.
 - W Indianie nawet kurczaki cię nie zbawią – westchnął Ezra.
- Późniejszym wieczorem, kiedy „Dôme” zamieniliśmy na „Ritza”, Ernest i Pound wdali się w gorącą dyskusję na temat Tristana Tzary. Pound uważał, że surrealiści mogliby do czegoś dojść, gdyby tylko odpowiednio długo udawało im się nie budzić. Ernest natomiast twierdził, że to idioci i lepiej byłoby, gdyby się obudzili i zajęli czymś innym.
 - Zasypiam, kiedy was słucham – ziewnęła Szekspirka i we dwie przeniosłyśmy się do małego stolika w drugim końcu sali.
 - Rzeczywiście ślicznie razem wyglądacie, ty i Hem – powiedziała.
 - Naprawdę? – Od godziny piłam tylko ciepłą wodę i nareszcie zaczęłam coś czuć – na razie język.
 - Zastanawiam się, jak to się wydarza. Mam na myśli miłość. – Dotknęła kontrolnie fryzury, jeszcze gładkiej i bez zarzutu.
 - A wy z Poundem tego nie wiecie?
 - Och, nie – odparła lekko. – Ale mamy co innego.
 - Chyba cię nie rozumiem.
 - Nie jestem pewna, czy sama się rozumiem – zaśmiała się ponuro i w milczeniu kołysała kieliszkiem.
- Pogoda była cudowna tej jesieni i choć wiedzieliśmy, że wkrótce

nadejdą wilgotne i zimne dni, to cieszyliśmy się tym, co jest, i byliśmy pełni radości. Ernest pracował nad powieścią o Nicku Adamsie i nowymi opowiadaniem. Tak dokładnie widział je jako skończone książki, jakby naprawdę już istniały. W naszym kręgu wszyscy wierzyli, że mu się powiedzie, że to tylko kwestia czasu.

– Proponujesz coś nowego – powiedział mu kiedyś Pound, kiedy odwiedził go w pracowni. – Nie zapomnij tego, kiedy okaże się bolesne.

– Bolesnie jest czekać.

– Czekanie pozwala na krystalizację. To najważniejsze, a ból w tym pomaga.

Ernest zapamiętał tę mądrość, podobnie jak zapamiętywał wszystko, co mówił Pound.

Wkrótce światło popołudnia zaczęło się zmieniać, coraz szybciej znikając, rozcieńczone, i zaczynaliśmy się zastanawiać, czy mamy siłę spędzić następną zimę w tym miejscu.

– Rozważam napisanie listu do Agnes – powiedział Ernest któregoś wieczoru. – Myślę o tym od czasu wyjazdu do Mediolanu. Masz coś przeciwko temu?

– Nie wiem. A czego oczekujesz po tym kroku?

– Niczego. Chcę tylko, żeby wiedziała, że jestem szczęśliwy i że o niej myślę.

– I że życie zawodowe układa się tak, jak się spodziewałeś.

Uśmiechnął się.

– To wisienka na torcie.

– Więc wyślij jej ten list.

– Już to zrobiłem.

Poczułam ukłucie zazdrości.

– Taki byłeś pewien, że nie zaprotestuję?

– Może. Ale gdybyś nawet była temu przeciwna, jestem pewien, że potrafiłbym cię przekonać. W końcu to tylko list, a my i tak mamy siebie nawzajem.

– To samo mówiła Szekspirka.

– Szekspirka? Co ona wie o miłości?

– Może więcej niż my, ponieważ jej nie zna. Stoi z boku i obserwuje.

– Dlatego nie mogę pisać o Paryżu, bo jest go tu pełno.

– Więc pisz o Michigan.

– Wydaje się tak blisko. Jakbym nigdy nie miał go utracić. – Ernest odczytywał z notesu to, co napisał w ciągu dnia. Oparł się na rozłożonych stronach, czubkami palców muskając pochyłe, śmiałe pismo. – Ale to też nie jest realne miejsce. Wymyślam je i to najbardziej mi się podoba.

Nad biurkiem Ernest powiesił jasnoblękitną mapę północnego Michigan. Były na niej wszystkie znaczące miejsca: zatoka Horton, Petoskey, Jezioro Niedźwiedzie, Charlevoix – miejsca najważniejszych wydarzeń w życiu Ernesta, ale również Nicka Adamsa. Ernest i Nick to były dwie różne osoby, choć mieli wiele wspólnego. Obaj wiedzieli na przykład, jak po ruchu wody poznać, gdzie są pstrągi, jak się czuje człowiek zraniony pociskiem z moździerza albo kiedy miejsce, które się kocha, spłonie do cna i nie przypomina tego, czym było niegdyś. Nick miał coś nie w porządku z głową; czuło się narastające w nim napięcie, jak w opowiadaniu *Rzeka dwóch serc*, choć Ernest nigdy nie wspomniał tego wprost.

– Kocham twoje opowiadania z Michigan – powiedziałam.

Spojrzał na mnie spod oka.

– To prawda?

– Oczywiście.

– Czasami zastanawiam się, czy w ogóle chcesz, żebym pisał.

Myślę, że przez moją pracę czujesz się samotna.

– Nie dlatego, że piszesz, tylko dlatego, że cię nie ma. Od tak dawna nawet nie próbowałeś pracować w domu. Może byś znowu spróbował, a ja mogłabym czasem na ciebie spojrzeć. Nie rozmawiałabym z tobą ani bym ci nie przeszkadzała.

– Wiesz, że muszę wyjść, żeby coś się działo. – Zamknął notes, na wierzchu położył ołówek i turlał nim po okładce. – Potrzebuję samotności, żeby zacząć pisać, ale gdybym był naprawdę sam, to też by było źle. Muszę wychodzić z domu i wracać tu, i rozmawiać z tobą. To pozwala mi odczuć rzeczywistość i dlatego wszystko trzyma się kupy. Rozumiesz, co mówię?

– Tak sędzę. – Stałam za nim i położyłam mu głowę na

ramieniu, a twarz wtuliłam w szyję. Skłamałam. Nie rozumiałam go i on o tym wiedział.

– Może nikt nie potrafi wejść w cudzą skórę?

Wyprostowałam się i podeszłam do okna. Deszcz lał strumieniami i tworzył kałuże na parapecie.

– Przynajmniej próbuję – powiedziałam.

– Ja też.

– Chyba będzie cały dzień padać – westchnęłam.

– Nie oszukuj się. Będzie padać przez miesiąc.

– A może nie?

Uśmiechnął się.

– W porządku, malutka. Może nie będzie.

W roku 1922, krótko przed Świętem Dziękczynienia, „Star” wysłał Ernesta na konferencję pokojową w Lozannie. Miała zakończyć spór terytorialny między Grecją a Turcją, który doprowadził do strasznych wydarzeń w Smyrnie i z powodu którego ludzie zabijali się przez niemal trzy lata. Kiedy nadszedł telegram, Ernest bardzo się zdenerwował. Nie miał ochoty go otwierać – i wiem dlaczego. Nasz związek mógł nie przetrwać następnego takiego starcia.

– Lozanna – powiedział w końcu. – Mamy dość pieniędzy, żebyś też pojechała.

– Nie muszę. Będę grzeczna.

– Ale ja chcę być z tobą.

Ucieszyłam się, że się uparł, i zgodziłam się jechać – ale zanim wyruszyliśmy, zachorowałam. Bolała mnie głowa, wymiotowałam po jedzeniu. Postanowiliśmy, że Ernest pojedzie sam, a ja dołączę do niego, kiedy będę zdolna do podróży. Moja dawna przyjaciółka Leticia Parker z St. Louis przebywała akurat w Paryżu i przyrzekła, że co dzień będzie przychodzić i opiekować się mną pod nieobecność męża. Będzie zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy wyjechał do Turcji, a nawet do Genui.

Zanim poczułam się na tyle dobrze, żeby jechać, nastął grudzień. Spakowałam się, zadowolona, że konferencja się skończyła, obowiązki Ernesta też, i będziemy mogli pojechać na narty do Chamby, spędzić tam z Chinkiem Boże Narodzenie, a potem udać się do Włoch i Hiszpanii. Miało nas nie być w Paryżu cztery miesiące. Cieszyłam się, że umknę przed chłodem i wilgocią. Z łóżka wyszłam przed niecałym tygodniem i nie byłam pewna, czy mam siły na jazdę na nartach, ale zamierzałam spróbować.

Jeszcze na etapie uzgadniania planów podróży Ernest zatelegrafował, żeby powiedzieć, że w Lozannie spotkał jednego z dziennikarzy poznanych w Genui, Lincolna Steffensa, który był pod wrażeniem jego sprawozdań. Chciał przeczytać wszystko, co Ernest napisał, ale Ernest miał ze sobą tylko *Mojego starego*, opowiadanie o chłopcu i jego ojcu dżokeju. Steffens twierdził, że to wspaniałe opowiadanie, i porównywał je do tekstów Sherwooda Andersona. Ernest

nie chciał być porównywany do kogokolwiek, a już szczególnie do Andersona, przyjaciela i mistrza, ale podobało mu się, że Steffens obiecał wysłać je do przyjaciela z „Cosmopolitana”. Ernest miał za sobą dopiero jedno opublikowane opowiadanie, które ukazało się w „Double Dealer”, niskonakładowym czasopiśmie artystycznym wydawanym w Nowym Orleanie. Poza tym była tylko nadzieja, że Pound opublikuje coś w Three Mountains. Nowa perspektywa wydawała się bardziej obiecująca, a nawet fascynująca.

Pakując się, myślałam o tym, ile czasu nas nie będzie i jak bardzo Ernest zatęskni za powrotem do opowiadań i powieści. Nie trzeba dodawać, że pewnie zechce, żeby Steffens przeczytał więcej jego rzeczy, więc z kredensu w jadalni, gdzie Ernest trzymał maszynopisy, wyjęłam wszystko, co było, i spakowałam do małej walizki. To miała być niespodzianka. Cieszyłam się nią, idąc na Dworzec Lyoński.

Na stacji był tłok, jak zwykle. Tragarze w czerwonych kaftanach przeciskali się koło drewnianych ławek i ozdobnych palm, krążyli między eleganckimi podróżnymi. Rano będę z Ernestem i wszystko będzie dobrze, myślałam, wręczając torby tragarzowi. Mężczyzna pomógł mi wsiąść do pociągu, położył walizkę z ubraniami na górną półkę, a małą pod siedzenie, żebym łatwo mogła do niej sięgnąć. Pociąg był niemal pusty. Do odjazdu zostało jeszcze pół godziny, więc poszłam rozprostować nogi i kupić gazetę. Mijałam sprzedawców jabłek, serów, wody Evian, wypożyczalnie koców i poduszek, stoiska z kanapkami i małymi buteleczkami brandy. Kiedy konduktor zaczął zapowiadać odjazd, wraz z innymi pasażerami pospieszyłam do wagonu i weszłam do przedziału. Był niemal w takim stanie, w jakim go opuściłam. Zniknęła tylko mała walizka.

Nie było jej ani pod siedzeniem, ani w ogóle nigdzie.

W panice zawołałam konduktora.

– Czy mogę jakoś pomóc? – spytała siedząca obok kobieta, Amerykanka w średnim wieku, która najwyraźniej podróżowała samotnie. – Może pożyczyc pani coś do ubrania?

– Nie chodzi o ubranie! – zawołałam i biedna kobieta odwróciła się, wystraszona. Kiedy w końcu pojawił się konduktor, nie mogłam powstrzymać się od płaczu, by w mojej okropnej francuszczyźnie

próbować wyjaśnić mu, co się stało. W końcu zawołał dwóch policjantów, którzy zabrali mnie na peron i na oczach wszystkich urządzili dokładne przesłuchanie. Jeden z nich zajął się sprawdzaniem mojego dowodu tożsamości, a drugi pytał o opis walizki i całego wydarzenia.

– To była pani walizka?

– Mojego męża.

– Czy on jest w pociągu?

– Nie, w Szwajcarii. Wiozłam ją dla niego. Tam były efekty jego pracy. Trzech lat pracy. – W tym miejscu poczułam, że opuszcza mnie opanowanie. Zrobiło mi się słabo na myśl o konsekwencjach. – Dlaczego tracicie na mnie czas? – spytałam podniesionym, nieco piskliwym głosem. – On ucieka! Pewnie już dawno uciekł!

– Pani mąż, madame?

– Złodziej, ty idioto!

– Nie będziemy mogli pani pomóc, jeśli będzie pani histeryzować. Miałam wrażenie, że tracę rozum.

– Proszę przeszukać pociąg. I stację.

– Czy może pani ocenić wartość walizki wraz z zawartością?

– Nie bardzo – powiedziałam, zdezorientowana. – To cały dorobek.

– Tak, wiemy. Zrobimy, co możliwe.

Konduktor wstrzymał odjazd pociągu na następne dziesięć minut, kiedy policjanci prowadzili poszukiwania. Szli z jednego końca pociągu na drugi, pytając wszystkich pasażerów, czy widzieli rzeczoną walizkę. Ani przez chwilę nie wątpiłam, że sprawcy już dawno nie ma w pociągu. Na pewno był to drobny złodziejaszek, który połaszczył się na okazję. Tymczasem zamiast kosztowności znalazł wszystkie myśli i zdania, nad którymi męczył się Ernest od czasu naszego przyjazdu do Paryża i wcześniej, opowiadania i szkice z Chicago, wszystkie wiersze, a nawet ich fragmenty. Nigdy niczego nie wyrzucał, w walizce było wszystko.

Policjanci wrócili z pustymi rękoma.

– Bez rezultatów, madame – powiedział jeden z nich. – Będziemy nadal szukać, ale jeśli zamierza pani jechać do Szwajcarii, to lepiej niech pani zajmie miejsce.

Dałam im nasz adres i numer telefonu do sali tanecznej, ponieważ

w mieszkaniu nie mieliśmy aparatu, ale nie liczyłam na to, że ich wysiłki uwieńczy sukces. Paryż był zbyt wielki i minęło już dużo czasu. Wyobraziłam sobie, że złodziej wybrał jakąś pustą uliczkę, otworzył walizkę, natychmiast zatrzasnął ją z powrotem i rzucił na ziemię albo zrobił porządny zamach i wylądowała na śmieciach. Mogła być wszędzie, w każdej alei, w rynsztoku, na wysypisku śmieci. A może akurat opada na dno Sekwany.

– Przykro mi, że spotkał panią taki kłopot – powiedziała moja współtowarzyszka podróży, kiedy wróciłam do przedziału.

– To ja przepraszam – zaszlochałam. – Zazwyczaj lepiej nad sobą panuję.

– Straciła pani coś bardzo cennego?

Pociąg ze stęknieniem ruszył ze stacji. Teraz musiałam przyznać sama przed sobą, że co się stało, to się nie odstanie. Poczułam absolutną pewność, że sprawa jest zamknięta, że nic się nie zmieni, a wraz z nią przyszedł paniczny lęk. Na pytanie była tylko jedna odpowiedź:

– Bezcennego – odparłam i odwróciłam głowę.

To była najdłuższa noc mojego życia. Zbliżając się do Szwajcarii, wjechaliśmy w góry i zapadła ciemność. Zastanawiałam się, jak mam powiedzieć Ernestowi, że przepadło dzieło jego życia, ale nie potrafiłam nawet sobie tego wyobrazić. Brak na to słów.

Kiedy następnego dnia rano zajechaliśmy do Lozanny i ujrzałam na peronie Ernesta, a obok niego Steffensa, byłam w stanie jedynie podnieść się z miejsca i podejść do nich. Cały czas płakałam. Ernest spojrzął na Steffensa i wzruszył ramionami, jakby chcąc powiedzieć: Kto by zrozumiał kobietę, ale ponieważ łzy nie ustawały, zorientował się w końcu, że stało się coś złego.

Minęły wieki, zanim byłam w stanie wydobyć z siebie słowa. Steffens usunął się, mówiąc Ernestowi, że zadzwoni, żeby się umówić na spotkanie. Kiedy poszedł, Ernest zmusił mnie, żebym usiadła przy stoliku w kawiarni niedaleko dworca. Wokół nas ludzie całowali się na pożegnanie, życząc sobie szczęśliwej podróży. Wydawali się tacy beztroscy. Nadeszła nowa fala łez.

– Co się stało? – pytał Ernest raz po raz, najpierw zmartwiony i czuły, potem zły, w końcu znowu zmartwiony. – Cokolwiek to jest, wykrztuś to z siebie. Nic nie może być aż tak złe.

Ale było. Właśnie tak złe. Kręciłam głową i coraz mocniej płakałam, i trwało to cały czas, aż w końcu byłam w stanie powiedzieć mu o tym, jak spakowałam walizkę i ukryłam ją w wagonie pod siedzeniem.

Nie musiałam nic dodawać. Zbladł i zrobił się śmiertelnie poważny.

– Zgubiłaś ją w pociągu – zgadł.

– Została ukradziona.

Kiwnął głową, starając się ogarnąć to, co się stało. Uważnie patrzyłam, jak jego oczy zmieniają się i nieruchomieją, zmieniają i znowu nieruchomieją. Ze względu na mnie usiłował zachować zimną krew, bo nie był pewien, co jeszcze mogę zrobić.

– Nie mogłaś wziąć wszystkiego. Przecież nie potrzebowałbym całej tej makulatury.

– Pomyślałam, że jeśli byś robił zmiany w oryginałach, to będziesz potrzebował kopii, żeby wszystko się zgadzało.

– Na pewno coś zostało.

Pokręciłam głową i czekałam. Czy pod wpływem wstrząsu straci panowanie nad sobą i wpadnie w szal? Zasłużyłam na to. Wzięłam to, co było jego własne, najwłaśniejsze na świecie – nieproszona, jakbym miała do tego prawo. I teraz to przypało.

– Muszę wracać. Muszę przekonać się na własne oczy.

– Przepraszam, Tatie. – Trzęsłam się z bólu i żalu.

– Wszystko dobrze się skończy. Zrobiłem to raz, mogę zrobić i drugi.

Wiedziałam, że był to blef, jeśli nie zwyczajne kłamstwo, ale przytuliłam się mocno i pozwoliłam, aby on mnie tulił i mówiliśmy sobie to, co mówią sobie ludzie, których spotkało najgorsze nieszczęście.

Później, tego samego wieczoru, wsiadł w pociąg do Paryża, a ja zostałam w Lozannie. Jak jedno wielkie splakane nieszczęście. Steffens zabrał mnie na obiad i próbował uspokoić, ale trzęsłam się nawet po wypiciu kilku kieliszków whisky.

Ernest przez dwa dni nie przyjeżdżał ani nie przysłał żadnego telegramu. Ale tak wyraźnie, jak widziałam siebie, kiedy sięgam do kredensu i wszystko wkładam do walizki, tak samo widziałam jego, jak wchodzi do pustego mieszkania i odkrywa, że rzeczywiście nic nie zostało.

Włączając światła, najpierw widzi to, co rzuca się w oczy: stół, łóżko, kuchnię. Patrzy na podłogę i powoli idzie do drugiego pokoju, zostawiając kredens na sam koniec, ponieważ jest to ostatnie miejsce, potem nie będzie już miał gdzie szukać, cała nadzieja się ulotni. Najpierw nalewa sobie kieliszek, potem drugi, w końcu nie może tego dłużej odkładać. Kładzie dłoń na gałce i otwiera drzwiczki, i już wszystko wie. Nie została ani jedna strona. Żadna notatka, żaden świstek. Patrzy i patrzy, nie mogąc oderwać wzroku, cały pusty w środku. Tak pusty jak kredens, bo maszynopis był jego i był nim. Czuje się, jakby ktoś pozamiatał mu duszę, tak że nie zostało nic, tylko czyste, jasne, puste i nieprzyjazne wnętrze.

Kiedy Ernest wrócił z Paryża, był czuły i powtarzał, że mi przebacza, ale miał podkrążone oczy i zmienione spojrzenie. Na konferencji było jeszcze co robić, a on jak zwykle pogrążał się na cały dzień w pracy, a do domu wracał zmęczony i spragniony czegoś mocniejszego. Ja spędzałam czas, chodząc po sklepach w poszukiwaniu prezentów świątecznych dla rodziny. Nawet bardziej niż w pierwszym roku we Francji tęskniłam za czymś, co by oddawało klimat świąt, jaki pamiętałam z dzieciństwa. Godzinami wędrowałam po mieście, zaglądając w okna sklepów, ale w Lozannie nic nie przypominało mi tamtego Bożego Narodzenia.

Pod koniec tygodnia przygotowaliśmy rzeczy na wyjazd do Chamby.

– Wydaje mi się, że po tym, co się zdarzyło, nie powinniśmy tak po prostu realizować naszych wcześniejszych planów – powiedziałam.

– Może masz rację – przyznał. Miał bardzo zmęczony głos. – Ale co proponujesz w zamian?

– Wracać do Paryża?

– Czy nie byłoby jeszcze gorzej?

– Nie wyobrażam sobie świąt w takim nastroju. Może czas, żeby wrócić do domu?

– Do Stanów? I przyznać się do porażki? Chcesz mnie zabić?

– Przepraszam. Nie wiadomo, jak sobie z tym poradzić.

– Racja. – Włożył ostrożnie maszynę do czarnego futerału i zatrzasnął wieko.

Chamby nic się nie zmieniło. Nasz domek był taki sam jak poprzednio, podobnie pokryte śniegiem góry i nasi gospodarze, państwo Gangwische, którzy powitali nas, jakbyśmy byli dawno niewidzianymi członkami rodziny. Było to bardzo miłe po okresie przygnębienia w Lozannie. Jeszcze zanim się całkiem rozpakowaliśmy, wzięliśmy ekwipunek narciarski i złapaliśmy ostatni pociąg w górę, do Les Avants. Słońce zachodziło, kiedy przywiązaliśmy narty i ruszyliśmy białym stokiem ku wiosce. Wiatr gwizdał nam w uszach, a mróz szczypał w policzki. Przedemną, z kolaniem (które starał się oszczędzać)

owiniętym mocnym czarnym płótnem, zjeżdżał Ernest. Ostatnio zeszczupłał. Cieszyłam się, patrząc na niego, i posłałam dziękczynną modlitwę ośnieżonym świerkom, różowiejącemu niebu i widocznemu w oddali Jezioru Genewskiemu, nieruchomemu i błyszczącemu jak tafla lustra.

Następnego dnia długo spaliśmy na naszym łóżu z baldachimem. Nie obudziliśmy się, nawet kiedy pokojówka weszła rozpaścić ogień. Gdy wstaliśmy, w pokoju było już ciepło, a w ceramicznym piecu buzował ogień.

– Dobrze zrobiliśmy, przyjeżdżając tu, Tatie – powiedziałam, przytulając się do pleców Ernesta i całując go w szyję.

– Cieszymy się każdą minutą i nie myślimy o niczym więcej.

– Nie ma nic więcej – powiedziałam i wgramoliłam się na niego. Podciągnęłam koszulę nocną i sięgnęłam ręką, żeby wprowadzić go w siebie.

Jęknął i zamknął oczy, kompletnie się poddając.

Chink przyjechał w pierwszy dzień Bożego Narodzenia i święta okazały się wcale nie takie smutne. Powiesiliśmy skarpety z prezentami dla wszystkich, otworzyliśmy podarunki, a potem zjedliśmy królewski obiad. Dopiero późnym wieczorem, kiedy siedzieliśmy przed kominkiem z ciepłą brandy w żołądkach i ciągiem dalszym w kieliszkach, Ernest poruszył temat zaginionych maszynopisów.

– O rany – zmartwił się Chink, kiedy Ernest skończył opowieść. – Naprawdę nie możesz zacząć od początku?

– Nie wiem. W końcu już raz to napisałem, nie? Ale chyba nie mam wyjścia.

Chink z powagą pokiwał głową.

– Pracowałem jak niewolnik dla „Stara” – ciągnął Ernest – i teraz starczy nam na przeżycie ośmiu miesięcy. Cały ten czas zamierzam poświęcić literaturze. Wyłącznie.

– No, nareszcie cię poznaję, Tatie – powiedziałam. Chink uniósł kieliszek i wznieśliśmy toast za święta i za nas.

Mijały jednak dni, a Ernest nie wyciągał notesów. Nie wyjmował maszyny z futerału. Nie poruszał tego tematu i ja również nic nie mówiłam. Cały czas jeździliśmy na nartach, czasami do późnego

wieczora, kiedy słońce krwawiło przez chmury, ukazując nam pejzaże, których nikt wcześniej nie widział. Cieszyliśmy się z towarzystwa Chinka i swojego. Co dzień się kochaliśmy, czasami nawet dwa razy dziennie – to znaczy, póki nie powiedziałam Ernestowi, że zabezpieczenia zostawiłam w Paryżu.

Zawsze uważnie śledziliśmy moje cykle. Ernest sam się tym zajmował, podobnie jak rachunkami. Miał zeszyty, w których zapisywał dochody i rozchody, korespondencję, pomysły na opowiadania i informacje, ile którego dnia napisał. I był zeszyt podpisany „Hadley”, poświęcony mojemu cyklowi płodności, żebyśmy mogli jak najczęściej kochać się bez zabezpieczeń. Na początku w tych niepewnych okresach powstrzymywaliśmy się od współżycia, podobnie jak większość małżeństw. „Niewiele się różni od rosyjskiej ruletki” – mawiał o tej metodzie Ernest i miał rację. Prezerwatywy można było dostać w aptece, ale były grube i chropowate, z gumy kauczukowej, niewygodne i czasami dziurawe.

Kiedy przyjechaliśmy do Paryża, Gertruda, która potrafiła być bardzo bezpośrednia, spytała, czy słyszeliśmy o kapturku dopochwowym. Bez problemu znaleźliśmy lekarza, który powiedział mi, jak go stosować, i od tej pory używaliśmy go stale. Ernest lepiej niż ja wiedział, które dni są bezpieczne, a które nie. Po tygodniu w Chamby przypomniał, że zbliżamy się do końca okienka płodności.

– Może pani poczynić stosowne przygotowania? – spytał mnie którejs nocy w łóżku. To był znak. Miałam odpowiedzieć: „Tak, sir”, jakbym była sekretarką, która ma zarezerwować stolik na lunch albo wysłać telegram. Ale tej nocy nie śmiałam się i nie poszłam do komody, żeby poszukać tego, co trzeba. Powiedziałam tylko:

– Ojej.

– Nie mów, że zostawiłaś to w Paryżu.

Tylko pokiwałam głową.

– Ale wybrałaś sobie na to czas. – Poczerwieniał na twarzy. Widać było, że jest zły.

– Miałam powiedzieć ci w Lozannie, ale to też nie był dobry czas.

– Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

– Niczego. Przepraszam, powinnam była wcześniej wspomnieć.

– Tak myślę. – Odrzucił kołdrę na bok, wstał z łóżka i zaczął chodzić po pokoju w samej bieliźnie, gotując się ze złości. – Czasem się zastanawiam, z kim właściwie się ożeniłem.

– Nie bądź niesprawiedliwy, Tatie. Nie zrobiłam tego celowo.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że nie. – Wyszłam z łóżka i stanęłam blisko, żeby w półmroku widzieć jego twarz. – Ale skłamałabym też, gdybym powiedziała, że dziecko by mnie zmartwiło.

– No, nareszcie. Wiedziałem. A ustaliliśmy, że o dziecku pomyślimy, dopiero kiedy wystartuję jako pisarz. Zgodziłaś się z tym.

– Wiem.

– Nareszcie coś się dla mnie zaczyna. Chcesz to zrujnować?

– Nie, ale zaczynam się martwić. Mam trzydzieści jeden lat.

– Dopiero zaczęłaś. I nigdy nie przepadałaś za dziećmi. Cudze dzieci cię nie pociągają.

– Chcieć mieć własne dziecko to coś zupełnie innego. Nie mam dużo czasu.

– Ja też nie. Życie daje nie więcej niż jedną szansę. Chcę ją wykorzystać. – Rzucił mi wzrokiem wyzwanie, jak zwykle, kiedy oczekiwał lojalności. – Jesteś za mną?

– Naturalnie, że jestem. – Objęłam go za szyję i pocałowałam, ale jego wargi pozostały obojętne. Patrzył na mnie pytająco.

– Chyba nie myślisz, że teraz będę się z tobą kochał?

– Erneście, nie zamierzam uciekać się do podstępów!

Nie odezwał się.

– Tatie?

– Muszę się napić.

– Proszę cię, zostań, porozmawiajmy o tym.

– Idź spać. – Złapał szlafrok i wyszedł z pokoju.

Ale nie mogłam zasnąć. Ernest w ogóle nie wrócił do łóżka, a kiedy rano zeszałam na dół, żeby go poszukać, siedział w jadalni w stroju narciarskim i pił kawę.

– Tatie, możemy się pogodzić? – spytałam. – Głupio mi, że tak się stało.

– Wiem – westchnął. – Słuchaj. Musimy być zgodni, inaczej to nie

ma sensu. Sama to rozumiesz, prawda?

Kiwnęłam głową i przytuliłam policzek do jego ramienia.

– Jeśli naprawdę chcesz dziecka, to kiedyś nadejdzie pora.

– Ale nie teraz.

– Nie, kotku. Nie teraz.

Wszedł Chink, przywitał się, po czym przystanął i obrzucił nas ostrożnym spojrzeniem.

– Nic się nie stało?

– Hadley jest nie w humorze.

– Biedna pani Popplethwaite – powiedział współczująco Chink. – Powinnaś się położyć.

– Racja. Idź odpocząć – poparł go Ernest. – Przyjedziemy w południe sprawdzić, jak się czujesz.

Poszli razem na narty, a ja robiłam, co mogłam, żeby się uspokoić. Włożyłam ładne grube skarpety, nowe kapcie i skulona w fotelu czytałam *Pięknych i przeklętych*. „Fitzgerald to poeta” – powiedziała Szekspirka, polecając mi książkę, zanim razem z Poundem wyjechali na kilka miesięcy do Włoch. Napisana była rzeczywiście znakomicie, musiałam przyznać, ale smutno mi było, kiedy czytałam o Glorii i Anthonym. Ładnie rozmawiali i otaczali się pięknymi przedmiotami, ale ich życie było puste. Nie miałam ochoty na tak ponury obraz małżeństwa, w każdym razie nie w obecnej chwili.

Właśnie odłożyłam powieść i weszłam do łóżka, żeby się zdrzemnąć, kiedy wrócił Ernest. Miał mokre włosy, przylizane od grubej czapki, i twarz zaczerwienioną od mrozu. Gdy usiadł na łóżku, zauważyłam, że ma znacznie łagodniejsze spojrzenie. Towarzystwo Chinka dobrze mu zrobiło.

– Wyglądasz, jakby było ci bardzo ciepło – powiedział. – Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby wpuścić mnie do tego swojego kokonu?

– Pewnie, że nie. To dobry pomysł.

– Odwiedziłem wiejską aptekę – rzekł i wyjął z kieszeni spodni pudełeczko z prezerwatywami.

– Jestem zaskoczona. Zawsze powtarzasz, że ich nie cierpisz.

– Ale wolę to niż być z dala od ciebie.

Kiedy się rozbierał, patrzyłam na jego płaski brzuch i boki.

– Jesteś piękny.

– Tak jak ty, Tatie.

Gdy przytulił się do mnie chłodnym ciałem, za oknem zaczął padać śnieg. Leżeliśmy w puchowym łóżu, złączeni mocnym uściskiem. Jego ręce były cudownie szorstkie, kości miednicy twardo odciskały się na moich udach. Później w tych miejscach odkryłam fioletowe placki, a na twarzy i piersiach podrażnienie od nieogolonej twarzy, ale chwilowo było tylko pożądanie i poczucie wzajemności. Zostawił mnie, wątpił we mnie, a teraz znowu był mój, chciałam go więc zatrzymać w plątaninie nóg, rąk i prześcieradeł, póki nie ucichną ostatnie zadrażnienia i między nami nie będzie znowu dobrze.

Po trzech tygodniach spędzonych w Chamby, odkarmieni i spaleni słońcem, pożegnaliśmy się z Chinkiem i pojechaliśmy do Rapallo, na włoskiej Riwierze, gdzie Poundowie wynajęli willę.

– Ezra uważa, że to on odkrył to miejsce – powiedział w pociągu Ernest – choć Wordsworth i Keats byli tam przed nim.

– Ezra uważa, że to on odkrył drzewa i niebo.

– A jednak nie można go nie podziwiać, prawda?

– Ja bym mogła, ale i tak podziwiam. Z twojego powodu.

Po więcej niż jednym dniu jazdy na południe znaleźliśmy się w końcu koło Genui i krajobraz zrobił się ładniejszy i bardziej wiosenny.

– Tu jest jak w niebie – westchnęłam. – Nie wiedziałam, że może być tak pięknie.

Przez okno mignęło mi parę razy morze, spieniony błękit, znowu ciemne skały, i znowu morze.

– Czyż nie mamy szczęścia? – spytałam, kiedy wjeżdżaliśmy do górskiego tunelu.

– Pewnie, że mamy – zgodził się i pocałował mnie. Huk pędzącego pociągu odbijał się od ścian i wracał zwielokrotniony, kompletnie nas ogłuszając.

Od razu polubiłam Rapallo, czarującą miejscowość z jasnoróżowymi i żółtymi hotelami wzdłuż brzegu morza i zupełnie pustą przystanią. Ernest natomiast od pierwszego wejrzenia poczuł do miasta niechęć.

– Nikogo tu nie ma – powiedział, kiedy dotarliśmy do hotelu.
– A kto miałby być?
– Nie wiem. Ale jest jakoś sennie. – Wyjrzał przez okno. – Nie wydaje ci się, że morze jest trochę bez kręgosłupa?

– Wygląda jak morze. – Podeszłam i objęłam go od tyłu ramionami. Wiedziałam, że nie chodzi o morze. Podczas ostatniego tygodnia w Chamby kilka razy, budząc się, widziałam, że siedzi przy stole, zaostrome ołówki leżą w pogotowiu koło ręki, błękitny notes jest otwarty, ale zupełnie pusty. Nie pracował, a im dłużej to trwało, tym trudniej było zacząć. Ernest był zdeterminowany i na pewno kiedyś ruszy. Ale jak zaskoczyć?

Co dzień graliśmy w tenisa i spędzaliśmy mnóstwo czasu przy stole z Poundami, siedząc na ich tarasie. Wkrótce przyjechała jeszcze jedna para, Mike Strater, malarz, przyjaciel Ezry, i jego żona Maggie. Mieli cudowne dziecko, dziewczynkę, ze złocistymi włosami i szarymi oczami. Lubiłam się przyglądać, jak poznaje świat za kocykiem, w który była owinięta. Wyrywała garścią trawę i przyglądała się jej uważnie, jakby to był klucz do jakiejś tajemnicy. Obok Mike i Ernest urządzali mecze bokserskie. Mike był nie tylko dobrym malarzem, ale też uprawiał sporty i Ernest od razu go polubił. Fizycznie był dla Ernesta odpowiedniejszym partnerem do boksu niż Pound, który bardzo się starał, ale miał delikatne dłonie poety.

We Włoszech w lutym pogoda jest bardzo zmienna. W niektóre dni wisiała mgła, przysłaniając wzgórze za miastem, które wydawały się bardzo odległe. Z palm kapiała woda, a jaskółki gdzieś się pochowały. Czasami powietrze było wilgotne, ale nasycone słońcem. Chodziliśmy po placu albo promenadą nadmorską popatrzeć na wędkarzy na molu, moczących wędki w wodzie. Miejsowość znana była z koronek, więc zerkałam na wystawy, szukając czegoś na prezenty, a tymczasem Ernest chodził z Ezrą na długie spacerunki na kamieniste wzgórze, rozmawiając o trubadurach i wątpliwych efektach automatycznego pisania. Ernest mawiał, że nie chce wyłączać umysłu podczas pracy, gdyż to jest jedyna rzecz, która mu dobrze funkcjonuje. Prawda, ale kiedy był zmęczony po całym dniu, nie potrafił wyłączyć umysłu bez szklaneczki whisky, a czasami nawet to nie pomagało. A kiedy w ogóle nie pisał, tak jak

teraz, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Przykro było na niego patrzeć.

Po tygodniu w Rapallo pojawił się nowy powód do niepokoju. Gdy się obudziłam, kręciło mi się i huczało w głowie. Nie mogłam jeść śniadania i wróciłam do łóżka.

– To pewnie te wczorajsze małże – powiedziałam Ernestowi. Nie wychodziłam z pokoju do południa i problem minął.

Następnego dnia o tej samej porze symptomy wróciły.

Wybaczyłam małżom i zaczęłam liczyć dni w tył i w przód.

Przyjechaliśmy do Chamby tuż przed Bożym Narodzeniem i kilka dni po miesiączce. Teraz był 10 lutego, a ja od tamtej pory nie miałam okresu.

Kiedy Ernest wyszedł na spotkanie z Ezrą, zajrzałam do jego notesów, a właściwie do jednego, który mógłby rozjaśnić moją sytuację. Jasne, przez ostatni rok nie spóźniłam się więcej niż dzień lub dwa. Teraz było już ponad tydzień, może nawet dziesięć dni po terminie. Poczułam dreszcz emocji, ale nic nie powiedziałam Ernestowi. Jeszcze nie byłam pewna, a poza tym bałam się jego reakcji.

Wiedziałem, że nie da się jednak trzymać tego w tajemnicy w nieskończoność. Nie mogłam patrzeć na jedzenie, a na zapach whisky albo papierosa robiłam się zielona. Dzięki Bogu Ernest winił egzotyczne potrawy, ale Szekspirka zaczęła coś podejrzewać. Któregoś popołudnia, kiedy siedzieliśmy przy stole w ogrodzie, patrząc, jak Ernest i Mike ćwiczą serwy w tenisa, spojrzała na mnie spod oka i powiedziała:

– Jakaś jesteś ostatnio zmieniona, prawda?

– Uwidoczniły się moje kości policzkowe. Schudłam pięć funtów.

– Może – odparła wątpiaco, ale spojrzenie miała jednoznaczne.

Byłam przekonana, że zgadła.

– Ty też chudniesz, moja droga – rzekłam, próbując zignorować jej podejrzliwość. – Nikniesz w oczach.

– Wiem, to ta sprawa z Olgą Rudge – westchnęła.

Już dawno powiedziała mi o Oldze, skrzypaczce, która od ponad roku była kochanką Pounda.

– Co się stało? – spytałam. – Czy coś się zmieniło?

– Tak naprawdę, to nie. Wiem, że kocha się w kilku kobietach naraz, bo taki już jest, ale ta jest inna. I pojawia się w *Pieśniach*, oczywiście za zasłoną mitu. Ale ja ją tam widzę. – Pokręciła swoją ładną

główką, jakby chciała wyostrzyć obraz. – Okopała się. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek się jej pozbędzie.

– Tak mi przykro. Jesteś niezwykle wyrozumiałą żoną. Nie rozumiem takiego małżeństwa, chyba jestem purytanką.

Wzruszyła wdzięcznie ramionami.

– Mike Strater też się w coś wmieszał. Podobno aktorka.

– Boże. A Maggie wie?

– Wszyscy wiedzą. Stracił dla niej głowę.

– Nie widać tego po nim.

– Nie, ale tego nigdy nie widać. W sprawach serca mężczyźni to stoicy.

– Ty też sprawiasz na mnie wrażenie stoika.

– Owszem, ale ciężko na to pracuję.

Ezra był znany z kochliwości, niczego innego się po nim nie spodziewałam. Ale kompletnie wytrąciło mnie z równowagi to, że Mike Strater zachował się podobnie, ponieważ oboje z Maggie wyglądali tak rozsądnie. Patrzyłam z podziwem na nich i na ich córkę, snując marzenia, że nasze dziecko naturalnie się wpasuje i niewiele zmieni w naszym życiu i pracy Ernesta. Teraz to marzenie prysło. Dziecko było w drodze, ale co potem?

Małżeństwo mogło się okazać polem minowym. W Paryżu na każdym kroku widziało się efekty fatalnych pomyłek kochanków. Artysta rozpustnik to był niemal banał, ale nikogo to nie bulwersowało. Jak długo robił dobre, ciekawe albo sensacyjne rzeczy, mógł mieć setkę kochanek i do woli rujnować im życie. Nie do przyjęcia były tylko wartości mieszczańskie, małe, zwyczajne pragnienia, jak prawdziwa miłość czy dziecko.

Później tego samego dnia, kiedy wróciliśmy do pokoju w hotelu „Splendide”, zaczęło padać tak mocno, jakby nigdy nie miało przestać. Stałam przy oknie, wyglądając na zewnątrz i coraz bardziej się martwiąc.

– Mike Strater zakochał się w jakiejś paryskiej aktorce – powiedziała Ernestowi. – Wiesz o tym?

Siedział na łóżku, po raz setny czytając *Green Mansions* W. H. Hudsona. Ledwie podniósł oczy.

– To nic nie znaczy. Ezra mówi, że lata za spódniczkami.

– A kiedy to coś znaczy? Kiedy wszyscy się pozabijają?
– Co ci się dziś stało? To nas nie dotyczy.
– Naprawdę?
– Przecież nie można zainfekować się niewiernością tak jak świniką.

– Ale go lubisz.
– Lubię. To dobry malarz. Chce przyjść jutro namalować mój portret. Może i twój, więc lepiej rozpogódź się trochę. – Uśmiechnął się lekko i wrócił do książki.

Na dworze wiało, deszcz się wzmógł i łodzie na przystani niebezpiecznie się przechylały.

– Jestem głodna – powiedziałam.
– Zjedz coś – rzucił, nie przerywając lektury.
– Gdyby przestało padać, moglibyśmy coś zjeść w ogrodzie.
– Cały dzień będzie lało. Zjedz cokolwiek i nic nie mów.
Podeszłam do lustra i niecierpliwie przyjrzałam się swojemu odbiciu.

– Zapuszczę włosy. Już nie chcę wyglądać jak chłopiec.
– Nie wyglądasz jak chłopiec. Wyglądasz doskonale
– Doskonały chłopiec. Mam tego dość.
– To dlatego, że jesteś głodna. Zjedz gruszkę.
Obserwowałam, jak czyta z głową pochyloną nad książką. Ostatnio nie obcinał włosów i teraz były niemal długości moich. Zaczynaliśmy się do siebie upodabniać, trochę tak, jak Ernest sobie życzył wtedy, na dachu w Chicago. Ale nie będzie to długo trwać. Za kilka miesięcy zacznę grubnąć w talii. To nieuniknione.

– Gdybym miała piękne długie włosy, związałabym je nad karkiem i na niczym innym by mi nie zależało.

– Hmm? – mruknął. – Więc zrób tak.
– Zrobię. Na pewno.

Z komody pod lustrem wyjęłam małe nożyczki do paznokci i pod wpływem impulsu przycięłam nieco włosy pod jednym uchem, a potem pod drugim.

Ernest obserwował mnie uważnie, po czym zauważył:

– Straciłaś rozum, wiesz o tym?

– Może. Teraz ty. – Usiadłam mu na klatce piersiowej i przycięłam włosy koło uszu tak, że były identycznej długości, jak moje. Obcięte kosmyki włożyłam do kieszeni i powiedziałam: – Teraz jesteśmy tacy sami.

– Jesteś dzisiaj jakaś dziwna.

– Nie kochasz się w żadnej aktorce w Paryżu, prawda?

– Nie, nie Kocham się.

– A skrzypaczce?

– W nikim.

– I zawsze będziesz ze mną?

– Co jest, kocie? Powiedz mi, co się dzieje?

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Będę miała dziecko.

– Teraz? – wystraszył się.

– Jesienią.

– Proszę cię, powiedz, że to tylko żarty.

– Nie, nie żartuję. Bądź zadowolony, skarbie. Pragnę tego.

Westchnął.

– Od kiedy o tym wiesz?

– Od niedawna. Może od tygodnia.

– Nie jestem na to gotów.

– Masz jeszcze trochę czasu. Może nawet będziesz się cieszył.

– Ostatnie miesiące były straszne.

– Zobacysz, znowu zaczniesz pracować. Czuję to.

– Ja też coś czuję – powiedział ponuro.

Kilka następnych dni było pełnych napięcia. Cały czas miałam nadzieję, że sprzeciw Ernesta nie był naprawdę głęboki i że jak tylko okaże się, że dziecko jest w drodze, będzie szczęśliwy, a przynajmniej zadowolony, że ja jestem szczęśliwa. Ale nie ustąpił ani o krok. Czas spędzaliśmy podobnie jak przedtem, ale oddaliliśmy się od siebie i zastanawiałam się, czy i jak się odnajdziemy.

Po kilku dniach ponurych myśli w Willi Poundów pojawił się nowy gość. Nazywał się Edward O'Brien. Był to pisarz i redaktor mieszkający na wzgórzach ponad miastem, niedaleko klasztoru Albergo Montallegro. Ezra dowiedział się o jego pobycie i zaprosił go na lunch.

– O’Brien wydaje zbiór najlepszych opowiadań roku – powiedział Pound, przedstawiając nas sobie na tarasie koło kortów tenisowych. – Robi to od wojny. Ten tutaj Hemingway pisze cholernie dobre opowiadania. Jest naprawdę niezły.

– Zbieram materiał do tomu na 1923 rok – rzekł O’Brien. – Ma pan coś gotowego?

Szczęśliwie Ernest coś miał. Sięgając do plecaka, wyjął wymiętą kopię opowiadania o dżokeju, *Mój stary*, które Lincoln Steffens odesłał. Wręczył je O’Brienowi i pokrótce opowiedział, jak przepadły jego inne rzeczy.

– To wszystko, co mi zostało – rzekł dramatycznie. – Ostatni fragment statku gnijącego na dnie morza.

– Bardzo poetyckie – powiedział O’Brien i zabrał maszynopis, żeby zastanowić się nad publikacją.

Kiedy wyszedł, powiedziałam do Ernesta z największym spokojem, na jaki potrafiłam się zdobyć:

– Wolalabym, żebyś nie mówił w taki sposób do O’Briena. Robiło mi się niedobrze, gdy tego słuchałam.

– To pewnie przez dziecko.

– Jesteś na mnie zły?

– Dlaczego miałbym być?

– Nie myślisz chyba, że zrobiłam to celowo?

– Mówisz o zgubieniu maszynopisów?

Poczułam się, jakby dał mi w twarz.

– Nie, zaszałam w ciążę.

– Celowo czy nie, rezultat jest identyczny.

Rozmawialiśmy szeptem, ale głośność wzmagala się, w miarę jak rosła temperatura konwersacji. Pozostali już zdołali się zorientować, że się kłócimy, i zaczęli dyskretnie przemieszczać się w kierunku domu.

– Nie wierzę, że naprawdę tak myślisz – powiedziałam ze łzami w oczach.

– Powiem ci, co mówi Strater. Twierdzi, że żaden pisarz ani nawet malarz – nikt, kto w swoją pracę wkłada duszę – nigdy nie zostawiłby tej walizki w pociągu. Ponieważ wiedziałby, co to znaczy.

– Jesteś okrutny. Ja też rozpaczalam nad stratą maszynopisów.

Westchnął głośno i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, rzekł:

– Przepraszam. Przyrzekłem sobie, że nie będę o tym wspominał.

I tak nic to nie da.

Wzburzona, pobiegłam w jedną stronę, a Ernest poszedł w drugą. Chociaż podczas obiadu wszyscy udawali, że nic się nie stało, doskonale wiedziałam, że jest inaczej, i uważałam, że najlepiej będzie wszystko wyznać.

– Z wami pierwszymi chcieliśmy podzielić się nowiną, że będziemy mieć dziecko – powiedziałam, biorąc Ernesta za rękę. Nie odsunął się.

– Dobra robota – uśmiechnęła się Szekspirka, objęła mnie i szepnęła na ucho: – Tak mi się wydawało, że wyglądasz solidniej.

– Nieźle – powiedział Mike.

– Tak, tak – skomentował Ezra. – Oto szczęśliwy los małpy.

– Ezra! – zgromiła go żona.

– Czy to nie prawda?

– Gratulacje – rzekła Maggie Strater i też mnie objęła. – My, małpy, musimy trzymać się razem.

Następnego dnia po południu siedziałyśmy na tarasie, przyglądając się, jak mężczyźni grają w tenisa. Ernest grał okropnie, ale za to z dużą siłą. Machał rakieta szeroko i energicznie, jak przy golfie. Mike ładnie odbił i piłka, lekko dotykając siatki, upadła niemalże u stóp Ernesta. Nie zdążył do niej, więc rzucił rakieta na ziemię, klnąc głośno i paskudnie.

Maggie aż się wzdrygnęła.

– W końcu przywyknie do myśli o dziecku – powiedziała. – Tak jak Mike.

– Oczywiście – poparła ją Szekspirka. – W pewnym momencie górę weźmie duma i Ernest dojdzie do wniosku, że to był jego pomysł.

– Nie jestem pewna – westchnęłam.

Prawdę mówiąc, miałam okropne przeczucia, ponieważ Ernest w jakiś przedziwny sposób kojarzył stratę maszynopisów z pojawieniem się dziecka. Jeśli był w stanie pomyśleć, że celowo sabotowałam jego ambicje, to jak nasz związek mógł się kiedykolwiek odrodzić? Utratę zaufania rzadko można odrobić, a z Ernestem było to szczególnie trudne. Kogoś, kto go raz zawiódł, zawsze postrzegał jako niegodnego wiary.

Moje kiepskie samopoczucie minęło, dopiero kiedy Edward O'Brien przyjechał, pełen entuzjazmu dla opowiadania Ernesta. Chwalił je i chciał opublikować, mimo że oznaczałoby to odstępstwo od zwyczaju wydawania tekstów, które wcześniej ukazały się w jakichś pismach. Co więcej, postanowił zacząć tom od tego opowiadania i wspomnieć o nim we wstępie.

Bardzo byłam mu wdzięczna, że tak znakomicie wybrał sobie czas na przyjazd z tą wieścią. To była odpowiedź na nasze modły, moje i Ernesta. Odzyskał utraconą pewność siebie i miał cel, którego z przyjemnością wypatrywał. Kiedy książka wyjdzie, wszyscy, którzy się liczą, przeczytają jego opowiadanie. Nareszcie przestanie być bezimienny. Uwierzył, że nie pracował na próżno.

Następnego dnia rano, kiedy się obudziłam, Ernest siedział przy stole pod oknem i pisał.

W Rapallo spędziliśmy jeszcze dwa owocne tygodnie. Ernest czuł się mniej zagrożony przez dziecko, może dlatego, że znowu zaczął pisać i czuł pulsujące w nim słowa. A ja mniej martwiłam się przyszłością, ponieważ Ernest nareszcie był sobą, wypełniony planami tego, co zamierzał dokonać. Nareszcie mogłam się cieszyć perspektywą narodzin dziecka. Jedyne, co popsło trochę nastrój, to słowa Ezry na odjeździe. Wziął mnie na bok i rzekł:

– Wiesz, że nie przepadam za dziećmi. Ale to inna sprawa. Jednak jeśli chodzi o Hema, wydaje mi się, że próba pełnego udomowienia go będzie potwornym błędem.

– Lubię go takim, jaki jest. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

– Oczywiście. Teraz tak myślisz. Ale uważaj, dziecko wszystko zmieni. Tak jest zawsze. Po prostu pamiętaj, co ci powiedziałem, i bądź ostrożna.

– W porządku, Ezra, obiecuję.

Odwróciłam się od niego i weszłam do pociągu. Pound to Pound, pomyślałam, lubi dawać rady. Nie potraktowałam go poważnie. Byłam nastawiona zbyt optymistycznie, aby słuchać ostrzeżeń, ale po latach jego pożegnalne słowa wróciły do mnie rykoszetem. Pound to Pound, to prawda, tyle że w tym wypadku miał absolutną rację.

Cieszyłam się, kiedy wróciliśmy na początku kwietnia do Paryża. Drzewa właśnie zakwitły, ulice były czyste, a w wielu oknach wisiało świeże pranie. W Ogrodzie Luksemburskim po wyźwirowanych ścieżkach biegały dzieci. Ernest intensywnie pracował, a choć brakowało mi go, kiedy przesiadywał w pracowni, byłam mniej nieszczęśliwa, zostając sama, niż poprzednio.

Może brzmi to dziwnie, ale po raz pierwszy miałam własne plany. Codziennie chodziłam na długie spacery dla zdrowia, starałam się jeść dobrze i wypoczywać. Kupiłam mnóstwo miękkiej białej bawełny i całymi godzinami siedziałam z igłą, szyjąc ubranka niemowlęce. Wiezorami czytałam listy Abelarda i Heloizy, historię miłosną znacznie bardziej mi odpowiadającą niż opowiadanie Fitzgeralda o rozpadającym się związku z epoki jazzu. Przepęniała mnie nadzieja. Gdy wiosna przeszła w lato, moja talia zrobiła się gruba, a piersi – pełniejsze. Byłam opalona, silniejsza i zadowolona – solidniejsza, jak określiła to Szekspirka – i uwierzyłam, że wreszcie odkryłam swój cel w życiu.

Kiedy nie pracował na rue Descartes, Ernest spędzał mnóstwo czasu z Gertrudą. Współczuła mu ogromnie, kiedy usłyszała o kradzieży rękopisów, ale żale związane ze zbliżającymi się narodzinami dziecka wywołały mniejszy odzew.

– Jakoś to przeżyjesz – powiedziała.

– Nie jestem gotowy.

Gertruda przymrużyła oczy i rzekła:

– Nie znam mężczyzny, który uważałby, że jest na to gotowy. Nic ci nie będzie.

– Co miałaś nadzieję usłyszeć? – spytałam, kiedy opowiedział mi tę historię.

– Nie wiem. Myślałem, że będzie miała jakąś radę.

– A miała?

– Wyobraź sobie, nie. Nic, tylko „jakoś to przeżyjesz”.

– Doskonała rada. Na pewno jakoś to przeżyjesz.

– Łatwo ci mówić. Nie musisz nic robić oprócz wykrawania i szycia ubranek niemowlęcych.

- Poza wydaniem na świat tego dziecka. Nie spadnie z nieba.
- Jasne – rzucił w powietrze i wrócił do pracy.

Wkrótce po naszym powrocie do Paryża Jane Heap, redaktorka „Little Review”, napisała do Ernesta z prośbą o jakiś tekst do następnego numeru. Poza licznymi szkicami w walizce znajdowała się seria obrazków *Paryż 1922*. Wszystkie zaczynały się jednakowo:

„Widziałem...”, i malowały niezapomniane i często dramatyczne wydarzenia z ostatniego roku, których był naocznym świadkiem albo o których czytał. Jeden z nich mówił o upadku Złotej Kozy w Auteuil. Inny opisywał, jak chilijski kochanek Peggy Joyce zastrzelił ją i siebie, ponieważ aktorka nie chciała wyjść za niego za mąż. Wszyscy czytali o tym fakcie w gazetach, ale historia opowiedziana przez Ernesta była żywsza i bardziej bezpośrednia niż wszystko, co można było znaleźć w prasie. Nawet jeśli jakieś zdarzenie znał z drugiej ręki, to opowiadał je plastycznie, bez upiększeń i przekonująco. Ernest wierzył, że były to jego najbardziej wyraziste, najsilniejsze teksty. Gertruda podzielała jego zdanie. To były literackie nokauty.

– Może rozczaruje cię to, co usłyszysz – powiedziała Gertruda – ale wydaje mi się, że ta kradzież była błogosławieństwem. Musisz być wolny. Zacząć od początku i napisać coś naprawdę nowego.

Ernest poważnie pokiwał głową; poznałam, że poczuł wielką ulgę. Nie muszę dodawać, że ja również.

– Chcę napisać nowy obrazek z Paryża dla Jane Heap. Ale nie mam ochoty wskrzeszać trupów. Nowe to nowe. Myślę o podzieleniu ich na akapity, żeby naprawdę zaczęły żyć. – Uważnie obserwował jej minę, szukając zachęty. – Każdy z nich byłby nie tyle szkicem, ile kompletną miniaturą.

– Masz rację – powiedziała i nie minęło wiele czasu, a Ernest był gotów pokazać jej szkic, który z brutalną bezpośredniością ukazał, jak byk bierze na rogi i zabija matadora. Bardzo zależało mu na jej zdaniu, gdyż historia oparta była na tym, co usłyszał od niej o walkach byków w Pampelunie. Z tekstu nikt by nie zgadł, że Ernest nie widział tego na własne oczy.

– Niewiarygodne – powiedziała Gertruda. – Opisałeś to niezwykle sugestywnie.

– O to chodzi – odparł Ernest, wyraźnie zadowolony. – Ale nie znam korridy z własnego doświadczenia. Gdybym to widział, pewnie zebrałbym materiał na kilka szkiców. Mike Strater bardzo chce jechać, i Bob McAlmon. Bob ma mnóstwo pieniędzy. Mógłby sfinansować całą podróż.

– To jedź.

– Powinieneś – poparałam Gertrudę. – Wszystko na to wskazuje.

Kiedy wróciliśmy do domu, spytałam Ernesta, czy mogłabym przeczytać jego miniatury, które zaczęłam już kiedyś czytać, ale przerwałam, natrafiwszy na jedną z tych tureckich. Opisywała między innymi kobietę rodzącą jak zwierzę w czasie ulewy na drodze do Karagaszu.

Oddałam teksty, chwając je pod niebiosa, ale nie mogłam się powstrzymać, żeby nie dodać:

– Nie musisz ukrywać tego, że boisz się narodzin dziecka.

Przynajmniej nie przede mną.

– Pewnie, że się boję. Jak będę mógł wtedy pracować? Co się stanie z naszym czasem dla siebie?

– Nie tylko o to chodzi. Martwisz się też o mnie.

– Trochę.

– Proszę, nie martw się. Nic mi nie będzie.

– Skąd wiesz? Wypadki się zdarzają. Sam byłem świadkiem.

– Wiem, że wszystko pójdzie gładko. Czuję to.

– Mimo wszystko zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdyby dziecko przyszło na świat w Toronto. Mógłbym pracować na pełen etat dla „Stara”. Szpitale są tam podobno na bardzo wysokim poziomie, a ja miałbym stałą pracę. Będziemy potrzebować pieniędzy.

– No proszę, już zrobił się z ciebie troskliwy tatuś – powiedziałam i pocałowałam go w usta.

– Próbuję tego pragnąć. Oraz odsunąć od siebie wszystkie męczące myśli.

– I wziąć z życia, ile się da, zanim pojawi się dziecko?

– To również.

Następne tygodnie przyniosły nawał planów dotyczących wyjazdu do Hiszpanii. Ernest, Strater i Bob McAlmon spotykali się w kawiarniach i wytyczali trasę, ale z jakiegoś względu Ernest zawsze wracał z tych spotkań rozdrażniony i zły na towarzyszy. McAlmon był poetą i przyjacielem Ezry i Sylvii. Za żonę miał brytyjską pisarkę Annie Ellerman tworzącą pod pseudonimem Bryher. Wszyscy wiedzieli, że Annie jest lesbijką, a Bob woli mężczyzn od kobiet. Było to małżeństwo z wyrachowania. Annie nieustannie była zaangażowana w związek z poetką H.D., jeszcze jedną pupilką Pounda. Nie spędzało to bynajmniej Bobowi snu z powiek, ale z jakiegoś powodu drażniło Ernesta. Otaczały nas pary i trójki różnych orientacji seksualnych, więc nie chodziło chyba o homoseksualny aspekt tego stadła. Raczej o rozkład sił. Annie była bogata z domu. Jej ojciec, potentat w dziedzinie budowy okrętów, należał do najzamożniejszych ludzi w Anglii. Choć Bob miał niezależne fundusze, to jednak jego majątek nie umywał się do majątku żony i odnosiło się wrażenie, że żona trzyma go na krótkiej smyczy i bez jej pomocy nie będzie w stanie prowadzić swojego nowego wydawnictwa Contact Editions. Bob był uzależniony od Annie, a gdyby kiedyś Ernest chciał u niego coś wydać – byłby z kolei uzależniony od Boba. Contact Editions zapowiadało się obiecująco i szukało nowego, ostrego pióra.

Świadomość tego, że powinien wyrzucić na Bobie korzystne wrażenie, od razu podziałała na Ernesta jak płachta na byka. Jeszcze przed wyruszeniem do Hiszpanii Ernest i Bob przestali niemal ze sobą rozmawiać. Wycieczka w ogóle była nieudana. Bob (dzięki wsparciu Annie) płacił wszystkie rachunki, a to fatalnie działało na Ernesta. Zawsze krytykował bogaczy i nie znośił być zmuszonym do wdzięczności. Później dowiedziałam się od Mike'a, że Ernest od początku uznał się za „specjalistę” i nieustannie pouczał współtowarzyszy. Od pierwszej chwili pokochał korridę. W listach do mnie pisał tylko o odwadze toreadorów i byków. Cała ta rozrywka była jedną wielką i poruszającą tragedią, której oglądanie z bliska stawiało włosy na głowie.

Wrócił po tygodniu pełen entuzjazmu. W mieszkaniu, z obrusem na ramieniu, ćwiczył dramatyczne wypadki, których nauczył się w Rondzie i Madrycie.

Obrócił się bokiem do stołu, jedyne w tym momencie osiągalnego byka, i powiedział:

– Kiedy matador patrzy na zbliżającą się zwierzę, zapada absolutna cisza. Myśli tylko o tym, jak je powalić, a nie o niebezpieczeństwie.

W tym jest właśnie piękno. I oczywiście zasadnicza trudność.

– Chciałabym to zobaczyć – rzekłam.

– Będzie ci ciężko na to patrzeć.

– Możliwe, ale jest to coś, czego na pewno nie chciałabym przegapić. Walki mogłyby mieć nawet wzmacniający wpływ na dziecko.

– Owszem, jeszcze przed urodzeniem będzie prawdziwym mężczyzną.

– Skąd pewność, że to będzie chłopiec?

– A któżby inny?

Postanowiliśmy jechać razem w lipcu na Fiesta de San Fermín w Pampelunie, na którą Gertruda i Alice wybrały się rok wcześniej. Podobno była tam najlepsza arena do korridy, najbardziej niebezpieczne byki i najzręczniejsi toreadorzy. Choć zapaliłam się do wyjazdu, Ernest uparł się przygotować mnie na szokujące sceny.

– Nie każdy może na to patrzeć spokojnie – tłumaczył. – McAlmon za pierwszym razem nie wypuszczał z rąk butelki z brandy. Zieleniał na twarzy, ilekroć byk szarżował na konie. Powiedział, że nie widzi w walkach nic pociągającego i że tylko pomyłeńcy mogą znajdować w nich upodobanie.

– Chyba nie jest wam pisane zostać przyjaciółmi.

– Może nie, ale wydaje się, że Bob i Annie chcą wydać zbiór moich opowiadań. Albo wierszy i opowiadań.

– Naprawdę? Jeśli go tak nienawidzisz, dlaczego zgadzasz się na wydanie książki?

– Ktoś musi ją wydać. Teraz tylko muszę ją napisać.

Kiedy nasz autobus wjechał w środku nocy w obręb murów miejskich, miałam wrażenie, że nikt w Pampelunie nie śpi. Na ulicach panował taki tłok, że pojazd z trudem się przeciskał, wzbudzając w tańczącym tłumie fale rozchodzące się coraz dalej i zamykające się zaraz po jego przejeździe. Sunęliśmy wąskimi uliczkami w kierunku rynku, a kiedy dotarliśmy na miejsce, niemal straciliśmy bagaże,

ogłuszeni nieziemskim hałasem i zamieszaniem. Tancerze wirowali, muzycy walili w bębny i dęli w trzcinowe piszczałki, wykwitające białym dymem race śmigały z hukiem w niebo. Kiedy z walizkami dotarliśmy jakoś do hotelu, okazało się, że nie ma dla nas pokoju – mimo że Ernest kilka tygodni wcześniej zrobił rezerwację.

Znaleźliśmy się z powrotem na ulicy. Ernest przykazał mi czekać spokojnie, aż znajdzie lokum. Patrzyłam, jak unosi go tłum, i nie miałam specjalnej nadziei na to, że uda mu się cokolwiek znaleźć, nie mówiąc już o tym, że uda mu się trafić do mnie. Ulice wydawały się płynąć. Oparłam się o gruby mur i usiłowałam tkwić w miejscu, nie poddając się szalonemu ruchowi tancerzy w białych i niebieskich strojach. Kobiety były ubrane w długie falbaniaste spódnice. Tańczyły w kółko, strzelając palcami i tupiąc nogami po bruku. Włosy miały piękne, długie i rozpuszczone. Niektóre potrząsały tamburynami albo dzwonkami, a choć muzyka wydawała mi się chaotyczna, pełna piskliwych dźwięków fujarek i bębnienia, od których drżały mi kolana, kobiety najwyraźniej łatwo wylapywały rytm i poruszały się doskonale, równo unosząc nogi i wyrzucając ręce nad głowę. Mężczyźni, w błękitnych koszulach i spodniach, z czerwonymi chustkami zawiązanymi wokół szyi, tańczyli razem w dużych grupach. Nawoływali się radośnie, a ich okrzyki tonęły w ogólnym hałasie. Niczego podobnego nigdy nie widziałam.

W jakiś sposób Ernestowi udało się nie zgubić w tym szaleństwie. Wrócił po mnie, a choć w hotelach od tygodni nie było wolnych miejsc, to zdołał znaleźć pokój w prywatnym domu w pobliżu. Sześć dni za cenę dwukrotnie wyższą niż suma, którą płaciliśmy miesięcznie w Paryżu.

– Aż tyle? – spytałam, niemile zdziwiona. – Nie stać nas na to.

– Głowa w górę, malutka. Zwróci nam się, kiedy zapłacą mi za szkice. Muszę to zobaczyć.

Nie mogłam przeciwstawiać się jego instynktowi, a poza tym czułam się ledwie żywa. Wynajęliśmy w końcu ten pokój, ale równie dobrze mogliśmy spędzić noc na ulicy, jak wszyscy inni. Mieszkańcy cały rok czekali na ten tydzień, na tę noc radości. Wydawało się, że będą tańczyć w nieskończoność. Zabawne, że uciekaliśmy przed chaosem obchodów zdobycia Bastylli w Paryżu, a tymczasem tu było jeszcze gorzej.

Ostatecznie o szóstej rano zrezygnowałam z prób zaśnięcia, wstałam z łóżka i wyszłam na balkon. Na ulicy pode mną było tyle samo ludzi, co w nocy, ale ruch wydawał się mniej chaotyczny. Niedługo mieli wypuścić byki, ale o tym nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że coś się dzieje. Wróciłam do pokoju i po cichu się ubrałam, ale Ernest spał bardzo lekko i się przebudził. Kiedy razem wyszliśmy na balkon, usłyszeliśmy wystrzał z armaty. Ujrzeliśmy biały dym unoszący się nad rynkiem i ludzie zaczęli śpiewać. Nasz pokój miał rewelacyjną lokalizację. Wszystko widzieliśmy z balkonu. Najpierw grupa mężczyzn i chłopców odśpiewała namiętą pieśń po hiszpańsku. Nic nie rozumiałam, ale nie było to potrzebne.

– Chyba śpiewają o niebezpieczeństwie – powiedziałam.

– Szczęśliwe niebezpieczeństwo – dodał. – Z radością poddają się próbie. Chcą sprawdzić, czy potrafią pokonać strach.

Wiedział, że niedługo wypuszczą byki. Gertruda i Alice dokładnie zrelacjonowały mu wszystko, co przed rokiem widziały na fieście, podobnie Mike Strater. Ale Ernest nie zadowolął się opowiadaniem; chciał sam wszystko zobaczyć. Gdyby nie ja, nie stałby na balkonie. Byłby na dole, przygotowując się do biegu.

– *Viva San Fermín* – ryczał tłum. – *Gora San Fermín!*

Jeszcze raz wystrzelono z armaty i zwierzęta ruszyły. Mężczyźni, w białych koszulach i spodniach z jaskrawoczerwonymi chustami w pasie i wokół szyi, biegli co sił w nogach po wybrukowanych ulicach. Niektórzy trzymali w ręce gazety do odganiania byków, a wszyscy mieli wniebowzięty wyraz twarzy. Za biegaczami pędziło sześć byków, wałąc kopytami w bruk z taką siłą, że trzęsła się podłoga. Z opuszczonymi nisko głowami, byki wyglądały morderczo. Niektórzy widzowie poddawali się i wdrapywali na bariery wzniesione wokół ulicy. Ludzie wyciągali ręce, żeby im pomóc, ale czuło się też niecierpliwość w oczekiwaniu na to, co się stanie, jeśli jakiś pechowiec okaże się nie dość szybki lub zwinny.

Tego dnia byki nikogo nie wzięły na rogi, a przynajmniej myśmy tego nie widzieli, i poczułam ulgę, kiedy szczęśliwie zapędzono je na arenę. Przegnanie ich przez ulice trwało zaledwie kilka minut, ale przez cały ten czas nie oddychałam.

Na śniadanie zjedliśmy bułki z gliniastego ciasta i wypiliśmy cudownie słodką *café con leche*, po czym położyłam się, starając się zdrzemnąć, a Ernest wyszedł się rozejrzeć i porobić notatki. Wszystko było dla niego poezją, nawet pobrużdżone twarze starych Basków w błękitnych czapkach. Młodzi nosili słomkowe kapelusze z szerokim rondem i mieli ręce i plecy mocno umięśnione od ciężkiej pracy. Z ramion zwisały im ręcznie szyte bukłaki na wino. Ernest wrócił do pokoju zachwycony i nie mógł wyjść z podziwu nad świetnym chrupkim pstrągiem smażonym z szynką i cebulą, którego zjadł na lunch.

– Najlepsza ryba, jaką kiedykolwiek jadłem – mówił. – Ubieraj się, musisz tego spróbować.

– Naprawdę chcesz iść do tej samej restauracji i patrzeć, jak jem?

– Nie chcę patrzeć. Mam zamiar zamówić drugą porcję.

Późniejszym popołudniem poszliśmy na korridę. Mieliśmy znakomite miejsca, *barrera*, tuż koło areny. Ernest zapłacił więcej, żeby mieć dobry widok na to, co się będzie działo. Ale był też bardzo opiekuńczy w stosunku do mnie.

– Nie patrz teraz – mówił, kiedy pierwszy jeździec wbił długą banderillę w kark byka i popłynęła krew. I znowu, gdy byk mocno zranił konia, i jeszcze raz, gdy piękny młody toreador, Nicanor Villalta, zabił byka celnie wymierzonym ciosem. Ale ja nie odwracałam wzroku.

Całe popołudnie spędziliśmy w sektorze *barrera* i widzieliśmy, jak sześć zwierząt traci życie. Patrzyłam, słuchałam i czułam, że ponoszą mnie emocje. Pomiędzy walkami haftowałam kocyk dla niemowlęcia.

– Zaskoczyłaś mnie – powiedział Ernest pod koniec dnia.

– Naprawdę?

– Dotychczasowe życie nie przygotowało cię na oglądanie takich widoków. Obawiałem się, że zasłabniesz w połowie. Przepraszam.

– Nie byłam pewna, jak będę się czuła, ale teraz mogę ci powiedzieć. Silna i bezpieczna.

Doszłam do końca ściegu i zawiązałam supełek, tak jak w dzieciństwie nauczyła mnie matka. Zadowolona z efektu, wygładziłam materiał ręką i pomyślałam, jaka byłaby zszokowana, gdyby mnie tu zobaczyła. W tyglu burzliwych emocji, walki o życie – nie wzdygam się z niesmakiem, ale obserwuję widowisko, jakbym niczego innego

w życiu nie robiła.

– W dzieciństwie nie znałam strachu. Mówiłam ci.

Skinał głowę.

– Kiedy ten etap minął, rodzina odetchnęła.

– Nie wiedziałem, że minął – nadal widzę w tobie tę cechę.

– Jestem silna z powodu dziecka. Czuję, jak się we mnie rusza, kiedy rozlegają się dźwięki fujarek i wrzaski tłumu. Podoba mu się.

Ernest uśmiechnął się z dumą i rzekł:

– Niektóre rodziny są jak trucizna, ale nasza taka nie będzie.

– Nasz syn pozna wszystko to, co my znamy. Będzie uczciwy i otwarty.

– I nie będzie czuł się niedoceniony.

– I wychowamy go tak, żeby nie bał się życia.

– Z tym może być problem, czyż nie?

Roześmialiśmy się, podniesieni na duchu naszymi planami.

Nocą, kiedy nie mogliśmy spać z powodu rac, hałasu bębnów i tańców *Riau-riau**, Ernest rzekł:

– Może nazwiemy dziecko Nicanor?

– Z takim imieniem będzie wspaniałym toreadorem. Nic innego nie będzie pasowało.

– Ale nieźle się bawiliśmy, co? – Ścisnął mnie mocno w ramionach.

– Jeszcze nie koniec.

– Nie, ale podejrzewam, że kiedy urodzi się dziecko, będę musiał zrobić się stateczny. Zarabiać na życie, być ojcem. Zabraknie mi czasu na to, żeby pomyśleć, na co rzeczywiście mam ochotę.

– Może będzie tak przez pierwszy rok, ale przecież nie wiecznie.

– Zatem rok wyrzeczeń. A potem chłopak będzie musiał się do nas przystosować.

– Nicanor. Brzmi obiecująco, prawda?

– Owszem, ale to nie znaczy, że gnojek dostanie więcej niż roczną taryfę ulgową.

* *Riau-riau* – uliczne tańce i śpiewy na ulicach Pampeluny, urządzone od 1914 roku w wigilię święta San Fermín.

Miałam ochotę na melona i spory kawałek sera, kawę, dobry dżem i gofry. Tak zgłodniałam, myśląc o tym, że nie mogłam spać.

– Gofry – wymamrotałam do skulonych pleców Ernesta, kiedy już niemal świtało. – Czy nie marzysz o nich?

Kiedy nie wstał, powtórzyłam to samo, głośniej, i lekko go popchnęłam ręką.

– Och, co za głośne krzyki – jęknął, wychodząc z łóżka. – Spłoszyły się.

– Co?

Usiadł na brzegu grubego materaca i podrapał się w kolano.

– Właściwe słowa do szkicu.

– W takim razie przepraszam.

Patrzyłam, jak się ubiera i idzie do kuchni. Wkrótce zaczęły stamtąd dobiegać dźwięki świadczące o tym, że gotuje się kawa, poczułam jej zapach i zrobiłam się jeszcze bardziej głodna. Usłyszałam, że nalewa sobie kawy, potem skrzypi krzesło. I cisza.

– Malutki? – zawołałam, nie ruszając się z łóżka. – Co myślisz o gofrach?

Znowu jęknął i szurnął krzesłem.

– Znowu uleciały!

Mijały miesiące. Nasze dziecko miało przyjść na świat pod koniec października. W drugiej połowie sierpnia planowaliśmy wsiąść na statek do Kanady. Dzięki temu mielibyśmy sześć albo siedem tygodni na znalezienie mieszkania i przygotowanie się na malucha. Ernest pracował coraz intensywniej. Bał się, że nigdy nie znajdzie czasu na to, żeby napisać pozostałe miniatury dla Jane Heap i „Little Review”. Pracował jednocześnie nad pięcioma, z których każda poruszała w jakiś sposób temat korridy. Gdy wracał z pracowni, często potrzebował nie jednego, ale kilku drinków, zanim był w stanie opowiedzieć mi o tym, co zrobił. Praca szła mu dobrze, ale go wyczerpywała.

– Chcę, żeby było w tym życie – mówił. – Sama akcja, a nie moje poglądy na ten temat. W ogóle nie mogę myśleć o sobie, tylko o tym, co się działo. W tym są prawdziwe emocje.

To były jego najnowsze poglądy na pisarstwo, a ponieważ miniatury miały być ich potwierdzeniem, pracował do upadłego, żeby osiągnąć upragniony rezultat. Nie wątpiłam, że będą znakomite, ale tymczasem współczułam mu, że jest tak przemęczony.

Ślęczał również nad korektami dla Boba McAlmona. Po powrocie z Hiszpanii Bob złożył Ernestowi propozycję wydania jego książki w Contact Editions. Tom miał nosić tytuł *Trzy opowiadania i dziesięć wierszy*, a choć idea publikacji wprawiała Ernesta w zachwyt, to jednak obawiał się, że nie zdąży z korektą. Pracował przy świeczce do późnej nocy, a kiedy kończył notatki i wysyłał je McAlmonowi, nadszedł akurat czas rozstania.

Odbębniliśmy całą serię smętnych obiadów pożegnalnych – ze Straterami, Poundami, Sylwią, Gertrudą i Alice – powtarzając, że wrócimy za rok, kiedy dziecko trochę podrośnie.

– Uważajcie, żeby nie zabrało to więcej czasu – prorokował złowieszczo Pound. – Emigracja ciąży na umyśle.

– To nie całkiem emigracja – zaprotestował Ernest.

– No to stan zawieszenia – wycofał się nieco Pound.

Po dziesięciu dniach odpłynęliśmy.

Do Quebecu przybiliśmy na początku września, a gdy dotarliśmy do Toronto, czekały na nas entuzjastyczne powitalne listy od Johna Bone'a i od Grega Clarka, reportera, znajomego Ernesta. Wszystko dobrze wróżyło, ale kiedy 10 września Ernest zgłosił się do pracy w „Starze”, okazało się, że jego bezpośrednim przełożonym nie będzie Bone, tylko Harry Hindmarsh, zastępca dyrektora. Po pierwszym spotkaniu Ernest wiedział już, że ich stosunki nie będą się dobrze układały. Hindmarsh był otyły, ordynarny i porywczy. Po powrocie do hotelu „Selby” Ernest chodził po pokoju ze zmarszczonym czołem i dawał ujście emocjom:

– Od pierwszego rzutu oka ocenił, że mam zbyt wygórowane mniemanie o sobie. A on? Gdyby nie ożenił się z córką wydawcy, to zamiatałby ulice.

– Tak mi przykro, kochanie. Jestem pewna, że w końcu pozna się na tobie.

– Akurat. Specjalnie będzie mnie traktował jak nieopierzonego

dziennikarza. Nie będą drukować mojego nazwiska przy artykułach i w dodatku wysłała mnie w teren.

– Kiedy?

– Jeszcze dzisiaj. Do Kingston, żebym napisał o jakimś gościu, który zwał z więzienia. To tylko pięć–sześć godzin pociągiem, ale nie wiem, ile czasu będę musiał spędzić na miejscu.

– Czy Hindmarsh wie, że dziecko w każdej chwili może się urodzić?

– Ma to w nosie.

Posłałam Ernestowi buzi na pożegnanie i zapewniłam, że nic mi nie będzie. Kazał mi obiecać, że poproszę kogoś o pomoc, i zrobiłam, jak sobie życzył. Greg Clark miał cudowną żonę, Helen, która zgodziła się szukać ze mną mieszkania. Pieniądzy jak zwykle nie mieliśmy wiele, a nawet mniej niż zwykle, ponieważ ile się dało, odkładaliśmy dla dziecka. Nie stać nas było na dobre dzielnice, które polecała Helen, ale udało się znaleźć coś odpowiedniego przy Bathurst Street. Było to mieszkanie kolejowe na trzecim piętrze, z wanną na nóżkach i opuszczanym łóżkiem w sypialni wciśniętej między kuchnię i salon. Choć mieszkaniu brakowało ciepła i wdzięku, okna wychodziły na wąwóz w posiadłości Connable'ów.

Ernest znał Ralph'a i Harriet Connable'ów od czasów wojny, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Toronto jako początkujący dziennikarz. Ralph, właściciel kanadyjskiej sieci sklepów Woolwortha, sprzedającej towary po 5 i 10 centów, był w naszych oczach bogaty jak Midas. Razem z żoną ucieszyli się, kiedy się dowiedzieli, że będziemy sąsiadami, a ja uradowałam się, że gdy nadejdzie krytyczny moment, będę miała koło siebie kogoś znajomego.

Ernest wrócił z Kingston zmęczony i podenerwowany, a po kilku dniach znowu wyjechał zbierać materiał do artykułu na temat zagłębia Sudbury leżącego dwa razy dalej niż Kingston. Ledwie miał czas na to, żeby rzucić okiem na wynajęte mieszkanie.

– Och, kocie, czuję się okropnie. Nie będę mógł ci pomóc się urządzić.

– Nie ma wiele do roboty. A do przeniesienia ciężkich rzeczy kogoś wynajmę.

– Zaczynam myśleć, że przyjazd tutaj był nieprzemyślanym krokiem. Cały czas jesteś sama. A ja haruję jak niewolnik – po co? Żeby pisać doniesienia z pipidówek. Kompletna klapa zawodowa!

– Wiem, że jesteś przepracowany, kochanie. Ale wszystko się ułoży, kiedy urodzi się dziecko.

– Obyś miała rację.

– Mam, zobaczysz – powiedziałam i pocałowałam go na pożegnanie.

Za często się z nim rozstawałam, to prawda, ale wierzyłam, że jeśli tylko dziecko urodzi się zdrowe, przestaniemy żałować przyjazdu do obcego i nieprzyjaznego Toronto. Tymczasem próbowałam jak najładniej urządzić mieszkanie. Z Paryża przywieźliśmy skrzynie z ubraniami, naczyniami i obrazami. Najęłam sprzątaczkę i mocno starszawego odźwiernego, żeby wtaszczyli nasze rzeczy na trzecie piętro. Nie mieliśmy wiele mebli i przez pierwsze tygodnie, kiedy Ernest jeździł tam i z powrotem po Ontario jak jakiś domokrażca, koczowałam otulona w koce na opuszczanym łóżku i kończyłam lekturę listów Abelarda i Heloizy.

Złakniona rozrywek, łatwo pogrążyłam się w ich historii. W niektóre dni wstawałam tylko po to, żeby zrobić herbatę albo wcisnąć koc pod drzwi lub parapet, żeby nie wiało chłodem. Pisałam również listy do Paryża, do przyjaciół, których tu nam brakowało, i do domu, do Stanów. Fannie próbowała cieszyć się wizją naszego dziecka, ale w wielu kwestiach wydawała się zbliżać do kresu wytrzymałości. Ronald niedawno miał załamanie nerwowe i obecnie leczył się w szpitalu psychiatrycznym w Massachusetts. *Ma bardzo dobrą opinię – pisała Fannie – jak na taki zakład, oczywiście, ale dzieci są zdeorientowane i pytają, czy ojciec wróci jeszcze do domu. A ja nie wiem, co im powiedzieć.* Współczułam im, ale nie byłam zaskoczona. Między nimi wiecznie panowało napięcie, a wiem, że jeśli cały czas żyje się w niepokoju wewnętrznym, to nie ma rady, coś musi pęknąć. Podobnie było z naszymi rodzicami.

Napisałam również do rodziców Ernesta. On był zbyt zajęty, żeby odpisywać na otrzymywane listy, ale problemy z rodzicami nie ograniczały się do tego. Nigdy nie życzył sobie, żeby mieli – szczególnie

matka – zbyt duży wpływ na jego życie. Wyjeżdżając do Paryża, zyskał chyba po raz pierwszy całkowitą wolność, żeby móc zdefiniować siebie na nowo. Rodzice przypominali mu o początkach, o których najchętniej zupełnie by zapomniał. Rozumiałam jego pragnienie niezależności, ale żeby do tej pory nawet nie wspomnieć rodzicom o spodziewanym potomku? Uważałam, że mają prawo wiedzieć i suszyłam mu o to głowę w krótkich chwilach między wyjazdami służbowymi.

– Powiem im, jeśli nalegasz – zgodził się w końcu – ale uważam to za błąd. Przyjadą tu węszyć, jak wilki.

– Wcale tak nie myślisz.

– Owszem, myślę. Czy wyobrażasz sobie, że matka nie będzie wtrącała się do wszystkiego, co będzie miało związek z dzieckiem? Zasypie nas radami. Nie potrzebujemy jej tutaj. Nikogo nie potrzebujemy.

– Ona i Ed na pewno chcieliby nam pomóc, choćby trochę.

– Dobrze, ale nie chcę się sparzyć na ich pomocy.

– Zgoda – powiedziałam, lecz byłam wdzięczna, kiedy w odpowiedzi na list Ernesta przysłali całe skrzynie prezentów ślubnych, które u nich przechowywaliśmy, i meble z naszego dawnego mieszkania przy Dearborn Street. Nic z tego nie było specjalnie ładne, ale przynajmniej mieliśmy własne rzeczy i nasze lokum na Bathurst Street wydawało się mniej tymczasowe. A poza tym wszystko przybyło akurat na czas.

Hindmarsh ponownie wysłał Ernesta w podróż w pierwszym tygodniu października, żeby zrelacjonował przybycie brytyjskiego premiera Davida Lloyd George'a do Nowego Jorku.

– To wygląda na prywatną wojnę – zauważyłam, kiedy pakował się przed podróżą.

– Trudno, jakoś to zniosę – rzekł. – Ale co z tobą?

– Lekarz twierdzi, że mamy czas do końca miesiąca, może do pierwszego listopada. Zdążysz wrócić.

– To ostatni wyjazd – powiedział, zatraskując wieko nowej walizki. – Poproszę Johna Bone'a, żeby przemówił Hindmarshowi do

rozumu.

– Jeśli Bone osobiście mu to powie, to powinien się odczepić, prawda?

– Taką mam nadzieję. Uważaj na małego kociaka.

– Obiecuję.

– I opiekuj się mamą kociaka.

– Dobrze, malutki, ale pospiesz się trochę. Pociąg nie będzie na ciebie czekał.

Po kilku dniach, 9 października, zadzwoniła Harriet Connable z zaproszeniem na obiad.

– Chętnie – powiedziałam – ale jestem taka gruba, że nic na mnie nie pasuje. Chyba że owinę się obrusem.

– Na pewno będzie ci w nim do twarzy, moja droga – zaśmiała się. – Wyślemy po ciebie auto koło ósmej.

W końcu byłam bardzo zadowolona, że poszłam. Całe popołudnie czułam coś, co brałam za niestrawność. Oczywiście to była poważniejsza sprawa. Moje ciało przygotowywało się, ale próbowałam zlekceważyć sygnały. Uważałam, że jeśli będę zachowywała spokój i unikała wysiłków, dziecko poczeka na powrót Ernesta. Powolutku zjadłam zupę i usadowiłam się na aksamitnej sofie Connable'ów, żeby posłuchać, jak Harriet gra *I'll Take You Home Again, Kathleen*. Ale dziecko miało w nosie to, czy jestem gotowa, czy nie, i w miarę upływu czasu stawało się to coraz bardziej oczywiste.

– Hadley, moja droga, chyba źle się czujesz – zauważył Ralph Connable, nie mogąc dłużej ignorować mojej napiętej i poważnej miny.

– Nic mi nie jest – upierałam się, ale ledwie to powiedziałam, tama, jaką położyłam emocjom, pękła i zaczęłam krzyczeć. Nie byłam w stanie znieść bólu. Pochyliłam się i zaczęłam się trząść.

– Biedactwo – rzekła Harriet. – Nie martw się, zajmę się tobą.

W drodze do szpitala Ralph z całych sił przyciskał pedał gazu, a Harriet gładziła mnie po ręce i uspokajała.

– Czy możesz spróbować skontaktować się z kimś ze „Stara”? Musi być jakiś sposób, żeby zawiadomić Ernesta.

– Jeśli trzeba, poruszymy góry – obiecała Harriet. – Chyba to jeszcze nie jest to.

Ale to już było to. Pół godziny później, w szpitalnej koszuli, leżałam na stole, a lekarz i kilka pielęgniarek instruowali mnie, jak mam przeć. Po to właśnie przyjechaliśmy do Toronto – żebym była w rękach wytrawnych zawodowców. W Paryżu przyszłaby akuszerka, która sterylizowałaby narzędzia w garnku na mojej kuchni. Nawet w Stanach lekarze dopiero zaczynali przyjmować porody w szpitalu. Ojciec Ernesta nadal w środku nocy otrzymywał wezwania i choć wiedziałam, że kobiety od zawsze rodziły w domu – na pewno moja matka i matka Ernesta – to jednak tu czułam się bezpieczniejsza. Szczególnie kiedy okazało się, że parcie nic nie daje.

Męczyłam się przez dwie godziny, cała trzęsłam się z wysiłku. W końcu podali mi eter. Założyli mi maskę na nos i usta, zrobiłam wdech, poczułam zapach świeżej farby i zaczęły mi łzawić oczy. Potem przestałam cokolwiek czuć. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam pielęgniarkę trzymającą w rękach ciasno owiniętą kukielkę. To był mój syn otulony w błękitny koc. Patrzyłam na niego ze łzami w oczach. Był doskonały, od różowych kształtnych uszu i zaciśniętych powiek po ciemne włosy i puszek bokobrodów. Bardzo żałowałam, że Ernesta nie było przy porodzie, ale przynajmniej jego syn był bezpieczny, zdrowy i absolutnie cudowny. Nic więcej się nie liczyło.

Kiedy wczesnym rankiem zjawił się Ernest, zziębnięty i nieprzytomny, siedziałam na łóżku z dzieckiem na rękach.

– Och, mój Boże – powiedział i coś w nim pękło. Stał w drzwiach i szlochał, zakrywając twarz dłońmi. – Ogromnie się o ciebie martwiłem, malutka. Dostałem telegram z informacją, że dziecko urodziło się zdrowe, ale ani słowa o tobie.

– Kochanie, widzisz, że nic mi nie jest. Wszystko poszło gładko. Chodź, spójrz na chłopca. Czyż nie jest wspaniały?

Ernest zbliżył się i usiadł delikatnie na brzegu materaca.

– Jest strasznie mały. Nie boisz się, że zrobisz mu krzywdę? – Dotknął palcem malutkiej rączki dziecka.

– Najpierw się bałam go dotknąć, ale jest całkiem solidny. Myślę, że to wpływ korridy. Kiedy się rodził, walczył jak prawdziwy toreador.

– John Hadley Nicanor Hemingway. Absolutnie piękny. A czy tobie nie należy się podziw za udany poród?

– Czuję się zdumiewająco silna. Za to ty wyglądasz okropnie. Nie spałeś w pociągu?

– Próbowałem, ale miałem straszne przeczucia, że grozi ci niebezpieczeństwo.

– Byłam w znakomitych rękach. Connable'owie bardzo mi pomogli. Dużo im zawdzięczamy.

– To może mieliśmy rację, przyjeżdżając do Toronto?

– Jasne. Mówiłam, że wszystko się ułoży.

– Jestem tak zmęczony, że padam z nóg.

– Prześpij się. – Wskazałam fotel w kącie sali.

– Hindmarsh będzie się zastanawiał, gdzie się podziałem.

– Niech się zastanawia. Dopiero co zostałeś ojcem.

– Trudno w to uwierzyć.

Uśmiechnęłam się i nic nie powiedziałam. Ernest zwinął się w kłębek pod kocem i zasnął. Dwaj mężczyźni, pomyślałam z głębokim zadowoleniem. I obaj są moi.

Tego samego dnia, ale nieco później, Ernest wysłał plik telegramów informujących, jak łatwo wszystko poszło. Był nieskromnie dumny z tempa, w jakim odbył się poród, a i ja byłam z siebie zadowolona. Wprawdzie miałam pomoc lekarzy i eteru, to prawda, ale stawiałam mękom czoło jak prawdziwy stoik, podczas kiedy Ernest był setki mil ode mnie.

Wyszedł do pracy, przygotowany na awanturę, ale było gorzej, niż się spodziewał. Hindmarsh nie czekał na Ernesta w swoim pokoju, tylko poniżył go na oczach wszystkich, twierdząc, że powinien był dostarczyć tekst przed pójściem do szpitala. To było głupie, ale kiedy Ernest powtórzył mi wszystko wieczorem – mimo że przy butelce bourbona wielokrotnie odgrywał całą historię w pubie przed Gregiem Clarkiem – nadal przepełniały go uraza i złość.

– Toronto jest spalone. Nie możemy tu zostać. – Alkohol wcale go nie uspokoił. Bałam się, że pielęgniarka wyrzuci go za drzwi, zanim mi wszystko opowie.

– Czy sprawa jest przesądzona? Nie da się załagodzić?

– Nie. Obaj wpadliśmy we wściekłość. On się nie pohamował, a to, co ja powiedziałem, będą powtarzać jeszcze przez całe lata.

– Biedny mały. Czy cię wyrzucił?

– Przeniósł mnie do „Star Weekly”. Ale nie zamierzam nawet próbować. Kiedy będziesz mogła podróżować?

– Za kilka dni wrócę do normy, ale dziecko przez kilka miesięcy nie będzie się nadawało do podróży statkiem.

– Mógłbym zamordować gnojka. To by rozwiązało sprawę.

– Nie na długo.

Skrzywił się i usiadł, ciągnąc głośno krzesło po podłodze.

– Gdzie ten pędrak? Chciałbym jeszcze raz na niego spojrzeć.

– Śpi w pokoju dziecięcym. Ty też powinieneś iść spać. Wracaj do domu, malutki. Porozmawiamy o tym rano.

– Nie ma o czym rozmawiać. Mówiłem ci, że problem sam się rozwiązał.

– Nie myśl o tym. Weź trochę sody oczyszczonej, bo rano będziesz

miał strasznego kaca.

Nie pojechaliśmy natychmiast do Paryża – tylko dlatego, że nie mogliśmy. Dziecko było rzeczywiście za małe na taką wyprawę, a poza tym przeprowadzka wyczerpała nasze oszczędności. Byliśmy bez pieniędzy, za to z kupą niepopłaconych rachunków ze szpitala. Nie mieliśmy wyjścia, trzeba było zaprzeć się w sobie i przeczekać. Ernest zaakceptował przeniesienie, a choć Hindmarsh nie był jego bezpośrednim szefem, nadal czuł jego oddech na plecach. Za każdym razem, kiedy dostawał kiepski temat, zastanawiał się, czy tamten maczał w tym palce – na przykład wtedy, kiedy wysłano go do zoo, żeby napisał o przybyciu białego pawia.

– Paw, wyobraź sobie! Chcą mnie wykończyć. Śmierć przez poniżenie, najgorszy rodzaj śmierci.

– Może, ale ty to przetrzymasz.

– Nie byłbym taki pewien.

Nadeszła śnieżna zima, z wiatrem tak silnym, że zwał z nóg. W Paryżu zima była wilgotna i szara, tutaj – biała i nieustępliwa. Mimo ciepłych palt i koców wiatr przeszywał nas na wskroś i wnikał do mieszkania. Siedziałam z dzieckiem przytulona do kaloryfera. Gotowałam wodę, żeby nawilżyć powietrze w mieszkaniu, a podczas karmienia zakładałam obszerny płaszcz Ernesta. W ogóle nie wychodziłam z dzieckiem na dwór; kiedy szłam po zakupy, do malucha przychodziła niańka. Ernest wracał do domu po zmroku i wyglądał coraz mizerniej. Wyrażał zachwyt, kiedy opowiadałam, czego nauczył się nasz syn – uśmiechnął się do mnie w kąpielni, zaczął podnosić głowę – ale trudno mu było naprawdę się tym cieszyć.

– Nie wyobrażam sobie, że wytrzymam rok – powiedział.

– Trudno w to uwierzyć, ale myślę, że kiedy będziemy starzy i zramolali, ten czas wyda nam się mgnieniem oka.

– Nawet nie chodzi o zażenowanie tym, że piszę coś, co jest poniżej moich możliwości. To nieważne. Gorzej, że wcale nie pracuję nad własnymi tekstami, a właściwie tylko na tym mi zawsze zależało. Czuję, że zebrany materiał gnije we mnie. Zwarzy się, jeśli natychmiast nie zacznę pisać.

– Więc nie kładź się teraz i pisz. Zrobię ci mocnej kawy.

– Nie mogę. Jestem zbyt zmęczony. Czasami nachodzi mnie rano, ale jak tylko próbuję coś zapisać, dziecko zaczyna płakać albo muszę iść do pracy. Pod koniec dnia nie mam już więcej słów. Poza tym tutaj jesteśmy z dala od wszystkiego. Nie wiem, co ważnego się dzieje, co kto pisze.

– Za to masz tu dobrych przyjaciół, jak Greg Clark. To duży plus.

– Lubię Grega, ale on się nie boksuje i nie wie nic na temat wyścigów konnych. I nigdy nie widziałem, żeby się upił.

– Nie każdy tak dobrze znosi picie, jak ty.

– No tak, ale nie mam zaufania do osoby, której nie widziałem pijanej.

Kiedy nadszedł grudzień, Ernest był nieustannie przygnębiony. Źle sypiał, a to, że w nocy budził go płacz dziecka, jeszcze pogarszało sprawę. Przyszły egzemplarze autorskie *Trzech opowiadań i dziesięciu wierszy* i Ernest rozesłał je do znajomych: Ezry, Gertrudy i Sylvii, oraz kilka do rodziny w Oak Park – i czekał na zachwyty. Co dzień przeglądał czasopisma i gazety z nadzieją na recenzję, ale nie było nawet najmniejszej wzmianki. Jeśli świat nie wie o książce, to czy na pewno została wydana? Miał wprawdzie egzemplarz „Little Review” z miniaturami z korridy, ale czasami, gdy przeglądał czasopismo, mówił ze zmarszczonymi brwiami:

– Wcale nie jestem pewien, że to ja napisałem. Do licha, w ogóle przestałem pisać.

Nie mogłam mu powiedzieć, że dramatyzuje, ponieważ naprawdę głęboko odczuwał brak twórczego pisania. Potrzebował mnie, żeby czuć się kochanym, żeby zachować kontakt z rzeczywistością; potrzebował pisania, żeby nie stracić zdrowych zmysłów. W tym drugim nie umiałam mu pomóc. Mogłam jedynie przyglądać się i martwić, że przygniata nas troska akurat w czasie, kiedy powinniśmy być ogromnie szczęśliwi.

– Zrobiliśmy ogromny błąd, przyjeżdżając tu – powiedział któregoś wieczoru, kiedy wrócił do domu szczególnie znękany.

Nie mogłam już dłużej znieść jego cierpienia.

– Masz rację – rzekłam. – To był błąd. Wracamy do Paryża i poświęcisz się wyłącznie pisaniu.

– Jak sobie poradzimy finansowo?

- Nie wiem. Jakoś.
- Z twojego funduszu powierniczego mamy tylko dwa tysiące rocznie. Jeśli nie będę zarabiał, nie widzę szans przetrwania.
- Jeśli nie będziesz mógł pisać, to ja i dziecko staniemy się kamieniem u twojej szyi. Znienawidzisz nas. Nie możemy na to pozwolić.
- Jesteśmy w kropce.
- Nie patrz na to w ten sposób. To może być przygoda. Zaryzykujmy. Może się opłaci.
- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił, malutka.
- Kup bilety. Ja poproszę twoich rodziców o pieniądze. Na pewno zechcą nas wspomóc.
- Z nadzieją, że poczuję się zobligowany. Nie przyjmę od nich pieniędzy.
- To nie. Ja wezmę, dla dziecka.
- Może zrobię ostatnią serię artykułów do „Weekly”? Zmuszę się do napisania jakichś siedmiu–dziesięciu kawałków i wręcę rezygnację. Honorarium plus to, co dostaniemy od rodziców, powinno razem dać jakiś tysiąc. Na początek wystarczy. Tysiączek i modlitwa.
- No widzisz, to rozwiąże sprawę.

Po pierwszym styczniu 1924 roku, jak tylko naszym zdaniem dziecko mogło już podróżować, wsiedliśmy do pociągu do Nowego Jorku, a potem na „Antonię” płynącą do Francji. Zaczęliśmy na malucha mówić Bumby, bo był taki grubutki i solidny, jak pluszowy miś. Zawijałam go w koce, kładłam na koi w kajucie, rozmawiałam z nim i pozwalałam bawić się moimi włosami, a tymczasem na pokładzie Ernest łapał, kogo się dało, i popadał w nostalgię za Paryżem. Ja bym mogła zostać w Toronto rok, a nawet pięć lat, gdyby było to z korzyścią dla Bumby’ego, ale nie kosztowałoby mnie to tyle, ile kosztowało Ernesta. Niektórzy mężczyźni byliby w stanie stłamsić w sobie niechęć, przynajmniej na jakiś czas, lecz on kompletnie by się pograżył. Co do Paryża, nie wiadomo było, jak sobie poradzimy, ale tym się nie martwiłam. Musiałam być silna za dwoje, Ernesta i siebie. Postanowiłam oszczędzać na wszystkim i nie narzekać, ponieważ właściwie to była moja decyzja. Wybrałam jego, pisarza, i Paryż. Nasze życie nigdy więcej

nie miało być konwencjonalne.

Wiem, że miało nas nie być rok – powiedział Gertrudzie Ernest podczas naszej pierwszej po powrocie wizyty w jej mieszkaniu – ale cztery miesiące w Kanadzie to jest rok.

– Najważniejsze, że skończyłaś z dziennikarstwem – orzekła Gertruda. – Teraz czas zabrać się do tego, co naprawdę powinieneś robić.

– Jestem gotów, jak mi Bóg miły – westchnął i nalał sobie następny kieliszek likieru gruszkowego.

Przyglądałam się Alice, kiedy ci dwoje, zaabsorbowani sobą, nakręcali się wzajemnie, dzieląc się entuzjazmem i pewnością sukcesu. Siedziała napięta i wsłuchana w siebie. Zastanawiałam się, czy cieszy się powrotem Ernesta, czy podczas naszej nieobecności nie przywykła do tego, że ma Gertrudę tylko dla siebie. Oczywiście, że zawsze ktoś krążył wokół Gertrudy, pragnąc przyciągnąć jej uwagę i pożądam jej aprobaty, ale między nią a Ernestem istniało szczególne porozumienie – niemal takie, jak między bliźniętami porozumiewającymi się własnym językiem. Kiedy byli razem, nie istniało nic poza nimi. Ja też to odczuwałam i niekiedy było mi przykro. Prawie już nie pamiętałam, jak to jest czuć się samotnie. Całkowicie absorbowało mnie dziecko. Oglądało się na dźwięk mojego głosu, najbardziej lubiło rytm kołysania w moich ramionach czy głaskanie po plecach, kiedy obudziło się w nocy. Dla niego byłam wszystkim, i dla Ernesta również. Ja trzymałam w rękach ster.

Naturalnie, macierzyństwo bywa wyczerpujące. Nieustannie niedosypiałam, czasami nie miałam siły umyć włosów czy przygotować sobie bardziej wymyślnego posiłku niż chleb z masłem. Ale gdy Bumby ssał, zaciskając piąstkę na moim szlafroku i patrząc bezdennymi oczyma prosto w moje, jakbym była środkiem jego wszechświata – serce mi miękło. A kiedy Ernest wracał po całym dniu pracy, wyglądając tak, że wiedziałam, iż zbyt długo był pogrążony we własnych myślach – czułam się równie potrzebna. Potrzebował i mnie, i Bumby'ego; bez nas nie potrafił wydostać się ze swojej skorupy i czuć się kompletny.

Życie rodzinne przebiegało najlepiej, kiedy byliśmy sami, pod

koniec dnia, nawiązując porozumienie i wspierając się wzajemnie. Niestety, zupełnie nie pasowało do paryskiej bohemy. Gertruda i Alice były wspaniałe dla Bumby'ego. Podarowały mu srebrną grzechotkę i buciki wydziergane z włóczki. Kiedy nadszedł czas chrztu, przyszedł ze świetnym szampanem, który wypiliśmy do ciasta, suszonych owoców i migdałów w cukrze, a Gertruda zgodziła się nawet być jego matką chrzestną. Jednak nie wszyscy znajomi wiedzieli, jak nas traktować teraz, kiedy wzbogaciliśmy się o dziecko. Pound i Szekspirka wpadali do nas wieczorem na drinka albo – jeśli znaleźliśmy kogoś do opieki – zabierali nas do kawiarni, ale Pound wyraźnie dał do zrozumienia, że nie życzy sobie dzieci w swojej pracowni. Nie chodziło wcale o hałas ani obawę, że nabałaganią, tylko o zasadę.

– Bez obrazy, Hadley – powiedział – po prostu nie wierzę w dzieci.

Pomógł nam znaleźć mieszkanie w Paryżu – co nie było łatwe. Dolar tracił na wartości, czego jakoś nie przewidzieliśmy. Poprzednio żyliśmy tanio. Wydawało nam się, że nadal tak będzie, mimo że były trzy gęby do wykarmienia zamiast dwóch – ale znacznie podrożał czynsz. Kiedy w końcu znaleźliśmy coś odpowiedniego, kosztowało trzy razy tyle, ile płaciliśmy za mieszkanie przy rue du Cardinal Lemoine, i musieliśmy się z tym pogodzić. Ze ściśniętym gardłem wręczyliśmy równowartość miesięcznego czynszu, postawiliśmy wózek dziecka na podwórku koło sterty węgla i powiedzieliśmy sobie, że teraz to jest nasz dom.

Było to mieszkanie należące do tartaku przy rue Notre-Dame-des-Champs, „Poddasze Stolarza”, jak wkrótce zaczęli nazywać je nasi znajomi. Czasem z trudnością wytrzymywaliśmy hałas i kurz ze składu drewna pod nami, ale przynajmniej położenie było lepsze niż naszego poprzedniego pokoju, koło sali tanecznej. Mieliśmy blisko do Gertrudy i Alice, do Ogrodu Luksemburskiego i rzut beretem do najlepszych restauracji i kawiarni przy boulevard Montparnasse.

Choć Ernest czuł się kiedyś zde gustowany pisarzami pracującymi w kawiarniach i twierdził, że to pozerzy, którzy chcą się rzucać w oczy, teraz sam często robił to samo. Częściowo ze względów praktycznych. Potrzebował ciszy i spokoju, a Bumby właśnie wszedł w okres ząbkowania i często marudził. Ale kiedy zaczął pracować regularnie

w „Closerie des Lilas”, ze zdumieniem skonstatował, że woli to niż – jak zwykł mawiać – samotne zmaganie się w ciszy i pocie czoła. Było tam cieplej i przyjemniej. Czasami wpadali przyjaciele, a zawsze był ktoś interesujący, z kim można było porozmawiać albo napić się po skończeniu pracy.

Niekiedy wspominał, że chce zacząć następną powieść, ale jeszcze nie ma sprecyzowanego pomysłu. Coraz częściej przychodziło mu do głowy, że szkic, który zaginął razem z innymi maszynopisami, nie był tym, o co mu chodziło, mimo że tyle w niego włożył pracy i nadziei. Chyba też bał się angażować ponownie w coś tak wielkiego i czasochłonnego. Postanowił poczekać, a tymczasem pisać opowiadania.

– Jedno opowiadanie – mówił – o tym, co znam. Naprawdę znam, czuję w kościach i w trzewiach.

Zastanawiam się, czy ja cokolwiek znałam w sposób, który on ma na myśli, i jedyna odpowiedź brzmiała: Ernest i Bumby, nasze wspólne życie. To było bardzo niemodne. Gdybym z czymś takim wyskoczyła przed jakąkolwiek kobietą w Paryżu, wyśmiałyby mnie. Powinnam mieć własne idee i ambicje i pożądać niecodziennych doświadczeń i nowości wszelkiej maści. Ale ja niczego nie pożądałam; czułam się usatysfakcjonowana.

Nie chodziło tylko o to, że miałam teraz cel. Moje dni były pełniejsze i bardziej sensowne. Bumby był piękny, a kiedy chodziliśmy dwa razy dziennie na spacer, często zatrzymywano nas, żeby go podziwiać. Po francusku nadal mówiłam niepewnie, ale szczęśliwe dziecko jest katalizatorem rozmów, nawet jeśli są one głównie jednostronne. Jego gaworzenie dało nam niejedno jabłko czy gruszkę ze straganu, a kiedy przynosiłam go od czasu do czasu do restauracji na wspólny lunch z Ernestem, Bumby zdobywał wszystkie serca. Niektórzy z przyjaciół nie mogli pewnie tego pojąć, ale obcy byli nieodmiennie nim oczarowani.

Poundowie wyjechali jak zwykle wiosną do Rapallo, lecz nawet z oddalenia Ezrze udało się znaleźć dla Ernesta pracę u Forda Madoxa Forda jako zastępcy redaktora „Transatlantic Review”. Ford miał ciemne i ciasne biuro przy Quai d’Anjou. Na początku lutego Ernest udał się tam

na spotkanie w zdartych butach i znoszonej kurtce z dziurą na ramieniu. Nie dało się tam zarobić, ale jemu zależało na zdobyciu doświadczenia wydawniczego i nawiązaniu znajomości. Nie chciał jednak tego zdradzić Fordowi, ponieważ lubił mieć zawsze coś w zanadrzu, szczególnie wtedy, kiedy wydawało się to niemal niemożliwe. Nowa powieść Forda *Dobry żołnierz* zyskała sobie dobre opinie. Napisał też inne powieści, a także w założonym wcześniej czasopiśmie „English Review” publikował między innymi Yeatsa, Thomasa Hardy’ego i Josepha Conrada. Nie dość tego, Ford był gentlemanem, mógł pochwalić się pieniędzmi i dobrym pochodzeniem – a tej kombinacji Ernest nie mógł ścierpieć. Wrócił ze spotkania, mamrocząc, że zacofane poglądy Forda tak go ciągną wstecz, że lada chwila przewróci się na tyłek.

– Nie jest nowoczesny. Czy każdy musi być? Ja nie jestem.

– Nie, nie jesteś nowoczesna, kotku. Ale jesteś piękna i dobra, poza tym świetna z ciebie matka. A ten Ford jest przepełniony zachwytem na swój temat i rzezi przy mówieniu. I to tak mocno, że przysiągłbyś, że każde słowo, zanim dojdzie do ust, musi przepłynąć przez płuca.

– Dobry Boże, skarbie. Mam nadzieję, że mimo wszystko wzięłaś tę robotę.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się od ucha do ucha i szczyptał Bumby’ego w palec. – Myślisz, że oszalałem?

Kiedy poznałam Forda, polubiłam go, mimo tego, co Ernest opowiadał na jego temat. Razem ze swoją kochanką Stellą Bowen zaprosili nas na lunch. Byłam zachwycona, że oni też mają małe dziecko, śliczną dziewczynkę imieniem Julie, mniej więcej w wieku Bumby’ego. Nie wzięłam synka z grzeczności wobec gospodarzy, ale powiedziałam Stelli, że następnym razem przyjdziemy z nim. Zachęciła mnie gorąco i podała znakomity czterodaniowy posiłek. W czasie lunchu rozmawiała ze mną miło, mówiąc z czarującym australijskim akcentem. Ford był pulchny i rumiany, z prostymi jasnymi włosami i wąsami. Zastanawiałam się, jak Ford, wcale już niemłody, zdołał zdobyć afekt tak ślicznej kobiety, jak Stella, ale wkrótce okazało się, że ma wspaniałe maniery i że potrafi ze wzruszającym zaangażowaniem mówić o wszystkim, na czym mu zależy, czyli o Stelli, dobrym winie, zupie kremie i literaturze. Przez cały czas podkreślał, jak ważne jest, żeby

młodzi pisarze, tacy jak Ernest, znaleźli własną drogę. Wiem, że Ernest wolałby nie potrzebować pomocy Forda ani niczyjej innej, ale niestety – potrzebował jej.

– Mogę dużo dać temu pismu – mówił Ernest, kiedy pożegnaliśmy się i ruszyliśmy do domu. – Powinien być wdzięczny, że mnie zdobył.

– Polubiłam go.

– No jasne.

– Co masz na myśli?

– Nic. – Kopnął kamyk, który potoczył się na jezdnię. – Zgodzisz się, że wygląda jak mors?

– Trochę – przyznałam.

– A rzeźenie?

– Poważna sprawa. Stella mówiła, że to skutek działania gazów bojowych w czasie wojny.

– To mógłbym mu wybaczyć, gdyby nie zachowywał się z taką wyższością.

– Nie musisz go kochać. Wystarczy, że będziesz dla niego pracować.

– Pracy jest mnóstwo. Chyba na szczęście.

– Mamy mnóstwo szczęścia. Sam się przekonasz.

Ford i Stella zaczęli urządzać literackie herbatki przy Quai d'Anjou. Często chodziłam tam ze względu na towarzystwo, zabierając Bumby'ego. Wózek stawiałam przy oknie, tak żeby padało na niego słońce. Na jednym z takich spotkań poznałam Harolda Loeba. Harold był mniej więcej w wieku Ernesta, bardzo przystojny – wysoki, z prostym nosem, mocną szczęką i falującymi ciemnymi włosami. Ledwie Ford nas sobie przedstawił, zaczęliśmy rozmawiać o Stanach.

– Nie tęsknię za domem – powiedział – ale cały czas mi się śni. Nie wiem dlaczego.

– Może dlatego, że jest częścią ciebie. Zamknięty w tobie, prawda?

– Ładnie powiedziane – rzekł i spojrzał na mnie swoimi intensywnie błękitnymi oczyma. – Czy ty też piszesz?

– Skąd – zaśmiałam się. – Choć może nie byłabym taka zła.

Zawsze kochałam książki, przemawiały do mnie. Od dzieciństwa gram na fortepianie, ale nie traktuję tego poważnie.

– Nie jestem pewien, czy pisanie traktuję poważnie. Szczerze mówiąc, staram się pisać zabawnie.

– Wydaje mi się, że jeśli chcesz, możesz być bardzo zabawny.

– Fajnie, że tak myślisz. Chodź, powiedz Kitty. Uważa, że moje żarty to kompletna kłapa.

Razem podeszliśmy do jego dziewczyny, Kitty Cannell, pięknej, szczupłej, pełnej gracji i w złotej sukni.

– Kitty była tancerką – powiedział. – Kiedy ruszy się, żeby przynieść wino, sama się przekonasz.

– Och, Haroldzie – jęknęła. – Nie czaruj.

– Widzisz, Hadley? Muszę być skwaszony, bo inaczej denerwuję Kitty. – Zrobił smutną minę i Kitty się roześmiała. – Czasami kochana dziewczyna kompletnie mnie zaskakuje.

– Z tego względu jesteś ze mną.

– Jak również ze względu na twoje kostki, kochanie.

Pod koniec spotkania bardzo już lubiłam Kitty i Harolda. Chętnie w imieniu swoim i Ernesta przyjąłam zaproszenie na obiad na następny wieczór do „Nègre de Toulouse”.

– To nasz sekret, wspaniała, mało znana restauracja – powiedziała Kitty. – Nie znajdziesz jej w przewodniku.

– Przysięgam, że nie zdradzę tajemnicy – przyrzekłam i zaczęłam się zastanawiać, w co się ubiorę. Następnego dnia, tuż przed wyjściem do restauracji, nadal gnębiło mnie to pytanie. Od porodu minęło pięć miesięcy. Ubrania ciężowe były na mnie za duże, ale już nie wchodziłam w nic, co nosiłam wcześniej.

– Nikt nie będzie zwracał uwagi – przekonywał mnie Ernest. – Mogłabyś założyć wór na kartofle i tak wszyscy byliby oczarowani.

– Nie mogłabym. Możesz mieć ubiór w nosie – machnęłam ręką w kierunku jego połatanej kurtki i swetra, które nosił dzień w dzień bez względu na modę czy stosowność – ale ludziom zazwyczaj zależy i starają się robić dobre wrażenie.

– Najwyraźniej już je zrobiłaś. Ale jeśli chcesz, powiem im, że poszedłem za radą Gertrudy, która powtarza, że powinno się kupować obrazy zamiast ubrań.

– Tak mówi, ale my nie kupujemy obrazów, prawda?

Spojrzałam na siebie w lustrze i zachmurzyłam się.

– Nie przejmuj się, Tatie – powiedział Ernest, całując mnie z tyłu w kark. – Nikt nie dorównuje ci urodą, prostotą i uczciwością.

Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze.

– Jesteś bardzo miły.

Pocałował mnie jeszcze raz i wypchnął za drzwi.

W restauracji było tak mrocznie, że po pierwszej butelce wina nie czułam skrępowania. Kiedy mężczyźni rozmawiali o Princeton, gdzie Harold pobierał nauki, i pisaniu pierwszej powieści (Harold akurat pracował nad pierwszą w swoim życiu), Kitty opowiadała mi o swoim pierwszym małżeństwie, ze Skipwithem Cannellem, poetą, który najpierw ją unieszczęśliwił, a potem nie chciał dać jej rozwodu.

– To musiało być straszne. Czy będziesz mogła zdecydować się na następne małżeństwo?

– Nigdy się na to nie zdecyduję. Dzięki Bogu Harold i ja jesteśmy co do tego zgodni. Ale i tak nie chciałabym być na zawsze uwiązana do Skipa. Ciężko mi było, kiedy był w pobliżu. A teraz zawraca mi głowę z Londynu.

– Czyli chcesz wolności.

– Jasne. A ty nie?

– Nie wiem. Chyba chcę być szczęśliwa.

– Szczęście jest bardzo skomplikowane, a wolność – nie. Więzy albo są, albo ich nie ma.

– Ale to nie odnosi się tylko do małżeństwa. Jak się kogoś kocha, to się jest z nim związanym. To nie do uniknięcia – chyba że się zrezygnuje z miłości.

– Nawet ja nie jestem taka zasadnicza – zaśmiała się i uniosła kieliszek. – Za miłość.

Harold spojrzał na nas ze zdumieniem i spytał:

– Co się tu dzieje?

– Hadley robi ze mnie romantyczkę – odparła Kitty.

Harold zachichotał.

– Akurat, kochanie, ale podoba mi się ten pomysł.

– Tylko jeden romantyk na stół – wtrącił Ernest. – Na drzwiach wisi taka tabliczka.

Po potężnym obiedzie poszliśmy wszyscy do nas na kieliszek przed snem i choć goście udawali, że nie zauważają, jak mroczne jest nasze mieszkanie, to jednak widać było, że nie są przyzwyczajeni do kiepskich warunków bytowania. Dziecko spało w drugim pokoju, więc siedzieliśmy stłoczeni przy stole kuchennym.

– Sądzę, że skończę tę powieść w ciągu miesiąca – powiedział Harold – i to będzie koniec moich funduszy. Chcę znaleźć amerykańskiego wydawcę, dostać zaliczkę i masę dobrych recenzji.

– Zapomniałeś o tancerkach – zauważył Ernest, uśmiechając się z wyższością.

– Będą jako osobny punkt w umowie. Ale, poważnie, celuję w wydawnictwo Boni & Liveright. Ford mówi, że jeśli chodzi o Nowy Jork, to najlepiej tam próbować.

– Wydają Sherwooda Andersona. Dobrze go traktują i podobno publikują współczesnych pisarzy amerykańskich.

– To ja – powiedział szybko Harold. – I ty.

– Powinieneś wysłać im swoje opowiadania, Tatie – wtrąciłam. – Sherwood mógłby cię poprzeć.

– Może. Myślałem o tym.

– No, to załatwione – podsumowała Kitty. – A teraz porozmawiajmy o czymś ciekawym.

– Na przykład o kapeluszach, kochanie? – podsunął Harold.

– Może. – Kitty odwróciła się do mnie. – Chciałabym zabrać cię na zakupy. Chętnie bym cię ubrała.

– Rany! – jęknął Ernest.

– O co chodzi? Wszyscy lubią ładne rzeczy. Przyrzekam, że nie ubiorę jej w sznury pereł ani w różowe koronki.

– Chętnie bym poszła – zgodziłam się. – Może ustalimy jakąś nieodległą datę.

Jednak wkrótce po wyjściu gości zrozumiałam, że przyjęcie propozycji było błędem.

– Ona tylko chce cię upokorzyć, nie widzisz tego? – powiedział Ernest.

– Stara się być miła. Nie przyjmę jałmużny, jeśli to cię martwi.

– Nie. Ona chce cię skłonić do myślenia, że źle cię traktuję.

- Nigdy tak nie pomyślę.
- Poczekaj. Jeśli będzie ci sączyła truciznę w ucho, zaczniesz mieć mi za złe, że nie potrafię zapewnić ci życia na odpowiednim poziomie.
- Przesadzasz, Tatie. Przecież mówimy tylko o zakupach!
- Nie, nie tylko – odparł z zaciętą miną i poszedł nalać sobie drinka.

Zaczęłam się spotykać z Kitty raz w tygodniu, kiedy Bumby drzemał w domu pod opieką Marie Cocotte, która chętnie zgodziła się znowu dla nas pracować, mimo że spadły na nią dodatkowe obowiązki niani. Jeśli miałyśmy czas, wpadałyśmy gdzieś na herbatę albo do antykwariatu. Uwielbiałam oglądać biżuterię, szczególnie podobały mi się popularne akurat kolczyki z emalią. Choć nie mieliśmy pieniędzy na takie przyjemności, to chętnie patrzyłam, jak Kitty chodzi między stoiskami i podziwiała towar. Instynktownie potrafiła ocenić, co nie straci na wartości, a co szybko przestanie być modne. Czasami próbowała wmusić we mnie jakiś prezent, ale odmawiałam, a potem czułam wyrzuty sumienia. Robiła to z sympatii, lecz nie chciałam urazić dumy Ernesta.

Nie udawało mi się przekonać go do Kitty, uparcie jej nie lubił. Mówił, że jest zbyt dekoracyjna i zależy jej tylko na własnej wygodzie, ale zastanawiałam się, czy naprawdę nie chodziło o to, że czuł się zagrożony jej niezależnością. Pracowała dla kilku czasopism w Stanach jako korespondentka z dziedziny mody i tańca. Wprawdzie to Harold płacił za jej uroczę mieszkanie przy rue de Montessuy, ale tylko z tego powodu, że chciał, aby mieli niezależne mieszkania, a poza tym był bogaty zarówno ze strony matki, jak i ojca. Kitty również odziedziczyła pieniądze i miała za co żyć. Promieniowała pewnością siebie, po sposobie, w jaki się poruszała i rozmawiała, widać było, że nikt nie musi jej mówić, jaka jest piękna i interesująca. Sama o tym wiedziała, a tego typu przekonanie o własnej wartości wytrącało Ernesta z równowagi.

Walczyłam o moje popołudnia z Kitty, mimo że były powodem napięć w domu, ponieważ po raz pierwszy od czasów St. Louis miałam przyjaciółkę na wyłączność. Gertruda i Sylvia zawsze należały do Ernesta. Czuł się o nie zazdrosny. Z Alice, Maggie Strater i nawet z Szekspirką nie mogłam wyjść poza rolę żony artysty. Kitty związana była z Haroldem, którego Ernest często spotykał, ale miała również własne życie. I to ona mnie wybrała.

– Jesteś bardzo amerykańska, czyż nie? – powiedziała podczas jednego z naszych pierwszych wspólnych wyjść.

– Jak to? Ty też jesteś amerykańska.

– Ale nie tak, jak ty. Widzi się to we wszystkim, co mówisz, w tym, jak jesteś zwyczajna i bezpośrednia.

– Na Boga! Szukasz uprzejmego sposobu na poinformowanie mnie, że nie pasuję do Paryża?

– Racja, nie pasujesz, ale to dobrze. Potrzeba takich jak ty, żeby mówili prawdę o nas.

Pomijając niezadowolenie Ernesta, jedyna trudność w przyjaźni z Kitty wynikała z faktu, że cały czas chciała mnie obdarowywać, nawet gdy wytłumaczyłam jej zawłóści poczucia dumy u Ernesta.

– Przecież to drobnostka – mówiła. – Dlaczego miałby mieć coś przeciwko temu?

– Ale będzie miał. Przykro mi.

– Wygląda mi to na mentalność jaskiniowca. Jeśli będzie cię ubierał w skóry zwierząt i zmuszał do pilnowania ogniska, żaden inny mężczyzna cię nie zobaczy, nie mówiąc już o tym, że nie zapragnie.

– No nie, to nie tak. Po prostu musimy oszczędzać. To wcale nie jest takie wielkie wyrzeczenie.

– W porządku, rozumiem. Choć tego właśnie nie lubię w małżeństwie. Cierpisz, żeby jemu się powiodło. A co ty z tego będziesz miała?

– Satysfakcję ze świadomości, że beze mnie by sobie nie poradził.

Odwróciła się od torebki wyszywanej paciorkami, którą właśnie oglądała, i utkwiała we mnie spojrzenie błękitnych oczu:

– Uwielbiam cię. Nie zmieniaj się ani na jotę.

To był wyjątkowo staroświecki pogład – i pewnie naiwny – ale faktycznie wierzyłam w sens poświęceń dla kariery Ernesta. W końcu z tego powodu przyjechaliśmy do Paryża. Lecz niełatwo było pogodzić się z chodzeniem w łachmanach, tym bardziej że wszystkie kobiety nosiły się wtedy niezwykle szykownie. Co prawda nie wierzę, żebym im dorównała, nawet gdybym miała za co się ubrać.

Nasze mieszkanie było zimne i wilgotne, często cierpiałam na zatoki. Kołyskę Bumby'ego postawiliśmy w najcieplejszym kącie, ale i tak chorował. Tej wiosny przechodził krup i całe tygodnie kaszlał podczas snu. Budził się z płaczem, chciał possać pierś. Karmienie go

w dzień, kiedy czułam się wypoczęta, było przyjemnością, ale nocą pochłaniało resztki mojej energii. Wtedy właśnie najbardziej potrzebowałam wypadów z Kitty albo spacerów w słońcu ze Stellą Bowen i Julie, które również stawały się coraz bliższymi koleżankami.

Próbowałam co dzień się wymknąć z domu co najmniej na godzinę, żeby pograć na fortepianie. Nie mogliśmy sobie pozwolić ani na kupno, ani na wypożyczenie, więc grałam na rozstrojonym instrumencie ze sklepu muzycznego na parterze. Sklep przypominał wilgotną piwnicę; żeby widzieć nuty, musiałam zapalać świeczkę, i palce często drętwiały mi z zimna. Czasami wydawało mi się, że nie warto tego ciągnąć, ale nie rezygnowałam, ponieważ nie chciałam wyzbyć się tej części siebie.

Tymczasem Ernestowi praca szła lepiej niż kiedykolwiek. Napięcie, w którym żył po ucieczce z Toronto do Paryża, musiało być konieczne do twórczego pobudzenia, gdyż teraz pisał z mocą, płynnie, niemal bez zastanowienia. Pomysły na opowiadania przychodziły tak łatwo, że z trudnością nadążał z pisaniem.

Nadal pracował jako redaktor w „Transatlantic Review”, a choć nie przestawał krytykować szefa, to Ford nieustannie wspierał jego twórczość. Kiedy Ernest poskarżył się, że miną lata, zanim wyrobi sobie nazwisko, Ford pocieszył go, mówiąc:

– Zobacz pan, że stanie się to bardzo szybko. Kiedy Pound pokazał mi pańskie teksty, nie przeczytałem sześciu słów, a już wiedziałem, że będę chciał wydać wszystko, co mi pan prześle. Wszystko.

Ernest przyjął komplement ze zmieszaniem i starał się okazywać Fordowi więcej życzliwości, szczególnie że próbował namówić go do opublikowania powieści Gertrudy *Jak powstawali Amerykanie*, która zalegała u niej w biurku od roku 1911. W końcu Ford zgodził się drukować książkę w odcinkach i Gertruda była uszczęśliwiona. Czasopismo stopniowo zyskiwało sobie markę i rosła liczba czytelników w gronie opiniotwórczym, a to byłaby jej pierwsza poważniejsza publikacja. W numerze kwietniowym miały ukazać się, poza jej tekstem, również fragmenty nowej powieści Joyce’a, jeszcze nieskończonej, później zatytułowanej *Finnegans Wake*, kilka rzeczy Tristana Tzary

i nowe opowiadanie Ernesta *Obóz indiański*, makabryczna historia o rodzącej kobiecie i jej tchórzliwym mężu, który podcina sobie gardło, bo nie może słuchać jej krzyków. Ernest był bardzo z niego zadowolony, ponieważ udało mu się połączyć w jedną przejmującą historię wspomnienie z dzieciństwa, kiedy przyglądał się, jak ojciec pomaga rodzącej Indiance, i oglądany na własne oczy obrazek małżeństwa uchodźców na drodze z Karagaszu.

– Joyce zna tę sztuczkę – wyznał mi któregoś popołudnia po powrocie z pracy. – Stworzył Blooma i Bloom jest najlepszy w całej książce. Trzeba przetrwać życie. Trzeba je przeżyć i pokochać, całe. Trzeba je przeżyć własnymi oczami.

– Świetnie o tym mówisz.

– Można o tym gadać i gadać i nic z tego nie będzie.

Najważniejszy jest efekt.

Numer kwietniowy zawierał również pierwsze ważne recenzje jego *Trzech opowiadań i dziesięciu wierszy*, generalnie wynoszące pod niebiosa talent i styl Ernesta. Stworzył nową jakość, był obiecującym pisarzem. Bardzo się cieszyłam, że nareszcie został doceniony. Wszędzie był w centrum uwagi. Kiedy szliśmy wieczorem ulicą, w gwarze rozmów i muzyki rozlegało się czyjeś wołanie, więc musieliśmy się zatrzymać, przywitać i wypić drinka, a potem koło następnej kawiarni sytuacja się powtarzała. Wszyscy chcieli opowiedzieć mu dowcip albo jakąś ciekawą historyjkę i grono znajomych z dnia na dzień rosło.

John Dos Passos, którego Ernest poznał, kiedy zaczął pracować w Czerwonym Krzyżu we Włoszech, był znowu w Paryżu, opromieniony literacką sławą i zawsze gotów do zabawy. W tym czasie pojawił się też Donald Stewart. Dowcipniś, który pewnego dnia miał zyskać uznanie jako autor scenariuszy, takich jak do *Filadelfijskiej opowieści*, a tymczasem był zabawnym facetem wystającym koło baru w eleganckim jasnokremowym garniturze. Ernest dumnie obnosił niechlujny strój literata, ale niekiedy łapałam go na tym, że z podziwem przygląda się zaprasowanemu spodniom. Spodnie Dona zawsze były bez zarzutu. Wyglądał bardzo chłopięco, ogolony, z błękitnymi oczyma, które bardzo się ożywiały, gdy się śmiał.

Kiedy Ernest przedstawił nas sobie, Don od razu zaczął

zachowywać się familiarnie.

- Masz piękne włosy – powiedział. – Niezwykły kolor.
- Dziękuję. Jesteś znakomicie ubrany.
- Moja matka kocha stroje. I etykietę.
- I deski do prasowania?
- Przyznaję, że nie przepadam za żelazkiem.

Tak miło mi się z nim rozmawiało, że dopiero po pół godzinie zdałam sobie sprawę, że Ernest usadowił się przy sąsiednim stoliku. Nie poznawałam żadnej z siedzących przy nim osób, wliczając w to piękność u jego boku. Była smukła i urocza, z krótko obciętych jasnymi włosami. W długim swetrze jej figura wydawała się chłopięca, ale włosy nadawały jej bardzo kobiecy wygląd. Jak tylko wpadła mi w oko, poczułam gwałtowny uścisk serca – jeszcze zanim Ernest pochylił się i szepnął jej coś do ucha. Zaśmiała się gardłowo, napinając długą, bladą szyję.

- Nic ci nie jest? – spytał zaniepokojony Don. – Zbladłaś.
- Nie, nic, dziękuję.

Spojrzał na Ernesta i kobietę. Jestem pewna, że wszystko zrozumiał, ale zgrabnie wybrnął z niezręcznej sytuacji:

– To Duff Twysden – powiedział. – Prawdę mówiąc, lady Twysden. Podobno poślubiła jakiegoś brytyjskiego hrabiego. Albo wicehrabiego, albo lorda, w każdym razie jakiegoś dalekiego krewnego króla. Nie orientuję się w rodzinie królewskiej.

- A kto się orientuje?

Ernest podniósł oczy i napotkał mój wzrok. Dostrzegł cień podejrzenia, wstał i podszedł do nas.

– Przepraszam, Don. Widzę, że zabawiasz moją żonę.

– Jestem zachwycony – odparł Don, zanim Ernest wziął mnie za łokieć i poprowadził do stołu, przy którym siedziała Duff.

– Lady Twysden – przedstawił ją. – A może obecnie wolisz Smurthwaite?

– Nie ma znaczenia, jeśli będziecie mówić mi Duff. – Uniosła się lekko i podała mi rękę. – Miło cię poznać.

Otwierałam usta, żeby odpowiedzieć coś miłego, kiedy z tłumu wyłoniła się Kitty.

- Cieszę się, że cię widzę – rzekła. – Chodź, napijemy się czegoś.

Harold stał tuż za nią i wyglądał nie za dobrze. Był blady, a na górnej wardze zebrały mu się kropelki potu.

– Czy coś się stało? – spytałam, kiedy usiadłyśmy przy barze.

– Harold mnie rzuca.

– Żartujesz.

– Niestety, nie. – Zapaliła papierosa, przez chwilę wpatrywała się w żarzący się czubek, po czym kilka razy nerwowo wciągnęła dym. – Opanował go jakiś niepokój. Zawsze powtarzaliśmy, że nie będziemy ograniczać swojej wolności. Zabawne, że kiedy już masz wolność, okazuje się, że wcale jej nie chcesz.

– Jest ktoś inny?

– Jak zwykle – westchnęła. – Może to też sprawa nowej książki. Harold chce wszystko zacząć od początku. Wkrótce wyjeżdżam do Londynu. Chciałam ci to powiedzieć.

– Och, Kitty, naprawdę? Czy jest aż tak źle?

– Na to wygląda. Mam coś dla ciebie, czego nie chcę pakować.

Przyjdź do mnie.

– Nie zależy mi na sukniach. Nie potrzebuję ich.

– Nonsens.

– Wiesz, co Ernest powie.

Dmuchnęła dymem i odparła:

– On nie ma zielonego pojęcia, jak ciężko być kobietą. – Kiwnęła głową w kierunku Duff. – Brutalne życie, prawda? Rywalki nie tylko są młodsze, ale też wszystko rzucają na szalę.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć. Kitty, najbardziej niezależna i opanowana osoba, jaką spotkałam w życiu, kompletnie wytracona z równowagi. Miałam ochotę ukreć Haroldowi łeb.

– Chcesz wracać do domu? – spytałam.

– Nie chcę wędnać jak pensjonarka, żeby wzbudzać współczucie.

Prędeż umrę. Napijmy się szampana – powiedziała, robiąc dzielną minę. – Będziemy piły mnóstwo szampana.

Resztę wieczoru spędziłam z Kitty, ale nie spuszczałam też oka z Ernesta. Ta Duff była zbyt urocza i zachowywała się zbyt swobodnie. Rozmawiała z Ernestem, jakby się znali od lat, a po tym, co usłyszałam od Kitty, byłam trochę przewrażliwiona. Najgorsze zdarzenia zaskakują,

uderzają jak grom z jasnego nieba. Ale to dlatego, że brakuje nam perspektywy, dzieje się to zbyt blisko. Kitty była ślepa, nie widząc, że Harold pewnie od miesiący przygotowywał odwrót. Zastanawiałam się, czy mnie czeka to samo. Ciekawe, ile czasu Ernest zna się z Duff?

Jakoś po północy, kiedy czułam, że nie utrzymam dłużej otwartych oczu, przeprosiłam Kitty i podeszłam do Ernesta.

– Czas położyć twoją biedną żonę do łóżka – powiedziałam. – Zасыpiam na stojąco.

– Biedny kociak. To idź do domu. Chcesz, żebym kogoś poprosił, by ci towarzyszył?

– A ty zostajesz? – spytałam ostrym tonem.

– Naturalnie. O co chodzi? To nie ja padam z nóg.

Zaniemówiłam, na szczęście Kitty przyszła mi na ratunek.

– Zajmę się twoją żoną, Hem. Baw się dobrze. – Rzuciła mu wyzywające spojrzenie, ale nie dał się sprowokować.

– Dobry z ciebie gość, Kitty. Dzięki.

Wstał i ścisnął mnie po bratersku za ramię.

– Wypocznij.

Skinęłam głową jak w transie. Kitty pociągnęła mnie za rękę ku drzwiom. Ledwie wyszliśmy na zewnątrz, wybuchnęłam płaczem.

– Strasznie mi głupio – chlipnęłam.

– To jemu powinno być głupio. I jej – powiedziała surowo Kitty i ścisnęła mnie mocno, zachęcając, bym wzięła się w garść. – Mówią, że musi otaczać się gromadą mężczyzn, bo nie stać jej na płacenie rachunków.

– Duff – prychnęłam. – Kto to widział tak się nazywać.

– No właśnie. Założę się, że nawet ktoś tak pozbawiony rozumu, jak Hem, nie zostawiłby cię dla tej lali. No, chodź. Głowa w górę.

Kiedy przyszedłam do domu, Bumby nie spał. Leżał ze łzami w oczach i gryzł mały gumowy pierścień.

Marie spojrzała na mnie i wyjaśniła:

– Chyba miał straszny sen. Biedactwo. Nie mogłam go uspokoić.

– Dziękuję, że zostałam tak długo, Marie.

Kiedy poszła, próbowałam usnąć małego, ale był marudny i niespokojny. Trwało ponad godzinę, zanim zasnął, a kiedy wreszcie

padłam na łóżko, byłam nieprzytomna ze zmęczenia – ale nie mogłam zasnąć. Czułam się taka silna i zadowolona z życia, lecz Kitty miała rację. Konkurencja robi się coraz ostrzejsza. Paryż był pełen pociągających kobiet ze świeżymi twarzami i pięknymi nogami. Wysiadywały w kawiarniach, czekając na skandal. A tymczasem ciąża zmieniła moje ciało. Ernest twierdził, że woli moje pełniejsze piersi i biodra, ale mając tyle pięknych kobiet wokół, łatwo mógł przestać się mną interesować. A może już przestał – a co ja mogłam na to poradzić?

Kiedy Ernest wrócił do domu, jeszcze nie spałam. Ze zmęczenia zaczęłam płakać. Nie mogłam się opanować.

– Biedna mamuśka – powiedział, wchodząc do łóżka i przytulając mnie. – Nie wiedziałem, że jesteś tak wykończona. Zróbmy sobie długą przerwę.

– Och, tak – przytaknęłam, czując potężną ulgę. – Gdzieś daleko stąd.

Nasze „gdzieś daleko stąd” okazało się małym miasteczkiem Schruns w austriackim Vorarlbergu. Przyjechaliśmy tuż przed Bożym Narodzeniem w 1924 roku i od pierwszego dnia czuliśmy się bardziej swojsko, niż mogliśmy się spodziewać. Za mniej, niż wydawaliśmy co tydzień w Paryżu, mieliśmy tu dwa wygodne pokoje w hotelu „Taube” i niańkę, Tiddy, do opieki nad Bumby. Delektowaliśmy się trzydziestoma ośmioma gatunkami piwa, czerwonym winem, brandy, kirschem i szampanem. Powietrze smakowało jak czysty szampan. Bumby łatwiej tu oddychał, podobnie zresztą jak my wszyscy. Gdy po śniadaniu Ernest pracował – a przynajmniej próbował – w naszym pokoju, ja ćwiczyłam na fortepianie, który miałam do wyłącznej dyspozycji w ciepłym pokoju na dole, natomiast Tiddy zabierała małego na sanki. Popołudniami, po posiłku złożonym z kiełbasy, twardego sera i chleba, chodziliśmy na narty.

Dużo jeździliśmy na nartach. Emerytowany zawodowiec Walther Lent prowadził szkółkę narciarską, do której się zapisaliśmy. Przez całe tygodnie okolica skrywała się pod czapą czystego, białego, skrzypiącego pod nogami śniegu. Godzinami wędrowaliśmy po górach, wyżej i wyżej, wspinaliśmy się na szczyty, a wokół jak okiem sięgnąć ani śladu żywej duszy, żadnego znaku ludzkiej obecności. Takie wysiłki pochłaniały całą naszą energię i wymagały niezłej wytrzymałości. Nie było kolejek ani wyciągów. Narty nieśliśmy na ramieniu, a całą resztę w plecakach. Ku mojemu zdumieniu wytrzymałam to kondycyjnie. Wyjazd z Paryża okazał się błogosławieństwem. Zaczęłam dobrze sypiać, miałam pomoc przy dziecku, świeże powietrze i wysiłek wzmocniły mnie fizycznie. Podczas powolnej wspinaczki natykaliśmy się na pardwy górskie, jelenie, kuny, niekiedy nawet lisy. Zjeżdżając, widzieliśmy tylko dziewiczo biały śnieg, ostro opadające w dół jezory lodowca i potężną chmurę wzbijanego nartami śnieżnego pyłu. Byłam lepszą narciarką, ale za to Ernest był bardziej wyczulony na wszystkie nowości – nowe powietrze, świeży śnieg. Co chwila się przewracaliśmy. Płynęliśmy w powietrzu.

Kiedy wychyliło się z okienka na piętrze hotelu tak mocno, że

wystawało się do połowy na zewnątrz, i dla równowagi opierało ręce o tynkowane dekoracje ścian – w oddali widać było dziesięć pokrytych śniegiem alpejskich szczytów.

– Jak ci się podoba? – spytał Ernest, gdy po raz pierwszy spróbował tej sztuczki, a potem mnie do niej zachęcił.

– Bardzo – odparłam. Zaraz jednak Ernest podszedł, objął mnie ramionami i przycisnął swoim ciałem, na wypadek, gdybym miała ochotę spaść. – Bardzo mi się podoba – powtórzyłam, ponieważ otaczały mnie silne męskie ramiona, a przed oczyma miałam dziesięć szczytów. Wciągnął mnie z powrotem do pokoju, położyliśmy się na łóżku i kochaliśmy się. To mi przypomniało, co w nas jest najlepsze: że dobrze i naturalnie czujemy się ze sobą nadzy, rozumiemy się bez słów i nie popełniamy gaf. W łóżku, jak nigdzie indziej, był moim ulubionym zwierzakiem, a ja – jego.

Z tyłu hotelu znajdował się niski stok, na którym ćwiczyłam się w jeździe na nartach, podczas gdy Ernest bezskutecznie usiłował pisać. Ze względu na pracę tęsknił za Paryżem, gwarem miasta i codzienną rutyną. Przeważnie, jeśli praca mu nie szła, uważał, że wszystko wokół jest do kitu, ale tutaj przeżywał to mniej gwałtownie. Zjeżdżając po stoku, wiedziałam, że patrzy na łąkę, na gospodarstwa i pola i czuje uścisk w głowie, ale nie jest nieszczęśliwy. A niekiedy przyglądał się, jak nisko pochylona, mknę w dół wprost na hotel i w ostatniej chwili robię ostry skręt.

Tej zimy Ernest zapuścił czarną brodę, z którą wyglądał wspaniale. Pracowało mu się kiepsko, ale za to wieczorami grał w kręgle i pokera przy sznapsie z górskiej gencjany, który piekł i pokrzepiał, a jednocześnie barwił język na niebiesko – tak że miało się wrażenie, jakby piło się fiołki. Wieczorami pokój jadalny w hotelu był siwy od dymu. Po kolacji grywałam utwory Bacha albo Haydna, które wcześniej ćwiczyłam. Ernest w fotelu przy kominku czytał Turgieniewa albo grał w pokera, albo wspominał wojnę z herr Nelsem, naszym gospodarzem. Dym z polan, wełna, śnieg i miłość – wszystko to otaczało nas jak kokon i dawało zadowolenie z zimowego wypoczynku.

Jedyny zgrzyt stanowiły obawy Ernesta co do jego przyszłości. Nie pocieszałam go, mówiąc, że wszyscy przyjaciele są przekonani o jego

talencie ani że recenzenci *Trzech opowiadań i dziesięciu wierszy* niemal piali z zachwytem. To była mała książeczka, bynajmniej nie na miarę jego wielkich marzeń. Wysłał rodzinie kilka egzemplarzy, ale wróciły z chłodnym listem od ojca, że ani on, ani Grace nie chcą mieć takiej literatury w domu. Książka jest wulgarna i wszeteczna. Mieli nadzieję na wielką przyszłość dla syna i może kiedyś Ernest znajdzie sposób, by dzięki danym od Boga zdolnościom napisać coś z silnym morałem i wzniosłego duchowo. Póki to nie nastąpi, niech nie przysyła im swoich książek. List ten ubódł Ernesta do żywego. Nie przyznawał się do tego, ale bardzo pragnął uznania rodziców.

– Do diabła z nimi – powiedział, lecz listu nie wyrzucił, tylko starannie go złożył i schował do szuflady, gdzie trzymał ważną korespondencję. Niektóre rodziny są jak trucizna – lubił powtarzać, a teraz zrozumiałam, co miał na myśli. Widziałam również, że podwoił wysiłki, żeby pokazać rodzicom, że nie potrzebuje ich miłości ani aprobaty. Walczył, póki nie napisały o nim „Vanity Fair” i „Saturday Evening Post”. Póki amerykański wydawca nie zaryzykował i nie wydał jego książki, tym razem prawdziwej, takiej, o jakiej marzył.

Nie pomogło mu bynajmniej to, że Haroldowi zaczęło się układać. Skończył powieść wtedy, kiedy planował, i wysłał ją do wydawnictwa Boni & Liveright. I została przyjęta. Dowiedzieliśmy się o tym tuż przed wyjazdem do Schruns. Harold wpadł do nas podekscytowany, omal nie pękając z dumy, i powiedział:

– Widzisz, Hem? Czy podejrzewałeś, że kiedyś mnie to spotka?

– Pewnie, dlaczego nie? – odparł Ernest. Naturalnie, pozieleniał z zawiści, ale trzymał język na wodzy i zachowywał się uprzejmie. Przyniósł nawet butelkę brandy i syfon.

– Anderson przekonuje mnie, żebym też spróbował u Liverighta. Mam kilka niezłych opowiadań i myślałem, żeby wysłać je razem z ostatnimi szkicami.

– To najlepsze miejsce – poparł go Harold. – Na co czekasz?

– Nie wiem. Nie są jedyni, prawda? A Scribner? Albo Henry Doran?

– Gdziekolwiek wylądujesz, zrobisz, co będziesz uważał. Zobaczysz, że tobie też się poszczęści.

Dobrze wiedziałam, że Ernest schwyciłby każdą szansę publikacji w większym wydawnictwie, ale Harold, ja i Sherwood musieliśmy długo go nakłaniać, zanim dał się przekonać i w końcu, tuż przed Bożym Narodzeniem, wysłał maszynopis do wydawnictwa Boni & Liveright. O tytule *W naszych czasach* zdecydował fakt, że w tym właśnie okresie starał się dotrzeć do sedna życia, z całym jego okrucieństwem, chaosem i pięknem. Uważał to za najlepsze, co do tej pory napisał, i cieszył się, że wysłał maszynopis w świat, ale czekanie na odpowiedź było torturą nie do zniesienia. Kiedy do hotelu przychodziła poczta, Ernest niecierpliwie przerzucał koperty, szukając tylko jednego – listu z akceptacją utworu. Tylko tego pragnął.

Pod koniec lutego herr Lent poprowadził nas do Madlenerhaus, alpejskiego schroniska, którego nie zamykano nawet na zimę. Była tam prosta, ale dobra kuchnia i pokój noclegowy, który podczas silnych wiatrów chwiał się jak kajuta na okręcie. Stamtąd mogliśmy podejść pięćset metrów w górę i zjechać po nieskalanym śniegu lodowca Silvretta. Po całym dniu wysiłków padaliśmy wyczerpani na łóżko.

– Nigdy stąd nie wracajmy – poprosiłam Ernesta któreś nocy, kiedy leżeliśmy w pościeli, wsłuchując się w wiatr i padający śnieg.

– Dobrze – powiedział, ściskając mnie mocniej. – Czy nie mamy szczęścia, tak bardzo się kochając? Nikt nie podejrzewał, że tak długo wytrwamy. Pamiętasz, nikt nie był po naszej stronie.

– Pamiętam – odparłam i poczułam dreszcz na myśl, że nie uda nam się na zawsze uciec przed światem.

Po trzech dniach, kiedy wróciliśmy z gór do hotelu, na Ernesta czekały dwa telegramy. Jeden od Sherwooda, a drugi od Horace'a Liverighta, oba z tą samą wieścią: *W >naszycz czasacch* zostanie wydane. Proponowali dwieście dolarów zaliczki i umowę.

To była wielka chwila, chwila, jakiej się nie zapomina – a w jakiś dziwny sposób jazda na nartach stanowiła jej nieodłączną część, tak jakbyśmy musieli najpierw wspiąć się niemal do nieba, a potem spłynąć w dół, aby dostąpić tych wieści. To oznaczało koniec walk Ernesta, koniec jego terminowania i koniec wielu innych rzeczy. Już nigdy nie miał być nieznanym. I nigdy już nie mieliśmy być tak szczęśliwi.

Następnego dnia wsiedliśmy w pociąg do Paryża.

Wiosną padało niemal nieprzerwanie, ale nawet w deszczu Paryż był dla Ernesta rozkoszą. Znał go i uwielbiał przechadzać się w deszczu, szczególnie nocą, wpadać do kawiarni, żeby zobaczyć, kto jest, a kogo nie ma. Wszędzie go poznawano dzięki długim, niesfornym włosom, pantoflom tenisowym i połatanej kurtce – kwintesencji pisarza z Lewego Brzegu. Bawiło mnie, że przeobrażał się w artystę, jakim dwa lata temu pogardzał, ale też trochę mnie to smuciło. Tęskniłam za nim i niezupełnie go poznawałam, ale nie chciałam go powstrzymywać. Na pewno nie teraz, kiedy nareszcie zaczęło mu się wieść.

Jeśli Ernest się zmieniał, to Montparnasse również. Chmary amerykańskich turystów przychodziły popatrzeć na prawdziwą cyganerię artystyczną, a ta – mając nową publiczność – robiła się coraz bardziej nieposkromiona i dziwaczna. Kiki była jedną z najśłynniejszych modelek, kochanką i muzą Mana Raya. Często przesiadywała w „Dôme” albo „Rotonde” razem z ulubioną myszką. Myszka była mała, bielutka i przymocowana delikatnym srebrnym łańcuszkiem do ręki właścicielki. Ruda, pulchna Flossie Martin brylowała przed „Select”, wykrzykując obsceniczności do miejscowych i turystów. Bob McAlmon wymiotował do skrzynek z kwiatami we wszystkich najlepszych restauracjach, a potem zamawiał absynt. To, że absynt był nielegalny, nikogo nie zniechęcało, i podobnie sprawa się miała z opium i kokainą. Ernestowi i mnie wystarczył alkohol, ale wielu to nie satysfakcjonowało, potrzebowali dodatkowego dreszczyku emocji. Coraz trudniej było szokować.

Duff Twysden należała do najbardziej szalonych kobiet. Piła jak facet, lubiła pieprzne dowcipy i z każdym potrafiła rozmawiać. Sama ustalała zasady i miała w nosie, co inni o tym myślą. Kiedy wróciliśmy z Austrii, Ernest spotykał się z nią częściej niż poprzednio. Czasami dołączał do nich jej narzeczony, Pat Guthrie. Pat tego popijał i nieraz zdarzało się, że nie czuł się na tyle dobrze, żeby wyjść z domu bez robienia afery. Z ulgą przyjął fakt, że Duff jest z kimś związana, a może nawet zakochana, ale przecież to wcale nie musiało wiele znaczyć.

Duff lubiła przesiadywać nocą w towarzystwie, podobnie Ernest, i naturalnie grawitowali ku sobie. Martwiłam się tym bardzo. Gdy któregoś dnia przyprowadził ją wraz z całym towarzystwem do naszego mieszkania, Duff ukucnęła na podłodze przed Bumby i powiedziała:

– Hej, ty. Jesteś ładnym chłopcem, prawda?

Bumby roześmiał się i schował za mnie. W zimie dopiero zaczął uczyć się chodzić, a kiedy biegł, tak usztywniał grubiotkie nóżki, że wyglądał, jakby lada chwila miał się przewrócić.

– Typowe – zaśmiała się Duff. – Dlaczego wszyscy mężczyźni przede mną uciekają? Muszę być przerażająca.

– Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo – wtrącił się Ernest.

Przez resztę wizyty siedziała przy stole i zachowywała się bezpretensjonalnie. Była dobrze wychowana, nie grymasiła, i miała niski śmiech. Spodobała mi się, mimo że wcale tego nie chciałam.

Mniej więcej w tym czasie wróciła z Londynu Kitty i przysłała mi zaproszenie na podwieczorek.

– Czego ona znowu chce? – narzekał Ernest. – Myślałem, że na dobre pozbyliśmy się tej pozłacanej suki.

– Jesteś niesprawiedliwy! – warknęłam.

– Ależ jestem. Sukę potrafię poznać z daleka.

Próbowałam nie zwracać na niego uwagi. Nie było szans na to, że zmieni zdanie o Kitty, nawet gdyby stanęła na głowie. Ta jego cecha bardzo mnie denerwowała. Jeśli ktoś mu raz podpadł, nie miał szans. Wolałabym nie prowadzić z nim wojny o Kitty, ale tak czy inaczej zamierzałam się z nią spotkać.

Niestety, moje jedyne ładne suknie dostałam od niej. Ponieważ nie chciałam pokazywać się w garderobie z odrzutu, poszłam w sfatygowanej spódnicy i swetrze. Jak tylko weszłam do jej mieszkania, pożałowałam tej decyzji. Kitty zaprosiła również dwie dziewczyny ze Środkowego Zachodu, Pauline i Jinny Pfeifferówny. Były to siostry i doskonale się ubierały. Pauline, jak się wkrótce dowiedziałam, przyjechała do Paryża do pracy w piśmie „Vogue”. Była niewiarygodnie szykowna w płaszczu uszytym z setek skór z pręgowców amerykańskich i pantoflach w kolorze szampana, całkiem możliwe, że najelegantszych, jakie kiedykolwiek widziałam. Jinny, o pięknych oczach w kształcie

migdałów, była od niej ładniejsza, ale Pauline, szczupła w biodrach i ramionach, z grzywką opadającą niemal na oczy, miała w sobie niemal chłopięcą żywiołowość.

Pfeifferówny były córkami bogatego właściciela ziemskiego z Arkansas, ale wychowały się w St. Louis. Kitty właśnie zaczęła opowiadać o tym, jak blisko znają się z Kate Smith, kiedy pojawili się Harold i Ernest, spoceni i roześmiani, prosto z treningu bokserkiego.

Zdumiałam się, widząc Harolda – czyżby wrócił do Kitty? – ale rzuciła mi spojrzenie: Nie pytaj. Druga zagadka to Ernest – po co przyszedł, jeśli nie po to, żeby dręczyć Kitty? Powinien wszak jej unikać. Chciałam po długim czasie spotkać się z przyjaciółką, bynajmniej nie w atmosferze napięcia i skrępowania, a z pewnością Ernest i Harold, obwąchujący nowe znajome, jakby były egzotycznymi zwierzętami w zoo, nie ułatwiali sprawy.

Po jakimś czasie zaczęli nieźle popijać. Poszłam za Kitty do kuchni po dolewkę herbaty, akurat kiedy Ernest zaczął flirtować z Jinny.

– Wiesz co – powiedział na głos do Harolda – chciałbym zabrać tę dziewczynę na przejażdżkę za miasto.

– Niech ci to nie zaprzęta głowy – uspokoiła mnie Kitty. – Jinny nie dba o mężczyzn.

– Naprawdę? – Tam, skąd stałam, miałam znakomity widok na Jinny, która zachowywała się jak uosobienie wampa. Spojrzała cielecym wzrokiem na Ernesta i zatrzepotała rzęsami.

– Od czasu do czasu lubi poćwiczyć, żeby nie tracić wprawy. Chyba mężczyźni ją bawią.

– Pewnie to miło tak nad sobą panować – westchnęłam. – A co u ciebie? Jak wygląda sprawa z Haroldem?

– No cóż, pojechał za mną do Londynu, w pewnym sensie. Jak już straciłam nadzieję. Myślę, że sam nie wie, czego chce.

– Ale tęsknił za tobą.

– Pewnie. Zawsze tęsknią, jeśli uciekasz. Pytanie, ile może to trwać, kiedy jestem na miejscu?

– Dlaczego to wszystko musi być takie skomplikowane?

– Nie mam zielonego pojęcia, czy musi, ale jest.

Kiedy wróciłyśmy do pokoju, Harold siedział sam na kanapie,

z nogami na krześle, i przypalał grube cygaro, a Jinny, Ernest i Pauline stali przed nim na dywanie.

– Mógłbym zabrać was obie – mówił Ernest dziewczynom. – W końcu mam dwie ręce.

– Niezupełnie – sprostował Harold, spoglądając na mnie. – Jedna należy do twojej żony.

– W porządku, wezmę Jinny – jeśli pożyczysz płaszcz od siostry.

Wszyscy się roześmiali i ten śmiech okazał się początkiem efektu domina. Uruchomił serię wydarzeń, ale dopiero po jakimś czasie. Jeszcze był kostką, która stała, pochylając się coraz mocniej, ale nie przewracając się.

W następnych miesiącach, wiosną 1925 roku, nasze grono przyjaciół zaczęło się zmieniać. Mimo że początkowo zmiana była subtelna i wypadki wydawały się niezależne od siebie, to jednak stopniowo nasza paczka rozpadała się, a na jej miejsce przychodziły osoby bogatsze i bardziej rozhukane. Pound i Szekspirka coraz więcej czasu spędzali w Rapallo, gdzie mieszkali już niemal przez okrągły rok. Gertruda i Ernest zaczęli się kłócić o małe i duże sprawy. On czuł się trochę skołowany, nie rozumiejąc przyczyny, ale sądzę, że jak dla niej, zmieniał się zbyt szybko.

– Alice nigdy mnie nie lubiła – powiedział któregoś dnia, kiedy wyszliśmy z ich salonu. – A teraz próbuje przekonać Stein do swojej opinii.

– Bzdura. Alice cię uwielbia.

– W takim razie ładnie to okazuje. Dziś niemal nazwała mnie karierowiczem. Pewnie zbyt szybko rośnie mi głowa.

– Gertruda bardzo cię lubi. Może po prostu się martwi.

– Nie potrzebuję jej wymówek, a zresztą dlaczego robi z siebie mojego mentora? Co takiego naprawdę dokonała?

Zmartwiłam się, widząc, że między dwojgiem dobrych przyjaciół następuje rozdźwięk, i nie byłam pewna, co to może znaczyć dla mnie osobiście. Nowe grono znajomych składało się z bardzo bogatych artystów, dla których liczyło się głównie wygodne życie, zdobywanie tego, co najlepsze. My ciągle utrzymywaliśmy się z mniej niż trzech tysięcy rocznie, i choć wydawało mi się, że nic nas z tymi ludźmi nie

łączy, to oni interesowali się nami, a przynajmniej Ernestem.

Pauline Pfeiffer należała do tego grona. Była dziewczyną pracującą, rzekomo pobierała pensję w „Vogue’u”, ale oprócz tego miała fundusz powierniczy, co niewątpliwie pomagało jej ubierać się tak, jak się ubierała. To był czas sukcesów Chanel i Pauline pisała w „Vogue’u” o jej nowej kolekcji z namiętnością graniczącą z obsesją.

– Chanel na dobre zmieniła sylwetkę – powiedziała kiedyś w kawiarni „Deux Magots”. – Nigdy już nie wróci to, co było.

Wszystkie kobiety przy stole pokiwały głowami, jakby Pauline przewidziała datę powtórnego przyjścia Chrystusa, ale mnie się nowa moda nie podobała. Ubranie nigdy na mnie nie leżało jak trzeba, i wiedziałam, że nic nie zmieni mojej sylwetki, jeśli nie przestanę w ogóle jeść.

Kitty od dawna знаła Pauline i bardzo chciała, żebyśmy zostały przyjaciółkami. Nie sądziłam, byśmy miały cokolwiek wspólnego, ale kiedy Kitty pierwszy raz przyprowadziła ją do nas, miło zaskoczyło mnie, że jest błyskotliwa i bardzo zabawna. Wydawało się również, że zależy jej, bym ją polubiła.

– Kate Smith od lat cię wychwala – powiedziała. – Cieszę się, że wreszcie się spotkałyśmy.

– A gdzie wyście się spotkały?

– Na Uniwersytecie Missouri. Obie studiowałyśmy dziennikarstwo.

– Obawiam się, że Kate zapuściła szpony we mnie znacznie wcześniej. Kiedy miałyśmy dziewięć lat, namówiła mnie, żebyśmy zapaliły zwędzone papierosy i strasznie się pochorowałam.

– To do niej podobne. Ale trudno byłoby jej mnie zdemoralizować. Wtedy już dosyć daleko zaszłam tą drogą.

Wybuchnęłyśmy śmiechem, a wtedy usłyszałam chrząknięcie Ernesta z sypialni. Zrobiło mi się głupio, że nie przyłączył się do nas, i próbowałam go usprawiedliwić.

Pauline lekko zmarszczyła brwi. Drzwi były uchylone bardzo niewiele, niemniej widać go było na łóżku – wcale nie chorego, tylko niezainteresowanego naszym towarzystwem.

– Wiem wszystko o mężach – powiedziała. – Od lat studiuje ich z dystansu.

– Sama się o nich nie otarłaś? – spytałam.

– I to bardzo blisko – wtrąciła Kitty.

– Nieważne. Teraz jestem wolna. Absolutnie wolna, i to jest cudowne.

– Nie rozmawiaj z Hadley o wolności – zaśmiała się Kitty. – Ma swoje teorie i zaraz wygłosi ci wykład.

Zaczerwieniłam się i próbowałam sprostować, ale Pauline szybko zmieniła temat.

– Kitty mówi, że świetnie grasz na fortepianie. Masz tu instrument? Mogłabyś nam zagrać?

– Niestety, nie. Nie gram zawodowo.

– A co znaczy „zawodowo”, jeśli nie to, że gra się dla innych zamiast dla siebie? Dawałaś koncerty?

– Nie, od bardzo dawna. Nigdy tego nie lubiłam.

– Od czasu do czasu potrzebny jest sprawdzian. To pozwala zachować młodość.

– Powinnaś dać koncert – poparła ją Kitty. – Dobrze by ci to zrobiło. Wszyscy by przyszli.

– Rozchorowałabym się na samą myśl o tym.

Ale nocą, kiedy leżałam w łóżku, powiedziałam Ernestowi, że chciałabym mieć własny fortepian.

– Nie wiedziałam, że tak bardzo będzie mi go brakować – westchnęłam.

– Wiem, kocie. Chciałbym, żebyś go miała. Może postaramy się o fortepian, kiedy przyjdzie zaliczka.

– To takie piękne słowo, prawda?

– A inne piękne to honorarium autorskie, ale na razie jeszcze nie wydawaj pieniędzy na to konto.

– Dobrze, Tatie – przyrzekłam, ale mimo to zasnęłam uszczęśliwiona.

Jakoś na początku maja, wieczorem, kiedy byliśmy tylko we dwoje w restauracji „Dingo”, podszedł do nas Scott Fitzgerald i się przedstawił.

– Pan nazywa się Hemingway – rzekł. – Kilka tygodni temu Ford pokazał mi pana opowiadanie i powiedziałem: To coś autentycznego.

– Przykro mi, że nie czytałem nic pańskiego.

– Nie szkodzi. Nie jestem pewny, czy jeszcze coś piszę. Odkąd z żoną przyjechaliśmy do Paryża, skończyła się praca i zaczęły się imprezy.

Ernest obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– W ten sposób niczego pan nie skończy.

– Wiem o tym. Ale Zelda kocha tańczyć. Powinniście ją poznać. Jest spektakularna. – Rzucił wzrokiem na parkiet, gdzie kilka par wykonywało akrobatyczne figury tanga. – Właśnie wydałem powieść. *Wielki Gatsby*.

– Poszukam jej – obiecał Ernest. – Jak wytrzymuje pan oczekiwanie na recenzje?

– Bez wielkiego trudu. W każdym razie łatwiej niż pisanie. A kiedy już coś napiszę, nie mogę zabrać się do niczego nowego. Jak Gatsby. Znam go tak dobrze, jakby był moim dzieckiem. Nie żyje, a ja cały czas martwię się o niego. Zabawne, czyż nie?

– Nic pan teraz nie robi? – spytałam, zastanawiając się, czy zdobędę się na odwagę, żeby przyznać się, że czytałam jedną z jego książek. – To znaczy oprócz tańca?

Uśmiechnął się.

– Nie, ale zacznę, jeśli pani obieca niezmiernie podziwiać każde moje słowo. A co pani myśli o tym, co napisałem do tej pory?

Po jakiejś godzinie Ernest wsadził Scotta do taksówki.

– Nie lubię mężczyzn, którzy nie potrafią pić – oświadczył, kiedy auto ruszyło. – Obawiałem się, że spije się do nieprzytomności.

– Strasznie zzieleniał, prawda? I zadawał najbardziej niestosowne osobiste pytania. Czy słyszałeś, że pytał, czy kochałam się w ojcu?

– Mnie też o to pytał. I czy boję się wody. I czy sypialiśmy ze sobą przed ślubem. Dziwak z niego, nie uważasz?

Faktycznie był dziwny, a to mogło być nasze ostatnie spotkanie, gdyby Fitzgerald nie zdobył skądś naszego adresu i nie przysłał egzemplarza *Wielkiego Gatsby'ego*. Po otwarciu paczki Ernest położył powieść na półkę i pewnie leżałaby tam w zapomnieniu, gdybym nie sięgnęła po nią z ciekawości. Nie była zbyt ponura, przynajmniej na początku. Wprawdzie bardzo szybko sytuacja zrobiła się dramatyczna, ale wtedy już książka mnie wciągnęła.

Wywarła na mnie wielkie wrażenie i pochłonęłam ją jednym tchem. Poradziłam też Ernestowi, żeby ją przeczytał. Skończył ją w jedno popołudnie i oświadczył, że to cholernie dobra książka, a potem wysłał pochwalny liścik do Fitzgeralda. Wszyscy spotkaliśmy się kilka dni później w „Nègre de Toulouse”. Fitzgerald i Zelda przyszli wcześniej i kiedy weszliśmy, kończyli już drugą butelkę szampana. Ona była lekko wstawiona, co zauważyłam, gdy wstawiała, żeby się z nami przywitać. Miała jasną suknię futerał z kilku warstw przezroczystej tkaniny, które przesuwały się wokół niej marzycielsko, kiedy siadała, jasną cerę i blond włosy ułożone w fale, i cała wydawała się w jednym kolorze poza ostro zarysowanymi ciemnoczerwonymi ustami.

Widząc, że się zbliżamy, Scott powstał z miejsca, a Zelda, przymrużywszy oczy, posłała nam dziwny uśmiech. Właściwie nie była piękna, ale miała niski, wytworny głos.

– Jak państwo się mają? – przywitała nas i zwróciła się do Ernesta: – Scott bardzo chwali pana pióro. Mówi, że jest pan autentyczny.

– O, naprawdę? Mówi też, że pani jest spektakularna.

– Czy nie jesteś kochany, kochanie? – mruknęła do męża, gładząc go po głowie. Tym gestem, który mógłby wydawać się wyjątkowo głupi, zamknęła ich w prywatnym świecie. Spojrzeli sobie w oczy i zniknęliśmy dla nich kompletnie.

Kiedy później patrzyliśmy, jak tańczą charlestona, efekt był podobny. Nie robili dzikich skoków, jak pozostałe pary; poruszali się gładko, ich ręce wznosiły się łukiem nad głową jednocześnie, jak za pociągnięciem sznurka. Jej suknia podnosiła się w tańcu, a Zelda jeszcze co chwila podciągała ją wyżej, tak że sięgała ponad podwiązki. Było to szokujące, ale ona nie wyglądała, jakby miała zamiar szokować. Tańczyła dla siebie i Scotta. Poruszali się po własnych orbitach, niewiarygodnie skoncentrowani, zatopieni w swoich oczach.

– Co o niej myślisz? – spytałam Ernesta.

– Nie jest piękna.

– Nie, ale ma coś w sobie, prawda?

– Jest szalona.

– Nie mówisz poważnie?

– Owszem – odparł. – Widziałaś jej oczy?

Pod koniec wieczoru zaprosili nas do siebie. Mieszkali w modnej prawobrzeżnej dzielnicy koło Étoile. Budynek był elegancki, od razu rzucało się to w oczy, ale samo mieszkanie w stanie chaosu, wszędzie leżały porozrzucane ubrania, książki, kartki papieru, dziecinne ubranka i zabawki. Żeby móc usiąść na sofie, zepchnęliśmy wielką kupę czegoś na bok, ale Scott i Zelda nie wydawali się skrępowani. Zabawiali się nawzajem, tak jak w kawiarni, ale głośniej. Prawdę mówiąc, zachowywali się tak hałaśliwie, że w głębi mieszkania zaczęło płakać dziecko i za chwilę pojawiła się angielska niania z ich córką, Scottie, na rękach. Dziewczynka była pulchna, ubrana w wymyślny strój do spania, a z boku na jasnych włosach miała przyczepioną wielką kokardę. Na jej buzi odcisnął się ślad poduszki.

– O, jest mój skarb – powiedziała Zelda i wzięła małą na kolana. – Moja owieczka.

Dziewczynka uśmiechnęła się sennie i wydawała się zadowolona, ale kiedy Zelda usiadła na podniszczonym złoconym fotelu, nadstawiając ucha, żeby uchwycić choćby strzępy rozmowy Scotta z Ernestem, dziecko zsunęło się na podłogę. Matka nawet tego nie zauważyła. Podbiegła niania i zabrała małą, która oczywiście ryczała w głoś. Zelda odwróciła się do mnie i spytała:

– Co pani mówiła?

Miała rozbiegany, dziwny wzrok, jakby myślami przebywała w innym świecie.

– Marzę o tym, żeby moja Scottie była nowoczesną panną. Wie pani, dekoracyjna, niezglębiona i cała srebrna.

– Jest cudowna – powiedziałam.

– Prawda? Nigdy nie będzie bezradna. To widać. – Mówiła z ogromnym przejęciem i ta nieoczekiwana zmiana tonu mocno mnie zaniepokoiła.

– Owszem – rzekłam. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem Ernest nie miał racji. Ale kto mógł oddzielić rzeczywiste szaleństwo od szampana, którego piło się stale i wszędzie?

Dla tej dwójki impreza nigdy się nie kończyła. Niecały tydzień później pojawili się w naszym mieszkaniu o szóstej rano, nadal pijani po

nocy. Spaliśmy głęboko, kiedy zaczęli walić w drzwi i głośno wołać nas po imieniu. Nie przeszkadzało im to, że jesteśmy w piżamach. Zrobiliśmy kawę, ale jej nie wypili. Śmiali się i przysięgali wierność jakiejś tancerce, którą spotkali poprzedniego wieczoru w knajpie, a o której nigdy nie słyszeliśmy.

– Zelda jest bardzo wrażliwa na sztukę – oświadczył Scott. – Tak naprawdę nie jest z tej planety.

Oblicze Zeldy nagle przybrało tragiczny wyraz.

– Chyba im nie powiesz?

– Może powinniśmy, kochanie. I tak by zgadli.

– No dobrze. – Spojrzała na nas rozszerzonymi oczyma i rzekła: – Niedawno zakochałam się w innym mężczyźnie. Omal mnie to nie zabiło, i Scotta także.

Scott stanął nad nią i ręką uczynił w powietrzu taki ruch, jakby gładził jej włosy, ale jej nie dotknął.

– Nas niemal zabiło, ale tego gościa zabiło całkowicie. Straszne. Cała historia była w gazetach. Musieliście czytać.

Potrząsnęłam głową i powiedziałam:

– Przykro mi, że musieliście przez to przejść. Brzmi okropnie.

– To prawda. Ten mężczyzna chciał za mnie umrzeć. To doświadczenie bardzo nas ze Scottem zbliżyło.

Ernest wzdrygnął się i utkwił wzrok w filiżance, ale się nie odezwał. Nie wiedział, co o tej dwójce myśleć. Na pewno nie byli naszego pokroju, tylko że ja już nie byłam pewna, jakiego sami jesteśmy pokroju. Reguły cały czas się zmieniały.

Po ich wyjściu Ernest zauważył:

– Wiedziałem, że ona ma nierówno pod sufitem, a teraz zaczynam się zastanawiać, czy on też. Ona go wsysa. Jak wampir.

– Rzeczywiście, trzyma Scotta na krótkiej smyczy.

– Nie zniósłbym tego.

– Nie musiałbyś – wybuchnęłam.

– No, Tatie, nic złego nie miałem na myśli. Niczym nie przypominasz Zeldy. Jest tak zazdrosna o Scotta, że byłaby szczęśliwa, gdyby nigdy nic już nie napisał.

– Nie mogą sobie na to pozwolić.

– Scott mówił, że w zeszłym roku wydali trzydzieści tysięcy dolarów, po prostu je przepuścili.

– Oni potrzebują trzydziestu tysięcy, a my utrzymujemy się za trzy. To absurd.

– Ale nasze życie jest lepsze, prawda?

– Zgadza się – powiedziałam stanowczo.

Z drugiego pokoju zaczęły dobiegać dźwięki świadczące o tym, że Bumby się budzi. Odłożyłam filiżankę i wstałam, żeby pójść do niego, kiedy Ernest powiedział:

– Nie chciałbym żyć jak oni, ale ciężko patrzeć, jak tyle pieniędzy się marnuje, podczas gdy my nie mamy ani grosza. Może bym pożyczył od niego na nasz wyjazd do Pampeluny w lipcu?

– Za mało ich znamy.

– Może nie. A jakoś musimy tam pojechać. Może uderzyć do Dona Stewarta?

– To dobry chłop.

– Masz rację. Powiem ci coś. Wszyscy chcą jechać. Sytuacja się komplikuje.

– Do wyjazdu całe tygodnie. Dlaczego miałyby się komplikować?

– Nawet nie pytaj.

Byki wychodziły z wagonów na dziedziniec kolejowy, przewracając oczami, rycząc i rzucając się w panice. Nie wiedziały, gdzie mają iść. Patrzyłam na nie z przykrością, mając świadomość, że pod koniec dnia będą martwe. Było jeszcze wcześniej i dość chłodno jak na lipiec. Spod kopyt zwierząt unosił się gryzący pył. Ernest pokazał mi miejsce między łopatkami, gdzie należało wbić szpadę.

– Tak, sir – powiedział Harold Loeb. – Nadeszła chwila prawdy. Ernest skrzywił się i rzekł:

– A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Wystarczająco dużo, jak mi się wydaje – odparł Harold.

Wtedy nadeszła Duff i wzięła Ernesta pod ramię.

– To wszystko jest cudowne, nieprawda? – spojrzała na niego jak dziecko, które spodziewa się, że wszystko ułoży się po jego myśli, i uśmiechnęła się. – Ale wzmaga apetyt. Kto mnie nakarmi?

– Jasne, w porządku – odparł Ernest i ruszył z nią do kawiarni.

Miał na sobie marynarski sweter, na głowie beret, a wokół szyi owiniętą ciemną chustę. Duff, jak zwykle, ubrała się perfekcyjnie, w długi bawełniany sweter i jasnozieloną jedwabną koszulę z wykładanym kołnierzem. Włosy miała szesane do tyłu, chodziła prosto jak struna. Ernest, z dumnie wysuniętą brodą, dotrzymywał jej kroku. Pewnie próbował opanować złość na Harolda. Z tyłu Duff i Ernest wyglądali, jakby zeszli ze stron magazynu mody. Narzeczony Duff, Pat Guthrie, też to zauważył. Prawdę mówiąc, wszyscy zauważyli, i biedny Pat przez kilka dni miał zwarzony humor.

Żał mi go było, choć nie chciałabym z nim mieszkać. Pił bez umiaru i pod wpływem alkoholu potrafił zająć za skórę. Codziennie wychodził po południu z domu wesół i ze wszystkiego zadowolony. Lubił rozmawiać o muzyce popularnej, chętnie tańczył i śpiewał, ale po trzech–czterech koktajlach robił się złośliwy i na wszystkich patrzył z wyższością. Jeśli Duff nie wysłała go do domu, po jakimś czasie stawał się ponury i posępny. Ciekawiło mnie, jak ona – nie mówiąc o tym, jak on – wytrzymują te zmiany nastrojów. Czy po przebudzeniu się z rana czuje do siebie niesmak? Czy w ogóle coś pamięta?

– Jak myślisz, co będziemy pili do wieczora? – spytał Harold, stając obok mnie.

Uśmiechnęłam się i wzięłam go pod ramię, żeby choć przez moment poprawić mu nastrój. Może, jeśli będziemy trzymali się razem, on też spróbuje poprawić moje samopoczucie. Bóg świadkiem, że bardzo tego potrzebowałam.

Wyprawa zaczęła się pechowo tydzień wcześniej w Burguete. Poszliśmy łowić ryby w Irati – jednej z ulubionych rzek Ernesta – która okazała się potwornie zanieczyszczona. Właścicielka hotelu ostrzegła nas, że nie ma mowy o łowieniu ryb, ale Ernest ją wyśmiał. Tymczasem okazało się, że prowadzono tam wyrąb lasów bukowych i sosnowych i drwale tak zanieczyścili rzekę, że po powierzchni pływało pełno odpadków drewna. Tamy zostały przerwane, martwe ryby leżały na brzegach i w sadzawkach. Było to bardzo przykre, ale jakoś wytrzymaliśmy przez kilka dni, próbując łowić w mniejszych strumieniach. Nikt nic nie złapał.

Był z nami Bill Smith, jeden z chicagowskich przyjaciół, zwabiony entuzjastycznymi raportami Ernesta o znakomitych łowiskach i o korridzie na deser. Nie widzieliśmy go od czasów „Siedziby”. Kiedy Kenley i Ernest się rozstali, rozluźniły się związki z całą rodziną Smithów, ale potem zaczęłyśmy do siebie pisywać z Kate, która pracowała w Chicago jako dziennikarka. Gdy Bill odwiedził nas w Paryżu, z radością skonstatowaliśmy, że się wcale nie zmienił, sypał zabawnymi historyjkami i był gotów na każde szaleństwo. Na wycieczkę do Hiszpanii zabrał ze sobą wszystkie sztuczne muchy – wypróbowanych zwycięzców z letnich zawodów na rzece Sturgeon albo Black w Michigan. Myślałam, że Ernest się rozplacze, kiedy Bill otworzył pudełko i pokazał bezużyteczne przynęty.

W Pampelunie pech nadał nas nie opuszczał. Otaczali nas przyjaciele i powinno być wesoło, ale nie było. W Paryżu Ernest i Duff kręcili się wokół siebie, lecz wydawało się to nieszkodliwe. Ktoś jednak zmienił ten układ i tym kimś był Harold. Zadurzył się w niej poważnie i zabrał ją na tydzień do St.-Jean-de-Luz. Kiedy Kitty powiedziała mi o romansie, wspomniała, że Harold zachowywał się dziwnie, i dlatego podejrzewała, że coś się kroi. Nigdy nie rozumiałam układu Harolda

i Kitty. Teraz ja byłam skonsternowana i zmartwiona skrajną reakcją Ernesta. Nie miał żadnych praw do Duff – więc nie powinno go to obchodzić, ale obchodziło, i wszyscy zdołali to zauważyć.

Pierwszego dnia korridy obudziliśmy się rano, żeby obejrzeć przepędzanie byków ulicami miasta. Wcześniej, gdy to oglądałam, kiedy byłam w ciąży, wydawało się, że trwa to tak krótko, że nie zdołałam nic zapamiętać. Teraz Bumby został w Paryżu z Marie Cocotte, a choć pragnęłam i potrzebowałam odpoczynku od obowiązków macierzyńskich, to nie potrafiłam znowu poczuć się, jakbym była wolna.

Tego dnia ulice były śliskie. Przed świtem trochę padało i byki ślizgały się na mokrych kamieniach. Jeden upadł i usiłował się podnieść, wyciągając grubą szyję i przewracając oczyma, tak że widać było białka. Miałam wrażenie, że wszystko odbywa się w zwolnionym tempie.

Staliśmy tuż za niskim ogrodzeniem, tak blisko, że czuliśmy odór zwierzęcego potu i podekscytowanie patrzących. Choć nie wszyscy chcieli lub mogli patrzeć.

– Te byki są niemal prehistoryczne – wyjaśniał Ernest Billowi poprzedniego wieczoru w kawiarni. – Od sześciuset lat hoduje się je specjalnie do walk, do tego, by w drodze po pewną śmierć biegały po arenie i brały na rogi wszystko, co im wpadnie w oko. To piękne. Sam zobaczysz.

– Czekam niecierpliwie – odparł Bill, ale teraz, mając wszystko przed sobą, zachwiał się w tym przekonaniu.

W pewnej chwili jakiś młody mężczyzna podbiegł zbyt blisko do grubego byka, który rzucił go o ścianę jakieś dwadzieścia stóp od miejsca, gdzie staliśmy. Słyszeliśmy trzask łamiącej się kości. Krzyknął i stanął na nogi. Przykro było patrzeć na strach malujący się na jego twarzy.

– To za wiele dla ciebie, stary? – spytał Ernest, kiedy ujrzał, że Bill odwraca wzrok.

– Może – odparł Bill.

Ernest stał obok Duff, zaczerwienionej z emocji.

– Widzisz? – pokazał jej byka, który z opuszczoną głową szykował się do ataku na poszkodowanego mężczyznę. – Byk ma kiepski wzrok, ale czuje jego zapach i się nie spieszy. Popatrz teraz. Szarżuje!

– Nie wierzę, że możesz to traktować jak sport – powiedział cicho Bill.

– A cóż to jest innego? Życie i śmierć, bracie, to, co widzi się każdego dnia.

Byk ruszył. Z pochylonymi rogami i głową odchyloną na bok wyglądał jak diabeł. Zbliżał się do *caballero** usiłującego się wdrapać na barierę. Ktoś ponad barierą wyciągnął do niego rękę. Nie widzieliśmy, kto, ale *caballero* zdołał przedostać się na drugą stronę. Był wolny. Kilka osób zaczęło wiwatować.

– Pewnie jesteś rozczarowany – rzekł Bill, patrząc wymownie na Ernesta.

– Wcale nie.

– Czy mogło być źle? – zainteresowała się Duff.

– Mogło. Takie rzeczy się zdarzają. Sam widziałem.

– Bardzo to ekscytujące, prawda?

– Najlepsze widowisko na świecie.

Minął nas ostatni byk, za nim przebiegli *pastores*** z kijami, a potem wystrzelono racę na znak, że wszystkie zwierzęta są już na arenie.

– Piękne – zgodziła się Duff.

Próbowałam sobie przypomnieć, czy korrida była dla mnie piękna za pierwszym razem, kiedy Ernest opowiadał mi o niej, tak jak teraz opowiadał Duff. Moje życie bardzo zmieniło się w ciągu dwóch krótkich lat; pamiętam ówczesne podniecenie i jednocześnie dziwny spokój, bo byłam w ciąży i czułam się bezpiecznie, odgradzona od wszystkiego złego. Moje ciało wykonało swoje zadanie, a zwierzęta również zmierzały ku swojemu przeznaczeniu. Mogłam patrzeć na to, co się działo na arenie, bez szkody dla psychiki, siedząc obok Ernesta i szyjąc ubranka i kocyki dla dziecka, które miało się urodzić za trzy miesiące. Pamiętam też, że spokojnie przyjmowałam nocne tańce *Riau-riau* i fajerwerki, choć ze względu na hałas nie dało się spać.

Wówczas byliśmy jedynymi Amerykanami w Pampelunie. Ernest nazywał ją rajskim ogrodem. Teraz limuzyny przywoziły towarzystwo z Biarritz. Szoferzy w uniformach otwierali drzwiczki i czekali, aż zmęczeni hulanką i cuchnący szampanem pasażerowie wrócą do aut. Ale

i tak wszystko się popsuło, zupełnie niezależnie od najazdu bogaczy.

Harold nadal szalał za Duff. Widać to było podczas lunchu, kiedy nagle bladł i odnosił się do niej po wiktoriańsku, a za chwilę poganiał kelnera, żeby przyniósł dla niej drinka.

– Kochanie, nic się nie stało – mówiła. – Na razie jeszcze żyję.

Siedzieliśmy wszyscy wokół stołu na zewnątrz, po jednej stronie Duff, Ernest i Harold, a po drugiej Pat, Bill i ja. Pat miał na sobie cudowny letni garnitur z granatowym lnianym żakietem. Kupił sobie beret taki sam, jak Ernesta i nosił nasadzony na czubek głowy pod optymistycznym kątem. A jednak, mimo cywilizowanego wyglądu i eleganckiego stroju z szykanami, kiedy Harold zanadto skakał koło Duff, stał się agresywny.

– Daj spokój, Harold – warknął Pat. – Idź się przejść.

– Zamknij się – odparł Harold. – Albo lepiej się napij. – Odwrócił się i krzyknął do tyłu, choć nikogo tam nie było: – Drinka dla tego pana!

W tym momencie podszedł do nas Don Stewart, bardzo elegancki w szarych flanelowych spodniach i białej koszuli. Rzucił na nas okiem i natychmiast wyczuł napięcie.

– Ktoś kopnął w kalendarz? – zainteresował się.

– Nikt ważny – odparł Ernest.

– Dostałam strasznego bólu głowy – powiedziałam. – Wybaczcie. Wyszłam zza stołu i stanęłam przy Donie.

– Może odprowadzisz biedną małą do domu? – poprosił Ernest.

– Nie potrzeba. Poradzę sobie.

– Bzdura – zaoponował Don. – Jesteś blada jak ściana.

Nie doszliśmy do drzwi, a luka przy stole znikła, jakby mnie tam nigdy nie było. Ernest przysiadł się bliżej Duff, i Pat też się do niej przysunął. Duff królowała pośrodku jak beza na torcie.

Ucieszyłam się, że Don zaofiarował się odprowadzić mnie do domu. Czułam się potwornie samotna, a z Donem łatwo nawiązywało się kontakt. Od pierwszego spotkania przed rokiem zawsze, kiedy byliśmy grupą, dotrzymywał mi towarzystwa. Odnosiłam wrażenie, że jesteśmy do siebie podobni, bo on też nie pasował do Paryża. Łebski i szykowny pisarz, absolwent Yale, pod wieloma względami nadal przypominał chłopca, który wychował się na farmie w Columbus w Ohio. W Paryżu

wszyscy zachowywali się dramatycznie i trochę teatralnie.

– Zgaduję, czemu odrzucają dawne zasady – powiedział mi któregoś razu. – Ja też byłem na wojnie. Po tych doświadczeniach nic już nie jest takie samo, więc po co się trudzić? – Jego twarz spoważniała. – A jednak szkoda, że nie ma już porządnych, po staroświecku honorowych ludzi próbujących dobrze przeżyć życie. Prosto, bez szkodenia innym. Wiem, że z takimi poglądami wyglądam na durnia.

– Pewnie chciałbyś mieć dziewczynę podobną do twojej matki?

– Może. Chciałbym, żeby wszystko na nowo miało sens. A od dawna nie ma.

Wydawało mi się wówczas, że dobrze go rozumiem, ale teraz, kiedy szliśmy razem do hotelu, czułam to jeszcze silniej. Też chciałam, żeby życie miało sens. Pragnęłam tego ponad wszystko.

– Jak się trzymasz? – spytał.

– Pewnie lepiej niż niektórzy. Biedny Harold.

– Biedny Harold? A Pat nie? To on ma jakieś prawa do Duff.

– Wydaje mi się, że to dość luźny związek. Duff wyciąga Harolda na dwa tygodnie na Riwierę, a potem się dziwi, że ten wodzi za nią oczami jak smutne ciele, a jeszcze bardziej się dziwi, że Pat zachowuje się, jakby stracił rozum. To okrutne.

– Okrucieństwo chyba nie jest jej celem. Wydaje mi się, że mimo szaleństw jest bardzo smutna.

Doszliśmy do rogu placu, gdzie akurat dobiegał końca dzień targowy. Jakaś kobieta składała kosze, inna chowała krwistoczerwone papryczki chilli do worka. Nieopodal mała dziewczynka siedziała na ziemi, trzymając w objęciach kurczaka i śpiewając mu piosenkę. Zwolniłam kroku, żebyśmy mogli się jej przyjrzeć. Miała twarz w kształcie serca okoloną czarnymi jak węgiel włosami. Śpiewając, głaskała kurczaka, który wyglądał jak w transie.

– Patrzysz na nią, jakbyś chciała ją pożreć – zauważył Don. – Pewnie tęsknisz za Bumbym.

– Jak szalona. Łatwiej mi, kiedy o nim nie myślę. Czasami powtarzam sobie, że istnieję w dwóch osobach. Z nim jestem jego mamą, a tutaj, z dala od niego – zupełnie kim innym.

– Hadley Hema.

– Może. A może jestem swoją własną Hadley. – Widzieliśmy już łuk hotelu „La Perla” i ścianę obrośniętą bugenwillą. Zatrzymałam się i obróciłam ku Donowi. – Dlaczego ty też nie jesteś związany z Duff? Wszystkich innych już pogrzyła.

– Niezła babka i łatwo byłoby jej ulec. Prosiła mnie, żebym zapłacił jej rachunek za hotel, ponieważ nie może teraz oczekiwać tego od Harolda. Może Hema też o to prosiła.

– Nie zdziwiłabym się.

– A jak z wami? Hem nie jest chyba na tyle głupi, żeby rzucić cię dla tej hrabiny w obcisłym sweterku?

Wzdrygnęłam się.

– Może pójdziemy na drinka? – zaproponowałam.

– Och, przepraszam, nie powinienem był tego mówić. Bardzo lubię was oboje. Jeśli wam miałoby się nie udać, to jaką inni mają szansę?

– Jesteś kapitalny! – Pochyliłam się i pocałowałam go w policzek. Był gładki jak skóra niemowlęcia i pachniał czystością.

– A ty pewnie jesteś najlepszą dziewczyną na świecie – odparł z uczuciem i odwzajemnił pocałunek. Odsunął się i spojrzał na mnie z pytaniem w nieco zwilgotniałych oczach. – Nie kochasz mnie nawet ociupinkę, prawda?

– Niestety, i szkoda. Może by to trochę zbilansowało układ. – Objęłam go za szyję i na moment przyciągnęłam do siebie, czując jego smutek i konsternację. – Wszyscy tu wariujemy.

– Nie jesteś na mnie zła?

– Nie. To chyba wzmocniło naszą przyjaźń.

– To miło, że tak myślisz. Wiedziałem, że nie pomyliłem się co do ciebie. – Odsunął się i odgarnął mi włosy z czoła. – Mam nadzieję, że Hem docenia to, co ma.

– Ja też – odparłam i weszłam do hotelu. Wewnątrz señora przykrywała szmatą klatkę z ptakiem.

– Nie lubi rac – wyjaśniła, dokładnie omotując materiałem pręty klatki. – Przez nie wrywa sobie pióra. Widziała to pani?

– Widziałam, señora – odparłam, wchodząc na schody. – Czy mogłaby pani przysłać mi do pokoju brandy?

Rzuciła spojrzenie za moje plecy, żeby sprawdzić, czy ktoś jest ze

mną, więc dodałam: – Jedną szklanę.
– Czy señora dobrze się czuje?
– Nie najlepiej. Ale brandy pomoże.
* *Caballero* – tu: mężczyzna.

** *Pastores* – pasterze.

Kiedy rano się obudziłam, Ernest już dawno wstał i nawet wyszedł. Słyszałam, jak wrócił późną nocą, ale nie poruszyłam się i nie rozmawiałam z nim. O siódmej, umyta i ubrana, zeszłam do hotelowego baru, gdzie kończył pić kawę.

– Zamówiłem dla ciebie *oeufs au jambon* – powiedział. – Jesteś głodna?

– Potwornie. Jak wczoraj się skończyło?

– Świetnie i pod dobrą datą.

– Świetnie i pod dobrą datą czy tylko pod dobrą datą?

– O co ci chodzi?

– O nic.

– Akurat. Może to wykrztusisz?

– Jeszcze nawet nie napiłam się kawy. Czy musimy się kłócić?

– Niczego nie musimy. A zresztą nie ma już czasu.

Do baru zszedł Bill, przysunął sobie krzesło i usiadł przy naszym stoliku.

– Ale jestem głodny – oznajmił.

– To zaraźliwe – rzekł Ernest. Dał znak kelnerowi, żeby przyniósł nakrycie dla Billa i *café au lait*, a potem poprosił o rachunek. – Idę załatwić bilety. Spotkamy się na miejscu.

Kiedy poszedł, Bill spojrzał na mnie z zażenowaniem, więc zapytałam:

– Co właściwie wczoraj się stało?

– Nic, co bym chciał pamiętać.

– Więc nie mów.

– I tak wszystkiego nie wiem. Harold powiedział coś Patowi, a potem Hem wybuchnął i strasznie zwyzywał Harolda. Nie było to fajne.

– No, myślę.

– Pojawił się Don i próbował wyjaśnić i załagodzić konflikt, ale było już za późno. Harold rzucił Ernestowi wyzwanie, żeby załatwić to na ulicy.

– Harold? A nie odwrotnie?

– Nie. Naprawdę było na co patrzeć.

– Jak się czuje Harold?

– Świetnie. Nawet się nie dotknęli.

– Dzięki Bogu.

– Podobno Hem powiedział, że potrzyma mu okulary. To przełamało impas, obaj wybuchnęli śmiechem i zrobiło im się łyso, że w ogóle do tego doszło.

– Co się z nami dzieje, Bill? Możesz mi to wyjaśnić?

– Nie mam pojęcia. Na pewno za dużo pijemy. I zbyt wiele pragniemy, prawda?

– Czego my właściwie pragniemy? – spytałam, nieco smutna i dezorientowana. Zastanawiałam się, jak Bill tłumaczy to, że Ernest tak jawnie leci na Duff. Co mógł o tym myśleć?

– Naturalnie wszystkiego. Wszystkiego i jeszcze trochę. – Podrapał się w brodę i zażartował: – Świadczy o tym mój kac.

Przyglądałam mu się chwilę w milczeniu,

– Jeśli to jest święto, to czemu nie jesteśmy szczęśliwi?

Odchrząknął i odwrócił wzrok.

– Nie powinniśmy spóźnić się na amatorskie walki. Hem mówi, że to świetna zabawa i że powinienem spróbować.

Westchnęłam.

– Nie musisz mu nic udowadniać. Nie miałeś ochoty wystartować w biegach.

– Nie – przyznał z lekkim zawstydzeniem. – Ale chcę zrobić próbę. W końcu jeszcze żyję.

– Dlaczego wszyscy to powtarzają?

– Nie wiem. Tak już jest.

Dla Ernesta walki amatorskie od dawna były ulubionym elementem fiesty. Od lat ćwiczył *verónicas* ze wszystkim, co mu wpadło w ręce, od zasłon po mój stary płaszcz. Teraz potrafił drażnić byki, uchylając się w ostatniej chwili. Po walce był w euforii, szczęśliwy, i namiętnie trenował w pokoju hotelowym z peleryną kupioną w sklepie oddalonym od centrum, który nie specjalizował się w pamiątkach dla turystów. Peleryna była ciężka, z czerwonej serży, obszyta wokół czarnym galonem. Zaczął zbierać korki po winie, żeby obciążyć jej dół,

ponieważ to właśnie one pozwalały matadorowi panować nad ruchem peleryny i robić nią szeroki zamach.

Tego dnia, kiedy nadeszła pora na amatorów, Ernest, wychodząc na arenę z kilkudziesięcioma innymi napalonymi chłopakami i mężczyznami gotowymi sprawdzić swą sprawność, wziął pelerynę ze sobą. Bill też wyszedł, ale Harold nie ruszył się z miejsca, siedząc kilka rzędów niżej niż Duff.

– Pat jest strasznie zielony na twarzy – powiedziała Duff, kiedy zajęłam miejsce koło niej. – Długo to wczoraj trwało.

– Słyszałam.

– Szkoda, że ciebie nie było. Z tobą jest jakoś zabawniej.

Posłałam jej badawcze spojrzenie, przekonana, że kpi ze mnie, ale miała przyjazną minę. Duff była właśnie taka: katastrofa dla mężczyzn, ale ogólnie – fajny kompan, z własnymi zasadami. Nie sądziłam, żeby przespała się z Ernestem, nawet gdyby on tego chciał – ponieważ lubiła mnie i wiedziała, że nie jest łatwo być żoną. Sama miała już dwóch mężów i zamierzała wyjść trzeci raz za mąż za Pata – jeśli uda im się zebrać dość pieniędzy. Zdradziła mi kiedyś, że nie ma talentu do małżeństwa, ale najwyraźniej nie potrafiła odmówić sobie następnej próby.

Na arenie pikadorzy panowali nad sytuacją, więc walki wydawały się łatwe i bezpieczne. Na arenę wypuszczano tylko po jednym byku. Pierwszy był beżowy i poruszał się dość wolno. Podbiegł i kopnął w tyłek Billa, który spektakularnie upadł na ziemię. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ernestowi też zaczął udzielać się ten nastrój, kiedy Harold podniósł się z miejsca i ruszył ku arenie.

– O, Harold – jęknęła Duff, ponieważ Harold wyglądał jak karykatura Amerykanina, w jasnym swetrze i śnieżnobiałych tenisówkach. Obserwowałyśmy go uważnie.

– Powiedziałam mu, że między nami nic nie ma – rzekła Duff.

– Nie wiem, czy on to słyszy – odparłam, starając się ująć to delikatnie.

– Mężczyźni słyszą to, co chcą słyszeć, i dośpiewują sobie resztę.

Kiedy Harold znalazł się na arenie, spojrzał na nas i posłał nam szeroki uśmiech. Byk był niedaleko od niego i cały czas się zbliżał, więc

Harold uskoczył w bok przed rogami, podobnie jak pozostali. Byk minął go, zawrócił i szykował się do ponownego ataku, gdy nagle Harold schwycił go za jeden róg i byk zaczął ciągnąć. Wyglądało to na wyreżyserowaną scenę. Harold musiał być zaskoczony niespodziewanym sukcesem, ale kiedy byk go zrzucił lekko jak piórko, odwrócił się do nas z triumfem na twarzy.

– Hemowi się to wcale nie podoba – skomentowała Duff. Podążyłam za jej wzrokiem. Ernest obserwował Harolda z ponurym obliczem. Tuż przed nim przejechał pikador, ale on go wcale nie zauważył.

– Nie zniesie, żeby przyćmił go inny mężczyzna – wyjaśniłam, ale obie wiedziałyśmy, że Ernest jest wściekły na Harolda już od tygodnia, od czasu, kiedy dowiedział się o romantycznym wypadzie do St.-Jean-de-Luz. Nie dość, że Harold zdobył Duff, podczas gdy on ma na karku żonę i dziecko, to jeszcze tutaj Harold codziennie robił z siebie głupca, włócząc się za Duff jak chore ciele. Tego już było za wiele.

Drugi byk był mniej opasły i szybszy. Poruszał się jak kot, raz goniąc za jednym ochotnikiem, raz za drugim, błyskawicznie zmieniając kierunek ataku. Powalił na kolana Hiszpana, który znalazł się za blisko, a potem podniósł głowę, zakręcił nim w powietrzu, rzucił kawałek dalej na ziemię i stratował. Wszyscy gwałtownie zaczęli machać rękami i głośno krzyczeć, by odwrócić uwagę byka. Przez moment zainteresował go energicznie machający peleryną Ernest, ale nie dał się zmamić i wrócił do swojej ofiary, która nie zdążyła jeszcze stanąć na nogi, i zamachnął się rogami. Mężczyzna zrobił fikołka, a jeden róg wbił mu się w udo tuż pod pośladkiem i rozciął nogę aż do kolana. Zraniony ochotnik krzyknął boleśnie, spod mięśni błysnęła biel kości i natychmiast trysnęła krew. Pikadorzy otoczyli byka i zapędzili go pod ścianę, a potem za ogrodzenie, gdzie miał odczekać dziewięć godzin i zostać zabity.

Na tym zakończyły się występy amatorów. Arena szybko opustoszała. Razem z Duff zeszyliśmy na dół. Od chwili krwawej jatki nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa. Kiedy dobiłyśmy do naszych mężczyzn, zauważyłyśmy, że oni też milczą.

Poszliśmy do restauracji.

– Do diabła – mruknął idący obok mnie Bill. Był blady i wyglądał na przybitego. Usiedliśmy przy stoliku i właśnie zamówiliśmy mocne piwo, które lubiliśmy brać do posiłku, kiedy tuż przed nami przeniesiono ulicą rannego mężczyznę na noszach. Od pasa w dół przykrywała go zakrwawiona płachta.

– *Toro, toro!* – wrzasnął któryś z pijaków w knajpie i ranny usiadł na noszach. Zaczęto wiwatować, a jakiś chłopiec podał mu szklaneczkę whisky. Mężczyzna wypił alkohol i rzucił puste naczynie chłopcu, który złapał je jedną ręką. Znowu rozległy się wiwaty.

– Co za sposób na życie – powiedziała Duff.

– Znam gorsze – odciął się Ernest.

Przyniesiono piwo, a potem gazpacho, dobry chleb i niezłe rybki gotowane w soku z limetki. Choć wydawało mi się, że po tym, co widziałam, stracę apetyt, to jednak poczułam głód i wszystko bardzo mi smakowało.

Harold usiadł daleko od Ernesta, po przeciwnej stronie stołu, ale kiedy pojawili się Pat z Donem, Pat był blady i poirytowany i Harold nie wiedział już, z kim może bezpiecznie rozmawiać. Do końca lunchu nasz stół przypominał skomplikowaną szachownicę emocjonalną. Duff obserwowała Ernesta, który miał oko na Pata, który z kolei rzucał gniewne spojrzenia Haroldowi, a ten ukradkiem zerkał na Duff. Wszyscy za dużo wypili i okropnie starali się udawać, że jest im wesoło i lepiej na duszy niż pozostałym.

– Mógłbym znieść byki i krew – powiedział do mnie Don półgłosem. – Ale nie jestem w stanie strawić tego, że giną ludzie.

Spojrzałam na Ernesta, który od śniadania nie odezwał się do mnie ani na mnie nie popatrzył.

– Racja – rzekłam. – Ale masz na to jakiś sposób?

– Gdybym to wiedział. Może nie ma żadnego sposobu? – Wychylił piwo do dna i dał znak kelnerowi, żeby przyniósł następne.

– Często żałuję, że nie możemy wymazać wszystkich błędów i zacząć od nowa – westchnęłam. – A czasami myślę, że składamy się z samych błędów.

Zaśmiał się ponuro. Po drugiej stronie stołu Duff szeptała coś Ernestowi do ucha, a on śmiał się rubasznie jak wilk morski. Postawiłam

krzesło nieco bokiem, żeby nie musieć na nich patrzeć. I natychmiast przypomniałam sobie scenkę sprzed lat w St. Louis, jak Fannie nie mogła patrzeć na Rolanda, bo uważała go za obmierzłego mięczaka. Ich życie było smutne i żałosne. Roland wrócił wprawdzie z sanatorium, ale nie odzyskał spokoju ducha. Prowadzili z Fannie kompletnie osobne życie, mimo iż ze względu na dzieci mieszkali razem w domu na Cates Avenue.

Miałam nadzieję, że to, co dzieje się ze mną i Ernestem, nie jest tak poważne, ale każde spojrzenie na Duff i szept do jej ucha boleśnie mnie raniły. Zmieniłam zdanie na temat małżeństwa i krzywdy, czasem trudnej do naprawienia, jaką mogą niezamierzenie, a często bezmyślnie, wyrządzić sobie kochające się osoby.

– Jacy jesteście dziwni i smutni – powiedziałam do Dona.

– Z tego powodu wczoraj tak się rozkleiłem. Przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać. Bądźmy po prostu przyjaciółmi, którzy o tych rzeczach wiedzą, ale o nich nie mówią.

– Zgoda – rzekł. Spuścił wzrok na swoje ręce i sięgnął po piwo. I tak wlekło się to popołudnie, póki nie nadszedł czas na korridor.

Matador Cayetano Ordóñez był bardzo młody. Poruszał się z naturalną gracją, jakby tańczył. Ciemna czerwień jego peleryny ożywała za najmniejszym poruszeniem jego ręki. Rozstawiał stopy, lekko pochylał się ku przodowi i tylko nieznacznym gestem albo spojrzeniem nakłaniał byka do ataku.

Kiedy weszliśmy na trybuny, Ernest był w paskudnym nastroju, ale patrząc na Ordóñeza zaczął dochodzić do siebie. Duff, widząc tę zmianę, podniosła się, żeby przesiąść się bliżej Ernesta.

– Mój Boże, co za piękny mężczyzna – zauważyła.

– Naprawdę jest niezły – rzekł Ernest. – Patrz tylko na to.

Ordóñez prowadził byka, zrobił jedną *verónica*, a potem drugą, oszczędniej manewrując peleryną i magnetycznie przyciągając zwierzę. Pikadorzy się wycofali, ponieważ widzieli, że cała uwaga byka skierowana jest na matadora, który panuje nad sytuacją. To był taniec, ale również wielka sztuka. Matador posiadał wiedzę pierwotną, wrodzoną, i jak na kogoś tak młodego, stosował ją bardzo naturalnie.

– Niektórzy odbębiają cały rytuał, ale brakuje w tym ducha –

wyjaśnił Ernest. – To, co robią, wygląda ładnie. Ich ruchy wyglądają ładnie, ale nic nie znaczą. Ten *hombre* wie, że trzeba podejść tak blisko, by zaryzykować życie. Musisz najpierw umrzeć, żeby żyć i pokonać zwierzę.

Duff skinęła głową, poniesiona jego entuzjazmem – podobnie zresztą jak ja! Oczy Ernesta ożyły, w przejściu widocznym na twarzy i napiętych mięśniach szyi widać było, że duchowo łączy się z Ordóñezem, że głęboko przeżywa walkę i w ogóle toczące się wokół wypadki, i wiedziałam, że mogę go nienawidzić za to, jak mnie rani, ale nigdy nie będę potrafiła przestać go kochać za to, jaki jest.

– Patrz teraz – powiedział.

Byk zbliżał się z opuszczoną głową i wysuniętym jednym rogiem. Udo Ordóñeza znajdowało się o kilka cali od potężnych nóg bestii i mężczyzna jeszcze się pochylił, tak że gdy byk poderwał głowę, celując w pelerynę, rogiem musnął jego brzuch. Niemal słyszeliśmy ocieranie się rogu o jedwab kamizelki. Trybuny wstrzymały oddech – to właśnie to, po to wszyscy przyszli.

– To było arcydzieło – oświadczył Ernest, rzucając w podziwie kapelusz pod nogi.

– Cholernie piękne – przyznała Duff.

Westchnęliśmy, a kiedy byk, pokonany, klęczał przed matadorem, Ordóñez wbił szpadę w jego kark. Wszyscy poderwali się z miejsc i zaczęli wiwatować, poruszeni widowiskiem i mistrzostwem matadora. Ja również z całych sił biłam brawo. Musiałam stać w miejscu mocno oświetlonym słońcem, bo Ordóñez podniósł oczy w górę, prosto na mnie, i spojrzał na moje włosy.

– Uważa, że jesteś *muy linda* – powiedział Ernest, patrząc za jego wzrokiem. – Oddaje ci honory.

Matador pochylił się nad bykiem i odciął nożem jedno ucho. Zawołał chłopaka stojącego z boku i posłał go do mnie z uchem w złożonych dłoniach. Chłopiec podał mi je nieśmiało, ledwie odważając się na mnie spojrzeć, ale wiem, że prośbę Ordóñeza traktował jako szczególne wyróżnienie. Nie wiedziałam, jak mam przyjąć ten dar, co się w takich wypadkach robi, więc po prostu wyciągnęłam dłoń. Ucho było czarne, jeszcze ciepłe, z ociupinką krwi – najbardziej

niecodzienna rzecz, jaką zdarzyło mi się wziąć do ręki.

– Do licha – skomentował Ernest, niezwykle dumny.

– Co z tym zrobisz? – spytała Duff.

– Zatrzyma, naturalnie – odparł za mnie Don i podał mi chustkę do owinięcia trofeum i wytarcia rąk.

Zawiązawszy ucho w chustkę, spojrzałam w dół, na arenę, gdzie stał Ordóñez w powodzi kwiatów. Popatrzył na mnie i skłonił się głęboko, a potem wrócił do przyjmowania zachwyków.

– Do licha – powtórzył Ernest.

Tego dnia było jeszcze pięć walk, ale żadna nie umywała się do pierwszej. Kiedy później poszliśmy do restauracji, nadal w nas pulsowała, nawet w Billu, który czuł się zniesmaczony pozostałymi walkami, a szczególnie ciężkim zranieniem dwóch koni, które trzeba było zabić na oczach widzów. Było to bardzo mocne doświadczenie; czułam, że muszę się napić.

Wyjęłam ucho i puściłam wokół stołu, żeby wszyscy doświadczyli podziwu i grozy. Duff bardzo szybko się upiła i zaczęła otwarcie flirtować z Haroldem, zanadto tym zaskoczonym i uszczęśliwionym, żeby zachować dyskrecję. W którymś momencie oboje się ulotnili, co wściekło Pata. Po jakiejś godzinie wrócili bardzo weseli, jakby nic się nie stało.

– Ty pieprzony draniu – zawołał Pat do Harolda. Wstał z miejsca i natychmiast się zatoczył.

– Kochanie, uspokój się – powiedziała niefrasobliwie Duff.

Pat jednak nie ustępował.

– Odpieprz się od nas i znikaj stąd, dobrze?

– Nie wiem, czy Duff by sobie tego życzyła. Chcesz żebym został, prawda?

– Jasne, kochanie. Chcę, żeby wszyscy zostali. – Sięgnęła po kieliszek Ernesta. – Bądź kumplem.

Ernest skinął głową; jeśli o niego chodzi, mogła wziąć jego kieliszek, mogła zgarnąć wszystkie kieliszki ze stołu. Zdegustowany czuł się raczej Haroldem.

– Biegnie na skinienie kobiety – mruzczał pod nosem. – Czy można niżej upaść?

Pojawił się kelner z następnymi butelkami i jedzeniem, ale wieczór był już zepsuty.

Ernest też to wyczuł i próbował nakierować rozmowę na Ordóñeza, jego postawę i *verónicas*.

– Powtórz, co to jest *verónica*? – poprosiła Duff.

– Kiedy matador stoi w miejscu naprzeciw byka i bardzo powoli odsuwa pelerynę.

– Oczywiście! – zawołała Duff. – To było wspaniałe, prawda?

– Nie wierz jej, Hem – powiedział złośliwie Pat. – Niczego nie pamięta.

– Pat, nie odbieraj mi szans. – A zwracając się do Ernesta, rzekła: – Teraz jestem lekko wstawiona, ale jutro sobie przypomnę. Przyrzekam, że się poprawię.

Ernest spojrzał na nią z przygnębieniem.

– W porządku – powiedział, ale najwyraźniej był rozczarowany nią i całą naszą gromadą. Stracił entuzjizm.

Po powrocie do hotelu bycze ucho, owinięte w kilka warstw chusteczek, schowałam w szufladzie komody.

– Wkrótce się zaśmierdnie – ostrzegł Ernest.

– Nie szkodzi.

– Mnie by też nie szkodziło. – Powoli, z namysłem zaczął się rozbierać. – Kiedy będzie po wszystkim – powiedział – pojedźmy za Ordóñezem do Madrytu, a potem do Walencji.

– A będzie kiedyś po wszystkim?

– Oczywiście. – Odwrócił się do mnie. – Ordóñez był wspaniały, prawda? Przy nim to wszystko tutaj wygląda brzydko i głupio.

Zamknęłam szufladę, zdjęłam ubranie i weszłam do łóżka. – Jestem gotowa zapomnieć o Pampelunie. Możemy od razu spróbować. Pomożesz mi?

Pod koniec tego przeraźliwie długiego tygodnia rozstaliśmy się. Don, smutny i zmęczony, wyjechał na Riwierę. Bill i Harold wracali do Paryża, a Duff i Pat jechali razem z nimi do Bayonne. Ernest i ja wsiedliśmy do pociągu do Madrytu, gdzie wynajęliśmy pokój

w „Pension Aguilar”, cichym i pozbawionym turystów hotelu przy calle San Jeronimo. Po Pampelunie czuliśmy się jak w niebie. Co dzień chodziliśmy na korridę i byliśmy świadkami tego, jak Juan Belmonte, ponoć torero wszech czasów, odniósł poważną ranę w brzuch i zabrało go pogotowie. Przez jakiś czas uczęszczaliśmy na wszystkie jego walki. Ernest podziwiał jego zaciekłość i determinację, ale jeszcze zanim został zraniony, spostrzegliśmy, że Ordóñez niemal dorównuje mu mistrzostwem. Ruchy miał wypracowane do perfekcji, nigdy nie czuł strachu; patrzyliśmy na niego z podziwem.

Któregoś dnia dostąpiłam zaszczytu trzymania peleryny Ordóñeza przed korridą. Gdy Ordóñez podszedł do nas, zauważyłam, że ma po chłopięcemu gładką cerę i przepaściste oczy. Nic nie powiedział, tylko z powagą podał mi pelerynę.

– Myślę, że się w tobie kocha – skomentował Ernest, kiedy matador oddalił się podtrzymywać entuzjazm tłumu.

– Niemożliwe, to przecież dziecko – odparłam, ale czułam się dumna i jakoś odmieniona tym zaszczytem.

Kiedy, wróciwszy do hotelu, przebieraliśmy się przed obiadem, Ernest powiedział:

– Pracuję nad nową powieścią. Albo raczej ona sama nabiera kształtu w mojej głowie. Na temat walki byków. Bohaterem będzie Ordóñez i akcja zostanie umiejscowiona w Pampelunie.

Oczy mu błyszczały, w głosie słyhać było entuzjazm.

– Brzmi nieźle.

– Prawda? Ten młody torero będzie się nazywał Romero. Historia zaczyna się w hotelu o trzeciej po południu. Zatrzymało się tam dwóch Amerykanów, mieszkają w pokojach położonych naprzeciw siebie. Kiedy idą na spotkanie z Romerem, co jest wielkim zaszczytem, widzą jego samotność i to, że stale myśli o bykach, z którymi się tego dnia zmierzy. I z nikim nie może się tym podzielić.

– Tak na pewno by się czuł, prawda? Musisz to napisać.

– Tak – powiedział. I choć poszliśmy na obiad, który trwał długo i był znakomity, i we dwójkę wypiliśmy kilka butelek wina, cały czas konstruował w głowie książkę. W ciągu następnych dni myślał o niej bez przerwy. Zaczął nawet pisać, intensywnymi zrywami, wcześniej rano

w kawiarniach, i późną nocą w pokoju – wtedy dobiegało mnie agresywne skrzywienie ołówka. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Madrytu na fiestę w Walencji, miał już wypełnione dwa grube notesy, dwieście stron zapisanych w niecałe dziesięć dni. Ale za to przestał być zadowolony z początku.

– Coraz bardziej jestem przekonany, że historia powinna zaczynać się w Paryżu, a potem przenieść się dalej. To, co dzieje się w Paryżu, jest motorem opowiadania. Bez tego reszta nie ma sensu.

– Zawsze twierdziłeś, że nie możesz pisać o Paryżu, bo jesteś zbyt blisko.

– Wiem, ale idzie mi łatwo. Dwa tygodnie temu byliśmy w Pampelunie, i o tym też mogę pisać. Nie wiem dlaczego. Może czas zrewidować wszystkie moje myśli i reguły na temat pisania.

– Dobrze płonąć entuzjazmem, prawda?

– Mam nadzieję, że to mi nie minie.

I to trwało. W Walencji panowało gorączkowe podniecenie przed korridą. Obserwowaliśmy to z przyjemnością, siedząc w ogródku kawiarni i racząc się krewetkami, skropionymi świeżym sokiem z limetki i doprawionymi pieprzem, oraz świetną paellą w talerzu niemal tak wielkim, jak nasz stół. Wieczorami chodziliśmy na walki, w których Ordóñez perfekcyjnie wykonywał *verónicas*.

– No i znowu. Widziałaś? – entuzjazmował się Ernest, wskazując na arenę.

– Co?

– Jego śmierć. Byk był tuż-tuż. Dlatego to jest jak taniec. Toreador musi wiedzieć, że umiera, i byk też musi to wiedzieć, więc kiedy w ostatniej sekundzie jej unika, wydaje się to magią. A to samo życie.

Któregoś popołudnia, kiedy on spał, a ja nie mogłam znaleźć sobie miejsca, otworzyłam notatniki i z podziwem odczytywałam fragmenty tego, co napisał. Całkiem przypadkowo natrafiłam na kilka stron wypełnionych powiedzonkami i wyrażeniami typowymi dla Duff. Początkowo, odczytując je, byłam w szoku. Tak uważnie jej słuchał, wszystko zapisywał, doskonale ją uchwycił. I teraz jej słowa, lekko tylko przekształcone, włożył w usta swojej bohaterki. Poczulałam piekącą zazdrość, ale po jakimś czasie zaczęłam postrzegać to w innym świetle.

Ernest jest pisarzem, nie zaś kochankiem Duff. Widział ją, może nawet od samego początku, jako postać literacką. Ponieważ teraz żył książką, a kawiarnie Pampeluny były daleko, przeżyte napięcie i paskudne chwile mogły być użyteczne. Ten cały czas okazał się konstruktywny i konieczny dla jego twórczości. Dlatego obecnie słowa przychodziły tak łatwo, z takim ferworem.

Żeby uciec przed upałami, z Walencji wróciliśmy do Madrytu, stamtąd zaś pojechaliśmy do San Sebastian. W San Sebastian, a potem w Hendaye Ernest pisał pilnie całymi rankami, a resztę czasu spędzaliśmy, pływając w morzu i opalając się na plaży. Piasek był gorący, na horyzoncie widniały ciągnące się daleko fiołkowe góry, bicie fal o brzeg wypełniało nasze uszy i pogrążało w szczęśliwym otępieniu. Jednak pod koniec pierwszego tygodnia sierpnia zaczęłam tak bardzo tęsknić za Bumbym, że to wszystko przestało mnie cieszyć. Wróciłam więc do Paryża, a Ernest sam pojechał do Madrytu. Pracował tam lepiej i bardziej intensywnie niż kiedykolwiek wcześniej. Zupełnie jakby nie tylko konstruował nową książkę, ale też tworzył na nowo siebie jako pisarza. W liście zwierzył się, że prawie przestał sypiać, że wystarcza mu godzinna drzemka od czasu do czasu. *Ale kiedy się budzę – napisał – zdania już na mnie czekają, krzyczą, żeby je przelać na papier. To niezwykle, Tatie. Widzę już koniec, to będzie coś.*

Pod koniec sierpnia Paryż był niemal całkiem wymarły. Wyjechał, kto tylko mógł, ale Pauline Pfeiffer i Kitty zostały ze względu na pracę. Czasami chodziłyśmy we trójkę na obiad, czasem zabierałam Bumby'ego, a czasem wychodziłam, ledwie tylko dziecko poszło spać, i zostawiałam je pod opieką Marie Cocotte. Choć na początku czułam się nieco skrępowana w towarzystwie Kitty i Pauline – modnych, niezależnych i bardzo nowoczesnych kobiet – to jednak obie w gruncie rzeczy były cudownie szczerze i niekapryśne. Twierdziły, że lubią mnie z tych samych powodów, i uwierzyłam im.

Od czasu do czasu do restauracji wpadała Jinny, siostra Pauline. Przekonałam się, że razem są bardzo zabawne, zachowują się, jakby odgrywały elegancki wodewil upstrzony mrocznymi żartami. Nie upijały się łatwo, nikt nie musiał za nie świecić oczyma i zawsze miały coś ciekawego do powiedzenia. Jinny nie była z nikim związana, ale jeśli faktycznie, jak twierdziła Kitty, wołała kobiety – to nic dziwnego. Trudniej było zrozumieć, dlaczego Pauline nie wyszła za mąż.

– Miałam poślubić kuzyna, Matta Herolda – wyjawiała któregoś dnia, kiedy ją przycisnęłam. – Ślub został zaplanowany, sukienki zamówione, próbowałam już nawet z pół tuzina ciast na przyjęcie. – Wstrząsnęła się. – Naturalnie wszystkie smakowały jednakowo.

– I co, stało się coś strasznego?

– Nie. Wtedy byłoby łatwiej. Po prostu doszłam do wniosku, że nie dość go kocham. Lubiłam go. Utrzymywałby dom na przyzwoitej stopie i byłby świetnym ojcem. Rozumiałam to, ale tego nie czułam. Pragnęłam czegoś wyjątkowego, zwalającego z nóg.

– Miłość jak z romansu?

– Może. To chyba głupie, prawda?

– Skąd. Kocham romanse. Obecnie kobiety są na to zbyt nowoczesne.

– Bardzo męczące, wiedzieć, czego się chce, kiedy jest tyle innych dróg do wyboru. Czasami wydaje mi się, że łatwo rzuciłabym zarówno małżeństwo, jak i pracę. Chciałabym być użyteczna. – Urwała i zaśmiała się z siebie. – To pewnie też przeczytałam w jakiejś książce.

– Możliwe, że wszystko można gdzieś przeczytać. Sprawiasz na mnie wrażenie bardzo inteligentnej kobiety.

– Zobaczymy. A tymczasem jesteśmy kobietami niezależnymi.

– Cudownie wolnymi?

– Dlaczego nie?

Dziwnie było myśleć o sobie w ten sposób. Ernestowi z pewnością by się to nie podobało i zastanawiałam się, jaka byłaby jego reakcja, gdyby się dowiedział, że tyle czasu spędzam z Pauline. Jeśli Kitty uważał za zbyt dekoracyjną, to Pauline pewnie również. Była typem zawodowej piękności, którym generalnie pogardzał. Nie tylko nieustannie rozprawiała o modzie, ale też kręciła się wokół najciekawszych ludzi, oceniała, czy i jak mogą się jej przydać, strzelała wokół czarnymi oczyma i widać było, jak nieustannie obracają się trybiki w jej mózgu. Spontaniczność była jej absolutnie obca. Jeśli cię widziała, to znaczy, że chciała cię zobaczyć. Jeśli z tobą rozmawiała, to znaczy, że miała zaplanowane, co chce powiedzieć, i wyrażała to jasno i precyzyjnie. Podziwiałam jej pewność siebie i chyba trochę się jej obawiałam. Wydawało się, że wszystko przychodzi jej bez trudu – ale naprawdę wymagało wiele wysiłku. I choć w towarzystwie innych podobnych jej kobiet – choćby Zeldy – nigdy nie wiedziałam, jak się odezwać, to jednak Pauline, pomimo szykownych ubrań i świetnej fryzury, była również szczerą i rozsądną. Czułam, że mogę jej ufać.

W połowie września z Madrytu wrócił Ernest, zmęczony i triumfujący. Patrzyłam, jak rozpakowuje walizki i nie mogłam się nadziwić temu, czego dokonał. Siedem zapisanych notatników, setki stron – i to wszystko w sześć tygodni.

– Skończyłeś, Tatie?

– Prawie. Jestem już tak bliski końca, że nie mogę jakoś zabrać się do skończenia. Rozumiesz?

– Mogłabym to teraz przeczytać?

– Wkrótce. – Przyciągnął mnie do siebie i zgniótł w objęciach. – Czuję, że mógłbym spać i w ogóle się nie budzić.

– No to śpij – powiedziałam, ale pociągnął mnie na łóżko i zaczął szarpać ubranie. Jego ręce czułam na całym ciele.

– Myślałam, że jesteś wykończony – mruknęłam, lecz zamilkłam,

kiedy mnie pocałował.

Po tygodniu, kiedy skończył pierwszy szkic, poszliśmy do Dzielnicy Łacińskiej świętować ten fakt z przyjaciółmi. Spotkaliśmy się w „Nègre de Toulouse” i wszyscy byli w świetnych nastrojach. Pojawili się Scott i Zelda, Ford i Stella, Don Stewart, Harold i Kitty. Na początku czuliśmy się nieco skrępowani, mając w pamięci niefortunną wycieczkę do Pampeluny. Ale po kilku szybkich kieliszkach, zastosowanych w celach terapeutycznych, towarzystwo się rozluźniło. Ernest wypił więcej whisky, niż powinien, ale zachowywał się porządnie aż do końca wieczoru, póki wychodząc już z lokalu, nie natknęliśmy się na Kitty.

– Życzę powodzenia książce, Hem.

– Dzięki. Jest pełna akcji, dramatycznych wydarzeń i wszyscy w niej występują. – Wskazał ręką w kierunku Billa i Harolda. – Dobieram się tym sukinsynom do skóry, ale ciebie, Kitty, oszczędziłem. Jesteś świetną dziewczyną.

Mówił tak chłodno i złośliwie, że Kitty pobladła. Strasznie zażenowana, wyciągnęłam go z restauracji.

– Co jest? – dopytywał się. – Co takiego zrobiłem?

– Jesteś pijany. Porozmawiamy jutro.

– Jutro też chcę się upić.

Nic nie mówiąc, wracałam do domu, wiedząc, że rano będzie miał wyrzuty sumienia. I potężnego kaca.

Miałam rację.

– Nie czuj się obrażona tym, co powiedziałem Kitty – rzekł, kiedy koło południa obudził się wreszcie, jeszcze zielony na twarzy. – Zachowałem się jak osioł.

– To była zabawa na całego. Można cię rozgrzeszyć.

– Niezależnie od tego, co mówiłem, książka to książka, a nie życie.

– Wiem – przyznałam, ale kiedy dał mi maszynopis do czytania, natychmiast zdałam sobie sprawę, że szczegółowo zrelacjonował wydarzenia z Hiszpanii, przytoczył – niemal dosłownie – wszystkie nikczemne słowa, które padły, opisał chwile napięcia i zatargi. W jednym odbiegało to od rzeczywistości – mnie w tej powieści nie było.

Bohaterką była Duff. Spodziewałam się tego, ale nieprzyjemnie było widzieć jej imię pojawiające się raz po raz. (Jeszcze nie zmienił go

na lady Brett). Duff była jak najbardziej sobą, Harold również, Pat był opojem, i wszyscy poza toreadorami byli w kiepskiej formie. Kitty też występowała w książce – Ernest okłamał ją w tej sprawie – i to w mało sympatycznej roli. Ernest wcielił się w Jake’a Barnes’a, którego zrobił impotentem. Co miałam o tym myśleć? Czy tak właśnie postrzegał swe poczucie moralności, tchórzostwo, rozsądek czy jak też nazwać to, co powstrzymywało go od przespania się z Duff – jako impotencję?

Kiedy jednak udawało mi się choćby chwilowo ignorować te wątpliwości i pytania – widziałam, jakie to wyjątkowe dzieło. Bardziej emocjonujące i żywe niż wszystko, co do tej pory napisał. W tym, co działo się w Pampelunie, widział materiał na znakomite opowiadanie, podczas gdy ja – tylko ludzkie brudy i nieszczęścia. Zrobił z tego coś więcej, coś, co będzie trwało wiecznie. Czułam się niesłychanie dumna z Ernesta, ale też nieco dotknięta i odsunięta na margines. Wszystkie te odczucia tworzyły razem jedno wielkie kłębowisko, żadne z nich nie było bardziej lub mniej prawdziwe.

Do czytania maszynopisu przystępowałam z obawą i często musiałam przerywać i odkładać zapisane kartki, żeby pozbierać myśli. Ernest pracował w samotności i tak intensywnie, że teraz nie mógł znieść chwili zwłoki w oczekiwaniu na werdykt.

– I co? Uważasz, że jest dobre? – spytał, kiedy w końcu skończyłam lekturę. – Muszę znać twoją opinię.

– Więcej niż dobre, Tatie. Nic podobnego nie istnieje.

Uśmiechnął się z ulgą.

– Do licha – zapał z radości.

Bumby siedział na podłodze koło Ernesta i usiłował wsadzić sobie do buzi drewnianą lokomotywę, którą dostał od Alice i Gertrudy.

Ernest schwycił go w ramiona i zaczął podrzucać w górę, a Bumby piszczał ze szczęścia.

– Tata! – zawołał. To było jego pierwsze słowo i z upodobaniem je powtarzał. Ernestowi bardzo się to podobało.

– Tato napisał bardzo dobrą książkę – powiedział i uśmiechnął się do syna, który robił się coraz bardziej czerwony na buzi.

– Pocałuj tatę – powiedziałam i Bumby, siedzący już grzecznie na kolanach ojca, kompletnie obślinił jego twarz.

W takich właśnie chwilach nasza trójka była absolutnie szczęśliwa, ale później, w nocy, kiedy leżałam w łóżku i bezskutecznie usiłowałam usnąć, zmartwienia powróciły i krążyły nade mną, nie dając spokoju. Usunął mnie z książki, wyeliminował mnie od pierwszej strony, pierwszego słowa. Dlaczego Ernesta nie obchodziło to, że poczuję się urażona? Albo będę zazdrosna? Czy po prostu założył, że zrozumie, iż książka potrzebuje fascynującej bohaterki, na którą się nie nadaję? Nie chodził za mną z notatnikiem, zapisując wszystkie słowa, jak to robił w wypadku Duff. Sztuka to sztuka, ale co Ernest ma w tej sprawie do powiedzenia? Musiałam to wiedzieć.

– Tatie – szepnęłam w ciemności, mając nadzieję, że Ernest głęboko śpi. – Czy byłam kiedyś w tej książce?

Kilka sekund minęło w ciszy, a potem, cichutko, powiedział:

– Nie, Tatie. Przykro mi, jeśli jest to dla ciebie bolesne.

– Możesz mi zdradzić, dlaczego to zrobiłeś?

– Nie bardzo. To nie ja mam pomysły, to one same do mnie przychodzą. Może dlatego, że nigdy nie tarzałaś się w błocie. Byłaś niejako poza tą historią, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, na wyższym poziomie, lepsza i bardziej wartościowa niż my wszyscy.

– Inaczej to odebrałam, ale miło tak pomyśleć. Chciałabym w to uwierzyć.

– Więc uwierz. – Odwrócił się na drugi bok, twarzą do mnie, i spojrzał mi w oczy. – Kocham cię, Tatie. Jesteś tym, co we mnie najlepsze.

Westchnęłam, czując już tylko ślad wątpliwości.

– Ja też cię kocham.

W następnych tygodniach Ernest pracował nad powieścią, dyscyplinując język, wymazując niektóre sceny. O niczym więcej nie myślał, a ponieważ był tak zajęty, cieszyłam się, że mam swoje towarzystwo. Miałam wrażenie, że nie ma nic przeciw Pauline, i byłam mu za to wdzięczna.

– Za dużo gada o Chanel – przyznał – ale przynajmniej zna się na książkach. Wie nie tylko, co lubi, ale też dlaczego. To rzadkie w dzisiejszych czasach, kiedy wszyscy zadowolają się czczą gadaniną. Nie wiadomo, komu ufać.

Za aprobatą Ernesta Pauline zaczęła przychodzić popołudniami, żeby ze mną posiedzieć. Bumby bawił się albo spał, a my robiłyśmy sobie herbatę, a czasami schodziłyśmy razem do sklepu muzycznego, gdzie ćwiczyłam na pożyczonym pianinie.

– Naprawdę pięknie grasz – powiedziała pewnego razu, kiedy skończyłam jakiś utwór. – Szczególnie Busoniego. Myślałam, że się popłaczę. Dlaczego nigdy nie grałaś zawodowo?

– Nie mogłam się przebić. Nie byłam dość dobra.

– Jeszcze byś mogła. Powinnaś spróbować.

– Jesteś kochana, ale to nieprawda. – Rozprostowałam palce i zamknęłam nuty. – W każdym razie to jest teraz moje życie. Nie zamieniłabym go na żadne inne.

– Nie, ja też bym nie chciała na twoim miejscu – rzekła, ale później, kiedy wracałyśmy do domu, ten pomysł nadal jej nie opuszczał. – Może mogłabyś zająć się poważnie muzyką, z niczego nie rezygnując. Koncert nie musiałby okazać się traumatycznym przeżyciem. Wszyscy cię kochają i chcą, żeby ci się powiodło.

– Wymagałoby to mnóstwa czasu i wysiłku – odparłam. – I potrzebowałabym własnego fortepianu.

– Tak czy inaczej powinnaś mieć instrument. Hem na pewno o tym wie. Jeśli chcesz, mogę z nim porozmawiać.

– Zobaczymy. Pomyślę o tym.

Obawa przed publicznym występem nigdy się nie zmniejszyła, ale coraz częściej przychodziło mi do głowy, że może dobrze by mi to zrobiło – szczególnie teraz, kiedy Ernest jest tak zaabsorbowany książką. Myślał o niej cały czas, nawet kiedy się kochaliśmy. W jednej chwili był ze mną, we mnie, a w następnej znikał w świecie, który sam tworzył.

Moje muzykowanie nie zmieniłoby nic w jego zwyczajach – nie byłam tak naiwna, by w to wierzyć – ale może dałoby mi moje własne cele i ujście dla energii, inne niż karmienie Bumby’ego i spaceru. Cieszyłam się macierzyństwem, co nie znaczy, że nie mogłam mieć innych zainteresowań. Stella znakomicie to łączyła. Prawdę mówiąc, była żoną nowoczesną, a ja – przestarzałą i prowincjonalną.

Ironia losu, że niemal wszystkie znane mi kobiety bezpośrednio odniosły korzyści z ruchu sufrażystek, w którym moja matka wiodła

prym przed wielu laty, podczas gdy ja siedziałam w fotelu z książką i próbowałam być niewidzialna. Możliwe, że nigdy nie dorównam postępowym kobietom, ale czy musiałam celowo chować głowę w piasek? Czy nie mogłabym poeksperymentować, spróbować, co jeszcze mi się spodoba, szczególnie że – jak podkreśliła Pauline – mam przyjaciół, którzy mnie kochają i chcą, żeby mi się udało?

W miarę upływu czasu Pauline zapoznawała mnie z wieloma swoimi eleganckimi przyjaciółmi z Prawego Brzegu, takimi jak Gerald i Sara Murphy. Gerald był malarzem, a także wyrocznią w sprawie dobrego smaku i wygodnego życia. Razem z Sarą przyjechali do Paryża w 1921 roku i choć mieli piękne mieszkanie na quai des Grands-Augustins, stopniowo przenosili się na południe Francji, na Riwierę, do Antibes, gdzie budowali dom. Gerald studiował architekturę i „Villa America”, wspólne dzieło Murphych, miało być najpiękniejszą posiadłością, jaką umieli sobie wyobrazić i na jaką mogli sobie pozwolić. A mogli sobie pozwolić na wiele. Pauline przedstawiła mi również poetę Archibalda MacLeischa i jego cudowną żonę Adę, która wspaniale śpiewała, zresztą zawodowo, i miała najpiękniejszą suknię wyszywaną paciorkami, jaką widziałam w życiu.

Zdumiewało mnie, jaki Ernest okazał się tolerancyjny wobec tych nowych znajomości. Za plecami określał ich drwiąco „bogaczami”, ale nie był obojętny na ich nieskrywane zainteresowanie. *W naszych czasach* wyszło w Stanach na początku października i wkrótce potem książkę można było kupić we wszystkich księgarniach w mieście. Recenzje były niezwykle pochlebne, pisano, że Ernest jest młodym pisarzem, którego karierę należy uważnie obserwować. Widoki na przyszłość były coraz lepsze, ale tych nowych znajomych nie satysfakcjonowało ogrzewanie się w blasku sukcesu Ernesta; chcieli podsycać ogień.

Tymczasem Pauline zaczęła kilka razy w tygodniu przychodzić na obiad, a poza tym Ernest od czasu do czasu spotykał się z nią w kawiarni. Ulżyło mi, że jest nie tylko moją przyjaciółką. Nie lubiłam kłócić się z Ernestem o Kitty, zresztą w jej wypadku nigdy się nie ugiął. Na zawsze pozostała dla niego „poślaczoną suką”. Natomiast Pauline budziła w nim łagodniejsze, ojcowskie uczucia. Zaczął nazywać ją Pfife, a ja za nim. Dla Bumby’ego była cicią Pfife. Pauline nie pozostała nam

dłużna: na Ernesta wołała Papa albo Drum, a na mnie – Hash albo Dulla. Uwielbiała nas oboje.

Gdy jesień przeszła w zimę, a paryska wilgoć zaczęła wnikać przez okna i drzwi, Ernest postanowił odłożyć książkę o Pampelunie na bok.

– Przestałem ją widzieć – tłumaczył. – Nie wiem, czy jest dobra, w którym miejscu jest zła. Musi się trochę odleżeć. – Westchnął i podrapał się po wąsach, które ostatnio zrobiły się gęste i sympatycznie niesforne. – Zacząłem myśleć o tym, żeby zacząć coś całkiem nowego. Coś zabawnego.

– Zabawne książki to domena Dona i Harolda, nie jestem pewna, czy to coś dla ciebie.

– Pierwszy tekst, który ci pokazałem, był zabawny. Chcesz powiedzieć, że był do niczego?

– Nie. Tylko że twoje najlepsze teksty są dramatyczne.

– Nic o tym nie wiem – odparł i natychmiast zasiadł do pracy.

Nie miałam pojęcia, co mu przyszło do głowy ani jak szybko zrealizuje swój pomysł. Tymczasem w ciągu dwóch tygodni miał już pierwszy szkic *Wiosennych potoków*, satyrycznej parodii ostatniej powieści Sherwooda Andersona zatytułowanej *Zły śmiech*. Samo napisanie tej satyry nie ułatwiało bynajmniej następnych kroków. Nie wiedział, co to jest warte ani kogo dopuścić do sekretu. Książka mogła sprawić niesłuszne wrażenie złośliwej wobec Andersona.

– Chciałabym ją przeczytać – powiedziałam. – Potrafię zrobić to bez uprzedzeń.

– Przepraszam Tatie, ale obawiam się, że nie.

– To jest aż tak źle?

– Nie wiem. Pokażę ją Scottowi i może Dosowi.

Niestety, obydwaj nie byli zachwyceni pomysłem wydania tej książki i nie ukrywali tego. Może powieść Andersona była kiepska i sentymentalna, ale to wielki mistrz i bardzo pomógł Ernestowi na początku drogi zawodowej, więc nie wypadało mu tak dokładać. Zresztą po co?

– Chodzi o to – wyjaśniał Ernest – że książka jest marna i zasługuje na to, żeby ją dobić harpunem, a jeśli ktoś ma to zrobić, to dlaczego nie przyjaciół?

– Masz dziwne poglądy – powiedział Scott. – Radzę ci, daj spokój. Niezniechęcony, Ernest wziął maszynopis do Murphych i odczytał go na głos. Gerald opanował szok, a Sara zasnęła, siedząc w jedwabnym szlafroku na sofie. Ja słuchałam z rosnącym przerażeniem. Kiedy Ernest skończył, Gerald kilka razy odchrząknął i – jak zwykle dyplomatycznie – oznajmił:

– To niezupełnie w moim stylu, ale pewnie niejedna osoba by uznała, że jest to świetne.

– Dobijasz mnie – rzekł Ernest.

Gerald spojrział na mnie i spytał:

– A co ty myślisz, Hadley? Masz głowę nie od parady.

– No cóż – zrobiłam unik – nie jest miła.

– Masz rację – poparł mnie Gerald.

– Nie ma być miła – powiedział Ernest. – Ma być śmieszna.

– Masz rację – powtórzył Gerald.

Przyszło mi do głowy, że Ernest napisał tę książkę po to, żeby odciąć się od Andersona. Przyjaciele i recenzenci często porównywali ich prozę, co doprowadzało Ernesta do szału. Nie chciał być do nikogo porównywany, a szczególnie nie do przyjaciela i mistrza. Zарzekł się, że jest wdzięczny Sherwoodowi za pomoc, ale nie ma wobec niego żadnych długów literackich. Jego teksty niczego Sherwoodowi nie zawdzięczają, i miał zamiar tego dowieść raz na zawsze.

Pragnąc koniecznie znaleźć kogoś, kto by podzielał jego zdanie na temat *Wiosennych potoków*, Ernest poszedł wreszcie do Gertrudy, ale od jakiegoś czasu stosunki między nimi były napięte, a to okazało się kroplą przelewającą czarę. Kiedy opowiedział mi, jak potoczyło się spotkanie, byłam zrozpaczona. Niemal wyrzuciła go z mieszkania, mówiąc:

– Obrzydliwe, Hem, sam powinieneś to wiedzieć.

– Naprawdę powinienem? – spytał żartobliwie, próbując załagodzić wrazenie.

– Kiedyś mi się wydawało, że wiedziałbyś. Byłeś oddany swojemu rzemiosłu. Teraz jesteś złośliwy i dbasz jedynie o swoją pozycję i pieniądze.

– Nie bądź hipokrytką. Chciałabyś być bogata.

– Pewnie, że chciałabym być bogata. Ale są rzeczy, których nie

zrobię, nawet jeśli miałyby mnie zaprowadzić do tego celu.

– Chcesz powiedzieć: na przykład dokładanie przyjaciółom?

Nie odpowiedziała.

– Rozumiem. Ładnie mnie oceniłaś.

Kiedy przyszedł do domu, początkowo nie chciał nawet mówić o tym, co go spotkało. Ale maszynopis wrzucił do szuflady, co sprawiło mi ulgę.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Przygotowywaliśmy się do ponownego wyjazdu do Schruns, gdzie mieliśmy zostać aż do wiosny, i Ernest mnóstwo energii poświęcał robieniu planów.

– Może weźmiemy ze sobą Pauline? – zasugerował. – Będzie ci miło mieć ją przy sobie.

– Cudowny pomysł. Kochany jesteś, że o tym pomyślałeś.

Zaprosiliśmy również Jinny, bo siostry często jeździły razem, ale Pauline oświadczyła, że Jinny ma jechać do Nîmes z jakimiś znajomymi, sama natomiast z radością przyjęła nasze zaproszenie. Mówiła, że nie może się doczekać.

Pfife wysiadła z pociągu zaróżowiona. Poprzedniego tygodnia spadło kilkadziesiąt centymetrów śniegu, ale temperatura systematycznie się podnosiła i teraz śnieg był mokry, nie nadawał się do jazdy na nartach. Ernest przyrzekł Pauline, że nauczy ją jeździć, więc przywiozła narty, ale nie wydawała się rozczarowana, kiedy ujrzała odwilż.

– Wystarczy, że będę z wami – powiedziała – i oczywiście z Bumby.

Bumby stał obok, trzymając mnie za rękę. W swoim zimowym ubraniu wyglądał jak mały Austriak. Dzielnie zbliżył się do pociągu, który go fascynował i przerażał.

– Przywitaj się z ciocią Pfife – rzekł Ernest do syna, który schował się za moją spódnicę i zerkał zza niej ciekawie, wywołując tym nasz śmiech.

Pauline bardzo się podobało Schruns i pokój w hotelu „Taube”, leżący na końcu długiego korytarza, tuż obok pracowni Ernesta.

– Jest mniejszy niż wasz – powiedziała – ale nie jestem aż tak wielka.

Usiadłam na łóżku, patrząc, jak się rozpakowuje, a Bumby na podłodze bawił się frędzlami kapy na łóżko i śpiewał austriacką piosenkę, której nauczyła go Tiddy. Pauline otworzyła torbę i zaczęła wyciągać długie wełniane spódnice i porządne pończochy. Wyjęła kremowy kaszmirowy sweter, przyłożyła do siebie i złożyła ponownie.

– Masz śliczne rzeczy – westchnęłam, patrząc na własne spodnie i gruby wełniany sweter. – Ale wszyscy będziemy się czuć skąpowani, jeśli się w to ubierzesz.

– Pewnie sama bym się czuła bardziej skąpowana – rzekła. – Chyba przedobrzyłam. Hem powiedział, że tu bywa najlepsze towarzystwo.

– Pewnie miał na myśli kozice. Albo grubych austriackich rzeźników i drwali palących potwornie grube cygara, z którymi gra w karty. Jeśli nie będziesz uważać, znajdziesz sobie wśród nich męża.

– Założę się, że kozice pewnie szybciej by się poddały niż drwale – rzucił Ernest od drzwi. Stał oparty o framugę i zasłaniał ciemny korytarz.

Pauline uśmiechnęła się.

– Postaram się więc nie mierzyć zbyt wysoko.

Roześmialiśmy się i Ernest wrócił do pracy. Zamknął za sobą drzwi pracowni. Cieszyłam się, że znowu zaczął pisać. Dwa pierwsze tygodnie w Schruns spędził w łóżku z bolącym gardłem i mocnym kaszlem. Dobrze więc, że był gotów wrócić do pisania, a jeszcze lepiej – że miałam przyjaciółkę, z którą mogłam się rozerwać i rozmawiać, kiedy Ernest był zajęty.

Kiedy Pauline zadomowiła się już w swoim pokoju, ubrałyśmy ciepło Bumby'ego i wzięłyśmy go na sanki. Wybrałam trasę przez miasto, żeby wszystko jej pokazać: placyk ze sklepami i *Gasthäuser*, alejkę do gry w kręgle i tartak, potok Litz, który w kilku miejscach przecinał miejscowość, i solidne drewniane mostki.

– Już absolutnie kocham to miasteczko – westchnęła Pauline.

W tym właśnie momencie sanki uderzyły w oblodzone koryto, przechyliły się i Bumby wypadł na zewnątrz. Zaczął piszczeć z zachwytu, po czym wstał i czym prędzej znowu na nich usiadł.

– Mamo, jeszcze raz! – zawołał.

– Jeszcze raz – powtórzyła za nim Pauline i z radością tupała nogami w ładnych, ale kompletnie niestosownych na wyjazd w góry butach.

Po powrocie do hotelu poszła ze mną do pokoju i kiedy zaczęłam się przebierać, poprosiła:

– Nic, co ze sobą wzięłam, nie nadaje się na pobyt tutaj. Czy mogłabyś mi pożyczyć kilka rzeczy?

– Żartujesz. Jestem dwa razy taka, jak ty.

Zmarszczyła brwi.

– Dwa razy to nie. A kupić...? Są tu jakieś sklepy?

– Jeśli nie będziesz grymaśna. Najbliższy butik taki, jak na Prawym Brzegu w Paryżu, jest o kilkaset mil stąd.

– Od tego właśnie uciekłam. Przez jakiś czas zamierzam być niezwykle praktyczna i tylko praktyczna, chodzić w spodniach i męskich koszulach, takich jak twoje.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Wiesz, w co się pakujesz?

– Jasne. I chcę też takie kapcie, jak twoje. Muszę mieć identyczne.
– Jesteś zabawna. Weź te. – Zdjęłam kapcie i podałam jej. – Ja wezmę kapcie Ernesta. To, nawiasem mówiąc, robi z nami małżeństwo. W którymś momencie odkrywasz, że masz stopy swojego męża.

Uśmiechnęła się.

– Nie miałabym nic przeciwko temu.

– Nie mów, że zaczynasz tęsknić do ślubu. Czy pojawił się ktoś...?

– Nie, nie, ale kocham patrzeć na to, jak zrosliście się z Drumem.

Wielu rzeczy wcześniej nie zauważałam, na przykład że jest bardzo miło mieć cały czas kogoś koło siebie. Nie białego rycerza, który cię porywa, ale kogoś, kto siedzi co wieczór z tobą przy stole i mówi, o czym właśnie myśli.

– Małżonkowie bardzo często właśnie tego nie robią. Nieraz nawet nie rozmawiają.

Uśmiechnęła się znowu, powiedziała, że nie dba o to, i założyła kapcie. To były typowe góralskie papucie, duże i ciepłe, obszyte futerkiem, ale jej się bardzo podobały, a przynajmniej tak zapewniała.

– Chcę w nich umrzeć – rzekła. – Nie uda ci się mi ich odebrać.

Pogoda była zbyt ciepła i wilgotna na jazdę na nartach, ale znaleźliśmy sobie inne zajęcia. Pauline chodziła za mną jak cień, a ponieważ było to nowe doświadczenie, cieszyło mnie jej zainteresowanie i towarzystwo. Co dzień przyglądała się, jak gram na fortepianie, chwalać mnie i dodając otuchy po każdym utworze. Stała się moją najważniejszą poplecniczka, pierwsza zaczęła zachęcać mnie do koncertowania i ze zdziwieniem zauważyłam, że lubię słuchać, jak przekonuje do tego pomysłu Ernesta, który przeznaczył część zaliczki na wynajęcie dla mnie instrumentu. Nie wiedziałam, że potrzebuję jej pomocy, póki jej nie dostałam, a potem zastanawiałam się, jak mogłam się bez niej obyć.

W Schruns spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu i bardzo się do siebie zbliżyliśmy – może z tego względu Pauline zaangażowała się w krucjatę w sprawie książki Ernesta. Zawsze podziwiała go jako pisarza i uważała, że ma wielki talent, ale teraz sprawa zaczęła wyglądać bardziej osobiście. Znowu zabrał się do książki o Pampelunie i któregoś wieczoru, kiedy razem z Pauline jadłyśmy lunch, przyszedł do nas

z pracowni z bardzo zadowoloną miną.

– Widzę, że dobrze ci szła praca – powiedziałam. – Cieszę się.

– Bardzo dobrze. Wysłałem wszystkich do Burguete.

– Pozwolisz mi przeczytać kawałek? – poprosiła Pauline.

– Nie na tym etapie. Zresztą i tak prosisz tylko z grzeczności.

– Wcale nie. Jestem przekonana, że książka jest świetna. Bo jest, prawda, Hadley?

– Oczywiście.

I to była prawda. Ale nie czułam się jeszcze na siłach dzielić się skomplikowanymi odczuciami na jej temat. Wystarczyła prośba Pauline, żeby poczuć ukłucie zażenowania. Pauline była sprytna. Co mogłaby pomyśleć, widząc, że nie zostałam w książce w ogóle uwzględniona, nawet marginesowo? Czy uwierzyłaby, że nasze małżeństwo nie przeżywa kryzysu? Czy zobaczyłaby coś, czego ja nie widzę lub nie chcę zobaczyć?

– Pampeluna poczeka – oświadczył Ernest. – Musi się jeszcze odstać. – Z apetytem zabrał się za danie z kielbasy i ziemniaków, a po namyśle dodał: – Ale jeśli mówiłaś poważnie, możesz przeczytać coś innego.

– Zawsze mówię poważnie. Nie dostrzegłeś tego?

Po lunchu Ernest zniósł na dół i wręczył Pauline maszynopis.

– To zaszczyt – powiedziała.

– Przekonamy się, czy nadal będziesz tak uważać, kiedy skończysz czytać – rzekł i zaczął się przygotowywać do gry w bilard z herr Lentem.

Dopiero kiedy rzuciłam okiem na maszynopis ponad ramieniem Pauline, przekonałam się, że to *Wiosenne potoki*. Zrobiło mi się niedobrze na myśl o tym, że Ernest bynajmniej nie zrezygnował z tego projektu. Czekał tylko na odpowiedni moment, na właściwą osobę.

Kiedy panowie zaczęli grać, Pauline zajęła fotel przy kominku, a ja usiadłam przy fortepianie. Trudno mi było się skupić, ponieważ Pauline, czytając, głośno się śmiała. W końcu pomyślałam, że dobrze mi zrobi długi spacer i wszyscy spotkaliśmy się dopiero po kilku godzinach, przy obiedzie.

– Jest prześmieszna – zaczęła Pauline, zanim Ernest zdążył usiąść przy stole. – Błyskotliwa i zabawna. Głosuję za.

– Mnie też wydawała się śmieszna – powiedział. – Ale przyjaciele uważają inaczej. – Spojrzał na mnie znacząco.

– Uważam, że jest złośliwa w stosunku do Sherwooda – przyznałam.

Pauline poczuła teraz wiatr w żaglach.

– Jeśli książka jest dobra, to czy nie jest rodzajem hołdu złożonego Andersonowi? Niech piszą, nawet źle; najgorzej, jeśli nie piszą – tak się mówi?

– Tak samo myślałem – poparł ją Ernest i tak, od słowa do słowa, zaczęli się wzajemnie podbechtywać.

– Nie może widzieć tego inaczej. Może nawet mu to pochlebi? – rzekła na koniec Pauline.

– Żaden facet na poziomie nie obrazi się na satyrę – oznajmił Ernest.

– Uważam, że jest świetna. To znakomita książka i powinieneś ją natychmiast przedłożyć wydawnictwu.

Dopiero wtedy w pełni zrozumiałam, jak czuł się urażony, kiedy wszyscy, łącznie ze mną, odsądzali książkę od czci i wiary. Uwielbiał pochwały, potrzebował ich. Chciał być kochany, co tam kochany – adorowany. Martwiło mnie jednak, że Pauline akurat teraz tak go nakręca. Po takiej zachęcie gotów wysłać książkę do wydawnictwa Boni & Liveright i nic dobrego z tego nie wyniknie. Anderson był ich najważniejszym autorem, a ponieważ to on ich namówił na zawarcie umowy z Ernestem, więc na pewno poczują się urażeni tekstem. A kiedy usłyszy o tym Anderson, będzie wściekły. Oznacza to, że stracimy przyjaciela, podobnie jak straciliśmy Gertrudę. Przykro było patrzeć, jak Ernest odsuwa się od swoich dawnych mentorów, jak im dokłada, jakby to był jedyny sposób na przekonanie siebie (i wszystkich innych), że tak naprawdę nigdy ich nie potrzebował. Ale, niestety, w wypadku tej książki miałam związane ręce. Nie mogłam nic przeciwko niej powiedzieć.

Następnego dnia po południu Ernest napisał do Horace'a Liverighta, że mogą mieć książkę w zamian za pięćset dolarów zaliczki i że kończy nową powieść, z której jest bardzo zadowolony, o walce byków. Zapakował maszynopis razem z listem i wysłał do

wydawnictwa.

Kiedy czekaliśmy na odpowiedź, pogoda zrobiła się burzowa. Spędzaliśmy wiele czasu w hotelu, czytając i jedząc lepiej niż kiedykolwiek. Popołudniami Ernest i Pauline chodzili na długie spacery na stoki za hotelem albo krążyli po mieście pogrążeni w rozmowie.

– Mnóstwo czyta – powiedział któregoś wieczoru Ernest, kiedy przygotowywaliśmy się do spania. – I potrafi pięknie mówić o książkach.

– Chcesz powiedzieć, że nie tylko o Henrym Jamesie?

– Owszem – uśmiechnął się znacząco. Henry James od zawsze był naszym prywatnym żartem. Ten pisarz stanowił linię graniczną między nami, pokazywał, jak głęboko tkwię w przeszłości, mimo wszystkich nowinek, z którymi się zapoznałam.

– To inteligentna dziewczyna – przyznałam, czując lekką zazdrość o ich rosnącą zażyłość. Naprawdę była inteligentna i wydawało się, że znajduje przyjemność w intelektualnych rozmowach z Ernestem. Ja mogłam mu kibicować, co robiłam od tego wieczoru w Chicago, kiedy wręczył mi pogniecione strony swoich opowiadań. Ale nie byłam krytykiem. Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego książka jest dobra i ważna literacko, co od zawsze było ulubionym zajęciem pisarzy i miłośników książek. Pauline natomiast – potrafiła. Nic więc dziwnego, że czuł pokrewieństwo duchowe. Wiezorami, kiedy schodził do nas po całym dniu pracy, tryskał energią jak nigdy, ponieważ był ktoś ciekawy, z kim mógł porozmawiać. Cóż może być bardziej ekscytującego? Mogłam kochać go do szaleństwa, starać się ze wszystkich sił go zrozumieć i popierać, ale po pięciu latach nie byłam w stanie zastąpić świeżych oczu i świeżego uśmiechu. Opatrzyłam się.

Dwa dni po Bożym Narodzeniu przysłała odpowiedź z wydawnictwa Boni & Liveright. Odrzucili *Wiosenne potoki*. Pomijając fakt, że była to złośliwa parodia Andersona, książka według nich nie rokowała dobrej sprzedaży. Zbyt intelektualna i wcale nie tak śmieszna, jak się spodziewali. Niecierpliwie natomiast czekali na powieść o hiszpańskiej fiescie.

– Mam wolną rękę – zauważył Ernest kwaśno, kiedy odczytał nam telegram. – Scott rozmawiał o mnie z Maksem Perkinsem ze Scribnera,

i zawsze jest jeszcze Harcourt. Mogę udać się do nich.

– Ktoś na pewno ujrzy w tym geniusz – przekonywała Pauline, dla większego efektu uderzając pięścią w poręcz fotela.

– Nie wiem – wtrąciłam. – Naprawdę chcesz zerwać więzy z Liverightem? Przy książce *W naszych czasach* zachowali się bardzo w porządku.

– Dlaczego zawsze musisz być taka cholernie rozsądna? Mam dosyć tej ostrożności. Poza tym to oni powinni być mi wdzięczni. Zarobiłem dla nich pieniądze.

– Na pewno to nie jedyni wydawcy – agitowała Pauline. – Scottowi udało się ze Scribnerem. Może tam należy uderzyć.

– To doskonała książka. Musi się udać – przekonywał się Ernest.

– Oczywiście! Pojadę do Nowego Jorku i nauczę Maksa Perkinsa, co to jest humor, jeśli jeszcze tego nie wie.

Ernest roześmiał się. Po chwili milczenia rzekł:

– Wiesz, to nie jest taki zły pomysł, żeby jechać do Nowego Jorku i osobiście spotkać się z Perkinsem. Scott twierdzi, że jest świetny, ale dobrze byłoby uścisnąć mu rękę i porozmawiać oko w oko.

– No proszę, sam widzisz!

Zdumiałam się, jak szybko pomysł przerodził się w czyn. Pauline mówiła dokładnie to, co Ernest chciał usłyszeć. Fakt, że myśleli podobnie, obojgu uderzał do głowy jak alkohol. Pozostałam sama na placu boju, przeciwna *Wiosennym potokom* i wszystkiemu, co to za sobą pociągało.

– Przecież można to zrobić listownie – zauważyłam. – Albo jechać wiosną, kiedy skończysz nową książkę, i wtedy będziesz miał więcej materiału do pokazania.

– Ale *Wiosenne potoki* są skończone. Wiem, że ich nie cierpisz, lecz zamierzam kuć żelazo, póki gorące.

– To nieprawda, że ich nie cierpię – zaprotestowałam. Nie słuchał mnie jednak. Wstał, napełnił kieliszek i zaczął snuć plany.

– Zobaczysz, że to słuszna decyzja – rzekła Pauline.

– Mam nadzieję, że masz rację – odparłam.

Późnym wieczorem, kiedy szykowaliśmy się do spania, zauważyłam:

– Nie jestem *tylko* rozsądna. Kiedyś podobała ci się moja szczerłość.

– To prawda – westchnął. – Jesteś bardzo dobra i bardzo uczciwa. Ale ja i tak to zrobię. Jesteś po mojej stronie?

Ile razy pytał mnie o to w trakcie naszego małżeństwa? Sto? Tysiąc?

– Zawsze jestem po twojej stronie – odpowiedziałam. Zastanowiłam się przelotnie, czy tylko ja czuję, jak niełatwa jest to prawda.

W lutym w Schruns przeżyliśmy małe piekło. Pogoda na zewnątrz szalała. W hotelu było niewiele lepiej, ponieważ sens życia pojechał do Paryża, a potem do Nowego Jorku, i zostałam sama z wątpliwościami.

Wieczorem w dzień przed wyjazdem Ernesta pomagałam mu się pakować, ale atmosfera była napięta.

– Mogłabyś pojechać do Hawru, jeśli chcesz, i tam się ze mną pożegnać.

– Ciężko jest podróżować z dzieckiem pociągiem.

– Więc zostaw je tutaj z Tiddy. To tylko kilka dni.

– Może – powiedziałam, ale wiedziałam, że nie pojedę, ponieważ niczego to nie rozwiąże. Nie usunie klina, który pojawił się między nami, nie zmieni faktu, że Ernest przestał mnie słuchać i mi ufać, nie sprawi, że odwróci się od Pauline. Najwyraźniej go pociągała, ale sądziłam, że Ernest nic w tej sprawie nie uczyni. Nie uczynił, kiedy chodziło o Duff, a ona w końcu nie była tak z nami zżyta. Pauline natomiast to moja przyjaciółka. Ernest się nie ośmieli, a ona tym bardziej. Od dnia, kiedy wsadziliśmy ją do pociągu do Paryża, niemal co dzień przychodziły od niej listy. Adresowane do nas obojga, do jej dwóch kumpli, dwojga ulubieńców. Czytanie listów – żywiołowych, beztraskich, jak sama Pauline – dobrze mi robiło. Pocieszało mnie również przypomnienie, że pragnęła romansu zwałającego z nóg, jak z powieści. Nie polecą na tandetę. To nie w jej stylu.

– W Paryżu naturalnie spotkasz się z Pauline – powiedziałam, kiedy Ernest wkładał ostatnie koszuły do walizki.

– Jeśli będzie na to czas. Ona teraz jest bardzo zajęta pokazami kolekcji wiosennej, a poza tym muszę się spotkać z mnóstwem innych osób. To znaczy, że nie chcesz jechać?

– Nie. Wolę zostać tutaj.

– Rób, jak chcesz – rzekł i zatrzasnął wieko walizki.

Od dziesięciu dni Ernest był na morzu, nieosiągalny. Cały ten czas starałam się spędzać z Bumbym jak dawniej, bo dawało mi to poczucie stabilności i zakorzenienia. Jedliśmy to samo o tych samych godzinach, co poprzednio. Chodziliśmy wcześniej spać i wcześniej wstawaliśmy.

Popołudniami spacerowałam albo pisałam listy, zostawiając dziecko pod opieką Tiddy. Rano przeważnie ćwiczyłam kanconę Bacha–Busoniego aż do ostatecznego zmęczenia palców. Przygotowywałam ją na koncert, na który w końcu się zdecydowałam. Nieobecność Ernesta i rosnące obawy przekonały mnie, że bardzo potrzebuję jakiejś odskoczni. Napisałam list do kierownika Sali Pleyela, małej sali koncertowej przy rue Rochechouart, wyrażając zainteresowanie występem i podając informacje na swój temat. Z drzeniem serca czekałam na odpowiedź, ale nie musiałam się obawiać. Odpisał szybko i uprzejmie, wyznaczając datę recitalu na 30 maja. Szczegóły miały zostać ustalone na początku kwietnia, po moim powrocie do Paryża.

Wreszcie napisał Ernest. Informował, że po przybyciu do Nowego Jorku udał się prosto do biura Horace’a Liverighta. Liveright był uprzejmy, nie żywił urazy i spotkanie skończyło się sympatycznie. Co więcej, Maxwell Perkins uważał, że *Wiosenne potoki* są „znakomitą książką”. Zaproponował tysiąc pięćset dolarów zaliczki za umowę w pakiecie na tę książkę oraz na nową, którą Ernest niedawno zatytułował *Słońce też wschodzi*. Nigdy nie słyszeliśmy, żeby ktokolwiek dostał tyle pieniędzy. Ernest planował wyjazd z Nowego Jorku pod koniec tygodnia, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i przedłużył pobyt. Czuł się, jakby był w siódmym niebie, a w metropolii nie brakowało ciekawych ludzi. Spotkał się z Robertem Benchleyem, Dorothy Parker i Elinor Wylie. Lepiej być nie mogło. Po co miałyby się spieszyć z powrotem?

Tymczasem pogoda w Schruns się poprawiła. Napadało sporo śniegu, a żeby nie zwariować od czekania, codziennie jeździłam na nartach i chodziłam po górach. Moje nogi się wzmocniły i ustało pieczenie w płucach od wysokości. Gdy wyszłam wysoko, ponad miasteczko, widziałam nasz hotel w miniaturze. Był tak mały, że zmieściłby się w mojej dłoni, ale również wydawał się oazą solidności i spokoju. Ze wszystkich miejsc, w których mieszkałam z Ernestem, tutaj czułam się najbezpieczniej i najpewniej. Jeśli miałam stawić czoło tygodniom niepewności, cieszyłam się, że mogę być tutaj.

Ernest spędził w Nowym Jorku trzy tygodnie, a potem dziesięć dni wracał. Statek przybił w Hawrze na początku marca, ale on nie od razu

przyjechał do Schruns. Musiał odwiedzić przyjaciół w Paryżu. Udało mu się złapać Scotta i Zeldę i pójść z nimi na lunch przed ich wyjazdem na wiosnę do Nicei. Spotkał się z Geraldem i Sarą Murphy, i MacLeishami, i naturalnie z Pauline. Zajął się sprawami bankowymi i mieszkaniem, i tak minęło następne dziesięć dni. Kiedy w końcu przyjechał, w piękną słoneczną pogodę, Bumby i ja wyszliśmy po niego na dworzec.

– Spójrz na siebie, żono – powiedział, kiedy ujrzał nas na peronie. – Jesteś śliczna i opalona.

Uśmiechnęłam się i pocałowałam go.

– I niech pan spojrzy na te policzki jak u chomika, panie Bumby – ciągnął. – Muszę przyznać, że mam piękną rodzinę. Co za szczęściarz ze mnie.

Podczas obiadu sypał fascynującymi historyjkami z Nowego Jorku. Dopiero kiedy byliśmy w łóżku, zdołałam powiedzieć mu o zarezerwowaniu Sali Pleyela. Ucieszył się niemal tak bardzo, jak ja.

– Zawsze ci tego życzyłem, Tatie. Żeby w twoim życiu była muzyka, tak jak w rodzinnym domu. Żeby dużo to dla ciebie znaczyło. – Zanurzył ręce w moje włosy, rosnące nieopanowanie i rozjaśnione od słońca, tak że zrobiłam się niemal blondynką. – Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo za tobą tęsknię, póki cię nie zobaczyłem na peronie.

– Naprawdę?

– Przyjazd do domu w jakiś sposób zawsze przypomina ci o tym, co masz.

– Cały czas za tobą tęskniłam.

– To też jest miłe – rzekł. – Wszystko jest miłe.

Pocałowałam go i leżąc, patrzyłam, jak zasypia. Ustąpiło napięcie wokół oczu, rozprostowały się zmarszczki i zniknął wyraz zmęczenia. Kiedy spał, wyglądał jak chłopiec. Pod powłoką męczyzny widziałam w nim cały czas chłopca i kochałam ich obu, zwyczajnie, całkowicie, nieodmiennie. Wsunęłam się pod jego ramię i czując na sobie jego oddech, zapadłam w sen.

W marcu w Schruns ruszyły lawiny. Pierwsza zeszła akurat wtedy, kiedy herr Lent prowadził grupę Niemców. Było zbyt dużo słońca, warunki zrobiły się niebezpieczne i choć Lent przekonywał Niemców, żeby nie przyjeżdżali, przyjechali i postanowili iść na narty, z nim czy

bez niego. Więc wziął ich na najpewniejszy stok i zjechał jako pierwszy, żeby się upewnić, czy nic się nie stanie. Niemcy zjeżdżali razem, w trzynastoosobowej grupie. Byli w połowie stoku, kiedy runął śnieg i wszystkich przysypał. Zanim ich odkopano, dziewięć osób zmarło.

Kiedy Lent i jego pomocnica, instruktorka fräulain Glaser przyszli wieczorem do nas do hotelu „Taube”, o wszystkim dowiedzieliśmy się z pierwszej ręki.

– Jeden mężczyzna zapadł się w ciężki śnieg, stary, bardzo mokry i głęboki – opowiadał Lent. – Znaleźliśmy go dopiero po dwóch dniach. Ratownicy kopali i kopali, a w końcu się do niego dokopali, tylko dzięki temu, że z jego skreconej szyi sączyła się krew, która zostawiła ślad na śniegu. Kręcił nią, starając się tak ją ustawić, żeby móc oddychać.

– Niemal przetarł ją sobie do kości – dodała fräulain Glaser. Gdy słyszało się takie makabryczne szczegóły z ust świeżej i ślicznej panny ze starannie zaplecionymi warkoczami i opaloną twarzą – sprawiało to szokujące wrażenie. – Wiele lat temu w lawinie pylistego śniegu znaleziono zabitego mężczyznę, który stał i podniesioną ręką machał do kolegi. Obydwaj zginęli, machając do siebie, z uśmiechem na twarzy.

– Nie wierzę, że się uśmiechali – powiedziałam.

– A ja tak – rzekł Ernest.

Zapadło milczenie, tylko ogień trzaskał w kominku.

– Może to przypomina walki byków – odezwał się po chwili Ernest, z oczami utkwionymi w kubku grzanego wina. – Może lawin można się nauczyć, dowiedzieć się, kiedy schodzą, co je wyzwala i jak przeżyć, jeśli się zostanie przysypanym.

– Może – przyznał Lent. – Na pewno można zwiększyć szanse przeżycia, ale nigdy nie przestaną być niebezpieczne.

– Myśli pan, że w tym sezonie jeszcze pójdziemy w góry? – spytał Ernest.

– Mało prawdopodobne. Jeśli uda się wam kogoś namówić na wycieczkę, to na pewno nie mnie. Nie mógłbym sobie darować, gdyby coś takiego zdarzyło się po raz drugi.

Fräulain Glaser kiwnęła współczująco głową, ale Ernesta doświadczenie Lenta bynajmniej nie utemperowało. Widziałam to po błysku w oczach pojawiającym się przy każdym zdarzeniu, które

traktował jako wyzwanie. Najwyraźniej miał ochotę sprawdzić swoje umiejętności, przekonać się, czy zdoła pokonać strach, ja natomiast myślałam: Zginęli ludzie. W ogóle nie powinno nas tu być.

Ponieważ Lent się nie ugiął i nie pozwolił nam jeździć na nartach, ucieszyliśmy się, kiedy pod koniec marca przyszedł list od Dos Passosa, w którym zapowiadał swój przyjazd z Murphymi. Kiedy się pojawili, Schruns straciło swój charakter; dla bogaczy pobyt w jednym miejscu jest identyczny jak pobyt w innym. Imprezy trwają całymi dniami i wszyscy się bawią.

– Podoba mi się wasza kryjówka – powiedziała Sara Murphy, przychodząc na śniadanie w nowiutkim stroju narciarskim, mimo że nie było nadziei na narty.

– Najlepsza w okolicy – przyznałam.

– Ale już nie kryjówka – dorzucił Ernest z drwiącym uśmiechem.

Ernest często narzekał na niezmiennie dobry smak państwa Murphych i ich bogactwo. Miał więcej cierpliwości dla Sary, bo była piękna i mógł na nią z przyjemnością popatrzeć. Z Geraldem sprawa była bardziej złożona. Zbyt dobrze wychowany jak dla Ernesta, zbyt wyrafinowany, zawsze doskonale ubrany, świetny mówca – miało się wrażenie, że został stworzony do szerzenia elegancji i rozsiewania uroku. Mimo to sprawiał wrażenie, że ogromnie zależy mu na opinii Ernesta, na jego przyjaźni i aprobacie. Nie mogliśmy chodzić na prawdziwe trasy, ale Ernest uczył Geralda jeździć na stoku za hotelem; Gerald zaczął przezywać go „Tatusiem”, ponieważ Ernest był doświadczonym nauczycielem i kochał dawać lekcje. Gerald mawiał: „Pokaż mi, jak ściąć ten zakręt u stóp wzgórza, Tatusiu”.

Ernest nie ufał im.

– Gdyby chcieli, mogliby kupić całą Riwierę – powiedział mi któregoś dnia w łóżku. – I ściągnęliby tam kupę interesujących okazów, takich jak my, żeby o każdej porze dnia miał ich kto zabawiać. Wszyscy jesteśmy małpami kataryniarza, a Dos jest w najgorszej sytuacji ze wszystkich. W ogóle nie ma już śledziona, tak ciężko pracuje, żeby się ich trzymać.

– Ale czasami jest miło, a oni są niezwykle szczodrzy, prawda?

– Proszę, znowu moja szcera i otwarta żona. Czy nie mogłabyś raz

na ruski rok przyznać mi racji?

– Czy nie mógłbyś raz na ruski rok zobaczyć w nich czegoś dobrego? Oni nieustannie cię podziwiają.

– Bogacze podziwiają tylko siebie.

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu. Słyszałam, jak Bumby kaszle w sąsiednim pokoju. Im był starszy, tym rzadziej budził się w nocy, i teraz zatrudnialiśmy Tiddy tylko na dzień. Ale słuchając wzmagającego się kaszlu dziecka, pomyślałam, że miło byłoby mieć Tiddy obok, żeby była obecna w chwilach takich jak ta.

– Wstaniesz? – spytał Ernest. – Nie chciałabyś chyba, żeby zbudził naszych dobrych i szczodrych gości?

– Czy musisz robić z siebie głupka? – spytałam znekana, sięgając po szlafrok.

– Owszem, pozwala mi to zachować formę.

Przewrócił się na drugi bok i zaczął ostentacyjnie układać się do snu, podczas gdy ja miałam się zająć dzieckiem, które się nawet nie obudziło. Bumby kaszlał z zamkniętymi oczyma, a kiedy atak minął, oddychał głęboko i spokojnie. Wróciwszy do łóżka, wsunęłam się delikatnie pod kołdrę, przekonana, że Ernest śpi, ale on nie spał.

– Przepraszam, że jestem taką starą zrzędą – powiedział. – Zawsze byłaś lepsza ode mnie.

– Nieprawda – odparłam, odwracając się do niego twarzą. – Przecież jesteśmy jedną osobą, nieprawdaż?

– Jasne – mruknął. Rozburzył mi włosy i pocałował w nos. – Dobranoc, Tatie.

– Dobranoc, Tatie – odparłam.

Zamek w Chenonceaux odbijał się wyraźnie w rzece Cher. Wyglądał tak, jakby zmateriałizował się dzięki sile mojej wyobraźni, jakby wystarczyło się odwrócić, żeby rozpląnął się w powietrzu. Wpatrywałam się w podwójny rząd arkad tak intensywnie, że przestałam rozróżniać, które są rzeczywiste, a które odbite w nieruchomym zwierciadle wody.

– Nazywa się zamkiem dam – przeczytała Pauline z przewodnika.

– Dlaczego? – spytała Jinny.

– Nie piszą. Może dlatego, że jest najpiękniejszą damą w okolicy.

– Może tutaj trzymano damy, zasznurowane w gorsety i niezdolne do protestów – dywagowała Jinny – podczas gdy mężczyźni siedzieli w zamku panów, zabawiając się z dziwkami i pożerając półcie boczku.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Można by pomyśleć, że nie lubisz mężczyzn.

– No, przydają się czasami.

– Ja myślę – dodała Pauline.

Zwiedzałyśmy dolinę Loary, krainę zamków. Nigdy tu wcześniej nie byłam, ale Jinny i Pauline doskonale wiedziały, gdzie się zatrzymać i do których restauracji wybrać się na obiad. W Tours jadłyśmy mieloną wieprzowinę, mięso z dzika, przepiórki i kotlety cielęce na maśle, białe szparagi i grzyby, które rozpląwały się w ustach, i siedem rodzajów koziego sera. Wszędzie było lokalne wino do spróbowania, po którym w nocy spałyśmy znakomicie, zresztą w najlepszych gospodach. Początkowo głupio mi było, że za wszystko płacą moje przyjaciółki, ale upierały się, że jestem ich gościem i że wycieczkę w ogóle zorganizowały specjalnie dla mnie.

Ernest nie znosił być obiektem dobroczynności, ale kiedy wkrótce po naszym powrocie do Paryża w kwietniu Pauline i Jinny wystąpiły z pomysłem wycieczki wzdłuż Loary, ku mojemu zdumieniu – zachęcał mnie do wyjazdu.

– Marie Cocotte będzie codziennie przychodzić, żeby nas nakarmić – wyjaśnił. – Skończyłem książkę. Mogę codziennie zabierać Bumby'ego na wyścigi rowerowe i zostawiać go na słońcu, żeby sobie

pospał. My sobie poradzimy, a ty zasłużyłaś na wypoczynek.

Miał rację. W ostatnich tygodniach pobytu w Schruns w każdej wolnej chwili ćwiczyłam utwory na koncert, bojąc się, że nie zdążę się przygotować. Powiedzieliśmy o koncercie wszystkim znajomym i bilety zostały niemal całkowicie wykupione. Denerwowałam się na samą myśl o tym, ale przykładałam się do pracy, dopieszczając każdą frazę, każdy niuans, z nadzieją, że jeśli wszystko zawiedzie, to przynajmniej zostanie nawyk. A tymczasem Ernest poświęcał wszystkie siły *Słońcu*, codziennie zmieniając, poprawiając i przepisując po kilka rozdziałów. Teraz maszynopis był gotów do wysłania do Maxwella Perkinsa.

– Może zadedykuję książkę panu Bumby’emu? – powiedział. – I napiszę, że jest pełna pouczających anegdot.

– Poważnie mówisz?

– Oczywiście, że nie. To ironia. Scott twierdzi, że nie powinienem tego robić, ale myślę, że nie zaszkodzi. Bumby się zorientuje, że naprawdę mówię: nie wolno żyć w ten sposób, tak jak ci biedni dzikusci.

– To znaczy kiedy nauczy się czytać? Ma szczęście, mając takiego ojca. Któregoś dnia będzie z tego bardzo dumny.

– Mam nadzieję, że nie żartujesz.

– Oczywiście, Tatie, że nie. Dlaczego miałabym żartować?

– Bo nie zawsze jest łatwo wiedzieć, jak żyć.

Pakując się na wycieczkę, byłam zadowolona, że w Paryżu wróciliśmy do ustalonego porządku dnia, w którym Pauline miała swoje miejsce. Od razu pojawiła się w naszym mieszkaniu i zachowywała się jak zwykle, śmiała się i żartowała z nami, nazywając nas „swoimi najdroższymi panami”.

– O Boże, tęskniłam za tobą, Pfi – powiedziałam szczerze.

Na samym początku wycieczki obie siostry były radosne i roześmiane. Przez dwa dni jeździłyśmy od zamku do zamku, zwiedzając wszystkie zaznaczone na mapie. Zamki były piękne, co jeden to wspanialszy, ale nastrój Pauline zaczął się zmieniać.

A koło Château d’Azay-le-Rideau, twierdzy z białego kamienia, która zdawała się wyrastać wprost z otaczającego jeziora z liliami – rozejrzała się tylko wokół smutnym wzrokiem i powiedziała:

– Chodźmy. Nie chcę niczego oglądać.

– Jesteś po prostu głodna, kochanie – zdiagnozowała Jinny. – Po zwiedzaniu od razu pójdziemy na lunch.

– Podobno są tu wspaniałe perskie dywany – powiedziałam, zaglądając do przewodnika, który podała mi Pauline.

– Och, zamknij się, Hadley.

– Pauline! – zmitygowała ją Jinny.

Pauline nagle zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, zmieszała się i poszła do auta. Jej słowa tak mnie ubodły, że zbladłam na twarzy.

– Proszę cię, nie miej jej tego za złe – powiedziała Jinny. – Myślę, że Pauline źle sypia. Zawsze źle znosiła zmęczenie.

– O co naprawdę chodzi? Wolałaby, żeby mnie tu nie było?

– Nie bądź niemądra. To był przecież jej pomysł. Zostaw ją w spokoju, dojdzie do siebie.

Razem z Jinny spędziłyśmy niemal godzinę, spacerując po parku wokół zamku, a kiedy wróciłyśmy do samochodu, Pauline zdążyła wypić ponad pół butelki białego wina, które chłodziło się w lodzie w bagażniku.

– Proszę, wybac mi, Hadley – powiedziała. – Straszny ze mnie osioł.

– Grzeczna dziewczynka – odetchnęła Jinny.

– Nic się nie stało – odparłam. – Wszyscy jesteśmy podatni na nastroje.

Ale Pauline za dużo wypija i cały czas coś się w niej kotłowało tuż pod powierzchnią. Nic tego nie mogło zmienić, ani to, co jadłyśmy, ani to, co widziałyśmy, robiłyśmy czy o czym rozmawiałyśmy.

Późnym popołudniem zatrzymałyśmy się na przechadzkę w Jardin de Villandry nad Loarą. Ogród był przepiękny i przebogaty. Miał trzy poziomy, pierwszy na nizinie nad samą rzeką, obrośnięty kwitnącymi lipami. Dwa pozostałe poziomy tworzyły geometryczne terasy z wijącymi się ścieżkami z różowego kamienia. Był tam ogród ziół, muzyczny, i nawet taki, który nazywał się Ogirodem Miłości. W tym ostatnim Pauline spacerowała coraz wolniej, a w końcu zatrzymała się koło amarantu i, nieoczekiwanie, wybuchnęła płaczem.

– Kochanie, nie płacz – uspokajała ją Jinny. – Postaraj się być szczęśliwa.

– Nie wiem, co mi się stało. – Pauline wyjęła uprasowaną chustkę i zaczęła wycierać łzy, ale nie przestawały płynąć. – Przepraszam – szepnęła ze ściśniętym gardłem, a potem puściła się biegiem, potykając się na wyłożonej kamieniem ścieżce.

Kiedy widział Pfife na ulicy w eleganckim płaszczu, była zawsze taka świeża i pełna życia. Kiedy z nią rozmawiał, przechylała głowę na bok, mrużyła oczy i słuchała. Słuchała całą sobą, i tak też mówiła. Kiedy opowiadała o jego pracy, wydawało mu się, że rozumie, co chciał osiągnąć i dlaczego jest to ważne. Podobało mu się to wszystko, ale nie miał wobec niej żadnych zamiarów. A potem któregoś dnia siedziała w ich mieszkaniu nad tartakiem do późnej godziny. Hadley położyła się do łóżka z bolącym gardłem, a oni rozmawiali. Kiedy przyszła pora powrotu, zamiast wezwać taksówkę, odprowadził Pfife do domu. Musieli przejść co najmniej trzy mile, ale droga minęła im jak w transie, uśmiechali się do siebie, słuchając odgłosu kroków na kocich łbach. Im bliżej byli drzwi, tym bardziej zwalniali kroku, ale w końcu stanęli przed drzwiami.

– Możesz mnie pocałować – powiedziała, odwracając się ku niemu.

– W porządku – odparł i pocałował ją mocno w usta. A potem wrócił do domu samotnie, płonąc z pożądania i zastanawiając się, czy Hadley będzie coś podejrzewać.

Po kilku dniach spotkali się przypadkowo (przynajmniej jeśli chodzi o niego) w „Dingu”. Gdy wypili po szklaneczce pernodu, powiedziała:

– Jeśli tu zostaniemy, wcześniej czy później wpadnie tu ktoś znajomy i utkniemy na dobre.

– A gdzie moglibyśmy pójść?

Spojrzała na niego poważnie, sama zapłaciła za drinki, a potem udali się do jej mieszkania przy rue Picot. Siostra wyszła gdzieś na wieczór. Nawet nie zapalili światła ani nie udawali, że przyszli tu w jakimś innym celu. Zaskoczyła go jej namiętność – w końcu była gorliwą katoliczką i zgadywał, że jest nieśmiała i przepętnia ją poczucie

winy. Tyle że poczucie winy przyszło później. Tymczasem była tylko jej niezwykle przekonująca i cudowna odmienność. Wąskie biodra i długie białe nogi, zupełnie inne niż u żony. Piersi jak małe, twarde, przepołowione brzoskwinie. To był zupełnie nowy ład i cieszył się z pobytu na nim tak długo, jak długo nie myślał, co to za sobą pociąga.

Kiedy wrócił do domu, do żony, czuł się jak szmata. Przysięgał sobie, że to się nigdy nie powtórzy. A kiedy jednak się powtórzyło, i to niejeden raz, kiedy coraz częściej robił to celowo, z rozmysłem – nie potrafił nawet sobie wyobrazić, jak mógłby wybrnąć z tarapatów, w jakie sam się wpakował. Gdyby Hadley się dowiedziała, zabiłoby ją to po dwakroć – po razie za każdego ze zdrajców. A jeżeli się nie dowie – no cóż, to jeszcze gorzej. Ale jeśli nie wiedziała, to może to, co się stało, nie było prawdą, ponieważ Hadley była jego życiem i nic nie miało znaczenia, póki ona o tym nie wiedziała.

Kochał je obie – i dlatego było to tak bolesne. Nosił w sobie to uczucie jak gorączkę i od rozmyślania o tym czuł się chory. Niekiedy, leżąc godzinami bezsennie, myślał, że wystarczyłoby po prostu dopasować życie do zmienionych warunków. Poundowi się to udawało. Miał Szekspirkę i Olgę i nikt nie wątpił, że kocha je obydwie. Nie musiał kłamać; wszyscy o tym wiedzieli i układ się sprawdził, ponieważ on się uparł, nie zgodził na kompromis ani nie udawał, że jest kim innym.

Na tym to polegało, prawda? Ford był niemal w wieku jego ojca, ale też to zrobił. Kiedy pierwsza żona odmówiła mu rozwodu, po prostu zmienił nazwisko i ożenił się ze Stellą, piękną i wierną. Związał się również z Jean Rhys i zainstalował ją w domu, w którym w jednym pokoju malowała Stella, w drugim płakało dziecko, a w trzecim Ford redagował książki Jean i z nią sypiał. Na Jean mówiło się „dziewczyna Forda”, a na Stellę „żona Forda”, i wszystko było jasne.

Dlaczego Pfife nie miałyby być jego dziewczyną? Może ten układ byłby zabójczy, ale czy małżeństwo nie jest zabójcze, jeśli przysypuje żar? W małżeństwie człowiek robi się milczący. Przy nowej dziewczynie

zaczynasz mówić, a opowiadanie wszystko odświeża. Ona sprawia, że musisz wyjść poza siebie i przestajesz mieć wrażenie, że najlepsza część ciebie jest kawałek po kawałku odkrawana. Powinieneś być jej za to wdzięczny. Nieważne, co się stanie, jakie straszne sceny nastąpią – tego jej nie zapomnisz.

Przepraszam cię, pójdę zobaczyć, co się z nią dzieje – powiedziała Jinny i pobiegła za Pauline na koniec ogrodu, gdzie w otoczeniu wierzb stała mała zielona ławka. Nie słyszałam, o czym mówiły, ale widziałam, że Pauline skryła twarz w dłoniach i stanowczo nią kręciła. Wtedy właśnie przyszło mi do głowy, że musi być bardzo dzielna, skoro – zakochawszy się w moim mężu – zaprosiła mnie na wyjazd, wiedząc, że całymi dniami będzie w moim towarzystwie. Jak tylko ta myśl przyszła mi do głowy, od razu wiedziałam, że nie podpowiada mi tego po prostu zazdrosna natura. To prawda i nic się nie da na to poradzić. Spacerując po ogrodzie, słuchała, jak opowiada jej o szczęściu, którego nie może mieć. Ogród to był Ernest i ja; mogliśmy tylko ją zniszczyć, i to właśnie się zaczęło urzeczywistniać.

Siedząc na ławce obok siostry, Jinny pochyliła się ku niej czule, szepnęła coś na ucho i Pauline nieco się uspokoiła. Ale kiedy Jinny próbowała skłonić ją do powrotu, Pauline odmówiła. W końcu Jinny wróciła sama.

– Nie wiem, co powiedzieć. Od dziecka ulega nastrojom, zmienia się, zupełnie jakby wypuszczała je z puszkii Pandory.

– Jinny, proszę cię, powiedz prawdę. Czy Ernest jest jakoś w to wmieszany? Czy Pauline się w nim zakochała?

Jinny spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Pod ciemną grzywką jej brunatne oczy patrzyły na mnie szczerze.

– Myślę, że bardzo się lubią.

Wtedy właśnie zobaczyłam to, czego wcześniej nie dostrzegalam, i poczułam się jak idiotka.

– Ach – wyrwało się ze mnie. Nic więcej nie byłam w stanie powiedzieć.

Dalszy ciąg podróży pamiętam niewyraźnie. Następny niekończący się dzień, który z bólem przeżyłam. Nie mogłam dojsć do siebie i udawać, że nic się nie stało. Z trudem zmuszałam się, by uprzejmie odnosić się do Pauline i Jinny. Było zbyt oczywiste, że jak tylko tajemnica się wydała, siostry przestały być spięte i wrócił im humor. Przyszło mi na myśl, że wycieczkę zorganizowały tylko po to, żeby

w jakiś sposób poinformować mnie o romansie.

Podczas drogi powrotnej mijaliśmy wiele z wcześniej zwiedzanych zamków; skąpane w słońcu lub otulone kłębamii mgły – wyglądały, jakby były utkane z powietrza. Ale teraz nie widziałam ich urody. Miałam wrażenie, że moja głowa unosi się ponad ciałem. Zastanawiałam się, jak daleko zaszły sprawy między Ernestem i Pauline i do czego jeszcze może dojść. Czy zostali kochankami w Paryżu, kiedy Ernest jechał do Nowego Jorku albo stamtąd wracał? Czy też jeszcze wcześniej, w Schruns? Robiło mi się niedobrze, kiedy pomyślałam o nich, razem w Schruns. To był nasz ogród. Nasze ulubione miejsce. Ale może nie było już bezpiecznych miejsc?

W Paryżu Jinny i Pauline podwiozły mnie do mieszkania. Ani nie pytały, czy mogą wejść, ani ja ich nie zaprosiłam. Jeśli Pauline miała ochotę spojrzeć w okna na pierwszym piętrze, żeby sprawdzić, czy Ernest wygląda na ulicę, to się pohamowała. Siedziała, w jasnoszarym płaszczu, i patrzyła prosto przed siebie. Pożegnałyśmy się, jakbyśmy były sobie niemal obce.

W domu Ernest czytał, leżąc na łóżku, a dziecko było na spacerze z Marie Cocotte. Gdy weszłam, odłożył książkę. Widząc, że stoję, trzęsę się cała i nie jestem w stanie zdjąć płaszcza, musiał odgadnąć przyczynę.

– Kochasz Pauline – wydusiłam z siebie w końcu, zmuszając się, żeby spojrzeć mu w oczy.

Spiął się, ale po chwili ramiona mu opadły. Kilka razy zacisnął pięści. Nie odezwał się jednak.

– No i?

– No i co? Nie potrafię odpowiedzieć. Nie chcę.

– Dlaczego nie, jeśli to prawda? – Oddychałam płytko, coraz trudniej było mi patrzeć na niego, zmusić go do odwrócenia wzroku, udawać, że panuję nad sytuacją.

– Kogo to obchodzi, czy to prawda? Niektórych rzeczy nie powinno się mówić.

– Niektórych rzeczy nie powinno się robić. Gdzie się podziały twoje obietnice?

– Poczucie winy nie załatwi sprawy. Jeśli myślisz, że potrafisz sprawić, iż poczuję się gorzej, niż się czuję, będziesz musiała się bardziej

wysilić.

– Niech cię diabli wezmą.

– No cóż, to masz zagwarantowane, mogę się założyć.

Schwycił płaszcz i kapelusz i wybiegł na deszcz, zostawiając mnie ogłuszoną, z ustami otwartymi jak u idioty.

Przez całą drogę do Paryża rozważałam, jak przycisnąć Ernesta i wyciągnąć z niego, co się naprawdę stało. Chciałam znać prawdę, choćby najstraszliwszą, i chciałam, żeby powiedział to wprost, bez rozwodzenia się i bez uników. Pytanie, co miałam teraz zrobić? Milczenie oznaczało przyznanie się do zadurzenia w Pauline, ale jemu udało się odwrócić kota ogonem. Wyglądało, jakby nie romans był tu najgorszy, tylko fakt, że wykazałam się brakiem klasy, w ogóle o nim wspominając.

Kiedy Marie Cocotte wróciła z Bumby, płakałam tak strasznie, że oboje się przerazili. Marie nakarmiła dziecko i położyła je spać, bo ja się do niczego nie nadawałam. Wychodząc, spytała:

– Przepraszam, madame, czy mogę pomóc?

Pokręciłam głową.

– Proszę nie być tak smutną.

– Spróbuję.

Na dworze szary deszcz padał i padał bez końca. Gdzie się podziała wiosna? Kiedy wyjeżdżałam w dolinę Loary, na drzewach były liście, zaczynały kwitnąć kwiaty, a teraz wszystko było przesiąknięte wodą, zatopione. To była fałszywa wiosna, kłamstwo takie, jak inne, i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek nadejdzie prawdziwa wiosna.

Było już po północy, kiedy Ernest wrócił pijany do domu. Nie spałam jeszcze i wiele razy zdążyłam przejść od smutku do złości i z powrotem.

– Idź stąd – odezwałam się, kiedy usiadł na łóżku, żeby zdjąć buty. – Idź do swojej kochanki, bo pewnie tego właśnie chcesz.

– Wyjechała do Bolonii – powiedział. – A skąd ty możesz wiedzieć, czego ja chcę?

Usiadłam na łóżku i z całej siły dałam mu w twarz, a potem drugi raz.

Nawet nie drgnął.

– Rób z siebie ofiarę, jeśli chcesz, ale tu jest więcej niż jedna ofiara. Powinnaś była trzymać gębę zamkniętą. Teraz wszystko diabli wzięli.

– Chcesz powiedzieć, że miałaś nadzieję, że będzie, jak było, ty i ona, i bez komentarza?

– Mniej więcej.

– Nie wierzę. – Rozpłakałam się. – W ogóle nie mogę w to uwierzyć.

W drugim pokoju obudziło się dziecko i zaczęło marudzić.

– Świetnie – powiedział, utkwivszy wzrok w ścianie. – Teraz pewnie i on zacznie beczeć.

Zniknął w kuchni. Gdy po chwili, ubrana w szlafrok, szłam uspokoić Bumby'ego, sięgał po syfon. Szklanka z whisky stała obok.

Tej nocy Ernest nie wrócił do łóżka, a rano, kiedy wstałam, nie było go już w mieszkaniu. Wrócił do domu późnym popołudniem. Kiedy zdjął płaszcz i wyjął z kieszeni notesy i ołówki, zdziwiłam się, że mógł pracować – w taki dzień!

– Pracowałeś? – spytałam,

– Jak szalencie. Mam szkic nowego opowiadania. Wyszło z mojej głowy w całości, jak ryba z wody.

Potrząsnęłam tylko głową, wykładając na talerz mięso na zimno, ser i chleb. Ernest wziął Bumby'ego na kolana i jadł, podając mu kęski chleba. Przyglądałam się im przez chwilę i w końcu spytałam:

– I co teraz będzie?

– Nie wiem. Jeszcze tego nie napisałem. Nie mam pojęcia, jaki jest dalszy ciąg.

– Pojedziesz do Hiszpanii?

– Dlaczego nie? Tak zostało zaplanowane. Wyjeżdżam dwunastego. Ani dnia później, jeśli chcę trafić na korridę w Madrycie. Naturalnie wrócę na twój koncert. Bez kłopotu.

– Teraz to niemożliwe. – Kompletnie zapomniałam o występie. Nie byłabym w stanie pokazać się publicznie i nie rozpłakać się na oczach wszystkich naszych znajomych.

– Dlaczego nie? Sala zarezerwowana. Nie możesz się wycofać.

– Mogę i to zrobić.

- Będzie gadanie, zobaczysz.
 - Pewnie już jest. Nie zdziwiłabym się, gdyby w restauracjach aż huczało od plotek.
 - Do diabła. Nic nie boli, jeśli się o tym nie myśli.
 - Chyba sam w to nie wierzysz.
 - Muszę.
 - Powiedziałaś Pauline?
 - Że wiesz o wszystkim? Jeszcze nie.
 - No to zapytaj ją, co mamy teraz robić. Na pewno ma jakiś błyskotliwy plan.
 - Uważaj, co mówisz.
 - Dlaczego? Obawiasz się, że zrobi się ze mnie megiera? Jeśli tak, to wiadomo, czyja to wina.
- Sięgnął po butelkę brandy i dwie szklanki.
- Wypij to – powiedział, napełniając je i popychając jedną ku mnie. – Przyda ci się.
 - Pewnie, urznijmy się jak bele.
 - W porządku. To nam zawsze wychodziło.

Kilka następnych dni minęło w atmosferze takiego napięcia i wśród kłótni, które wybuchały nawet w ciągu dnia, na ulicy – że Ernest spakował torbę i wyjechał do Madrytu przed planowaną datą. Jego wyjazd sprawił mi ulgę. Nie wiedziałam, czego się spodziewać w przyszłości, ale potrzebowałam odpoczynku i czasu na zebranie myśli.

Czułam się jak tchórz, niemniej odwołałam koncert. Co postawiło mnie w niezręcznej sytuacji znalezienia jakiegoś wiarygodnego usprawiedliwienia. Czułam się strasznie, kłamiąc, ile wlezie, i składając winę na tremę i niedostateczne przygotowanie, ale to nic w porównaniu z tym, co bym przeżywała, gdybym musiała wystąpić publicznie. Szczególnie, że – tak jak podejrzewałam – wieści o romansie zdołały się już rozejść.

Dowiedziałam się tego od Kitty. Przyszła wkrótce po wyjeździe Ernesta do Madrytu. Opowiedziałam jej o wszystkim i strasznie się rozkleiłam. Kiedy zostały mi już tylko łzy, rzekła cicho:

– Chciałabym powiedzieć, że mnie zaskoczyłaś, ale to nieprawda. Spotkałam Pauline na ulicy tuż przed jej wyjazdem do Schruns. Miała narty na ramieniu i cała była obładowana pakunkami. Właściwie nie chodzi o jej słowa, tylko o sposób, w jaki o was dwojgu mówiła. Z pewnością siebie, jakbyście byli jej własnością.

– Ma tupet. To jej trzeba przyznać.

– Zelda powiedziała, że byli ze Scottem w „Rotonde”, kiedy przyszła Pauline i zaczęła rozpowiadać o liście, który dostała od Hema, i jakie to zabawne, że on tak się zna na damskich perfumach i czy oni też nie uważają, że to zabawne. Najwyraźniej się drażniła. Chciała wzbudzić podejrzenia.

– Albo nie mogła się powstrzymać. Kocha się w nim.

– Coś takiego, nie mów, że jej współczujesz!

– Nie. Ale miłość to miłość. Człowiek głupieje.

– Mimo że lubię Pauline, uważam, że w tym wypadku postąpiła źle. Wolność wolnością, ale mąż przyjaciółki to już zbyt wiele. Kiedyś trzeba powiedzieć sobie: stop.

Pogoda zrobiła się wspaniała, w powietrzu unosił się słodki, mocny

zapach kwiatów kasztanowca – lecz nie mogłam się tym cieszyć. Bumby zachorował. Zaczęło się od pociągania nosem, a wkrótce doszła gorączka. Teraz był blady i niespokojny. Nocami męczył go ciężki kaszel, przez który oboje nie mogliśmy spać. Nie wychodziliśmy z mieszkania. Czytałam mu książki i wymyślałam zabawne piosenki, żeby go rozerwać, ale mimo to trudno mi było choćby na kilka minut zapomnieć, że moje życie legło w gruzach.

Co kilka dni przychodził telegram od Ernesta. W Madrycie czuł się okropnie. Miasto było pełne kurzu, a ciekawe walki byków – nieliczne. Z jakiegoś nieznanego powodu zwierzęta były słabe i chore. On sam czuł się jak chory byk. Nie miał towarzystwa do kieliszka. Wszyscy przyjaciele się porozjeżdżali, a on został sam. Na szczęście pisał. W ciągu jednego niedzielnego popołudnia skończył trzy opowiadania, wcześniej tylko naszkicowane, i energia twórcza go nie opuszczała. Planował pisać, ile się da. Czy ja i Bumby mamy zamiar przyjechać? Jeśli tak, to powinnam się pospieszyć. Potrzebuje towarzystwa, żeby nie zwariować.

Odpisałam, że Bumby jest zbyt chory na podróż. Ja też nie bardzo się nadaję. Nie wiedziałam, jak się mają sprawy między mną a Ernestem, i nie wyobrażałam sobie czekania na rozstrzygnięcie w hotelu w Hiszpanii, szczególnie gdybym co dzień widziała telegramy od Pauline. Nie, lepiej było zachować dystans; wychodziło to na dobre przynajmniej jego twórczości. Zawsze lepiej pisał w ciężkich okresach, jakby ból pomagał sięgnąć w głąb siebie i wprawiał machinę w ruch.

Nie zdziwiłam się, że użalał się nad sobą. Niektórzy mężczyźni lubią być sami, ale Ernest – nie. W samotności zbyt dużo pił, alkohol nie pozwalał mu spać, a bezsensowność przywoływała złe myśli i głosy z przeszłości, w związku z czym znowu sięgał po butelkę, żeby je uciszyć. Choć się do tego nie przyznał, wiem, że cierpiał, ponieważ jego romans bardzo mnie zranił. Świadomość, że on cierpi, mnie również przysparzała bólu. Takie są pokrętne drogi miłości. Nie umiałam przestać go kochać i nie potrafiłam przestać tęsknić do tego, by go otoczyć opieką – ale nie spieszyłam się z odpowiedzią na jego listy. Ja również cierpiałam – i nikt nie spieszył mnie pocieszyć.

Pod koniec maja kaszel Bumby'ego lekko się zmniejszył.

Spakowałam więc walizki i pojechaliśmy do Cap d'Antibes, do posiadłości „Villa America” Geralda i Sary Murphych, którzy nas zaprosili i przeznaczili dla nas domek dla gości. Wielu naszych znajomych już tam było. Scott i Zelda mieszkali w „Villi Paquita” w pobliskim Juan-les-Pins, a Archie i Ada MacLeish – w zatoczce odległej tylko o kilka mil. Miało być pływanie, opalanie się, dobre jedzenie, i choć wiedziałam, że mogę się czuć skrępowana z powodu krążących plotek, to jednak nie byłam aż taką prowincjuską, by sądzić, że długo będę obiektem zainteresowania. W końcu dla takiej Zeldy umierali mężczyźni i ona lubiła się tym przechwalać. Nasza historia nie była zatem niczym wyjątkowym, a ja bardzo potrzebowałam wakacji. Ernest planował do nas dołączyć, kiedy w Madrycie skończy się sezon korridy. Miałam nadzieję, że do tej pory odzyskam na tyle siły, żeby się z nim rozmówić.

Gerald wyszedł po nas na stację i zawiózł do „Villi America” nieprzyzwoicie szybkim cytrynowożółtym roadsterem. Muszę przyznać, że byłam pod wrażeniem. Murphy’owie od ponad roku dopieszczali willę, mieszkając w hotelu. Zanim pojawili się na scenie w Antibes, nie było tu żadnej sceny. Małe, senne miasteczko, krótki sezon na wiosnę. Latem nikt nie jeździł na Riwierę, ale Gerald i Sara kochali lato i kochali Antibes. Postanowili znaleźć sposób, żeby dostosować to miejsce do swoich potrzeb. Zapłacili właścicielowi, żeby specjalnie dla nich hotel funkcjonował przez cały rok, i wkrótce inne hotele poszły jego śladem, a nawet zaczęły powstawać nowe. Pokrytą wodorostami plażę Gerald oczyścił własnoręcznie, kawałek po kawałku, i teraz wyglądała nieskalanie. Zanim przyjechali Murphy’owie, nikomu nie przychodziło do głowy, żeby się tam opalać. To oni wymyślili opalanie i – jak się pobyło trochę z nimi – zaczynało się myśleć, że wymyślili wszystko, co było dobre, przyjemne i kulturalne.

Ich posiadłość obejmowała siedem akrów ogrodów tarasowych obrośniętych heliotropem. Mieli drzewa cytrynowe, pieprzowe, daktyle i oliwki. Figowce rodzące czarne i białe owoce, egzotyczny białozielony klon. Oprócz domku gościnnego były również mała farma i stajnia, domy ogrodnika i kierowcy, domek do zabaw dla trójki dzieci właścicieli i prywatne studio malarskie Geralda. Zanim podjechaliśmy

do głównej siedziby, Gerald zaprowadził nas kamienistą ścieżką na prywatną plażę pokrytą bielutkim piaskiem. Scott i Zelda już tam byli; siedzieli na szerokich trzciniowych matach i pili sherry z kryształowych kieliszków. Scottie bawiła się w płytkiej wodzie z dziećmi gospodarzy. Wszystkie były jasnowłose i opalone.

– Napij się, Hadley – zaproponowała Zelda, podnosząc się i całując mnie w policzki. – Na pewno przyda się po przejażdżce z Geraldem.

– Jazda drogą nad brzegiem morza jest paraliżująca – przyznałam.

– Koktajle Scotta też są paraliżujące, ale to w nich lubię – powiedziała i wszyscy się roześmiali.

– A jak leci Hemowi? – spytał Scott i spojrzał na mnie, osłaniając oczy dłonią.

– Chyba nieźle. Dobrze mu idzie pisanie.

– Do diabła z nim, jemu zawsze dobrze idzie.

– Naprawdę tak mówi? Nie wierzę.

– Sam widzisz – powiedziała Zelda, jakby był to argument w jakimś ich prywatnym sporze.

– Tak kochanie, słyszałem – rzekł Scott, po czym oboje podali Geraldowi kieliszki do ponownego napełnienia.

Główny dom miał posadzki z czarnego marmuru, czarne meble i białe ściany. Surowość kolorystyki wzbogacały kwiaty: świeżo ścięte gałązki jaśminu, gardenie, oleandry, róże i kamelie. Wyglądało to olśniewająco. Stojąc w drzwiach w podnieszczonym letnim żakiecie, czułam się nie na miejscu. W ogóle żadne moje ubrania nie były odpowiednio eleganckie.

– Sara leży w łóżku, zaziębiła się – wyjaśnił Gerald. – Ale na pewno wkrótce zejdzie na dół.

Bumby i ja przebraliśmy się w kostiumy i poszliśmy na plażę poczekać na Sarę, ale tego dnia w ogóle się nie pokazała. Kiedy wieczorem zaczęłam się zastanawiać, czy to nie celowe lekceważenie, pojawił się lekarz. Przyjechał sprawdzić, jak się ma chora.

– Może rzuci okiem na Bumby’ego – zaproponował Gerald. – Sara słyszy jego kaszel na górze. To musi być męczące.

– To prawda. Miałam nadzieję, że śródziemnomorskie powietrze go wyleczy.

– Może, ale dlaczego nie miałby obejrzeć go lekarz? Na wszelki wypadek.

Zgodziłam się, a po dokładnym badaniu – podczas którego Bumby zachowywał się jak aniołek – lekarz zdiagnozował koklusz.

– Koklusz? – wystraszyłam się. – To poważna choroba, prawda? – Chciałam powiedzieć: śmiertelna, ale nie odważyłam się wymówić tego słowa.

– Proszę, niech się pani uspokoi, pani Hemingway – odparł doktor. – Sądząc po objawach, dziecko cierpi na to od kilku miesięcy. Najgorsze minęło, ale potrzebuje spokoju, żeby w pełni odzyskać siły, i nie wolno mu się bawić z innymi dziećmi. Konieczne są co najmniej dwa tygodnie kwarantanny.

Zapisał specjalny syrop na kaszel oraz maść eukaliptusową do nacierania klatki piersiowej i pleców, żeby ulżyć w oddychaniu, ale mimo lekarstw i zapewnień lekarza martwiłam się o dziecko. Miałam wyrzuty sumienia, że nie poszłam z nim do lekarza w Paryżu.

Słyszając rozpoznanie, Sara zdenerwowała się i chciała nas od razu przenieść do hotelu w mieście.

– Nadal będziecie naszymi gośćmi – nalegała. – Ale nie możecie tu mieszkać. Sama rozumiesz, prawda?

Oczywiście, że rozumiałam. Głupio mi było, że sprawiliśmy tyle kłopotu. Pakując nasze rzeczy, cały czas ją przeproszałam.

Gospodarze polecili szoferowi zawieźć nas na nowe miejsce, a następnego dnia rano przysłali przez niego świeże warzywa i owoce z ogrodu. Byli bardzo opiekuńczy. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby nikt się nami nie zajął. Nie mogli jednak pomóc w pielęgnowaniu dziecka i nie mogli naruszyć kwarantanny. Wiedziałam, że nie wytrzymam takiego odosobnienia, wysłałam więc telegram do Marie Cocotte, pytając, czy nie przyjechałaby pomóc w opiece nad Bumby, i do Ernesta do Madrytu, z wyjaśnieniem sytuacji. Nie prosiłam go jednak o przyjazd. Wołałam, żeby pojawił się z własnej woli albo wcale.

Wkrótce po tym, jak zapadła decyzja o kwarantannie, Scott i Zelda postanowili odstąpić nam willę w Juan-les-Pins. Zdecydowali, że przeniosą się do większej willi, z własną plażą, w pobliżu kasyna. To był dar z nieba. Dom był prześliczny, z ręcznie malowanymi kafelkami.

Miał mały ogródek z makami i drzewkami pomarańczowymi, i Bumby mógł się w nim bawić, nie stykając się z innymi dziećmi. Ale ja miałam kiepski nastrój, czułam się odizolowana i martwiłam się, żeby nie nastąpił nawrót choroby. Całymi dniami wcierałam maść eukaliptusową w jego piersi i plecy i próbowałam przekupstwem nakłonić go, żeby zgodził się wypić gorzkie lekarstwo. Nocą budziłam się co kilka godzin, żeby sprawdzić temperaturę. Codziennie zjawiał się lekarz i z taką samą regularnością przychodziły telegramy z Paryża i Madrytu. Pauline pisała, że mi współczuje, lecz współczuje też Ernestowi, który ciężko znosi samotność w Hiszpanii. Czytając to, tak się zezłościłam, że o mało nie odpisałam jej, żeby go sobie wzięła, ale ostatecznie tylko złożyłam telegram na pół i podarłam na małe kawałki.

Któregoś dnia wieczorem, gdy siedziałam w ogrodzie, usłyszałam klakson i na podjeździe pojawiły się auta Murphych, Fitzgeraldów i MacLeishów. Zatrzymali się przed metalową barierką tarasu i z samochodów wysiadły kobiety, w długich eleganckich sukniach wyglądające jak dzieła sztuki. Mężczyźni świetnie prezentowali się w garniturach, a wszyscy byli rozbawieni. Gerald miał w ręku dzban z bardzo zimnym martini i kiedy podeszłam do barierki, podał mi kieliszek.

– Przybyły posiłki – oznajmił, najwyraźniej zadowolony z tego, że wpadł na tak znakomity pomysł. Wszyscy oprócz Scotta podnieśli kieliszki.

– Przestałem pić i bardzo staram się być grzecznym chłopcem – wyjaśnił.

Zelda zmarszczyła brwi.

– To nudne, kochanie.

– Ale prawdziwe. Tak czy inaczej, dzisiaj jestem grzecznym chłopcem. Uśmiechnij się do mnie, Hadley, dobrze?

Przez chwilę rozmawialiśmy, a potem wsiedli do aut i, roześmiani, pojechali do kasyna. Patrzyłam za nimi, zastanawiając się, czy to wszystko sobie wyobraziłam, a potem weszłam do domu, żeby położyć się wcześniej i poczytać w łóżku książkę.

Kiedy wreszcie Ernest przyjechał z Madrytu, dziesięć dni po wprowadzeniu kwarantanny, Murphy'owie wydali dla niego przyjęcie

w kasynie z szampanem i kawiozem. Marie Cocotte przyjechała zająć się Bumby, a ja poczułam ulgę, że wreszcie po raz pierwszy mogę wyjść z domu.

Gdy Ernest stanął w drzwiach domu, był blady i zmęczony. W Madrycie było zimno, niemal co dzień pracował do późnej nocy. Czułam się wyczerpana ze zmartwienia i nie wiedziałam, co Ernest do mnie czuje, ale przywitał się długim pocałunkiem i powiedział, że za mną tęsknił. Pozwoliłam mu na pocałunek i nie pytałam, co postanowił w sprawie Pauline. Uważałam, że bezpieczniej będzie nie wspominać jej imienia, i z tego powodu – przecież był to największy problem w naszym życiu! – czułam się kompletnie bezradna.

– Ja też za tobą tęskniłam – odparłam i poszliśmy się ubrać na przyjęcie.

Gerald nie szczędził kosztów na powitanie Ernesta, ale dlaczego miałby szczędzić? Murphy'owie odziedziczyli fortunę i nigdy im nie brakowało pieniędzy. Były kamelie pływające w szklanych wazach, stosy ostryg, młoda kukurydza z gałązkami bazylii. Wydawało się wręcz możliwe, że na tę okazję zamówili purpurowe śródziemnomorskie niebo i słowiki trelujące w żywopłocie. Zaczęło mnie to nieco drażnić. Czy wszystko musiało być precyzyjnie zaplanowane i cywilizowane? Kto zresztą by temu zaufał?

Kiedy czekaliśmy na Scotta i Zeldę, Ernest zaczął opowiadać o niedawnej wymianie listów z Sherwoodem Andersonem w sprawie *Wiosennych potoków*, które właśnie wyszły w Stanach.

– Musiałem do niego napisać – rzekł. – Lada chwila książka miała się ukazać i chciałem mu powiedzieć, jak to się stało i dlaczego okazałem się takim gnojkiem po tym wszystkim, co dla mnie zrobił.

– Świetnie, Hem – odezwał się Gerald.

– Spodziewałem się, że tak zareagujesz.

– Dobrze to przyjął? – spytała Sara.

– Napisał, że to najbardziej obraźliwy i protekcyjny list, jaki kiedykolwiek otrzymał, i że książka jest do bani.

– Nie wierzę, że się tak wyraził – powiedziałam.

– To prawda, napisał, że mogłaby być śmieszna, gdyby miała dziesięć stron, a nie sto.

– A mnie się wydawała bardzo śmieszna – rzekł Gerald.

– Nie czytałeś jej, Geraldzie.

– Ale sądziłem tak na podstawie tego, co opowiadałeś.

Ernest odwrócił się skwaszony i sięgnął po szklaneczkę z whisky.

– Stein też mi dołożyła – ciągnął. – Mówi, że zachowałem się jak gówniarz, że kiepski ze mnie Hemingway, i że mogę iść do diabła.

– Coś takiego. To przykre – powiedziała Sara.

– Niech ją diabli porwą.

– No, Tatie, nie możesz tak myśleć – zaproponowałam. – W końcu jest matką chrzestną twojego syna.

Przykro zrobiło mi się na myśl o przyjaciółach, których straciliśmy z powodu jego dumy i porywczego usposobienia, począwszy od Kenleya w Chicago. Lewis Galantière, nasz pierwszy przyjaciel w Paryżu, przestał rozmawiać z Ernestem, kiedy ten nazwał jego narzeczoną nikczemną sekutnicą. Bob McAlmon miał dość samochwalstwa i nieuprzejmości Ernesta i na nasz widok przechodził na drugą stronę ulicy. Harold Loeb nie doszedł do siebie po tym, co się stało w Pampelunie, a Sherwood i Gertruda, jego dwoje największych mistrzów, wysunęli się teraz na czoło długiej listy osób zrażonych.

– Hemmy, chłopcze – dobiegł nas głos Scotta, który wraz z Zeldą pokazał się na stopniach prowadzących na plażę. Scott był bez butów i skarpetek, w podwiniętych spodniach, poluzowanym krawacie i pogniecionej marynarce. Miał niezłe w czubie.

– Kąpałeś się w morzu? – spytał Ernest.

– Nie, jestem potwornie wysuszony.

Zelda wybuchnęła śmiechem.

– Tak, tak, Scott. Nic w ogóle nie miałeś w ustach i dlatego temu biednemu facetowi na molu recytowałeś wiersz Longfellowa. – Gwałtownym gestem odgarnęła włosy z czoła i założyła za ucho gigantyczną peonię. Miała nieskazitelny makijaż, ale w jej oczach kryło się zmęczenie i napięcie.

– A kto nie lubi Longfellowa? – spytał Scott. Usiadł w fotelu, pozorując ogromną pewność siebie, i wszyscy zaśmialiśmy się niepewnie. – Chodź, kochanie – zwrócił się do Zeldy, która stała. – Napijmy się z tymi cudownie afektowanymi osobami. O, kawior. Jak do

licha moglibyśmy żyć bez kawioru?

– Zamknij się, kochanie – powiedziała jego żona, siadając. Uśmiechnęła się do nas szeroko i nieszczercze. – Przyrzekam, że już będzie grzeczny.

Kelner przyniósł drinki, a potem zaczął obsługiwać stolik obok, gdzie piękna dziewczyna zasiadała do obiadu z mężczyzną, który wyglądał na jej ojca.

– Proszę, jaki ładny układ – zauważył Scott, przyglądając się natarczywie dziewczynie. Ernest szturchnął go łokciem, ale Scott na nic nie zważał.

– Pan nie jest dżentelmenem – powiedział do Scotta mężczyzna po francusku i wprowadził dziewczynę do wnętrza restauracji, z dala od nas.

– Nie tylko nie jestem dżentelmenem – oznajmił Scott, odwracając się do osób przy stole. – Nie jestem również elegancki ani dość pijany, żeby tracić czas z takimi, jak wy.

Gerald zbladł i nachylając się do Sary, szepnął jej coś na ucho.

– Gerald, chłopie, może byś rzucił mi ostrygę? Umieram z głodu.

Gerald zmierzył go chłodnym spojrzeniem i znowu powiedział coś do Sary.

– Saro – zaczepił ją Scott, próbując odciągnąć jej uwagę od męża. – Saro, spójrz na mnie, proszę.

Ale ona nie chciała na niego patrzeć, więc Scott złapał stojącą na stole popielniczkę z rżniętego szkła i rzucił nią, ponad ramieniem Geralda, w stół obok. Sara aż podskoczyła. Gerald uchylił się i krzyknął do Scotta, żeby przestał. Scott schwycił drugą popielniczkę i wycelował ponownie. Uderzyła w sam środek stołu, odbiła się z brzdękiem i poleciała dalej.

Zelda udawała, że nic się nie stało, ale wszyscy inni czuli się zażenowani i zde gustowani.

– No, chodź, czarusiu – odezwał się wreszcie Ernest beznamiętnie. – Idziemy potańczyć. – Ujął Scotta za ramię i sprowadził schodami wiodącymi z tarasu prosto na plażę. Wszyscy patrzyli za nimi oprócz Zeldy, która utkwiała wzrok w żywopłocie.

– Słowik – powiedziała. – Czy to wizja, czy sen?

Archie MacLeish odchrząknął i rzekł:

– Tak. No cóż.

Ada dotknęła lekko włosów, jakby były ze szkła, i spojrzała na morze, zlewające się jednostajną czernią z niebem. Minęły setki lat, zanim kelner przyniósł rachunek.

Następnego dnia długo spałam, wiedząc, że Bumby jest pod fachową opieką Marie Cocotte. Kiedy zesłam na dół, przy długim stole w jadalni siedział Ernest ze Scottem, a przed nimi leżała sterta stron kalki maszynowej.

– Scott wpadł na wielki pomysł – powiedział Ernest.

– Dzień dobry, Hadley – rzekł Scott. – Przepraszam za wczorajszy wieczór i wszystko. Straszny ze mnie głupiec, prawda?

– Owszem – przyznałam i roześmiałam się lekko, z sympatią, którą naprawdę czułam. Na trzeźwo – jak teraz – był normalny, rozsądny i niezwykle subtelny. Poszłam po kawę, a potem usiadłam przy stole, żeby się dowiedzieć, co to za pomysł.

Ernest wyjaśnił:

– Na pierwszych piętnastu stronach *Słońca* mamy autobiografię Jake’a, potem idzie retrospektywna historia Brett i Mike’a, ale to wszystko jest wystarczająco dobrze wyjaśnione w dalszej części powieści. Scott mówi, żeby to usunąć.

– Myślę, że tak będzie lepiej – potwierdził Scott, kiwając poważnie głową.

– Zawsze to powtarzałem, że w opowiadaniu im mniej wyjaśniania, tym lepiej. Ekspozycja spowalnia je i niszczy dynamikę. Teraz mam okazję przekonać się, czy sprawdzi się to w odniesieniu do dłuższej formy powieści. Co myślisz, Tatie? – Oczy mu błyszczały, wyglądał zupełnie jak chłopiec, którego spotkałam w Chicago. Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– Brzmi znakomicie. Na pewno się sprawdzi. Bierz skalpel!

– Moja kochana dziewczyna!

Nie zapomnij tego – miałam ochotę powiedzieć. – Ja nadal jestem twoją najlepszą dziewczyną.

Zabrałam kawę na taras i spojrzałam w górę, ponad dachami miasteczka na morze, jasnobłękitne i czyste. Ani jednej mewy, ani jednej

chmury. Za mną Ernest i Scott ponownie pochylili się nad maszynopisem, omawiając wszystko szczegółowo. Zaproponowane zmiany były zabiegiem na sercu książki, a oni byli chirurgami dokonującymi jednej z najpoważniejszych operacji. Scott potrafił strasznie się upijać, Ernest z kolei boleśnie zranić każdego, kto z przyjaźni mu pomógł – ale to nie miało znaczenia, kiedy na stole leżał pacjent. W końcu przecież dla obydwu jedyne, co się liczyło, to ciało na stole i praca, praca, praca.

W ciągu tygodnia po powrocie Ernesta z Madrytu utrwalił się ustalony porządek zajęć. Rano na tarasie domu w Juan-les-Pins jedliśmy biskwopty z sherry, podobnie jak nasi przyjaciele w „Villa America”. O drugiej, kiedy Bumby spał albo bawił się z Marie Cocotte, szliśmy na lunch z Murphymi albo MacLeishami. W porze koktajlu na naszym podjeździe pojawiały się trzy auta i wśród śmiechu przypominaliśmy sobie okres kwarantanny, podając jedzenie i picie przez balustradę.

Przez pierwsze dni Ernest uporczywie pisał, ale w końcu zdał sobie sprawę, że nie może być cały czas sam – i że może wcale nawet nie chce być sam. Scott próbował odstawić alkohol i poniósł sromotną klęskę. Razem z Ernestem wiele rozmawiali o pracy, lecz nic nie robili. Opalali się na plaży i pławili się w pochwałach, którymi zasypywali ich Murphy’owie.

Sara była naturalną piękną, miała gęste płowe włosy, równo obcięte na wysokości ucha, i jasne przeszywające oczy. Scott i Ernest prześcigali się w usiłowaniu przyciągnięcia jej uwagi, a Zelda nie mogła znieść konkurencji. Zrobiła się podenerwowana i nieznośna, ale nie ośmieliła się złościć na Sarę. Były przecież przyjaciółkami i współpracownikami – więc najostrzejsze uwagi dostawały się Ernestowi.

Zelda i Ernest nigdy się nie lubili. Ernest uważał, że Zelda ma za duży wpływ na Scotta, i to wpływ destrukcyjny, i że jest niezupełnie normalna. Ona z kolei miała go za pozera, który pod przykrywką macho skrywa zniewieściałość.

– Myślę, że kochasz się w moim mężu – powiedziała któregoś wieczoru na plaży, kiedy wszyscy wypiliśmy za dużo.

– Scott i ja jesteśmy ciotami? To niezłe!

Zelda spojrzała na niego nieprzychylnie i odparła:

– Nie, tylko ty.

Pomyślałam, że Ernest ją uderzy, ale Zelda roześmiała się piskliwie, odwróciła i zaczęła się rozbierać. Scott, pogrążony w rozmowie z Sarą, zwrócił nagle uwagę na żonę, i spytał:

– Co robisz, kochanie?

– Sprawdzam, czy jesteś odważny.

W jednym miejscu plaża kończyła się wystającym nad morze kamiennym urwiskiem. Najwyższy punkt sięgał jakieś trzydzieści stóp ponad fale, a tuż pod nim woda była zawsze wzburzona, pod wirami kryły się poszarpane, ostre krawędzie skał. Tam właśnie płynęła Zelda, a my wszyscy przyglądaliśmy się z niezdrową ciekawością. Co też miała zamiar zrobić?

Kiedy dopłynęła do stóp skał, bez trudu wdrapała się na szczyt. Scott rozebrał się i poszedł za nią, ale ona ledwie stanęła na górze, krzyknęła przenikliwie i rzuciła się ponownie w morze. Przez chwilę staliśmy jak sparaliżowani, zastanawiając się, czy się zabiła, ale zaraz, roześmiana, wypłynęła na powierzchnię. Księżyc świecił jasno i widzieliśmy ich oboje bardzo dokładnie. Dobiegał nas również jej coraz bardziej szalony śmiech, kiedy wspinała się na skały, żeby znowu skoczyć. Scott wziął z niej przykład. Byli pijani i łatwo mogli utonąć.

– Dostyc się naoglądałem – powiedział Ernest i poszliśmy do domu.

Gdy następnego dnia siedzieliśmy na tarasie, jedząc lunch, atmosfera była nadal napięta. W końcu odezwała się Sara:

– Proszę cię, Zeldo, nie strasz nas tak następnym razem. To było niebezpieczne.

– Ale widzisz, Saro – odparła Zelda, mrugając niewinnie oczami, jak uczennica – my nie wierzymy w bezpieczne życie.

Przez następne dni, gdy Pauline nie przestawała zasypywać nas listami – najpierw z Bolonii, a potem z Paryża – zastanawiałam się, czy Ernest i ja wierzymy w bezpieczne życie, czy potrafimy walczyć o to, co mamy. Może Pauline przewyższała nas nieustępliwością? Wpraszała się, narzekając, że czuje się odsunięta od wydarzeń i pytała, czy nie dałoby się czegoś z tym zrobić. Nie boi się koklusz, bo przeszła go w dzieciństwie, więc czy nie mogłaby przyjechać i dotrzymać nam towarzystwa podczas kwarantanny? Napisała to w liście do mnie, nie do

Ernesta, i znowu uderzyły mnie – co zresztą często widziałam w wydaniu Pauline – jej determinacja i upór. Nigdy nie przestała udawać, że jest moją przyjaciółką. Nigdy nie ustępowała ani na krok.

Pauline przyjechała do Antibes w oślepiająco słoneczny dzień. Miała na sobie białą suknię i biały kapelusz słomkowy i wyglądała niesamowicie świeżo i czysto, jak lody śmietankowe. Inna kobieta mogłaby się czuć skrępowana, pojawiając się w ten sposób wśród osób, które wiedziały – lub podejrzewały – że jest kochanką jednego z obecnych mężczyzn, ale Pauline nie знаła poczucia zażenowania. Przypominała tym Zeldę. Obie wiedziały, czego pragną, i potrafiły znaleźć sposób na to, żeby tego dopiąć. Ogromnie sprytnie i nowoczesne – zupełne przeciwieństwo mnie.

– Hem musi ci być wdzięczny, że cały czas jesteś tak miła – zauważyła pewnego wieczoru Zeldę. – Chodzi mi o to, że w końcu to on o wszystkim decyduje.

Wzdrygnęłam się, ale się nie odezwałam, podejrzewając, że powiedziała to z zazdrości o bliską przyjaźń naszych mężczyzn – ale oczywiście miała rację. Ernest naprawdę o wszystkim decydował i niejedną raz przejechał się po mnie, i to nie przez przypadek. Oboje wychowaliśmy się w rodzinach, w których kobiety rządziły żelazną ręką, ścierając na pył mężów i dzieci. Wiedziałam, że nigdy, za żadne skarby nie stanę się podobna. Sama wybrałam sobie rolę wsparcia dla Ernesta, ale ostatnio świat się zachwiał i nie miałam już żadnego wyboru. Ernest nie mógł nie zauważyć, że niektórzy żyją inaczej, w sposób, który najwyraźniej przypadł mu do gustu. Bogaci milej spędzali dni i mieli spokojniejsze noce. Od nich zależało słońce i przybór wód. Pauline była kobietą nowego typu, dlaczego nie mógł jej mieć? Dlaczego nie mógł wziąć, czego tylko zapragnie? Czy nie tak się postępuje?

Jeśli o mnie chodzi, czułam się jak ryba wyjęta z wody. To zupełnie nie był mój świat. Nie pasowałam do tych ludzi, a oni co dzień głębiej wciągali Ernesta. Cóż miałam robić? W każdej chwili mógł stracić zainteresowanie Pauline i wrócić do mnie – to nadal było możliwe – ale nad niczym nie panowałam. Gdybym postawiła go przed ultimatum, żądając, by Pauline wyjechała, na pewno bym go straciła. Gdybym wpadła w histerię i zaczęła urządzać publiczne sceny, dałabym

mu tylko pretekst do opuszczenia mnie. Byłam sparaliżowana, została mi tylko gra w to, kto dłużej wytrzyma, kto komu złamie serce.

Nie wiedział, jak to możliwe, że w jednej chwili miłość jest ogrodem, a w drugiej – wojną. Teraz walczył, co chwila sprawdzano jego lojalność. I to dawne, niemal bolesne i gorączkowe szczęście nowej miłości – wymknęło mu się z rąk, tak że nie był pewien, czy kiedykolwiek je miał. Teraz zostały jedynie kłamstwa i kompromisy. Okłamywał każdego, zaczynając od siebie, ponieważ wojna to wojna i trzeba robić wszystko, byle tylko utrzymać pozycję. Ale czuł, że zaczyna tracić kontrolę nad sytuacją, jeśli w ogóle kiedykolwiek ją sprawował. Kłamstwa mnożyły się i zaczynał się w nich gubić. A ponieważ czasami cierpienia było więcej, niż mógł wytrzymać, założył specjalny notes – czarny gruby płócienny zeszyt z żółtawymi kartkami – w którym zapisywał rozmaite sposoby popełnienia samobójstwa, gdyby kiedyś do tego przyszło.

Można włączyć gaz i czekać na powolne otępienie i uduszenie się w półśnie. Można podciąć sobie żyły na nadgarstku, brzytwa jest pod ręką, a inne miejsca na ciele – szyja tuż pod uchem, wewnętrzna strona uda – jeszcze szybciej pozwalają się wykrwawić. Niejeden raz widział nóż wbity w brzuch – to nie dla niego. Przypominało mu to konie zranione w czasie korridy, z rozplatanymi brzuchami i wylewającymi się wnętrznościami. Nie tak, chyba że nie będzie wyboru. A może okno wieżowca? Przyszło mu to na myśl w Nowym Jorku, kiedy był pijany i szczęśliwy po spotkaniu Maksa Perkinsa i wizycie w Woolworth Building. Dobrze, że sobie przypomniał. Głębokie morze, nocny skok z pokładu statku, którego jedynymi świadkami będą gwiazdy. Ale to takie niezwykle romantyczne i trzeba wcześniej zarezerwować bilety. Właściwie jeśli się podjęło decyzję, wystarczyłoby po prostu wypłynąć w morze. Można też zanurkować i zostać na dnie, wypuszczając powietrze, nie wynurzać się, a gdyby ktoś chciał, mógłby się po ciebie pofatygować. Ale naprawdę przypadł mu do gustu jeden pomysł, spodobał mu się od razu, jak tylko na niego wpadł – strzał z broni.

Pierwszy raz poważnie przyjrzał się pistoletowi i pomyślał o pociągnięciu spustu, kiedy miał osiemnaście lat i został ranny

w Fossalcie. Poczul błyskawicę czystego bólu, większego, niż był w stanie sobie wyobrazić. Stracił przytomność, a kiedy ją odzyskał, nogi były strzaskane i obce. Głowa również była obca, a on leżał na noszach, otoczony zabitymi i umierającymi, czekając, by sanitariusze znieśli go na bok. Niebo nad głową było oślepiające w rozbłyskach światła. Terkot. Upał. Wrzaski. Krew. Leżał przez dwie godziny, a za każdym razem, kiedy słyszał ostrzał, nie mógł się powstrzymać i się modlił. Nie wiedział, skąd bierze słowa, ponieważ nigdy się nie modlił.

Był przesiąknięty krwią, otwarty na niebo, a niebo było otwarte na śmierć. Nagle zobaczył pistolet – pistolet oficerski leżący tuż przy jego stopie. Gdyby mógł do niego dosięgnąć! Wszyscy umierali, to było o wiele normalniejsze i naturalniejsze niż ten ból. W wyobraźni sięgnął po niego. Sięgnął ponownie i znowu się nie udało. A potem przyszli sanitariusze i zabrali go żywego.

Zawsze uważał się za odważnego, ale nie miał okazji przekonać się o tym w noc ostrzału. Teraz też nie wiedział. Jesienią obiecał sobie, że zrobi to, jeśli sytuacja z Pfife nie rozwiąże się przed Bożym Narodzeniem, ale nie rozwiązała się, a on tego nie zrobił. Mówił sobie, że to dlatego, że za bardzo ją kocha, i Hadley też kocha, więc nie może przyczyniać im cierpienia – choć i tak mocno cierpiały.

Teraz było lato i sytuacja stawała się coraz bardziej nie do wytrzymania. Nie mógł sobie wyobrazić życia bez Hadley, nawet nie chciał sobie tego wyobrażać, a Pfife coraz bardziej panowała nad jego sercem. Zaczęła mówić o małżeństwie i coraz mocniej do tego dążyła.

Pragnął ich obu, ale nie mógł mieć wszystkiego, a miłość teraz mu nie pomoże. Nic nie pomoże oprócz odwagi, ale co w tej sytuacji znaczyło to słowo? Sięgnięcie po pistolet czy siedzenie i trzęsienie się z bólu i strachu? Nie był pewien, wiedział tylko, że od tego pierwszego pistoletu miał w dłoni wiele innych. Wiedział też, że kiedy nadejdzie czas, to będzie na pewno pistolet, i że naciśnie spust palcem stopy. Nie chciał tego, ale jeśli sytuacja robi się fatalna, to samobójstwo jest dozwolone.

Musi być.

W pobliżu Golfe-Juan biała droga wciniała się w klif. Można było nią jechać dziesięć–piętnaście mil rowerem, przyglądając się kolorowym łódkom przy nabrzeżu, kamienistym plażom i niekiedy ławicom niewiarygodnie miękkiego piasku. Plażowicze drzemali pod pasiastymi parasolami, wyglądając, jakby wyszli z obrazu. Wszystko zresztą tak wyglądało: rybacy w ciemnych czapkach zdejmujący sieci, kamienne szańce chroniące Antibes przed sztormem, czerwone dachy domów stojących jeden nad drugim na tarasach.

Często po śniadaniu, kiedy Ernest pracował, jeździłyśmy z Pauline na wycieczki rowerowe. To nie był mój pomysł, ale w końcu byliśmy w raju i należało coś robić. Umowa najmu na „Villa Paquita” skończyła się na początku czerwca, więc wynajęliśmy dwa pokoju w „Hôtel de la Pinède” w Juan-les-Pins. Bumby i Marie Cocotte mieszkali obok, w małym bungalowie otoczonym świerkami. Lekarstwo na koklusz nareszcie zaczynało działać i Bumby z dnia na dzień czuł się lepiej. Zaróżowiły mu się policzki i dobrze sypiał, tak że niemal całkiem przestaliśmy się o niego martwić. Kwarantanna się skończyła, ale tak czy inaczej w dzień byliśmy głównie we własnym towarzystwie, a kilka mil dalej, w „Villa America”, Murphy’owie, Fitzgeraldowie i MacLeishowie bawili się jak dawniej, o wpół do jedenastej pijąc sherry z biszkoptami, o wpół do drugiej jedząc kawior z tostami i grając w brydża przy wspaniałym błękitno-zielonym stole z ceramicznym blatem, który specjalnie do tego celu został ustawiony na plaży. Mozaika na blacie ukazywała syrenę z rozwianymi włosami stojącą na szczycie skały i spoglądającą w dal. W „Villa America” wszyscy kochali tę syrenę, bo uważali, że jest symbolem. Kochali ją tak, jak kochali swoje sherry i tosty i każdy rytuał, który kręcił się wokół nich.

W „Hôtel de la Pinède” mieliśmy własne rytuały. Późno jedliśmy śniadanie, potem Ernest udawał się do małej pracowni przy tarasie, a Pauline i ja jeździłyśmy na rowerach albo kąpałyśmy się w morzu, albo opalałyśmy się na plaży z Bumbym. Po lunchu następowała sjesta, potem kąpiel, po której przebieraliśmy się, żeby pójść na koktajl do „Villa America” albo do kasyna. Nikt na nasz widok nie dziwił się ani

nie mówił nic niestosownego, ponieważ taka była umowa

Niemal każdy, przyglądając się Pauline i mnie, uznałby nas za przyjaciółki. Może ona sama w to wierzyła. Nigdy nie wiedziałam na pewno. Z pewnością bardzo starała się zachować pogodę ducha, wymyślała dla nas zadania: na przykład wyprawę po świeże figi do wioski albo po najlepsze sardynki w puszcze.

– Poczekaj, póki nie spróbujesz tej – mówiła, czy była to oliwka, mocna kawa, dżem czy ciastko. – Niebo w gębie.

„Niebo w gębie” musiałam słyszeć tysiące razy tego lata, powtarzała to nieustannie, aż miałam ochotę krzyczeć. Ale nie krzyczałam, czego potem żałowałam.

W hotelu wynajęliśmy dwa pokoje, każdy z małżeńskim łóżem, wielką komodą i oknami wychodzącymi na morze. Ernest i ja mieszkaliśmy w jednym, a w drugim sama Pauline – przynajmniej na początku. Przez tydzień, dziesięć dni, kiedy wracałyśmy z Pauline z wycieczki rowerowej albo z plaży, przepraszała, mówiąc, że musi się przebrać na lunch, ale zamiast do siebie, szła do studia Ernesta. Przechodziła przez hotel na drugą stronę, gdzie mieściło się drugie wejście, nierzucające się w oczy, jak drzwi do schowka. Pewnie ustalili tajny sygnał. Wyobrażałam sobie to i znacznie gorsze rzeczy, choć od myślenia na ten temat robiło mi się niedobrze. Na lunch przychodziła po godzinie albo później, zawsze świeżo wykąpana i nienagannie ubrana. Siadała z uśmiechem i zaczynała przesadnie wychwalać jedzenie albo pogodę. Wszystko było tak dyskretne, że zastanawiałam się, czy nie czerpie przyjemności z odgrywania swojej roli, czy nie wyobraża sobie, że kamera kręci film, a ona jest wielką gwiazdą, która nigdy nie zapomniała słowa tekstu.

Ja nie byłam nawet w połowie tak opanowana. Coraz częściej nie wiedziałam, o czym rozmawiać, i nie chciało mi się słuchać, co inni mają do powiedzenia. Ich rozmowy wydawały mi się fałszywe i puste. Wolałam patrzeć na morze, które nic nie mówiło i które nigdy nie dawało odczuć samotności. Jadąc rowerem, spoglądałam na łódzie unoszące się na błękitnej fali albo na rośliny wyrastające z skał. Jakoś się trzymały, niezależnie od ataków wiatru i fal, nieusuwalne jak ciemny mech na skałach.

Któregoś dnia po sztormie, który szalał przez kilka godzin w nocy, Pauline uparła się wymieniać wszystkie oznaki zniszczenia: przewracane jolki, gałęzie sosen strącone na ziemię, skotłowane parasole na plaży. Próbowałam jechać szybciej, by uciec przed zalewem słów, żeby słyszeć tylko świst powietrza i tarcie kół o ziemię. Ale nie dało się jej pozbyć.

– Próbowałam namówić Druma, żeby na jesieni pojechał do Stanów. Wiesz, że moi rodzice mają ziemię w Arkansas. Życie tam jest tanie, zaoszczędzilibyście fortunę.

Nie cierpiałam, kiedy używała tego zdrobnienia. To był nasz własny język. Nasz taniec.

– Możesz się nie wysilać. Raczej obetnie sobie rękę, niż wróci do domu.

– Prawdę mówiąc, powiedział, że to niezły pomysł.

– Arkansas?

– Piggott. To wieś, naturalnie, ale ty lubisz wieś.

– Tu mi się podoba. O co ci właściwie chodzi?

– Przepraszam. Myślałam o tobie. Wcześniej czy później w Paryżu zabraknie wam pieniędzy. On powinien zacząć pisać następną powieść i nie mieć innych zmartwień na głowie. W Piggott moglibyście sobie pozwolić na kupienie nowych rzeczy. Na pewno nie jest ci to obojętne.

– Nie, nie jest.

Przez resztę wycieczki próbowałam tłumić łzy i walczyć z uczuciem niedowierzania. Nie chciałam, żeby Pauline zobaczyła jedno albo drugie, więc z całych sił parłam do przodu. Niektóre zakręty były niebezpieczne. Gdybym choć na moment straciła równowagę, mogłabym spaść w przepaść i rozbić się na skałach. Chwiałam się, ale nie zbaczałam z kursu i z uczuciem dziwacznej euforii spieszyłam na konfrontację z Ernestem. Czułam przyływ adrenaliny, myśli mi się kotłowały w głowie. Co mam mu powiedzieć? A on, w jaki sposób będzie się bronił?

Kiedy dojechałam do hotelu, byłam już w takim stanie, że po prostu rzuciłam rower na zwirowy podjazd i wbiegłam do środka, zadyszana, zakurzona i spocona. Miałam zamiar wpaść do studia, ale oczywiście drzwi były zamknięte.

– Kto to? – spytał, kiedy zapukałam.

– Twoja żona – odpowiedziałam ze złością w głosie.

Kiedy otworzył drzwi, po minie poznałam, że rzeczywiście zaskoczył go mój widok. Był już prawie czas na wizytę Pauline. Pewnie czekał na nią z rosnącym pożądaniem.

– Nie myślisz chyba, że pojedę do Arkansas – wyrzuciłam z siebie, jeszcze zanim zdążył zamknąć drzwi.

– O! Wkrótce miałem zamiar ci o tym powiedzieć. Jeśli tylko się nad tym zastanowisz, to zrozumiesz, że to nie jest taki zły pomysł.

– I mielibyśmy mieszkać z jej rodzicami?

– Nie, znalazłaby dla nas wszystkich dom, możliwe, że w miasteczku.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszałam.

– Chcesz, żebyśmy razem mieszkali?

– Teraz przecież mieszkamy razem, zgadza się?

– Tak, i to jest straszne! Jest mi niedobrze na myśl, że się z nią kochasz.

– Przykro mi, Tatie. Może jest tak dlatego, że to jest nowa sytuacja i jeszcze się do niej nie przystosowaliśmy.

– A uważasz, że można się do niej przystosować?

– Nie wiem. Nie chcę cię stracić.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Proszę cię, Tatie – powiedział cicho, boleśnie. – Spróbuj. Jeśli się uda i okaże się, że nam wszystkim pomysł się podoba, we wrześniu wyjedziemy do Piggott. Jeśli nie, to wrócimy do Paryża.

– Sami?

– Tak – odparł, ale po głosie poznałam, że się waha i stara się odpowiedzieć wymijająco. Wcale nie był przekonany do tego, co mówił.

– Uważam, że to błąd. Od początku do końca.

– Może, ale już za późno, żeby się wycofać. Teraz można tylko iść naprzód.

– Masz rację – odparłam i wyszłam.

Przez następne dni zastanawiałam się, czy propozycja Ernesta była pomysłem mającym rozwiązać niemożliwą sytuację, czy też tak to sobie od początku planował. Od lat otaczali nas ludzie żyjący w trójkącie,

wolnomyśliciele gotowi złamać każdą konwencję dla ryzyka, wolności albo własnej racji. Nie wiem, co czuł Ernest, patrząc na ich błazeństwa, ale w moich oczach byli smutni, a nawet udręczeni. Ostatnie wieści od Poundów były takie, że Olga Rudge urodziła córkę, ale postanowili, że nie będą jej wychowywać. Sposób życia Pounda nie sprzyjał posiadaniu dzieci, a ani on, ani ona najwyraźniej nie chcieli kompromisu. Od razu na oddziale położniczym, gdzie Olga rodziła, oddali córkę jakiejś chłopce. Kobieta poroniła i z radością wzięła dziecko do siebie.

Nie mogłam uwierzyć, że tak łatwo można oddać dziecko, ale jeszcze bardziej zdumiałam się, kiedy w następnym liście donieśli, że Szekspirka jest w ciąży. Dziecko nie było Pounda. Prawdę mówiąc, ani słowem nie wspomniała o ojcu, napisała tylko, że zamierza je zatrzymać. Wyglądało to na działanie odwetowe. To wszystko była wina strasznej, nikczemnej sytuacji, w jakiej się znalazła – ludzie wówczas zachowują się jak szaleni, działają przeciwko własnym prawdom, przeciwko sobie.

Pewnego dnia po południu, kiedy drzemaliśmy z Ernestem w pokoju, Pauline weszła cichutko, na palcach. Śniło mi się właśnie, że zostałam przysypana tonami piasku. Dusiałam się, ale to nie był koszmar. Piasek przypominał cukier puder, ciepły, i kiedy przygniatał mnie powoli, myślałam: Jest zupełnie jak w niebie. Zupełnie jak w niebie. Czulałam się tak ospała i otepiała, że zdałam sobie sprawę, iż Pauline jest w pokoju, dopiero kiedy wsunęła się pod prześcieradło i położyła koło Ernesta, z drugiej strony łóżka. Dzień był gorący i spaliśmy nago. Wiedziałam, co się stało, ale nie chciało mi się nawet otwierać oczu. Moje ciało było mi obce. Nikt się nie odezwał ani nie zrobił nic, co by mnie wyrwało z transu. Łóżko to piasek, powtarzałam sobie, pościel to piasek. Jeszcze nie otrząsnęłam się ze snu.

Rano, kiedy promienie słońca wdarły się przez okiennice i padły mi na twarz, zdałam sobie sprawę, że niezależnie od moich chęci nadszedł dzień, i otworzyłam oczy. Wiatr wydymał lniane zasłony. Ziewnęłam, przeciągnęłam się i odrzuciłam pościel na bok. Naprzeciw łóżka wisiało długie lustro, w którym się odbijałam – opalona i umięśniona od pływania i jazdy na rowerze. Włosy się rozjaśniły w słońcu, miały tylko rudawy połysk, oczy były błyszczące. Wyglądałam bardzo dobrze. Już przestałam się dziwić temu, że wyglądam zdrowo i silnie, kiedy tak naprawdę umieram.

W naszym hotelu wszystkiego było po trzy: trzy tace śniadaniowe, trzy szlafroki, trzy mokre kostiumy kąpielowe na sznurze. Na szutrowej drodze po nawietrznej stronie hotelu stały trzy rowery. Gdy się na nie spojrzało, wyglądały jak rzeźba, bardzo solidnie, od chromowanych kierownic odbijało się popołudniowe słońce. Jednak można je było widzieć inaczej: zbyt delikatne podpórki utrzymywały rowery niebezpiecznie pochylone, jakby w każdej chwili miały runąć – jak kostki domina albo szkielety słoni, albo miłość. Mimo że to zauważyłam, nie puściłam pary z ust, ponieważ to również było częścią niepisanej umowy. Pal diabli, jak bardzo wszystko było powykręcane i splątane pod powierzchnią – jeśli tylko nie przebiło tej powierzchni i jak długo się o tym milczało, szczególnie w porze koktajlu, kiedy wszyscy bardzo się starali pokazać, jak świetnie się bawią i jak wspaniałe może być życie, jeśli ma się szczęście – a przecież my je mieliśmy.

Wykąpana i ubrana, zeszłam na dół na taras ogrodowy, gdzie na stole czekało śniadanie. Trzy *oeufs au jambon* z dużą ilością masła i pieprzu, trzy gorące brioski, trzy szklanki soku. Ernest wyszedł z pokoju do pracy tuż koło tarasu.

– Dzień dobry, Tatie. Świetnie wyglądasz.

– Podobnie jak ty – odparłam.

Miał na sobie jasnobrązowe płócienne szorty i rybacki sweter w czarno-białe paski z *Grau-du-Roi*. Był bosy. Ja ubrana byłam podobnie, a kiedy na tarasie pojawiła się Pauline, świeżo wykąpana,

z ciemnymi włosami szeszanymi do tyłu – też miała na sobie pasiasty rybacki sweter. Kiedy się witaliśmy i jedliśmy razem śniadanie – wygłodniali, jakbyśmy od tygodnia nie mieli nic w ustach – wyglądaliśmy identycznie.

Słońce na plaży świeciło już mocno i w jego blasku piasek wyglądał na niemal biały. Odbijające się w wodzie promienie oślepiały.

– Dziś będzie się dobrze pływać – oświadczyła Pauline.

– Racja – powiedział Ernest, przełamując brioszkę na pół, tak że ze środka uniosła się para. – A potem poprosimy, żeby madame przyniosła bollingera, mocno schłodzonego, i trochę sardynek z kaparami. Miałabyś na to ochotę, prawda? – spytał, odwracając się do mnie.

– Brzmi świetnie.

Po śniadaniu poinformowałam madame, co zaplanowaliśmy na lunch, i spakowałam torbę na plażę. Założyłam buty i poszłam po Bumby'ego do domu położonego kawałek dalej. Bumby bawił się na podwórku.

– Cześć, misiu – powiedziałam, biorąc go w ramiona i lekko skubiąc w ucho. – Chyba urosłeś przez noc. Wydajesz się bardzo duży.

Bardzo go to ucieszyło. Wyprostował się i stanął zadowolony, wysuwając brodę.

– Dziś w nocy wcale nie kaszlał, madame – powiedziała Marie.

– Bardzo ładnie! – A kiedy dumnie kiwnął głową, rzekłam: – Chodź, misiu, idziemy popływać.

Na małym skrawku plaży po drugiej stronie drogi Ernest i Pauline rozłożyli już koce i parasole i leżeli na piasku jak żółwie, z zamkniętymi oczyma. Opalaliśmy się na plaży we trójkę, leżąc rzędem, a Bumby i Marie bawili się w wodzie i układali na piasku wzorki z muszelek. Kiedy zrobiło się zbyt gorąco, weszłam do wody – zawsze miało się wrażenie, że jest zimna, i to było cudowne. Zanurkowałam, a potem wypłynęłam na powierzchnię i popłynęłam kilkaset jardów. Potem tkwiłam w miejscu, kołysząc się tylko na falach. Gdy byłam w górze, patrząc na plażę, widziałam wszystko w pomniejszeniu, doskonale: mojego męża, dziecko i kobietę, z którą z tej odległości można było sobie poradzić. Stąd wszyscy wyglądali spokojnie, nie słyszałam ich ani nie czułam. Gdy opadałam wraz z falą, widziałam tylko niebo, wysokie,

białe, które trwało niezmiennie mimo naszego cierpienia.

W pewnej chwili przestałam płynąć, opuściłam ręce, nie machałam nogami i całym ciężarem zaczęłam opadać na dno. Chciałam spróbować, jak głęboko pogrążę się pod wodę. Oczy miałam otwarte i tonąc, patrzyłam ku górze, ku powierzchni. Zaczęłam czuć kłucie w płucach, a potem pieczenie, jakbym połknęła kawałek lawy.

Wiedziałam, że jeśli zostanę na dnie i pozwolę wodzie wpłynąć do wnętrza, wejść przez wszystkie drzwi mojego ciała – wybiorę łatwiejszą drogę. Nie będę musiała patrzeć, jak znika moje życie, jak koralik po koraliku przesuwa się ku Pauline.

Wulkan we mnie palił okrutnie, a potem coś nagle się pojawiło i wiedziałam, że nawet jeśli nie chcę w ten sposób dłużej żyć, to również nie chcę umierać. Zamknęłam oczy i mocno odbiłam się od dna.

Kiedy wyszłam na plażę, Pauline podniosła się i powiedziała:

- Zanurkujemy, chcesz?
- Nie bardzo potrafię.
- Nauczę cię. Dzisiaj będę nauczycielem nurkowania, a Hem będzie się przyglądał i zapisywał ci punkty.
- Proszę, tylko nie to – odparłam, próbując się roześmiać.
- No to najpierw trochę poćwiczysz.

Odwróciła się i poszła do miejsca, gdzie leżały wysokie zwały brązowych głazów. Były bardzo ciemne, pełne szczelin i wyglądały, jakby jakiś bóg ulepił je z gliny, a potem przez tysiąclecia suszył na słońcu. Gorące kamienie piekły nas w stopy, wspinałyśmy się więc szybko, aż znalazłyśmy się na szczycie.

Pauline wychyliła się przez krawędź spojrzała na fale bijące piętnaście stóp poniżej.

- Skaczesz wtedy, kiedy słyszysz ten szum.

Wyprostowała się, ułożyła zgrabnie ręce ponad głową, chwilę odczekała, i równo z szumem postrzępionej fali odbiła się, zawisła w powietrzu i poleciała w dół, wysoka i prosta jak strzała. Woda zamknęła się nad nią i nic nie było w tym miejscu, tylko gładka tafla, jak skóra na powierzchni bębna. Potem Pauline wypłynęła, odgarnęła do tyłu włosy i krzyknęła:

- Dobra! Teraz ty!

– Wygląda zbyt prosto, żeby było proste – zawołałam i Pauline się roześmiała.

Ernest wszedł do wody i pod nawisem skalnym podpłynął do Pauline unoszącej się jak korek na wodzie.

– Zobaczmy, jak ci idzie – powiedział, machając w wodzie rękami i starając się utrzymać w miejscu.

– Żadnych punktów i żadnych korekt, bo w ogóle nie skoczę – zagroziłam.

– Nie chcesz zrobić tego poprawnie? – zdziwił się Ernest.

– Prawdę mówiąc, nie. Wystarczy mi, jeśli się nie roztrzaskam o skały na dole.

– Jak chcesz.

Stałam na samym skraju, czując pod stopami gorącą skałę. Zamknęłam oczy.

– Powinnaś wyciągnąć ręce prosto do góry, żeby dotykały uszu – zawołała Pauline.

– Żadnych korekt – odkrzyknęłam. Stałam wyprostowana, z rękami ponad głową. Czekałam na narastający szum, ale kiedy go usłyszałam, okazało się, że nie mogę się ruszyć. Czułam się jak przymurowana.

– No widzisz, spóźniłaś się – powiedział Ernest.

Nie odpowiedziałam i nie otworzyłam oczu. Zawrót głowy, kiedy znowu usłyszałam dźwięk zbliżającej się fali, czułam się jej częścią, kłębiłam się z nią i jednocześnie tkwiłam nieruchomo, porwana, włączona w morze i wszechświat, ale również bardzo, bardzo samotna. Kiedy w końcu spojrzałam w dół, wśród powoli kołyszących się fal zobaczyłam dwie mokre głowy. Wyglądali jak pogrążeni w zabawie, naturalnie jak foki, i wtedy zdałam sobie sprawę, że nie skoczę i to nie ma nic wspólnego ze strachem czy możliwą kompromitacją.

Nie skoczę, ponieważ nie chcę być z nimi. Kiedy schodziłam powoli, niewidowiskowo, czułam gładki i gorący kamień pod stopami.

– Hadley – zawołał Ernest, ale nie odwróciłam się. Szłam przed siebie, coraz dalej od plaży, coraz bliżej hotelu. Kiedy wróciłam do pokoju, zmyłam z siebie piasek i jeszcze mokra, czysta i bardzo zmęczona, położyłam się do łóżka i zasnęłam. Pościel była biała i sztywna, pachniała solą. Zamykając oczy, powiedziałam życzenie,

żebym budząc się, czuła się równie silna i pewna tego, co należy zrobić, jak w chwili zasypiania.

Kiedy po długim czasie się obudziłam, zorientowałam się, że Ernest nie wrócił na sjęstę do pokoju, czyli musiał pójść do Pauline. Po raz pierwszy poszedł do niej w ciągu dnia. Madame i monsieur, właściciele hotelu, dowiedzą się o tym, podobnie jak wszyscy inni. Sprawa wyszła na jaw i teraz nie ma już powrotu do tego, co było. W porządku, pomyślałam, może to i lepiej.

Właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Ernest. Pauline pojawiła się za nim.

– Martwiliśmy się o ciebie – powiedziała.

– Nie jadłaś lunchu. Masz gorączkę? – spytał Ernest. Podszedł i usiadł koło mnie na łóżku, a Pauline przycupnęła po drugiej stronie i przyglądali mi się, jakby byli moimi rodzicami. Było to bardzo dziwne i tak absurdalne, że się roześmiałam.

– Z czego się śmiejesz? – rzekła Pauline.

– Z niczego – odparłam, uśmiechając się.

– Potrafi być tajemnicza, prawda? – powiedziała Pauline do Ernesta.

– Nie, prawdę mówiąc, nie bardzo. Ale teraz jest tajemnicza.

O czym myślisz, kocie? Dobrze się czujesz?

– Może nie. Myślę, że przez resztę wieczoru powinnam sobie odpocząć. Masz coś przeciwko temu?

Pauline zrobiła zboląłą minę. Uświadomiłam sobie, że naprawdę martwiła się o mnie i że z jakiegoś powodu – może to wynik katolickiego wychowania – pragnęła, bym pozostała jej przyjaciółką, była zadowolona i bym wszystko aprobować. Na przykład to, że zabiera mi męża.

– Idźcie sobie, proszę – powiedziałam.

Spojrzeli na siebie ponad moją głowę.

– Naprawdę, proszę o to – powtórzyłam.

– Poproszę madame, żeby przyniosła ci coś do jedzenia – rzekł Ernest. – Zachorujesz, jeśli przestaniesz jeść.

– Świetnie. Nie zależy mi.

– Ja coś przyniosę. Chętnie to zrobię – zaoferowała się Pauline

i wyszła się zająć posiłkiem, tak jak zrobiłaby to żona.

– No, to pałeczka została przekazana – powiedziałam, kiedy tylko drzwi się za nią zamknęły.

– Co?

– Teraz ona wszystkim się zajmie. Możesz być pewien, że odpowiednio się tobą zaopiekuje.

– Źle się czujesz. Odpocznij.

– Masz rację, źle się czuję. Dobijacie mnie, obydwójce.

Ernest spuścił wzrok.

– Mnie też nie jest łatwo.

– Wiem. Wszyscy jesteśmy żałośni. Jeśli nie będziemy ostrożni, nie wyjdziemy z tego cało.

– Też mi to przychodziło na myśl. Czego oczekujesz? Co mogłoby ci pomóc?

– Chyba już za późno, nie sądzisz? – spojrzałam przez okno, za którym szybko zapadał zmrok. – Musisz się pospieszyć, bo spóźnisz się na koktajl do Murphych.

– Mam to w nosie.

– Nie masz, ani ty, ani ona. Idźcie. Będzie dziś twoją żoną.

– Nie cierpię, kiedy tak mówisz. Wtedy wydaje mi się, że wszystko zepsuliśmy.

– Bo to prawda, Tatie – odparłam ze smutkiem i zamknęłam oczy.

Chciałabym powiedzieć, że to był koniec. To, co tego dnia wyszło na jaw, zmusiło nas do całkowitego porzucenia dotychczasowego stanu rzeczy. Umieraliśmy w męczarniach, to oczywiste, ale jednak ciągnęliśmy to przez całe tygodnie, tak jak zwierzę, które rusza się jeszcze, nawet kiedy straci głowę.

W następnym tygodniu zaczynała się fiesta w Pampelunie. Na samym początku lata zaplanowaliśmy, że zabierzemy ze sobą Geralda i Sarę Murphey i zrealizowaliśmy ten plan. Bumby wyjechał w tym czasie na kilka tygodni z Marie Cocotte do Bretanii. Jego kaszel całkowicie zniknął.

Tego roku zatrzymaliśmy się w hotelu „Quintana”. Nasze pokoje było dokładnie naprzeciw pokoiów toreadorów. Co dzień po południu zajmowaliśmy najlepsze miejsca, za które płacił Gerald. Co wieczór siadaliśmy przy stole w kawiarni „Iruna”, na ciemnych wiklinowych fotelach, i piliśmy do upojenia. Ernest był takim *aficionado** jak zwykle i zajął się dokształcaniem Geralda i Pauline, podobnie jak robił to w moim przypadku, i Duff, i Billa Smitha, i Harolda Loeba, i Mike’a Stratera, i każdego, kto tylko chciał go słuchać. Gerald bardzo poważnie podchodził do zdobywania wiedzy na temat korridy. Ernest namówił go na amatorską walkę i poszli razem na ring zmierzyć się z rocznymi bykami. Tym razem Ernest miał walczyć gołymi rękami, a Gerald ścisnął co sił w rękę deszczowiec. Kiedy Geralda zaatakował pędzący byk, nerwowym ruchem przesunął deszczowiec i w ostatniej chwili udało mu się skierować zwierzę w bok.

– Doskonała *verónica*, staruszkę – pochwalił go później Ernest w kawiarni „Iruna”, ale Gerald dobrze wiedział, że i tak w oczach Ernesta nie jest dość twardy ani silny. Nie wierzył mu i nie chciał przyjąć tej pochwały.

– Obiecuję, Tatusiu, że w przyszłym roku się poprawię – powiedział. – Zależy mi, żeby zrobić to naprawdę dobrze.

Uśmiechnęłam się do Geralda siedzącego po drugiej stronie stołu, ponieważ od miesięcy niczego nie zrobiłam naprawdę dobrze. Czułam się smutna aż do szpiku kości, i Ernest również, a Pauline też wyglądała

tak, jakby w każdej chwili miała wybuchnąć płaczem. Porzuciliśmy naszą grę. Nikt z nas nie żył zgodnie ze stawianymi sobie wymaganiami.

Pod koniec tego chaotycznego tygodnia Pauline razem z Murphymi wsiadła do pociągu do Bayonne. Wracała do Paryża, do pracy. My jechaliśmy do San Sebastian, ponieważ to właśnie zawsze planowaliśmy zrobić. W pewnym momencie zdałam sobie jednak sprawę, że plany nie dadzą się utrzymać. Każdy dzień będzie klęską.

Bez Pauline w San Sebastian było nieco spokoju, co naprawdę znaczyło tylko tyle, że łatwiej, bez przeszkód mogliśmy się kłócić. Nic nowego nie mieliśmy sobie do powiedzenia, ale stare zarzuty nadał były aktualne, jeśli tylko wykrzyczało się je wystarczająco głośno i brutalnie.

- To dziwka – mówiłam mu. – A ty jesteś samolubnym tchórzem.
- Nie kochasz mnie. Niczego nie kochasz – ripostował.
- Nienawidzę was obojga.
- Czego chcesz ode mnie?
- Niczego. Chciałabym, żebyś umarł.

Kompromitowaliśmy się w kawiarniach i taksówkach. Jeśli nie popiliśmy porządnie, nie mogliśmy spać, ale jeśli wypiliśmy za dużo, w ogóle nie mogliśmy zasnąć i tylko leżeliśmy obok siebie, z oczami suchymi, zaczerwienionymi od płaczu i z gulą w gardle.

Pauline co dzień pisała i jej głos brzmiał w moich uszach jak bzyk osy: *Niepomiernie tęsknię za moimi umiłowanymi. Proszę, napisz do mnie, Hadley. Wiem, że możemy dbać o siebie nawzajem i być szczęśliwi. Po prostu to wiem.*

– Nie możemy żyć już tak dłużej, prawda? – powiedział Ernest, biorąc do ręki jeden z listów Pauline. – A może myślisz, że możemy?

- Mam nadzieję, że nie.
- Świat diabli wzięli.
- Owszem.
- Organizujesz sobie życie z kimś, kogo kochasz, i myślisz, że to wystarczy. Ale to nigdy nie wystarczy, prawda?
- Skąd mam wiedzieć? Już nic nie wiem o miłości. Chcę tylko na jakiś czas przestać czuć cokolwiek. Czy tego nie da się zrobić?

- Po to jest whisky.
- No to mnie zawodzi. Jestem cała obolała.

- Wracajmy do domu.
- Najwyższy czas. Ale nie razem. To już koniec.
- Wiem – odparł.

Spojrzelśmy na siebie i zobaczyliśmy wszystko wyraźnie, i przez długi czas nie mogliśmy nic powiedzieć.

W drodze do Paryża zatrzymaliśmy się na noc w „Villi America”, ale przestaliśmy próbować cokolwiek udawać, nawet sami przed sobą. Przy koktajlu na plaży powiedzieliśmy Geraldowi i Sarze, że się rozstajemy.

- Niemożliwe – skomentował Gerald.
- Możliwe. Nawet pewne – odparł Ernest, osuszając kieliszek. – Ale nie żałuj nam tego, dobrze?

Sara spojrzała na mnie ciepło – na tyle ciepło, na ile potrafiła – i wstała, żeby zamieszać następną porcję martini w shakerze.

- Jak to planujecie? Gdzie będziecie mieszkać? – spytał Gerald.
- Jeszcze tego nie przemyśleliśmy – odparłam. – To świeża sprawa.

Gerald przez chwilę spoglądał zamyślony na morze, a potem powiedział Ernestowi:

- Mam studio na rue Froidevaux. Jeśli chcesz, może być twoje. Na jak długo będziesz potrzebował.
- To bardzo miło z twojej strony.
- W końcu po to są przyjaciele, żeby można było na nich liczyć, nie mam racji?

Kiedy wróciła Sara, przyprowadziła ze sobą Dona Stewarta i jego ładną żonę, Beatrice Ames. W hotelu w miasteczku spędzali miesiąc miodowy.

– Donald – powiedziałam i objęłam go serdecznie, ale jego twarz pozostała blada i wyglądał na skрэpowanego, podobnie jak Beatrice. Najwyraźniej w drodze na plażę Sara zdążyła im przekazać wieści na nasz temat. Była szybka.

Doniesiono więcej krzeseł i ustawiono wokół mozaikowego stołu na piasku. Wszyscy piliśmy i patrzyliśmy, jak nadciąga zmierzch.

– Kiedyś uważałem, że jesteście niezniszczalni – powiedział Donald.

– Wiem – westchnął Gerald i spoglądając na Sarę, dodał: – Czy nie powtarzałem zawsze, że Hemingwayom małżeństwo wychodzi lepiej niż wszystkim innym? Wydawało się, że podczepili się do jakiejś wyższej wartości.

– Dobra, dobra – przerwał im Ernest. – Zostawcie to epitafium, dobrze? Już i bez tego kiepsko się czujemy.

– Porozmawiajmy na odmianę o szczęściu – zaproponowałam. – Opowiedz nam o ślubie, Don.

Don zaczerwienił się i rzucił okiem na Beatrice. Była to bardzo ładna dziewczyna, z wysokim czołem i czerwonymi ustami w kształcie łuku. Trochę się zmieszala.

– Chyba nie powinniśmy o tym rozmawiać – powiedziała. – Wydaje się to nie na miejscu.

– Och, przyzwyczaisz się – rzekł Ernest. Miał zaciśnięte, spieczone usta i rezygnację w oczach. Widziałam, że jak dla niego sytuacja rozwija się zbyt szybko, ale udaje, że wszystko jest w porządku, pijąc dżin i uczestnicząc w niefrasobliwej rozmowie. O tym, że nasz związek się rozpada, wiadomo było od miesięcy, od pobytu w Schruns, ale teraz, kiedy nastąpił definitywny koniec, nie wiedzieliśmy, co właściwie robić.

Dopiero następnego popołudnia, siedząc w pociągu do Paryża, z całą mocą uderzyło nas to, co się stało. Dzień był duszny i nieznośnie gorący, pociąg nabity. Przedział sypialny dzieliliśmy z Amerykanką, która wiozła ozdobną klatkę z małym żółtym kanarkiem. Ledwie powiedzieliśmy „dzień dobry”, kobieta rozpoczęła długą i skomplikowaną opowieść, jak to kanarek jest prezentem od córki, która zaręczyła się z inżynierem ze Szwajcarii, ale ona – to znaczy matka – wkroczyła i położyła kres temu związkowi.

– Od razu się zorientowałam, że muszę go odprawić z kwitkiem – powiedziała. – Wiecie państwo, jacy są ci Szwajcarzy.

– Oczywiście – przyświadczył Ernest przez zaciśnięte usta. Naturalnie nie miał pojęcia, o co chodziło tej kobiecie. – Wybacz pani, pójdę po tragarza.

Wrócił z butelką brandy i zaczęliśmy ją razem popijać ze szklanek do wody z przedziału.

Przejeżdżaliśmy wówczas koło Marsylii. Widziany przez okno

krajobraz był zakurzony i biało-szary: oliwki, gospodarstwa, murki ogradzające pola i odległe wzgórza. Wyglądał na nieco sprany, a kobieta cały czas gadała o małżeństwie i o tym, że ma nadzieję, iż córka jej przebaczy. Wypiłam swoją porcję brandy, a potem jeszcze jedną i próbowałam jej nie słuchać. Kanarek ładnie ćwierkał, ale jego też nie miałam ochoty słuchać.

Wieczorem nasza współpasażerka w końcu zamknęła oczy. Wkrótce jej duża głowa zaczęła się kiwać i rozległo się chrapanie. Dojeżdżając do Awinionu, mijaliśmy płonące gospodarstwo stojące pośród wyschniętych pól. Widzieliśmy płomienie strzelające w ciemniejące niebo i przerażone owce biegające bezładnie za ogrodzeniem. Ludzie musieli szybko zauważyć niebezpieczeństwo, ponieważ na dworze, z dala od domu, stały wyniesione meble. Mężczyźni uwijali się, usiłując ocalić, co się da. Widziałam różową emaliowaną balię, fotel na biegunach, wózek dziecięcy przewrócony na bok – i to wszystko robiło bardzo smutne wrażenie. Oto czyjeś życie, meble rozrzucone jak zapałki. Nie wyglądały na uratowane, ale na opuszczone. A obok dym unosił się w niebo wielkimi chmurami.

Do Paryża przyjechaliśmy nad ranem. Ernest i ja spaliśmy bardzo mało i równie mało ze sobą rozmawialiśmy. Głównie piliśmy i wyglądaliśmy przez okno; wydawało się, że nie ma końca obrazom zniszczenia. Tuż przed miastem, koło Choisy-le-Roi, dymił na torach przewrócony na bok, zmiażdżony wagon bagażowy.

– Czy naprawdę mamy zamiar to zrobić? – powiedziałam do Ernesta.

– Nie wiem, jak myślisz?

Wtedy właśnie obudziła się Amerykanka, przeciągnęła się hałaśliwie i zdjęła aksamitną narzutkę z klatki, żeby zbudzić kanarka. W jakiś sposób zrobiło się rano, a my wróciliśmy do domu, choć wcale tego tak nie odczuwaliśmy. Wypiłam tyle brandy, że dostałam skurczu w dłoniach i serce tępo waliło w klatce piersiowej.

Kiedy wjechaliśmy na stację, Ernest podał tragarzowi przez okno walizki i wyszliśmy na peron. Zbliżał się wrzesień i ranek był rześki i wilgotny.

Już w taksówce Ernest powiedział:

– Ulica Froidevaux sześćdziesiąt dziewięć – a ja straciłam oddech. Jechał do studia Geralda, nie ze mną do domu. Najwyraźniej nie miał do czego wracać. To naprawdę koniec.

– Dlaczego nie prosto do mieszkania Pauline? – spytałam.

– Proszę, nie zaczynaj. To jest i tak wystarczająco bolesne.

– Co ty możesz wiedzieć o bólu? To twoje dzieło, ty sukinsynu!

Sama nie wiedziałam, co mówię. W moich żyłach krążyła brandy i zaciemniała mi myśli. Przez chwilę pewna byłam tylko tego, że nie mogę zostać sama. Zaczęłam głęboko oddychać, a kiedy zaniepokojony Ernest zbliżył się do mnie, uderzyłam go dłonią. Biłam go po klatce piersiowej, po ramionach, po twarzy. Uderzenia lądowały na jego ciele dziwnie, zupełnie jak w snach. Miałam wrażenie, że moja ręka jest jakaś elastyczna, podobnie zresztą jak całe ciało. Rozpłakałam się i nie mogłam przestać.

– Proszę wybaczyć mojej żonie – powiedział Ernest po francusku do taksówkarza. – Nie czuje się dobrze.

Kiedy auto się zatrzymało, Ernest wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwiczki z mojej strony.

– Chodź – rzekł. – Musisz się przespać.

Idąc sztywno, jak manekin, pozwoliłam się zaprowadzić po schodach na górę. W studiu była zimna betonowa podłoga, jeden stół, dwa krzesła, miska na niskim stojaku i dzbanek. Ernest podprowadził mnie do niskiego łóżka, położył na nim i przykrył kocem aż po samą brodę, a potem sam położył się obok, objął mnie mocno ramieniem i przytulił się mocno do moich pleców.

– No, kocie – powiedział. – Zaśnij teraz.

Zaczęłam się trząść.

– Nie róbmy tego. Nie mogę.

– Ależ możesz. To już się stało, kochanie.

Kołysał się razem ze mną i razem płakaliśmy. W końcu zasnęłam, ale nie tyle poddałam się senności, ile zostałam przez sen opanowana, jak przez chorobę lub śmierć.

Kiedy po kilku godzinach się obudziłam, jego już nie było. Od brandy kręciło mi się w głowie i czułam mdłości, ale nie tylko od alkoholu. Moje życie legło z gruzach, jak mam sobie poradzić? Jak przez

to przejść? Kawałkiem węgla napisałam list na kartce ze szkicownika. Był w spokojnym tonie, bardzo opanowany – nie wierzyłam, że sama kiedyś będę się tak czuła.

Przepraszam za scenę w taksówce. Straciłam głowę, ale będę zachowywać się rozsądnie. Chcę się z Tobą zobaczyć, lecz nie będę Cię szukać.

Wyszłam z pracowni, zamykając drzwi, i usiadłam na dziedzińcu na kamiennej ławce otoczonej rdzawymi chryzantemami. Ściany budynków po obu stronach obrośnięte były bluszczem. To właśnie zobaczy Ernest, wyglądając przez okno – nowy widok, który nie ma nic wspólnego ze mną. Kiedy wsiadałam do taksówki, miałam nadzieję, że ta straszna myśl nie nadłamię mojej determinacji. Wybierałam się do hotelu „Beauvoir” na avenue de l’Observation. To było pierwsze miejsce, jakie przyszło mi na myśl, ponieważ znajdowało się na wprost „Closerie des Lilas” i setki razy przyglądałam się mu i podziwiałam proste, porządne metalowe kraty i doniczki z geranium. Jakoś muszę to przeżyć. Wynajmę dwa pokoje, jeden dla siebie i jeden dla Bumby’ego. W przyszłym tygodniu miał wrócić z Marie Cocotte z Bretanii. Napiszę do niej, żeby tu przyjechała. Co dzień będziemy chodzić na śniadanie do „Lilas”. Będzie tam widywał ojca i naszych przyjaciół i nie będzie czuł się obco – a to w końcu jest teraz najważniejsze.

Panował duży ruch i taksówka jechała powoli. Zamknęłam oczy i próbowałam nie myśleć o niczym innym, tylko o *café crème*, której się wkrótce napiję. Postaram się, żeby to trochę trwało, a potem zrobię następne, co mi przyjdzie na myśl. Wszystkie moje rzeczy były w mieszkaniu nad tartakiem i trzeba się będzie tym zająć. Poproszę Ernesta, żeby zrobił to sam albo kogoś wynajął, bo wiedziałam, że tam nie pójdę. Nigdy. I nie poszłam.

* *Aficionado* – entuzjasta.

Ernest powiedział mi kiedyś, że słowo *paradise* pochodzi z języka perskiego i oznacza „ogród otoczony murem”. Zdałam sobie wtedy sprawę, jak ważne dla naszego szczęścia są obietnice, które sobie złożyliśmy. Nie można mieć prawdziwej wolności, jeśli się nie wie, gdzie jest ogrodzenie, i jeśli się nie dba o nie. Mogliśmy oprzeć się o mur, ponieważ istniał; istniał, ponieważ się o niego opieraliśmy. Z pojawieniem się Pauline mur zaczął się walić. Nic już nie wydawało się nienaruszone, trwałe – prócz przeszłości, którą mieliśmy za sobą, prócz tego, co razem zrobiliśmy i przeżyliśmy.

Powiedziałam o tym pewnego razu Donowi Stewartowi w „Deux Magots”. Wrócili już z Beatrice do Paryża i wpadł do mnie, zmartwiony i przygnębiony rozpadem mojego małżeństwa.

– Nienawidzę być przygnębiona – powiedziałam – ale w przyszłym tygodniu wypada nasza piąta rocznica. Albo raczej wypadałaby. Ernest ma fatalne wyczucie czasu.

– Mogłabyś o niego walczyć.

– Za późno. Pauline naciska, by zażądał rozwodu.

– Jeśli nie zrobisz nic teraz, to co będzie później?

Wzruszyłam ramionami i spojrzałam przez okno na śliczną kobietę w kostiumie Chanel czekającą na kogoś na rogu ulicy. Przypominała smukły prostokąt z kapeluszem jak guzik, a przy tym wcale nie wyglądała na kruchą istotę.

– Nie bardzo mogę z nią współzawodniczyć.

– Dlaczego miałabyś współzawodniczyć? Jesteś jego żoną.

Zgodnie z prawem należy do ciebie.

– Ludzie należą do siebie, jak długo oboje w to wierzą. A on przestał.

– Może po prostu jest straszliwie zdezorientowany?

Don odprowadził mnie do hotelu i na pożegnanie pocałował delikatnie w policzek. Przypomniało mi się nagle to straszne lato w Pampelunie z Duff, Patem i Haroldem, kiedy emocje się kotłowały i sytuacja była niemożliwa. Ale nawet wtedy zdarzały się krótkie chwile szczęścia.

– Zawsze byłeś dla mnie dobry, Don – powiedziałam. – Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

– Jeśli wolisz, zapomnij, co powiedziałem w kawiarni. Nie chcę ci mówić, co masz robić ze swoim małżeństwem. Do diabła, sam dopiero co się ożeniłem. Ale musi być jakieś wyjście.

Pożegnałam się z nim i powoli weszłam na trzecie piętro. Bumby spał, a Marie sprawnie składała jego ubrania na równiutkie kupki. Odesłałam ją do domu i sama skończyłam składanie, zastanawiając się, czy mogę zrobić cokolwiek, co by zmieniło sytuację z Ernestem. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to że jeśli Pauline nie byłoby w pobliżu i nie mógłby jej widzieć, może wróciłby do mnie. Nadal mnie kochał, wiedziałam to. Ale obecność tej dziewczyny była jak syrenia pieśń – nie mógł z nią walczyć.

Następnego dnia podjęłam decyzję i poszłam do studia Geralda przy rue Froidevaux. Minęłam mały dziedziniec przypominający pole bitwy usiane gipsowymi kończynami. Zastałam Ernesta przy pracy. Siedział przy małym stole i pisał. Ja nie usiadłam. Nie mogłam.

– Chcę, żebyście z Pauline zgodzili się nie widywać przez sto dni – oświadczyłam.

Milczał zaskoczony.

– Wszystko mi jedno, gdzie pojedzie – jeśli o mnie chodzi, może zarezerwować sobie miejsce na prom do piekła – ale musi wyjechać. Nie będziesz się z nią widział ani do niej pisał. Jeśli wytrzymasz to i po stu dniach nadal będziesz ją kochał, dam ci rozwód.

– Rozumiem. A jak wpadłeś na ten błyskotliwy pomysł?

– Nie wiem. Podsunęło mi to coś, co powiedział Don Stewart.

– Don? Zawsze uganiał się za tobą.

– W twojej sytuacji nie bardzo masz prawo go sądzić.

– Dobrze, w porządku. Sto dni? I potem dasz mi rozwód?

– Jeśli jeszcze będziesz chciał.

– A czego ty chcesz, Tatie?

– Lepiej się poczuć. – Miałam wilgotne oczy i z trudem powstrzymywałam łzy. Wręczyłam mu kartkę z naszą umową, podpisaną. – Podpisz też. Chcę, żeby sprawa była jasna.

Wziął ją z powagą.

- Próbujesz mnie ukarać, prawda?
- Nie wiem. Niczego już nie jestem pewna.

Zabrał umowę do Pauline, powiedział jej, o co chodzi, a ona – o dziwo – od razu się zgodziła. To chyba mocna katolicka żyłka skłoniła ją do przyjęcia roli męczennicy. Możliwe, że uważała, iż trzy miesiące próby to całkiem rozsądna prośba ze strony porzuconej żony, ale równie możliwe, iż wydawało jej się, że nie dość cierpiała w imię upragnionego związku. Rozstanie miało to nadrobić. Napisała mi, że podziwia moją decyzję i jej ufa, a potem wzięła wolne w redakcji czasopisma i zabukowała bilet na „Pennland” płynący do Stanów Zjednoczonych.

W ciągu jedenastu dni od napisania umowy Pauline zniknęła jeśli nie z naszego życia, to przynajmniej z Paryża.

– Czy mogę do niej napisać teraz, kiedy jest na statku? – spytał. – Czy to dozwolone?

– W porządku, ale wówczas sto dni będzie się liczyło od przybycia do Nowego Jorku.

– Uważasz się za królową, co? Dyktujesz prawo.

– Nie musiałeś się zgadzać.

– To prawda.

– To nie złośliwość – powiedziałam łagodnie. – Próbuję tylko ocalić swoje życie.

Ernest zawsze nienawidził samotności – a wyjazd Pauline uczynił go nie tylko samotnym, ale i bardzo bezbronnym. Po kilku dniach wieczorem pokazał się w drzwiach mojego pokoju. Właśnie skończył pisać i w oczach miał ten wyraz, który pojawiał się zawsze, kiedy zbyt długo przestawał z wytworami swojej wyobraźni i potrzebował rozmowy.

– Jak się dziś pracowało, Tatie? – spytałam, zapraszając go do środka.

– Czuję się, jakbym wyrąbywał sobie drogę w granicie – odparł. – Można tu dostać drinka?

Wszedł do jadalni, gdzie Bumby jadł chleb z bananami. Usiadł przy stole i czułam, że wszyscy, nawet Bumby, cieszymy się z bycia razem. Przy jednym stole.

Wyciągnęłam butelkę wina i napiliśmy się, a potem zjedliśmy

prosty obiad.

– „Scribner’s Magazine” płaci mi sto pięćdziesiąt dolarów za opowiadanie – powiedział.

– To dużo pieniędzy, prawda?

– Nie wiem. Może nie powinnaś tego czytać. To o naszej podróży powrotnej z Antibes z tą kobietą z kanarkiem. Może być dla ciebie przykre.

– No to nie przeczytam – rzekłam, zastanawiając się, czy płonąca farma koło Awinionu też znalazła się w opowiadaniu, i powyginany dymiący wagon. – Chcesz wykąpać dziecko?

Podwinął rękawy i wyjął wanienkę, a potem siedział w kucki na podłodze, podczas gdy Bumby bawił się, chlapiąc w wodzie.

– Już wyrósł z wanienki, prawda? – zauważył.

– Za kilka tygodni skończy trzy lata. Powinniśmy wydać dla niego przyjęcie ze śmiesznymi kapeluszami i lodami truskawkowymi.

– I balonami – dodał Bumby. – I małpką.

– Sam jesteś małpką, Schatz – powiedział Ernest, wyciągając go z wody i zawijając w wielki ręcznik.

Kiedy ułożyłam już dziecko spać i wróciłam do pokoju, Ernest nadal siedział przy stole.

– Nie chcę pytać, czy mogę zostać – rzekł.

– Więc nie pytaj.

Zgasiłam lampę, podeszłam do stołu i uklękłam przed nim. Z czułością przygarnął moją głowę, a ja przytuliłam twarz do jego spodni. Wdychałam zapach szorstkiej tkaniny nowych spodni – pewnie kupił je razem z Pauline, żeby nie wstydziała się go przed przyjaciółmi z Prawego Brzegu. Przycisnęłam się mocniej, a potem przesunęłam dłońmi po jego łydkach.

– Chodź – powiedział, próbując wstać, lecz nie ruszałam się z miejsca. Może to była przewrotność, ale chciałam go mieć na moich warunkach i zatrzymać go, póki nie minie mi ten okropny ścisk w żołądku. W końcu ciągle był moim mężem.

Kiedy zbudziłam się rano, spał obok mnie. Przytuliłam się do jego pleców i masowałam go dłonią po brzuchu, aż się zbudził i znowu się kochaliśmy. Pod pewnymi względami było tak, jakby nic się nie

zmieniło. Tak dobrze znaliśmy nasze ciała, że nie musieliśmy się zastanawiać, co robić. Ale kiedy było już po wszystkim i leżeliśmy obok siebie, poczułam wielki smutek, ponieważ kochałam go tak mocno, jak zawsze. Jesteśmy jedną osobą, pomyślałam, ale to nie była prawda. Przez całe lata zawsze podkreślał, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. Nawet upodobniliśmy się do siebie wyglądem: krótkie włosy, opalone, zdrowe, zaokrąglone twarze. Ale podobny wygląd wcale nie świadczył, że nie jesteśmy samotni, on i ja.

– Czy to coś znaczy? – spytałam, starając się na niego nie patrzeć.

– Wszystko coś znaczy. – Chwilę milczał, a potem dodał: – Wiesz, ona się bardzo męczy.

– Każdy z nas, nie tylko ona. Widziałeś wczoraj buzię syna? Schatz był tak szczęśliwy, że jesteś w domu. Dziecko musi być bardzo pogubione.

– Wszyscy jesteśmy zagubieni. – Westchnął, przewrócił się na bok i zaczął się ubierać. – Pfife uważa, że słusznie próbujesz uporządkować jakoś to bagno, które zrobiliśmy z naszego życia, ale ona się sypie psychicznie i ja też.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Uważasz, że co mam czuć?

– Nie wiem. Ale jeśli nie powiem tobie, to komu?

Jak tylko wspomniał o naszym rozstaniu Murphym, Gerald podał pomocną rękę. Dlaczego? Wyciągnął to studio jak królika z kapelusza, znalazły się też pieniądze. Ernest mógł pobierać je z konta Murphych.

– Nie chodzi o małżeństwo – wyjaśnił Gerald, wysuwając tę propozycję, kiedy we dwóch siedzieli nad drinkiem. – Nie wiem, co bym zrobił bez Sary, ale ty jesteś inny, zatem inne są reguły. Zapiszesz się w historii. Już to zrobiłeś. Twoje nazwisko jest na kartach historii i musisz iść do przodu, nie możesz odwracać się do tyłu.

– Co masz przeciwko Hadley?

– Nic. Cóż mógłbym mieć? Jedzie z inną szybkością, i tyle. Jest ostrożniejsza.

– A ja mam być rzezimieszkiem. To masz na myśli?

– Nie. Tylko uparty.

– Cały czas mnie wspierała.

– Owszem, i robiła to świetnie. Ale teraz czas na coś innego, nowego. Teraz musisz patrzeć w przód. Wiem, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Nieczęsto czuł, że Gerald mu pochlebia, ale teraz, kiedy „Sun” był za nim, a tyle jeszcze przed nim, miał wrażenie, że dużo musi poświęcić. Nie wiedział jeszcze co, ale wiedział, że będzie mu z tym ciężko.

Pfife miała mnóstwo pomysłów na przyszłość. Już zorganizowała ślub; przypuszczalnie planowała to od samego początku. Jakoś doszła do porozumienia z Bogiem albo własnym sumieniem.

– Powiedz, że mnie kochasz – rzekła po raz pierwszy, kiedy był

w niej.

– Kocham cię.

Była umięśniona i silna, i miło było mieć ją w łóżku, trochę dziką i przekorną, zupełnie inną niż Hadley.

– Bardziej niż ją? Nawet jeśli to nieprawda, chcę, żebyś tak powiedział.

– Kocham cię bardziej.

Odepchnęła go długimi, silnymi nogami i usiadła na nim, opierając dłonie o jego klatkę piersiową. Spojrzała mu prosto w oczy swoimi ciemnymi, namiętymi oczyma.

– Powiedz, że żałujesz, że nie spotkałeś mnie pierwszej – zażądała.

– Żałuję.

– Teraz będę twoją żoną. Jediną.

Miała minę jakby nieobecna, a jednocześnie dziką, co go nieco przestraszyło. Pewnie prowadziła z nim wspólne życie w wyobraźni, bo jak inaczej mogła wytrzymać sama ze sobą i jednocześnie być przyjaciółką Hadley? W Schruns przyglądał się im, jak siedziały koło siebie przy kominku, śmiejąc się i rozmawiając. Miały tak samo założoną nogę na nogę, takie same skarpetki i alpejskie kapcie. Nie były siostrami, w ogóle nie były do siebie podobne. Jedyne, co je naprawdę łączyło – to on.

Nie spał dobrze i wróciły koszmary. Czasami w środku nocy myślał o kobietach, które kochał w swoim życiu. Przypominał sobie, jak próbował przypodobać się matce, i jakie to było straszne. Mówił na nią Fłodka i wymyślał dla niej piosenki, a gdy zabrała go ze sobą do

Bostonu, kiedy miał dziesięć lat, był taki dumny z tego, że siedział koło niej w wagonie restauracyjnym i na śnieżnobiałej serwecie jadł trójzębnym widelcem sałatkę z kraba. Ale wkrótce po powrocie do domu przyszło na świat następne dziecko, a po nim jeszcze jedno, a zresztą on już był zbyt duży, żeby tak desperacko ją kochać. Zabijał tę desperację powoli i świadomie, przypominając sobie, że mimo czułości była zmienna i krytyczna i że nie mógł jej ufać.

Ten sposób nie zawsze skutkował. Czasami kobieta pozostawała tajemnicza i niesforna, jak Kate, a kiedy indziej wchodziła w duszę i nie można było się jej pozbyć. Hadley była najlepszą kobietą, jaką znał, zbyt dobrą dla niego. Zawsze tak uważał i nie zmieniał zdania, nawet kiedy zgubiła walizkę z maszynopisami. Nigdy nie pozwalał sobie wspominać tamtego dnia. To było najgorsze doświadczenie w jego życiu. Rana na wojnie to jedno. Dotknęła jego ciała i zbudziła w nim strach i przerażenie. Nadal w nim tkwiła, jak szrapnel pogrążony głęboko w mięśniach. Ale efekt pracy – to był on. Kiedy zniknął, poczuł się kompletnie pusty, jakby był powietrzem – bolące miejsce, a wokół poczucie nicości.

Potem nadal kochał Hadley. Nie mógł i nie chciał przestać jej kochać, ale ona coś w nim zabiła. Dawniej miał punkt oparcia, czuł się z nią bezpieczny i pewny – a potem zaczął się zastanawiać, czy może komukolwiek wierzyć. To było pytanie, na które nie potrafił odpowiedzieć. Czasami wydawało mu się, jakby jego życie opierało się na wybrakowanym filarze, który może runąć. Pauline była jego przyszłością. Złożył obietnicę i zamierzał ofiarować jej wszystko. Jednak sam przed sobą musiał szczerze przyznać, że jej też nie ufał. Tę część miłości stracił na zawsze.

W połowie października Ernest przyszedł z egzemplarzem książki *Słońce też wschodzi*, która właśnie wyszła w Stanach. Z wielką ceremonią rozwiązał sznurek, odwinął ją z papieru pakowego i nieśmiało mi podał. Wewnątrz była dedykacja dla Bumby'ego i dla mnie. Musiał mnie dopisać już po naszym rozstaniu.

– Och, Tatie, to piękna książka. Jestem bardzo dumna.

– Więc podoba ci się dedykacja?

– Bardzo. Jest cudowna.

– To dobrze. Chciałem przynajmniej tyle dla ciebie zrobić.

Wszystko zniszczyłem, gdzie się nie obejrzę, wokół same gruzy.

– Tak – powiedziałam poruszona. – Ale spójrz na to. – Podniosłam książkę. – Spójrz, czego możesz dokonać. To twoje dzieło.

– To my. Nasze życie.

– Nie, to tylko ty, od samego początku. Musiałeś o tym wiedzieć, kiedy to pisałeś.

– Może. – Spojrzał na książkę w moich rękach i odwrócił się do okna.

Robiłam, co się dało, żeby zerwać z dawnymi nawykami i zacząć widywać się ze znajomymi. Miałam kilkoro przyjaciół z dawnych czasów, którzy zaofiarowali swoją pomoc. Ada MacLeish przyszła zabrać mnie na obiad z nadzieją, że to pozwoli mi oderwać myśli. Gertruda i Alice też zaprosiły mnie na podwieczorek, ale wydawało mi się, że nie powinnam odnawiać tej przyjaźni, żeby Ernest nie sądził, że wolę Gertrudę od niego. Lojalność to ryzykowna gra i trudno było się zorientować, kogo mogę uważać za bezpieczną znajomość. Kitty czuła się rozdarta, bo Pauline była jej przyjaciółką, ale ja też; natomiast nigdy nie lubiła Ernesta i nie ufała mu. Kilka razy przyszła do mieszkania, ale prosiła, żebym nie wspominała Ernestowi, że się z nią widziałam.

– Schwytana za linią wroga i tak dalej – mówiła.

– Jak to możliwe, że ja jestem wrogiem, skoro to ona jest tą drugą kobietą? To niesprawiedliwe, nie uważasz?

– Kiedy rozstaliśmy się z Haroldem, czułam się, jakbym wpadła do latryny, tak mnie wszyscy unikali. To trochę potrwa. Po jakimś czasie

wszystko wróci do normy. Po prostu musisz to przetrwać, kochanie.

Któregoś popołudnia, kiedy myślałam, że Bumby śpi, popłakałam się, siedząc przy stole z głową opartą na złożonych rękach. On jednak musiał mnie usłyszeć. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest w pokoju, dopóki nie zapytał:

– Czym się martwisz, mamó?

– Och, Schatz, nic mi nie jest – odparłam, ocierając oczy swetrem.

Ale to nie była prawda. Czułam się bardziej przygnębiona niż kiedykolwiek i coraz trudniej mi przychodziło się mobilizować. Był początek listopada i do setki wyznaczonych dni brakowało mniej niż sześćdziesięciu, kiedy poprosiłam Ernesta, by zastąpił mnie trochę przy Bumby, żebym mogła wyjechać i pomyśleć. Zgodził się, a ja w ostatniej chwili poprosiłam Kitty, żeby mi towarzyszyła. Wybrałam Chartres i powiedziałam jej, że bez niej nie będę w stanie docenić zamku ani cudownego krajobrazu, ale prawdę mówiąc, chodziło o to, że bałam się być sama.

Tuż przed zmrokiem zameldowałyśmy się w „Grand Hôtel de France”. Było nieco chłodno, ale Kitty zaproponowała, żeby przed obiadem przejść się wokół jeziora. Powietrze było rześkie i sylwetki drzew rysowały się ostro.

– Myślałam o mojej przysiędze małżeńskiej – powiedziałam Kitty w połowie spaceru. – Przyrzekłam kochać na dobre i złe, prawda?

– Teraz na pewno jest na złe. – Zmarszczyła brwi. – Szczerze mówiąc, trudno mi było zapomnieć o mojej przysiędze. Wiesz, jak ja to widzę? Nie można chyba mówić, że będzie się kogoś kochać dłużej, niż trwa miłość? Jeśli zaś chodzi o posłuszeństwo, no cóż, po prostu te słowa opuściłam.

– Ja też je opuściłam, ale, o dziwo, jakoś udawało mi się temu podporządkować.

– Kiedy spotkałam Harolda, on też już stracił wiarę w małżeństwo, więc zawarliśmy własną umowę. Mieliśmy być partnerami równymi sobie, jak długo będzie dobrze, a kiedy skończy się miłość, to nasz związek też się skończy.

– Wspaniały pomysł, ale nie wierzę, że można się rozstać w sposób cywilizowany. Wy też tak się nie rozstawaliście.

– To prawda. Ostatnio zastanawiałam się, czy w ogóle zostałam stworzona do ludzkiej miłości. To znaczy tej trwałej.
– Nie wiem, do czego zostałam stworzona.
– Może rozstanie z Ernestem da ci szansę się przekonać?
– Może. – Rozejrzałam się i zauważyłam, że rozmawiając, okrążyliśmy jezioro i znalazłyśmy się dokładnie w miejscu, z którego wyruszyłyśmy.

Po tygodniu spędzonym w Chartres nareszcie zaczęłam jaśniej widzieć. Któregoś dnia rano wysłałam Kitty na samotną wyprawę i napisałam list:

Najdroższy Tatie,

kocham Cię bardziej niż kiedykolwiek i choć różnie ludzie traktują swoje małżeństwo, moje zawsze miało być do śmierci. Jeśli chcesz wiedzieć, jestem gotowa być Twoja na zawsze, ale skoro zakochałeś się i chcesz poślubić kogoś innego, to czuję, że nie mam wyboru, muszę Ci na to pozwolić, usuwając się na bok. Odwołuję naszą umowę dotyczącą stu dni. To był okropny pomysł, czuję się zażenowana. Pauline powiedz, co chcesz. Bumby'ego możesz widywać, kiedy tylko będziesz miał ochotę. Bardzo Cię kocha i tęskni za Tobą. Proszę, w sprawie rozwodu porozumiewajmy się tylko listownie, nie rozmawiajmy o nim. Nie mogę się już więcej z Tobą kłócić i nie mogę się za często z Tobą widzieć, bo to za bardzo boli. Zawsze zostaniemy przyjaciółmi – czułymi, i – o czym dobrze wiesz – będę Cię kochała aż do śmierci.

Na zawsze Twój

Kot

Płakałam, wysyłając list, ale poczułam się lżej. Resztę czasu do lunchu spędziłam, wpatrując się w ogień na kominku, a kiedy Kitty wróciła z samotnej wycieczki, byłam jeszcze w piżamie i szlafroku.

– Wyglądasz inaczej – powiedziała, patrząc na mnie ciepło. – Czy już z tym skończyłaś?

– Próbuje. Pomożesz mi, otwierając znakomite château Margaux?
– Jestem pewna, że Hem jest równie nieszczęśliwy, czekając na twoją decyzję – rzekła, wyciągając korek. – Choć nie wiem, jak można mieć do niego choćby żdźbło sympatii po tej paskudnej powieści. Jeszcze okrutniejszy jest dla Harolda. Za chwilę straci wszystkich przyjaciół.

– Możliwe. Nie mam pojęcia, dlaczego to napisał, dlaczego musiał wszystkich podeptać. Ale przyznaj, że książka jest błyskotliwa.

– Naprawdę? Ciebie w ogóle w niej nie ma. Jak mu to przebaczysz?

– Tak jak zawsze.

– W porządku – powiedziała i w milczeniu uniosłyśmy kieliszki.

Po kilku dniach wróciłyśmy z Kitty do Paryża i wkrótce dostałam odpowiedź od Ernesta:

Najdroższa Hadley,

nie wiem, jak Ci dziękować za Twój bardzo dzielny list. Martwiłem się o Ciebie i o nas wszystkich z powodu impasu, w którym się znaleźliśmy. Nie wiadomo było, co zrobić, żeby nie narobić jeszcze większych szkód. Jeśli jednak rozwód jest krokiem koniecznym, to wierzę, że jak tylko się na niego zdecydujemy, poczujemy się silniej, lepiej i znowu będziemy sobą.

Pisał dalej o tym, że chce, abym otrzymywała wszystkie wpływy z książki *Słońce też wschodzi*, i że zawiadomił już o tym Maksa Perkinsa. Kończył następująco:

Uważam, że jesteś wspaniałą matką i że będzie lepiej, jeśli Bumby zostanie w Twoich ślicznych i sprawnych rękach. Cała jesteś dobra, prawa, piękna i uczciwa – widzę to bardzo wyraźnie po sposobie, w jaki postąpiłaś, i po tym, że słuchałaś własnego serca. Zmieniłaś mnie bardziej, niż myślisz, i na zawsze pozostaniesz częścią mnie. Jednego mnie to nauczyło. Nigdy nie traci się naprawdę kogoś, kogo się kocha.

Ernest

Mówiliśmy o Paryżu, że jest wielki i wspaniały, i taki był. W końcu go wymyśliliśmy. Stworzyliśmy go z naszej tęsknoty i papierosów, i rumu St. James; z naszych intelektualnych i zajadłych dyskusji i niechby się tylko ktoś ośmielił powiedzieć, że nie jest nasz. Razem wszystko stworzyliśmy i razem zniszczyliśmy.

Niektórzy twierdzą, że powinnam dłużej i bardziej stanowczo walczyć o uratowanie małżeństwa, ale walka o miłość, która się skończyła, przypominała próbę mieszkania na ruinach zburzonego miasta. Nie mogłam tego znieść, więc się wycofałam – a powodem, dla którego to zrobiłam, powodem, dla którego miałam dość siły, było to, że pojawił się Ernest i mnie zmienił. Pomógł mi zobaczyć, kim właściwie jestem i co mogę zrobić. Ponieważ wiedziałam, ile mogę znieść, wiedziałam również, że muszę znieść utratę Ernesta.

Wiosną 1927 roku popłynęłam z Bumby do Stanów zrobić sobie długi odpoczynek od Paryża i tego, co się stale za nami ciągnęło. Przez kilka miesięcy mieszkaliśmy w Nowym Jorku, a potem wsiedliśmy do pociągu osobowego, który zawiózł nas do Carmelu w Kalifornii. Wynajęłam dom przy plaży, niedaleko zagajnika sosnowego. Niebo było tam bezgraniczne, cyprysy pogiete od wiatru, a słońce mnie wzmocniło. Tam właśnie dowiedziałam się, że Ernest poślubił Pauline w katolickim kościele w Paryżu. Jakoś udało mu się przekonać księdza, że jest katolikiem, wobec tego pierwsze małżeństwo się nie liczy, bo było udzielone przez pastora metodystów. Przeczytałam tę informację jednego z nielicznych chmurnych majowych dni, kiedy Bumby zajęty był kopaniem łopatką rowu w piasku. Chlapiąca woda zaczęła rozmywać boki rowu, zanim jeszcze został ukończony. Od samego patrzenia na to chciało mi się płakać, więc z listem w ręce podeszłam do skraju wody. Za grzywaczami falujące morze zmieniało barwę z szarej na białą, horyzont też był całkiem biały, więc wszystko się ze sobą zlewało. Nasza przeszłość, woda, Ernest i Pauline rozpoczynający razem nowe życie. Nasz czas ze sobą już minął i choć nadal wydawało się to tak bliskie i prawdziwe, piękne i ważne jak każde miejsce na mapie, to jednak był to już inny czas – i inny kraj.

Bumby podszedł do mnie i wtulił słońcą, mokrą buzię w moją spódnicę.

– Puścimy łódkę? – spytał.

Skinęłam głową, zrobiłam z listu Ernesta łódkę i dałam ją Bumby'emu. Razem podeszliśmy do brzegu morza i puściliśmy łódkę na fale. Podskoczyła, pochyliły się słowa na wodzie, a kiedy fale zgrabnie ją uniosły i zniknęła w dali – tylko trochę zapłakałam.

Epilog

Po lecie w Carmelu wróciłam z Bumbym do Paryża. Chłopiec bardzo tęsknił za ojcem i, prawdę mówiąc, nie wiedziałam, gdzie indziej mogłabym jechać.

Po kilku miesiącach związałam się z Paulem Mowrerem, dawnym znajomym Ernesta, dziennikarzem. Paul był zagranicznym korespondentem „Chicago Daily News” i, prywatnie, również niezłym poetą. Pracowali razem z Ernestem w Lozannie i w tamtym okresie kilka razy się z nim spotkałam. Wkrótce po moim rozstaniu z mężem natknęłam się na Paula w klubie tenisowym, a kiedy skończyłam grać, zaprosił mnie na piwo do „Café de l’Observatoire”. Subtelnie dał mi znać, że jest mną zainteresowany, ale ja potrzebowałam czasu na przemyślenie tego. Cały czas czułam, że należę do Ernesta, i nie byłam pewna, czy jeszcze będę w stanie pokochać kogoś innego. Paul był jednak niewiarygodnie dobry i cierpliwy i miał takie piękne oczy, błękitne jak Morze Śródziemne. Im dłużej w nie patrzyłam, tym bardziej chciałam w nie patrzeć. Paul nie był skomplikowany. Solidny, miał w sobie cudowny spokój. Wiedziałam, że zawsze będzie mnie kochał i nie zrujnuje mi życia, ani odrobinę. Pozwoliłam więc, aby to się stało.

Wiosną 1928 roku Ernest i Pauline wyjechali do Stanów. Pauline była w piątym miesiącu ciąży. Wyjechali do Piggot, a potem do Key West, gdzie, jak twierdził Dos Passos, świetnie łowi się tarpony. Pauline miała kupić dom i go udekorować, ponieważ doskonale umiała to robić – wiedziała, gdzie kupić najlepsze meble i odpowiednio oprawione obrazy, i z którymi ludźmi się zadawać. Być może lepiej potrafiła się nim opiekować niż ja. A może nie.

W końcu okazało się, że Ernest nie miał takiego szczęścia w miłości, jak ja. Pauline urodziła mu dwóch synów, a potem on zostawił ją dla innej. I tę też porzucił dla jeszcze innej. Miał cztery żony i wiele kochanek. Czasem było mi przykro pomyśleć, że dla ludzi śledzących z zainteresowaniem jego życie byłam tylko pierwszą żoną, paryską. Ale to chyba przemawiała przeze mnie próżność, pragnienie wyróżnienia się w długim szeregu kobiet. Prawdę mówiąc, nie miało dla mnie znaczenia, co widzieli inni. My wiedzieliśmy, co razem

przeżyliśmy i co to znaczyło, i choć od tamtej pory wiele się wydarzyło w jego i w moim życiu, to jednak nic nie mogło dorównać tamtym powojennym latom w Paryżu. Życie było boleśnie czyste, proste i dobre, i wierzę, że Ernest był wówczas najlepszy. Wydobyłam z niego to, co było w nim najlepsze. Obydwoje wydobywaliśmy z siebie to, co najlepsze.

Po jego wyjeździe do Stanów w swoim długim życiu widziałam go jeszcze tylko dwa razy, ale z dystansu śledziłam, jak staje się szybko najważniejszym pisarzem swojej generacji i kimś w rodzaju wykreowanego przez siebie bohatera. Widziałam go na okładce magazynu „Life” i słyszałam o wojnach, które dzielnie relacjonował, i o innych wyczynach: światowych sukcesach w łowieniu ryb, polowaniu na grubego zwierza w Afryce, picciu takim, że dwa razy większy od niego mężczyzna byłby zabalsamowany w czarnoziem. Mit, który tworzył z własnego życia, był wielki, ale wiedziałam, że tak naprawdę w głębi duszy Ernest nadal jest zagubiony. Spał tylko przy świetle albo wcale nie mógł zasnąć, bał się śmierci tak bardzo, że gdzie i kiedy tylko mógł, wychodził jej naprzeciw. Był zagadką – wytworny, silny, słaby i okrutny. Niezrównany przyjaciel i sukinsyn. Właściwie nie można powiedzieć, że jedna z tych cech była ważniejsza niż inne. Wszystkie były równie ważne.

Ostatni raz rozmawialiśmy w maju 1961 roku. Ni z tego, ni z owego zadzwonił w porze lunchu, kiedy byliśmy z Paulem na wakacjach w Arizonie na ranczu, na które co parę lat wracaliśmy ze względu na ryby i widoki. Gdy odebrałam telefon, Paul wymyślił sobie jakieś niecierpiące zwłoki zajęcie, ponieważ wiedział, że wolę być sama. Nie musiałam go o to prosić. Byliśmy małżeństwem od trzydziestu pięciu lat i Paul znał mnie lepiej niż wszyscy. Niemal wszyscy.

– Witaj, Tatie – powiedział Ernest, kiedy podniosłam słuchawkę.

– Witaj, Tatie – odparłam, uśmiechając się na przewisko sprzed czterdziestu lat.

– Wasza gosposia powiedziała mi, gdzie mam was szukać. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

– Nie, jestem szczęśliwa, że zadzwoniłeś. Cieszę się, że to ty.

Pokrótkie powiedziałam mu o ranczu, które nie było ani

pretensjonalne, ani zbyt wygodne. Osiemdziesiąt lat palenia ognia pozostawiło ciemne, smoliste smugi na boazerii, meble były surowe, proste i bardzo prawdziwe. Dni długie, noce pełne gwiazd.

Od wieków nie miałam od niego wiadomości, a teraz dzwonił, żeby porozmawiać o nowej książce, o wspomnieniach. Chciał się podzielić historiami z naszego pobytu w Paryżu.

– Pamiętasz te dziwki na *bal musette*, grający akordeon, dym i zapachy?

Przytaknęłam.

– A pamiętasz święto zburzenia Bastylli, kiedy muzycy grali nam pod oknami bez końca przez całą noc?

– Wszystko pamiętam.

– Jesteś w całej książce – rzekł i głos mu się załamał. Bardzo starał się zachować wesołość, ale wiedziałam, że czuje się smutny i znękanym. – To było coś, pisać o tym okresie i przeżywać go na nowo. Jak myślisz, czy za dużo od siebie chcieliśmy?

– Nie wiem, Tatie. Możliwe.

– Może to właśnie to. Byliśmy zanadto zapatrzeni w siebie.

Zanadto się kochaliśmy.

– Czy można kogoś za bardzo kochać?

Przez chwilę milczał. Słyszałam ciche, suche trzaski na linii – jak symbol wszystkich przykrości, które nas rozdzieliły.

– Nie – usłyszałam w końcu jego głos, bardzo cichy i trzeźwy. – Nie, to wcale nie jest prawda. To ja wszystko zniszczyłem.

Poczułam ścisk w gardle, ale próbowałam się zmobilizować. Jeszcze przez moment rozmawialiśmy o Paryżu, a potem o Bumbym i jego świeżo poślubionej żonie, Puck, a potem tematy się skończyły, ale się nie rozłączaliśmy.

– Uważaj na kota – powiedział, zegnając się. Miał na myśli mnie.

Odłożyłam słuchawkę, usiadłam na sofie i ku własnemu zdumieniu wybuchnęłam płaczem.

Późnym południem poszliśmy z Paulem nad strumień i zanurzyliśmy wędki akurat wtedy, kiedy nadleciały owady i powoli zaczęło się zmieniać światło. To była nasza ulubiona pora. Zawsze trwała dłużej, niż się spodziewaliśmy – magiczne lawendowe miejsce

oderwane od zwyczajnych godzin, zawieszane pomiędzy tym i innym światem. Dotknęłam kołowrotka, czując, że napina się linka, i nagle znalazłam się w Kolonii z Ernestem i Chinkiem. Wróciłam do mojej pierwszej ryby, wiedząc, że bez niej nie byłoby żadnej następnej, tak jak nie byłoby żadnej innej miłości bez tej pierwszej.

Była lipcowa niedziela, kiedy zadzwoniła Mary, żona Ernesta, z informacją, że się zastrzelił. Obudził się wcześniej, założył ulubiony czerwony szlafrok i wyszedł do holu ze strzelbą w ręce. Stał w plamie światła, przytknął głowę do lufy i pociągnął za oba spusty.

Ironia losu – w ten właśnie sposób zabił się mój ojciec, a także ojciec Ernesta w roku 1928, kiedy Ernest miał dwadzieścia dziewięć lat. Może to nie ironia, tylko historia w najczystszej i najokrutniejszej wydaniu. Ojciec Ernesta posłużył się pistoletem z wojny domowej. Później jego brat, Leicester, też miał się zastrzelić. Siostra Urszula użyła tabletek, aby popełnić samobójstwo. Po jakimś czasie zaczynasz się zastanawiać, czy tego nie ma przypadkiem we krwi – mrocznego magnesu, który ciągnie – może od samego początku – w tym właśnie kierunku.

Nie mogłam udawać, że zaskoczyła mnie śmierć Ernesta. Dobiegały mnie słuchy o sanatorium w Rochester i okropnej terapii szokowej. Śmierć zawsze była tuż koło niego, czasami niemal przeważając szalę.

– Przynieść ci coś? – spytał po chwili Paul, odsuwając się o krok i kładąc mi ręce na ramionach.

– Nie – powiedziałam. Mój głos zabrzmiał dziwnie. Tatcie nie żyje. Jedyne, co Paul mógł dla mnie zrobić, to pozwolić mi udać się z powrotem do Paryża, Pampeluny, San Sebastian, Chicago – kiedy byłam jeszcze Hadley Richardson, dziewczyną wysiadającą z pociągu na spotkanie z mężczyzną, który miał zmienić jej życie. Ta dziewczyna – dziewczyna, która miała niewiarygodne szczęście – niczego nie potrzebowała.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałabym podziękować mojej agentce, Julie Barer, która od samego początku była całkowicie zaangażowana w projekt. Dzięki błyskotliwej Susannie Porter, mojej wymarzonej redaktorce, książka osiągnęła swoją ostateczną postać. Jestem głęboko wdzięczna za wsparcie i pomoc wielu pracownikom Ballantine Books i Random House, w tym Libbie McGuire, Kim Hovey, Theresie Zoro, Lisie Barnes, Kristinie Fassler, Quinne Rogers, Deborze Foley, Steve'owi Messinie, Jillian Quint i Sophie Epstein. William Boggess z Barer Literary z ogromną pewnością siebie odpowiedział na desperacki telefon i był nieoceniony w procesie powstawania książki. Wielkie dzięki dla Ursuli Doyle, Victorii Pepe i Virago, Kristen Cochrane i wydawnictwa Doubleday Canada, oraz Caspiana Dennisa z firmy Abner Stein, Nicki Kennedy, Sama Edenborough i innych z ILA.

Specjalne podziękowania chciałabym złożyć przyjaciołom i pierwszym czytelnikom: Glori Simmons, Lori Keene, Brianowi Grohowi, Anne Ursu, Alice D'Alessio, Sarze Willis, Terry'emu Dubowowi, Toni Thayer, stowarzyszeniu East Side Writers: Denise Machado, Johnowi Sargentowi, Paulowi Coxowi, Kirsten Docter, Pam i Dougowi O'Haron, Tawny Ratner, ponadto członkom Klubu Piechurów z Cedar Hill: Williamowi Josenowi, Becky Gaylord, Heather Greene, Amy Weinfurtnier, Margaret Cohen, Patricii Kao, Suzannah Hagani, Karen Rosenberg. Nie mogę zapomnieć o Karen Long z „Plain Dealer” z Cleveland, Judith Mansour z LIT, Jimie Harmsie i Jacqueline Gens z Programu Poezji MFA z New England College, oraz o wielu bliskich kolegach i studentach.

Ogromnie wiele zawdzięczam rodzinie. Pragnę podziękować za nieskończoną cierpliwość i zachętę: Gregowi D'Alessio, Connorowi, Fionie i Beckettowi, oraz wszystkim w ogóle D'Alessiom, Julie Hayward, Ricie Hinken i wreszcie moim siostram, których nie da się wyprowadzić z równowagi, Teresie Reller i Penny Pennington. Dziękuję wam za wszystko.

Źródła

Choć Hadley Richardson, Ernest Hemingway i inni pojawiają się w tej książce jako postaci powieściowe, to jednak faktycznie istnieli i musiałam z jak największą dokładnością, zgodnie z istniejącymi dokumentami, oddać szczegóły ich biografii. Prawdziwa historia małżeństwa Hemingwayów, bardzo dramatyczna i wzruszająca, została przepięknie przedstawiona przez samego Ernesta Hemingwaya w *Ruchomym święcie*, a ja postanowiłam sięgnąć głębiej, do emocji bohaterów, i dać nowe spojrzenie na wydarzenia historyczne, pozostając jednocześnie wierna faktom. Zadanie to umożliwiły mi rozliczne źródła, w tym Alice Hunt Sokoloff, *Hadley: The First Mrs. Hemingway*; Gioia Diliberto: *Hadley*; Bernice Kert: *The Hemingway Women*; Carlos Baker: *Ernest Hemingway: A Life Story* i *Ernest Hemingway: Selected Letters 1917–1961*; Michael Reynolds: *Hemingway: The Paris Years* oraz *Hemingway: The American Homecoming*; Denis Brian: *The True Gen*. Ogromnie użyteczne w zrozumieniu Paryża lat 20. ubiegłego wieku oraz innych detali tego czasu i miejsca były następujące pozycje: William Wiser: *The Crazy Years*; Janet Flanner: *Paris Was Yesterday*; Calvin Tomkins: *Living Well Is the Best Revenge*; Nancy Milford: *Zelda*; Paul Fussell: *The Great War and Modern Memory* oraz *Selected Writings of Gertrude Stein*. Susan Wrynn i Sam Smallidge z Hemingway Collection w John F. Kennedy Memorial Library w Bostonie pomogli mi przebrnąć przez tony materiałów, w tym korespondencję Hadley Richardson z Ernestem Hemingwayem oraz rękopisy Hemingwaya. Na końcu chciałam wspomnieć o innych dziełach samego Hemingwaya, z których czerpałam, poza *Ruchomym świętem*. Były to głównie: *W naszych czasach*, *Słońce też wschodzi*, *Rajski ogród*, *Śmierć po południu* i *Opowiadania zebrane*.

Tytuł oryginału

The Paris Wife

Copyright © 2011 by Paula McLain

Copyright © for the translation

by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., Wrocław

Projekt okładki

Urszula Gireń

Fotografia na okładce

Copyright © CollaborationJS/Arcangel Images

Copyright © Liliana Fichter/123RF.COM

Opieka redakcyjna

Ewa Bolińska-Gostkowska

Aleksandra Kamińska

Korekta

Ewa Cebo

ISBN 978-83-240-3720-9

między
słowami

30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

E-mail: promocja@miedzy.slowami.pl

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com